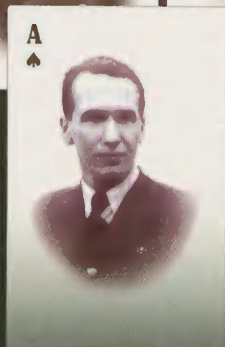
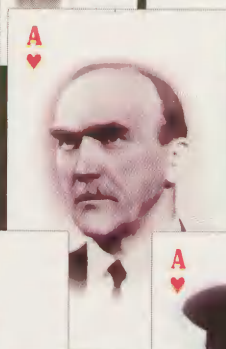
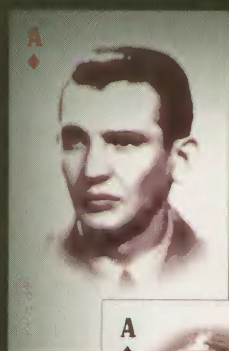


Henryk Krzyczkowski

DZIEWIĘCIU z PRUSZKOWA





DZIEWIĘCIU
Z PRUSZKOWA

Dziwięciu z Pruszkowa:

BRONISŁAW CHAJĘCKI

LESZEK CHEŁMIŃSKI

MIECZYŚŁAW KRUSZEWSKI

STANISŁAW KOWALCZYK

JÓZEF KWASIBORSKI

JERZY NIEROJEWSKI

WITOLD PAKULSKI

ANDRZEJ WILL

STANISŁAW WOŁŁOSIECKI

HENRYK KRZYCZKOWSKI

DZIEWIĘCIU Z PRUSZKOWA

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Henryka Sienkiewicza
w Pruszkowie
2008

Copyright © 2008 by Henryk Krzyczkowski

**Copyright © for Polish edition by Powiatowa i Miejska
Biblioteka Publiczna w Pruszkowie, 2008**

Zdjęcia w książce pochodzą z archiwum Autora

Projekt okładki: *Michał Bernaciak*

Redakcja i korekta: *Zespół*

Organizacja produkcji: *Rachocki i S-ka, Pruszków*

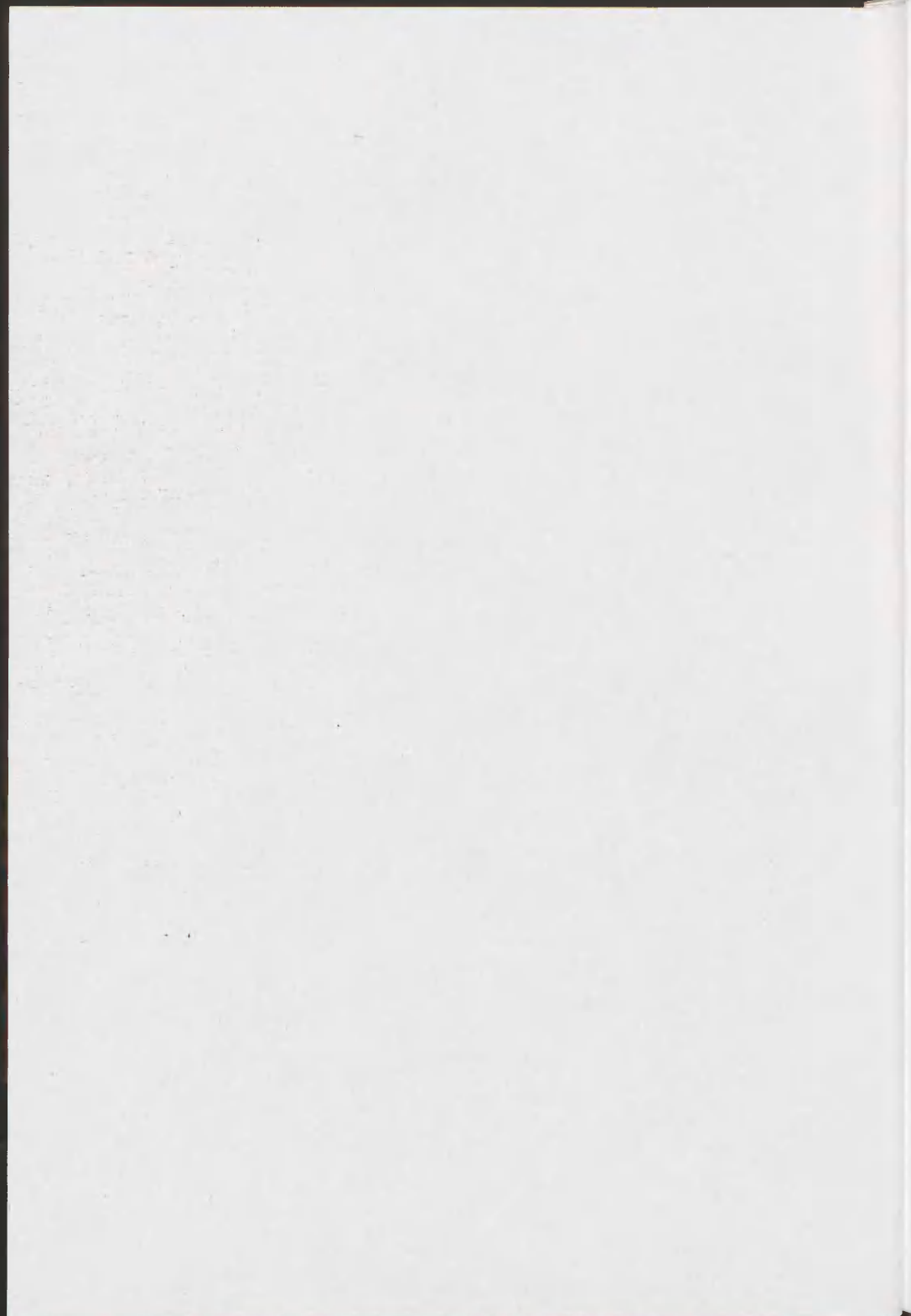
Publikacja ukazała się dzięki pomocy finansowej
Urzędu Miejskiego w Pruszkowie

ISBN 978-83-926204-3-3

Wydanie pierwsze

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Henryka Sienkiewicza
ul. Kraszewskiego 13
05-800 Pruszków
tel. 758 86 09
tel./fax 730 10 80
e-mail: czytelnia@biblioteka.pruszkow.pl

Urszuli i Jankowi – Ojciec



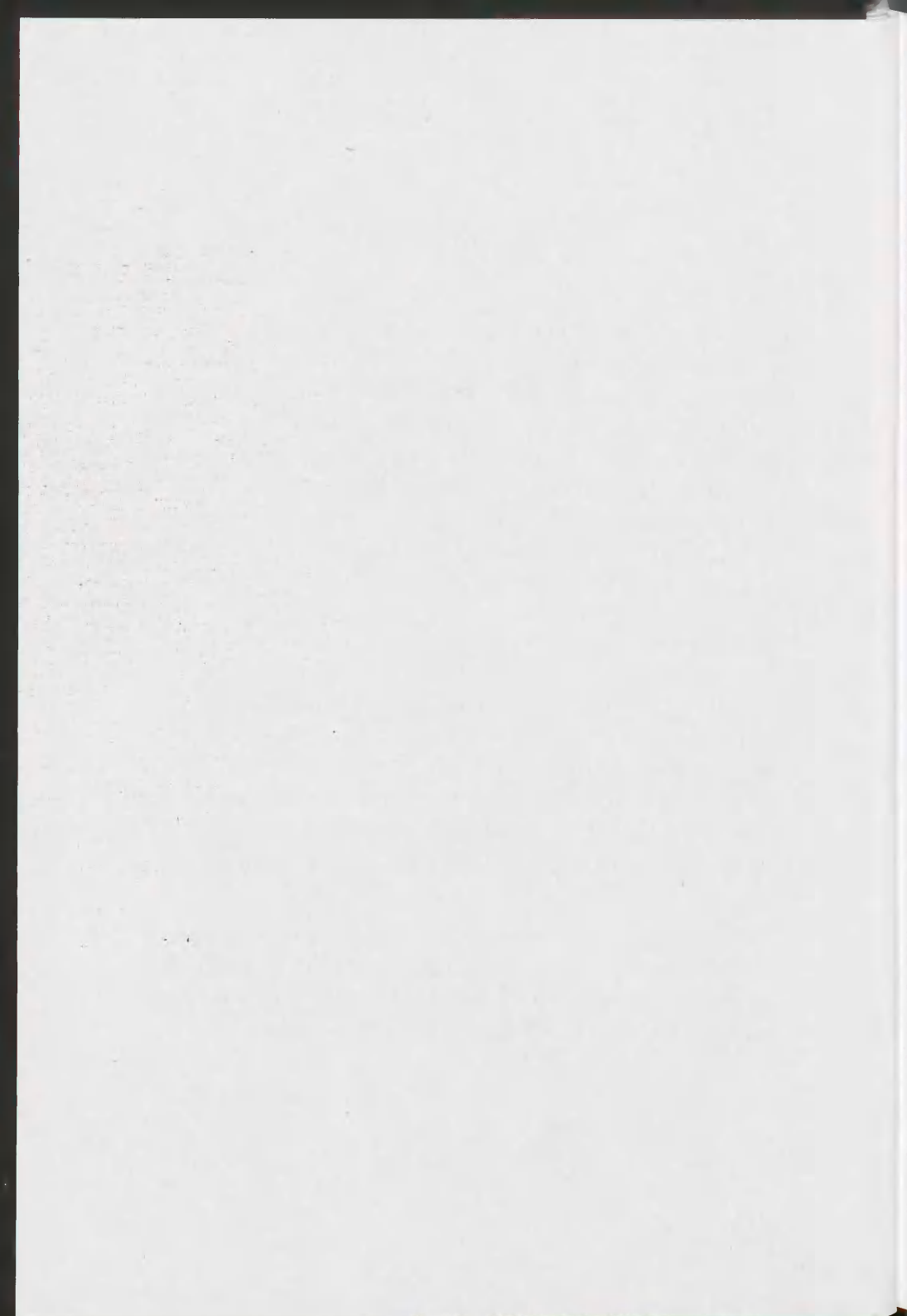
Od wydawcy

„Oni do mnie przychodzą w nocy i się dopytują.... – Heniu, kiedy o nas napiszesz?..” – mówi mi często pan Henryk. I pisze. Książka ta powstała z potrzeby serca. Autor pielęgnował ten zamiar przez długie lata, na nić pamięci mozolnie nizał perełki wspomnień, faktów, hipotez i legend. Z pewnością nie jest ona dokumentem, choć i te można w niej znaleźć. Jest raczej wyrazem hołdu złożonego przyjaciółom i przyjaźniom, które przetrwały próbę czasu, często też próbę śmierci. Również realizacją marzenia pielęgowanego latami, by pamięć nie zginęła. A także spełnieniem obietnicy danej sobie i kumplom ze Stalowej, Klonowej, Szerokiej – z Dzielnicy Milionerów.

Chociaż jej niewielkie fragmenty były publikowane już w *Przeglądzie Pruszkowskim*, to w obecnej formie książka jest tworem całkowicie nowym. Zespół redakcyjny swoją ingerencję w tekst oryginalny ograniczył do niezbędnego minimum, pragnąc zachować styl nostalgicznej gawędy – z licznymi dygresjami, ucieczką w szczegół i anegdotę.

Niech więc to wspomnienie o dziewięciu „chłopakach z Pruszkowa” przyjmą z całą życzliwością miłośnicy *pruskovianów* oraz wielbiciele skautowskich ognisk, sympatycy gawęd wszelakich i opowieści niezwykłych.

Grzegorz Zegadło



BRONISŁAW CHAJĘCKI

Wczesnym wieczorem, 10 listopada 1948 r., czterej młodzi ludzie ubrani w czapki studentów warszawskich uczelni, bez okazywania prokuratorskiego nakazu i odmawiając wylegitymowania się, rozpoczęli wielogodzinną rewizję w mieszkaniu Bronisława Chajęckiego w Pruszkowie przy ulicy Drzymały 10. Po dokładnym przeszukaniu mieszkania Chajęckiego nad ranem zabrano do czekającego samochodu i wywieziono w kierunku Warszawy. Wraz z nim zabrano znalezione w mieszkaniu papiery i dokumenty.

Bronisław Chajęcki urodził się 15 grudnia 1902 roku w Warszawie, w rodzinie kolejarskiej. Przeniesienie służbowe ojca do pracy w Warsztatach Kolejowych w Pruszkowie związało Chajęckiego na stałe z naszym miastem. Tu chodził do szkoły powszechnej, tu wstąpił do drużyny harcerskiej, był gońcem łącznikiem w miejscowej tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej i tu jako młody chłopak, zmuszony trudną sytuacją rodzinną, rozpoczął pracę zarobkową. Gdy miał 17 lat, po śmierci rodziców, spadł na niego obowiązek opieki nad młodszym rodzeństwem. Na szczęście znalazł w Pruszkowie odpowiednią pracę – został wychowawcą

w „Bursie”, schronisku zorganizowanym dla kilkuset osieroconych polskich dzieci, które polskim organizacjom opiekuńczym udało się wywieźć z ogarniętej rewolucją Rosji i ze zniszczonych długoletnią wojną Kresów Wschodnich. Ta pierwsza praca rozwija jego instynkt i zainteresowania wychowawcze a także zdolności organizacyjne.

Gdy w gorącym lipcu 1920 roku niepodległość Polski została śmiertelnie zagrożona, młody Chajęcki wstąpił do ochotniczego batalionu harcerskiego. Po demobilizacji, w następnym roku powrócił do Pruszkowa, aby podjąć przerwana pracę w „Bursie” i kontynuować naukę. Opiekował się młodszym rodzeństwem; wynagrodzenie za pracę pozwalało na zapewnienie im skromnego bytu.

Te lata, pełne trudu, wyrzeczeń i samozaparcia – rozjaśniane zajęciami w harcerstwie – odcisnęły silne piętno na charakterze Bronisława Chajęckiego. Gdy uzyskał stopień harcmistrza, dał się już poznać jako wzorowy wychowawca młodzieży, opiekun słabych i pokrzywdzonych, obrońca każdej słusznej sprawy. Przy wielu okazjach, ucząc nas walczyć ze złem, o dobro i prawdę, przypominał nam, harcerzom ze swojego hufca, o najważniejszych obowiązkach wobec Ojczyzny, rodziny i bliźnich.

Po ukończeniu warszawskiego gimnazjum Kulwiecia i Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Warszawie został nauczycielem w szkole w Otwocku, a następnie w Grodzisku Mazowieckim. Pracę w szkole łączył z zajęciami harcerskimi, został komendantem hufca błońskiego, do którego organizacyjnie należały drużyny pruszkowskie.

W tym też okresie odbywał służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, gdzie uzyskał stopień plutonowego podchorążego rezerwy, a po ćwiczeniach w 1929 roku awansowano go na stopień podporucznika.



Ppor. 32 pułku piechoty w roku 1929.

Prowadząc błoński hufiec harcerski, nawiązał współpracę z Janem Hoppe*, z którym połączyła go nie tylko trwała przyjaźń, lecz także przyszłe tragiczne losy.

Powoli spełniają się snute od dawna plany i zamierzenia Bronisława Chajęckiego. W 1926 r. poślubia pruszkowską harcerkę Zofię Gogolewską (1905-1987), w 1928 roku przychodzi na świat ich pierwsza córka, Wanda. Pracując jako nauczyciel w szkole w Grodzisku Mazowieckim, równocześnie uczy się na Wydziale Pedagogicznym Warszawskiej Wolnej Wszechnicy. Końcowe egzaminy składa

* Jan Hoppe, ur. 27.12.1902 r. w Skierniewicach, przedwojenny dziennikarz spod znaku „Jutra Pracy”, w latach wojny związał się z „Unią” i Stronnictwem Pracy. Aresztowany w marcu 1945 r. i wywieziony do ZSRR. Po powrocie do kraju czynnie działał w Stronnictwie Pracy. Aresztowany wraz z J. Kwasiborskim był razem z nim sądzony. Zrehabilitowany po wyjściu z więzienia w 1956 r. Zmarł w Warszawie 18.02.1969 r.

w roku 1933 i uzyskuje tytuł nauczyciela dyplomowanego. W roku 1934 zmienia pracę, zostaje urzędnikiem w warszawskim magistracie, wkrótce awansuje na kierownika Ośrodka Zdrowia i Opieki Społecznej na warszawskiej Pradze.



Na wycieczce ze szkołą z Grodziska Mazowieckiego. Bronisław Chajęcki – trzeci z lewej w drugim rzędzie.

Przedwojenna Praga była najbardziej zaniedbaną dzielnicą Warszawy. Liczne problemy społeczne, wśród nich edukacja i zdrowie dzieci i młodzieży, to nieustanne utrapienie odpowiedzialnych za nie urzędników. W dodatku efekty ich pracy wypadały bardzo mizernie. Ulokowanie tam Bronisława Chajęckiego świadczyło o zaufaniu, jakie zdobył u ekipy rządzącej Warszawą. Niewątpliwie doceniano jego kwalifikacje, energię, zapał do pracy w trudnym terenie i zdolności organizacyjne.

W dniu 16 listopada 1936 r. prezydent Stefan Starzyński mianował go swoim delegatem dla dzielnicy Praga. Na tym stanowisku pozostał aż do końca lipca 1944 roku.

Pracując w Warszawie, stale mieszkał w Pruszkowie przy ulicy Drzymały. Do pracy dojeżdżał codziennie pociągami. W 1937 roku na świat przyszła druga córka Chałęckich – Danuta.

Gdy we wrześniu 1939 r. podjęto decyzję o obronie stolicy, Starzyński powierza Bronisławowi Chałęckiemu całą władzę cywilną na Pradze, upoważniając go do samodzielnego działania we wszystkich sprawach. W czasie oblężenia zostaje ranny. Przed kapitulacją gen. Rómmel awansuje go do stopnia kapitana i odznacza Krzyżem *Virtuti Militari* i Krzyżem Walecznych. W pierwszych dniach października 1939 r. z inicjatywy prezydenta Starzyńskiego powstaje tajna organizacja niepodległościowa „Warszawianka”, opierająca się na kadrze pracowników powołanego tuż przed wybuchem wojny referatu obrony przeciwlotniczej i dzielnicowych starostw.

Wśród założycieli byli: Cyprian Odorowicz „Krybar” – delegat Prezydenta na dzielnicę Warszawa Północ – i Bronisław Chałęcki, który przyjął pseudonim konspiracyjny „Boryna”. Już w 1940 roku „Warszawianka” połączyła się z organizacją „Nowa Polska”, utworzoną przez filozofa, poetę i dawnego działacza harcerskiego Jerzego Brauna, a także Jana Hoppego, zaprzyjaźnionego z Chałęckim od czasów harcerskich. Niedługo później „Nowa Polska” przekształciła się w organizację „Unia”, wyraźnie zbliżoną do haseł głoszonych przez tzw. „Front Morges”. Ta ideowa ewolucja spowodowała połączenie „Unii” z konspiracyjnym „Stronnictwem Pracy”. W lutym 1943 osiągnięto porozumienie w sprawie ścisłego współdziałania, z zachowaniem przez obie strony odrębności organizacyjnej. Wiceprzewodniczącym „Stronnictwa Pracy” od chwili powstania w roku 1937 był pruszkowianin Józef Kwasiborski „Niemia” – członek Rady Jedności Narodowej, delegat rządu na województwo

warszawskie, a niegdyś pruszkowski działacz harcerski i zastępca komendanta XV Obwodu POW, w której piętnastoletni Bronisław Chajęcki był łącznikiem.

W Pruszkowie w pierwszych latach hitlerowskiej okupacji dawny peowiak Zygmunt Abramowski „Oksza” dowodził kompanią detaszowaną Wojsk „Unii”. Oddział ten, liczący kilkudziesięciu ludzi mieszkających na Żbikowie, w okresie późniejszym zostanie włączony do 11 kompanii ckm Rejonu 6 „Obroza” AK, a „Boryna” w stopniu majora będzie przez pewien czas dowódcą II Batalionu w naszym mieście.



Bronisław Chajęcki z żoną
i córkami w roku 1930.

Hitlerowska okupacja wymuszała konieczność rozwoju struktur organizacyjnych Podziemnego Państwa Polskiego. Zapewne różne powiązania z lat harcerstwa i POW wpłynęły na decyzję Kierownictwa Walki Cywilnej i Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury, aby „Borynę” awan-

sować do stopnia podpułkownika i powołać na stanowisko komendanta Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa dla Warszawy i woj. warszawskiego. Zastępcą „Boryny” został kpt. Bolesław Kontrym „Żmudzin”, przedwojenny oficer Policji Państwowej, „cichociemny”, rzucony do kraju 2.09.1942 r. dowódca III Odcinka „Wachlarza”, a następnie szef Kedywu Okręgu AK Brześć. Oddelegowany do dyspozycji Delegatury Rządu obejmuje funkcję zastępcy „Boryny” i szefa służby śledczej.

Państwowy Korpus Bezpieczeństwa został utworzony do pełnienia obowiązków tajnej policji państwowej, zgodnie z zasadami działalności określonej zarządzeniem Delegatury Rządu z dnia 20.11.1943 r. Do obowiązków PKB należało zapewnienie bezpieczeństwa, spokoju i porządku publicznego, walka z demoralizacją społeczną – rozprzestrzeniającym się bandytyzmem, z konfidentami gestapo, ze szczególnie uciążliwymi kolaborantami, a także ze „szmalcownikami” tropiącymi ukrywających się Żydów. Przez następne miesiące trwała intensywna rozbudowa struktur organizacyjnych PKB, do których przenoszono część żołnierzy Wojskowej Służby Ochrony Powstania AK.

Równocześnie w ramach AK, wbrew decyzjom rządu w Londynie i wbrew porozumieniu z Delegaturą Rządu, ppłk „Benedykt” – przedwojenny starosta Ludwik Muzyczka – rozpoczął montowanie konkurencyjnej sieci administracji cywilnej z odrębną służbą bezpieczeństwa – Korpusem Bezpieczeństwa.

Jan Hoppe napisał we wspomnieniach: „ (...) niektórzy wyżsi oficerowie AK za punkt honoru uważali konieczność przejęcia steru władzy przez pilsudczyków...”. Gen. „Monter” przyznał, że: „ (...) KB była formacją, która powstała za zgodą dowództwa AK bez aprobaty Delegatury i miała wykonywać polecenia dowództwa AK, nie uznając

żadnej innej władzy...". Taki stosunek podziemnych struktur wojskowych AK do władz podziemnej administracji, kierowanej przez Delegaturę Rządu, był przyczyną wielu nieporozumień.

PKB nie zawiadomiono o Godzinie „W”. Przygotowane na wypadek powstania przez członków PKB lokale i magazyny broni zostały pozajmowane przez młodych ludzi z podziemnej struktury KB, którzy jeszcze przed Godziną „W” zbierali się w pobliżu, wyraźnie czekając na zadania.

W pierwszych dniach Powstania Bronisław Chajęcki pozostawał w stałym kontakcie z Delegaturą Rządu, a od 12 do 28 sierpnia dowodził batalionem PKB na Starym Mieście. Po przejściu kanałami do Śródmieścia przedostał się na Powiśle, gdzie prowadził ośrodek kwatermistrzowski, a od 5 września aż do kapitulacji był szefem produkcji w Kwatermistrzostwie Komendy Głównej AK. Powstanie kończy w stopniu pułkownika.

W dniu 6 października 1944 r. ucieka w Skierniewicach z transportu jenieckiego i przekrada się do Pruszkowa, gdzie do końca okupacji musi leczyć różne popowstaniowe kontuzje.

Powojenna służba wojskowa Bronisława Chajęckiego w Ludowym Wojsku Polskim trwała półtora roku. Częste zmiany przydziałów służbowych świadczą o niezdecydowaniu władz wojskowych. Nie bardzo wiadano, co zrobić z kapitanem, który był niezwyfikowanym pułkownikiem i do tego miał bardzo podejrzaną przeszłość. Zmobilizowany w dniu 12 marca 1945 r. do 4 pp w Białymstoku, w stopniu kapitana, był dowódcą kompanii. Po miesiącu został przeniesiony do Warszawy do 1 pp, a już 23 kwietnia dowodził kompanią strzelecką w 2 pp. Po pół roku zameldował się w kwatermistrzostwie „Wojentorgu”, skąd po dwóch miesiącach odszedł do dowództwa wojsk lotniczych. Służ-

bę wojskową kończy w dniu 11 października 1946 roku, zdemobilizowany „z braku etatu”.

Kilka tygodni później rozpoczął pracę jako nauczyciel w szkole im. Żółkiewskiego w Pruszkowie, a następnie przeniósł się do dyrekcji „Społem” przy ulicy Stawki w Warszawie.

Był postacią znaną w Pruszkowie. Mieszkał tu od wielu lat, cieszył się ogólnym szacunkiem, utrzymywał trwałe więzy z harcerzami ze swojego dawnego hufca.

Rankiem 11 listopada 1948 roku, po czynnościach śledczych w mieszkaniu, wywieziono Bronisława Chajęckiego do Warszawy. Zabrano wszystkie znalezione w mieszkaniu papiery a wśród nich wiele cennych dokumentów z lat harcerstwa i okupacji.

Od tego dnia po aresztowanym zaginął jakikolwiek ślad. Przepadł jak kamień w wodę. Nie pomogły żadne starania rodziny i przyjaciół. Nikt nie chciał udzielić jakiegokolwiek informacji o charakterze oskarżenia i miejscu pobytu zatrzymanego. Wydawało się, że naprawdę nikt nie wie, gdzie aresztowany może przebywać i o jakie przestępstwo jest oskarżony. Przez trzy dramatycznie dłużące się lata rodzina nie otrzymała żadnej oficjalnej informacji o doli oskarżonego. Nigdzie nie przyjęto przygotowanej przez bliskich paczki z żywnością i bielizną, ani w prokuraturze, ani w MO, ani w UB. Nie przyjmowano paczki w żadnym więzieniu. Zapanowała zmowa milczenia. Udawano, że nikt nie zna nazwiska poszukiwanego i nikt nie słyszał o takiej aresztowanej osobie.

W domu pozostawała żona Zofia wraz z córkami, Wandą – studentką UW i dziesięcioletnią Danutą, bez środków do życia. Aby zaspokoić podstawowe potrzeby rodziny, Zofia

Chajęcka musiała znaleźć jakąkolwiek pracę. Natychmiast zaczęła o to starania, ale dopiero po kilku miesiącach zabiegów i uporczywych poszukiwań, dzięki ofiarnej pomocy pracownika Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, Kazimierza Piaścika, konspiracyjnego burmistrza Pruszkowa z lat okupacji, udało się uzyskać w Wydziale Zatrudnienia PMRN skierowanie do pracy. Otrzymała posadę pracownika fizycznego w pobliskim „Centrofarmie” przy ulicy Niecałej. Była to praca wyjątkowo niskopłatna, ale wielką jej zaletą było to, że umożliwiała dalsze zamieszkanie w Pruszkowie, gdyż był to okres, w którym osoby niepracujące uważano za szkodniki społeczne i przesiedlano je do odległych miejscowości na Ziemiach Odzyskanych. Ta źle wynagradzana praca stawiała się w pewnym sensie symbolem lojalności wobec panującego ustroju. Nie dawała jednak rodzinie Chajęckich całkowitego zabezpieczenia bytu. Równocześnie trwały nieprzerwanie różne dokuczliwe szykany. Kwaterunek wielokrotnie ponawiał próby pozbawienia rodziny mieszkania zajmowanego w centrum Pruszkowa. Co kilka miesięcy doręczano nakazy polecające przekwaterowanie do jakiegoś na wpół zniszczonego mieszkania w starym budynku na peryferiach miasta. Dzięki pomocy zarówno nieocenionego Kazimierza Piaścika, jak i innych znajomych osób, zatrudnionych w Urzędzie Wojewódzkim, udawało się szczęśliwie te groźne nakazy unieważniać. Tymczasem dla Zofii Chajęckiej stan dramatycznej niepewności trwał. Pewne kruche podstawy do przekonania, że „Boryna” jest więziony i jeszcze żyje, dawały wezwania na przesłuchania do pruszkowskiego Urzędu Bezpieczeństwa.

W mieszkaniu robiono cztery razy, w odstępach kilku-miesięcznych, tzw. „kocioł” – zasadzkę na odwiedzających, blokując za każdym razem mieszkanie na kilka dni. Odstraszało to znajomych, którzy nieopatrznie przychodząc

w odwiedzin, narażali się na długie przesłuchanie i przetrzymywanie w „zablokowanym” mieszkaniu. Te dokuczliwe śledcze czynności pozwalały sądzić, że sprawa, o którą w domniemaniu żony oskarżano Bronisława Chajęckiego, nie została zamknięta i dawały jakąś nadzieję, że żyje.

Nie zapomniano również o szykanach wobec córek. Wanda została usunięta z Uniwersytetu Warszawskiego, a w kilka lat po ujawnieniu całej sprawy w roku 1955, gdy Danuta kończyła Liceum im. T. Zana w Pruszkowie, jeden z członków komisji egzaminacyjnej sprzeciwił się, aby córka „takiego bandyty” otrzymała maturę. Dopiero po rehabilitacji ojca mogła zdać maturę jako ekstern.

Mijały miesiące, a żadna z osób zainteresowanych nie domyślała się, o co „Boryna” mógł zostać oskarżony, jakie były przyczyny jego aresztowania. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że był to początek zaplanowanej z premedytacją zbrodni na niewinnym, nadzwyczaj uczciwym człowieku, niezłomnym patriocie. Do społeczeństwa docierało niewiele informacji o intrygach snutych w gabinetach Biura Politycznego KC PZPR, o zatrważająco groźnych planach wewnątrzpartyjnych rozgrywek o władzę.

Dopiero po wielu latach ogłoszono, że w drugiej połowie 1947 r. poinformowano Władysława Gomułkę, że w zachowanych zbiorach archiwum przedwojennego II Oddziału Sztabu Generalnego znaleziono dokumenty dotyczące współpracy agenturalnej Włodzimierza Lechowicza i Alfreda Jaroszewicza, członków KPP i PPR, pełniących po wojnie wysokie ministerialne stanowiska. Gomułka polecił Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego zbadać tę sprawę i to, jak później się okazało, stało się początkiem zbrodniczej intrygi, w którą został wplątany „Boryna”.

W rok po aresztowaniu „Boryny”, w dniach 11, 12 i 13 listopada 1949 r. odbywało się III Plenum KC PZPR. Ostatnim dniu obrad przemawiał minister Bezpieczeństwa Publicznego, Stanisław Radkiewicz, który powiedział:

„ (...) PKB został stworzony przez Delegaturę Rządu londyńskiego, mając za zadanie przeprowadzić masową likwidację komunistów; (...) setki najlepszych naszych towarzyszy poniosło śmierć z rąk tych zawodowych szpicli i prowokatorów. Tysiące wydały w ręce gestapo bezpośrednio władze PKB. Jednym z kierowników tej organizacji, kierownikiem tzw. Urzędu Śledczego w PKB był nie kto inny, jak właśnie Lechowicz; i ten człowiek wskutek bezdennej ślepoty i zatracenia całkowicie czujności klasowej i partyjnej potrafił, przy pomocy tanich frazesów, zaskarbić sobie zaufanie tow. Spychalskiego i innych, a potem stać się ministrem Rządu Ludowego (...)”.

W referacie końcowym prezydent Bierut powiedział:

„ (...) Plany wroga polegały na tym, by przeniknąć do poszczególnych ogniw organizacji partyjnych, aby zdobyć szeroką informację. Lechowicz zeznaje, że zawarł z gestapo umowę o wydaniu w jej ręce 6 komunistów w zamian za jednego człowieka Delegatury, gdy ta chciała wykupić go z więzienia. (...) O wystąpieniach tow. tow. Gomułki, Kliszki i Spychalskiego nie warto więcej mówić. Można tylko stwierdzić, że towarzysze ci nie okazali się zdolni do zrozumienia swoich błędów, że nie pomogli partii w walce o wykarczowanie obcych agentur (...)”.

Dla rodziny, przyjaciół, kolegów i znajomych „Boryny” groźne słowa prezydenta Bieruta i ministra Radkiewicza nasuwały najbardziej tragiczne myśli, wzmagaly stałą obawę, troskę i lęk o los aresztowanego.

Po latach wyjaśniło się, że Włodzimierz Lechowicz był przed wojną kierownikiem działu narodowościowo-politycznego w Samodzielnym Referacie Informacji, mającym chronić armię i przemysł zbrojeniowy na terenie woj. warszawskiego przed działalnością szpiegowską naszych sąsiadów, a równocześnie był agentem wywiadu radzieckiego i członkiem nielegalnej Komunistycznej Partii Polski. W latach okupacji, jak przystało dobremu komuniście, należał do PPR, pełniąc funkcję kierownika sekcji ochrony Partii. Na polecenie Mariana Spychalskiego, wykorzystując przedwojenne znajomości, wstąpił do AK, w której pełnił rolę „wtyczki” komunistycznej. Spychalski, znający dobrze sprawę współpracy Lechowicza z radzieckim wywiadem, polecił mu wykorzystać przedwojenne kontakty z II Oddziałem Sztabu Generalnego WP, aby przedostać się do PKB i starać się o zajęcie kierowniczego stanowiska naczelnika wydziału śledczego w PKB. W ten sposób mógł udzielać wielu informacji zdobywanych przez ludzi z wywiadu AK, zarówno kierownictwu PPR, jak i wywiadowi radzieckiemu, przy okazji rozpracowując PKB i Delegaturę.

Podobnie było i z Alfredem Jaroszewiczem. Związany zarówno z KPP, jak i wywiadem radzieckim, był równocześnie kierownikiem ochrony polskiego przemysłu wojennego, a później wicedyrektorem PZInż. w Ursusie jako stały współpracownik Samodzielnego Referatu Informacji II Oddziału Sztabu Generalnego WP. To były dowody skuteczności pracy wywiadu radzieckiego, który potrafił umieścić swoich ludzi w polskiej komórce przeznaczonej do walki z penetracją szpiegowską naszego przemysłu. A Jaroszewicz z polecenia Mariana Spychalskiego wstąpił do ZWZ-AK, gdzie wykorzystując przedwojenne kontakty w II Oddziale, prowadził w Komendzie Głównej AK referat przemysłu wojennego, dostarczając komunistom bez-

cennych informacji. W ten sposób niemieckie tajemnice, zdobywane przez wywiad AK, trafiały do Moskwy.

Tak trafiła tam wiadomość o produkcji niemieckich pocisków raketowych, przesłana w połowie 1943 r. wraz z rysunkami i opisem technicznym.

Z udostępnionych po wielu latach materiałów śledztwa wynika, że Bierut, Radkiewicz i pozostali członkowie Komisji Biura Politycznego do spraw Bezpieczeństwa Publicznego postanowili, opierając się na wymuszonych, nieprawdziwych zeznaniach, zmienić stan faktyczny i przedstawić Włodzimierza Lechowicza i Alfreda Jaroszewicza jako agentów II Oddziału WP i gestapo umieszczonych w szeregach Partii. Miało to być fragmentem zaplanowanego uderzenia w Gomułkę i Spychalskiego, których aresztowano po uzyskaniu wymuszonych zeznań, aby wytoczyć im proces, oskarżając o zdradę, brak czujności partyjnej i o współpracę z wrogami ustroju i narodu polskiego.

Proces grupy „Startu” i PKB był etapem przygotowań do procesu Mariana Spychalskiego, a z kolei ten proces miał dać dowody na oskarżenie Gomułki. Od aresztowanych należało wymusić zeznania stwierdzające, że Spychalski był przed wojną współpracownikiem II Oddziału Sztabu Generalnego WP, a w czasie okupacji związał się z gestapo, korzystając z kontaktów Lechowicza i Jaroszewicza oraz że PKB likwidował uczciwych peperowców dla utorowania drogi tzw. „grupie prawicowo-nacjonalistycznej”, do której zaliczono Gomułkę, Spychalskiego i innych.

Procesy według podobnego schematu, opierające się na sfalszowanych dowodach i brutalnie wymuszonych zeznaniach, odbywały się we wszystkich krajach Europy Wschodniej. W 1949 roku po takim procesie stracono Laszlo Rajka na Węgrzech i Trajczko Kostowa w Bułgarii, a w 1952 r. Rudolfa Slansky'ego w Czechosłowacji.

Wielu do dzisiaj twierdzi, że Gomułka i Spychalski przeżyli ponieważ nie udało się zmusić do złożenia fałszywych zeznań aresztowanych dowódców z Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, płk. Bronisława Chajęckiego i ppłk. Bolesława Kontryma, którzy za nieugiętość zapłacili życiem.

Pierwszą, jak gdyby urzędową, informacją o wysuwanych przeciwko „Borynie” zarzutach, stały się ogłaszane w radio i w prasie w połowie grudnia 1951 r. sprawozdania z procesu tzw. „Ekspozytury Urzędu Śledczego”, organizacji podległej PKB, która według aktu oskarżenia, wspólnie z gestapo przeprowadzała morderstwa patriotów – działaczy ruchu lewicowego. W akcie oskarżenia czytamy:

„ (...) w roku 1942 Delegatura powołała PKB, opierający się na kadrach policji granatowej, dla zwalczania przestępstw kryminalnych. Komendantem PKB był Bronisław Chajęcki „Boryna”, kierujący trzema referatami: organizacyjnym, szkoleniowym i administracyjnym.

Każdemu Obwodowi PKB podlegała placówka »Wydziału Informacji«, przekształcona następnie w »Wydział Śledczy«, w którym autonomiczną placówką zajmującą się penetracją PPR i AL był »Start«...

Według słów prokuratora, proces ujawnił całą głębię zwyrodnienia gestapowskich zbirów ze »Startu«, którzy chcieli uczynić z Polski kolonię imperialistów:

(...) Delegatura Rządu Londyńskiego przygotowała masowe morderstwa komunistów, wydając w ręce hitlerowskie członków PPR. (...) Wszystkie ogniwa londyńskiej »Delegatury« współdziałały z gestapo przeciwko lewicy polskiej, walczącej o wyzwolenie narodowe i społeczne (...)”.

Bronisław Chajęcki, choć wiele o nim mówiono, nie był świadkiem na tym procesie. Trzej oskarżeni otrzymali wyroki śmierci, a czwarty – 15 lat więzienia.

Dopiero po zakończeniu procesu „Ekspozytury” udało się rodzinie ustalić, że „Boryna” przebywa w więzieniu mokotowskim przy ulicy Rakowieckiej, w pawilonie przeznaczonym dla więźniów politycznych, ale nadal odmawiano przyjmowania paczek i korespondencji.

Nawet dobrze opłacony adwokat, pomimo wielu starań i licznych zabiegów, nie miał możliwości zapoznania się z aktami sprawy, udało mu się tylko ustalić, że na początku 1952 roku odbyła się w więzieniu mokotowskim rozprawa, w czasie której skazano „Borynę” na karę śmierci, po postawieniu mu zarzutów z obowiązującego dekretu nr 16 z dn. 31.08.1944 r. „O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy wojennych winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i nad jeńcami, oraz dla zdrajców Narodu Polskiego”. Był to tzw. „sąd kapturowy” – niejawna rozprawa w obecności kilku zaufanych osób odgrywających rolę zespołu sędziowskiego i prokuratora. Sprawę Bronisława Chajęckiego w pierwszej instancji rozpatrywali sędzia Stepczyński z ławnikami, a w Sądzie Wojewódzkim – sędziowie Auscaler, Merz i Iserles.

Dopiero po latach okazało się, że „sądy kapturowe” wydawały wyroki na tych więźniów, którzy jakimś nadludzkim wysiłkiem wytrzymywali „przesłuchania” prowadzone przez specjalnie dobieranych, dokładnie przeszkolonych oficerów śledczych Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i nie chcieli przyznać się do tego, czego nie zrobili, a co mogłoby zaszkodzić innym. Taki oporny więzień, odmawiający współpracy z prowadzącym śledztwo, mógł wypowiadającymi publicznie słowami prawdy pokrzyżować plany każdej zbrodniczej intrygi, wymyślonej przez komunistycznych organizatorów zbiorowego przyznawania się na sali sądowej do niepopelnionych przestępstw.

W dniu 13 maja 1952 r. Wydział Karny Sądu Wojewódzkiego podczas niejawnej rozprawy w więzieniu przy ul. Rakowieckiej zatwierdził wcześniej wydany wyrok kary śmierci.

Zastępca „Boryny” ppłk Bolesław Kontrym „Żmudzin” został skazany na karę śmierci w dniu 16.06.1952 r.

Po otrzymaniu tragicznej wiadomości o orzecznym przez sąd wyroku Zofia Chajęcka, będąc przekonana o możliwości przeprowadzenia uczciwej rewizji procesu w Sądzie Najwyższym, przystąpiła do sprzedawania wszystkiego, co było w domu i na co mogła znaleźć nabywcę. Finansowo wspomagali ją zaprzyjaźnieni z mężem: Bolesław Dąbrowski – właściciel składu aptecznego, Hipolit Jarzębowski – właściciel sklepu spożywczego oraz mgr Zygmunt Wojtulewicz. Zebrane pieniądze wpłaciła adwokatom Maślance i Nowakowskiemu, którzy podjęli się obrony „Boryny”. Jednak nawet ci adwokaci, cieszący się dużym zaufaniem komunistycznej władzy, nie zostali dopuszczeni do sali rozpraw Sądu Najwyższego, w którym ostatecznie rozpatrywano sprawę. Już po uprawomocnieniu się wyroku decyzja Sądu Najwyższego została odczytana żonie i córkom skazanego, w jednym z pokojów gmachu sądów przy ul. Świerczewskiego, w dniu 20.10.1952 r. (sygn. akt III K 79-52).

W myśl wskazówek adwokata Maślanki, córki „Boryny” – Wanda i Danuta – rozpoczęły starania o audiencję u prezydenta Bieruta, ale wobec otrzymania w sekretariacie kategorycznej odmowy, złożyły na piśmie prośbę o zastosowanie prawa łaski. Pismo po kilku tygodniach zostało odesłane bez żadnego wyjaśnienia. W poczekalni prezydenckiej odpowiadano zrozpaczonym córkom, że obywatel Prezydent nie będzie rozpatrywał tej sprawy.

Gdy po uporczywych staraniach Zofia Chajęcka uzyskała nareszcie zgodę na widzenie się z mężem, spotkanie odbyło się w specjalnym pokoju w więzieniu mokotowskim. Pomieszczenie było przedzielone dwiema gęstymi siatkami, pomiędzy którymi wolnym krokiem spacerował groźnie wyglądający wartownik. Za jedną siatką siedział „Boryna”, za drugą jego żona, a obok nich siedzieli uzbrojeni w pistolety maszynowe wartownicy, pilnie obserwujący ich ruchy. Przez te trzy minuty widzenia wartownicy uważnie obserwowali, czy małżonkowie nie będą chcieli porozumieć się ze sobą jakimiś umówionymi znakami, a tymczasem oni patrzyli na siebie bez słowa i płakali. Długotrwałe i okrutne śledztwo zmieniło twarz „Boryny”. Żona zauważyła zmasakrowane palce męża, kiedy trzymał oparte o siatkę dłonie na wysokości ramion.

Dopiero po wielu latach od współwięźniów z celi śmierci, którzy szczęśliwie ocaleli, dowiedziano się szczegółów tragicznych wydarzeń poprzedzających śmierć „Boryny”.

Ważne sprawy polityczne były wtedy poprzedzane długotrwałym śledztwem oraz aresztowaniem wszystkich podejrzanych. W więzieniu mokotowskim był specjalny oddział, w którym oficerowie śledczy, pod nadzorem słynnego z okrucieństwa płk. Józefa Różańskiego, „preparowali” aresztowanych, zmuszając ich do składania potrzebnych zeznań. Współwięźniowie z przebiegu śledztwa wnioskowali, że sprawa Bronisława Chajęckiego miała dla władz szczególne znaczenie, widać to było po narastaniu coraz okrutniejszych metod znęcania się nad przesłuchiwanym.

Śledztwem kierował płk Józef Dusza, znany w więzieniu nie tylko z okrucieństwa, lecz także z tego, że z lubością obserwował wykonywanie egzekucji. Oficerowie śledczy prowadzący przesłuchania to: Adam Adamaszek, który zeznając w swoim późniejszym procesie, powiedział, że

prowadząc sprawę Chajęckiego, nie dysponował żadnymi materiałami obciążającymi go, Eugeniusz Chimczak, który przyznał się w procesie, że w stosunku do Chajęckiego stosował „przymus fizyczny w formie bicia” oraz Jerzy Kaśkiewicz, który z pomocą innych oprawców – oficerów śledczych – wsadzał „Borynie” ręce pomiędzy drzwi i trzaskając drzwiami, łamał mu palce, a wreszcie, nie mogąc zmusić przesłuchiwanego do przyznania się do niepopelnionych zbrodni, zmiażdżył mu czubki palców w kasie pancernej. To podobno on zabronił Chajęckiemu golenia się, by utrudnić mu spożywanie posiłków. Przesłuchiwanemu niczego nie oszczędzono, nie było dla niego litości

„Konwejer” trwał przez długie tygodnie. Było to ciągłe przesłuchiwanie więźnia przez zmieniających się oficerów śledczych, bez przerw na odpoczynek, tylko z chwilkami przeznaczonymi na posiłek i załatwienie potrzeb fizjologicznych. Tak było dzień po dniu, wydawało się, że przez wieczność. Współwięźniowie opowiadali, że przesłuchiwało go, rozkazując siedzieć na sterczącej nodze od krzesła lub klęczeć na desce nabitej gwoździami. Bito głową „Boryny” o ścianę, wrywano mu włosy, wybito zęby, złamano żebro, przypalano gorącym żelazkiem. Od przesłuchiwania w pozycji stojącej po kilkunastu godzinach puchły nogi i słabło serce. Przysiady trwały aż do utraty przytomności, a później następowało cucenie kopaniem w najczulsze miejsca organizmu; rozebranego w zimnej celi polewano wodą, trzymano nago w ciemnicy, w gnojówce z ludzkich ekskrementów. Kopano po nogach, bito stalowym prętem. Nierzadko skatowanego Chajęckiego przynoszono do celi na kocu, rzucając nieprzytomnego na podłogę. Wielkiego bohaterstwa i samozaparcia potrzeba, aby w takich warunkach nie zgadzać się na podpisanie kłamliwego oskarżenia niewinnych ludzi.

Podczas tragicznych lat pobytu w więzieniu napisał „Boryna” tylko cztery krótkie listy, dokładnie ocenzone, do żony i córek, wysłane w ostatnich tygodniach życia, pod sam koniec 1952 roku. W tym też okresie zrobiono zdjęcie fotograficzne skazanego, smutną pamiątkę, którą rodzina otrzymała dopiero w 1957 roku.

W książce wydanej w Londynie, Karol Popiel napisał o Bronisławie Chajęckim:

„ (...) wśród skazańców odgrywał rolę opiekuna, doradcy, niemal spowiednika. Na śmierć, jak opowiadali, szedł pojednany z Bogiem i z podniesioną głową. Może wspominał swoje jasne harcerskie lata i całe pełne zmagani ofiarne życie, z którego mógł być dumny. Najsilniejsze piętno na jego postawie i charakterze wycisnęła harcerska przeszłość (...)”.

Dla rodziny skazańca nadeszły tragiczne chwile, w których bezsilność i lęk o los męża i ojca niekiedy przemieniały się w złudną nadzieję, że przecież po wojnie, nigdzie na świecie, niewinnego człowieka nie można pozbawić życia w majestacie prawa.

Koszmarne chwile przemieniły się w lata, aż w dniu 13 sierpnia 1956 roku Generalna Prokuratura PRL pismem nr D.S.R. Ko 167-56 zawiadomiła rodzinę, że Sąd Najwyższy zatwierdził wymiar kary i w związku z tym wyrok wykonano w dniu 5 stycznia 1953 r.

W dwa lata później Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy Wydział IV Karny pismem nr IV K-189-57 zawiadomił rodzinę, że Bronisław Chajęcki przebywał w więzieniu od dnia 11 listopada 1948 roku, a wyrok do wykonania skierowano 20 stycznia 1953 roku.

Z treści pism wynika, że wyrok śmierci wykonano na 15 dni przed otrzymaniem decyzji Sądu Wojewódzkiego.

Gdy tylko było to możliwe, po październiku 1956 roku, na żądanie rodziny, Sąd Wojewódzki wznowił postępowanie i uchylił poprzednią decyzję Sądu Najwyższego oraz wyrok Sądu Wojewódzkiego.

W dniu 12.05.1958 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie odbył specjalną sesję. Na rozprawie była rodzina i grupa przyjaciół. Na ławie oskarżonych ułożono odznaczenia „Boryny” i wiązanek kwiatów. Prokurator nie popierał oskarżenia. Świadkowie stwierdzili, że aby ocalić swoje życie i uniknąć bestialstwa oficerów śledczych, obciążyli Bronisława Chajęckiego, składając nieprawdziwe zeznania.

W dniu 16 maja 1958 roku zapadł wyrok uniewinniający. W uzasadnieniu podano, że:

„ (...) brak dowodów winy Bronisława Chajęckiego w płaszczyźnie stawianych mu zarzutów. Bronisław Chajęcki zarówno w śledztwie jak i na rozprawie poprzedniej nie przyznawał się do winy. Teza oskarżenia nie znalazła też potwierdzenia w zeznaniach świadków, przesłuchiowanych na ostatniej rozprawie (...) .

Brak jest dowodów ażeby PKB współpracował w okresie okupacji z Niemcami lub we własnym zakresie likwidował ludzi z powodu ich lewicowych poglądów. (...) Nie bez znaczenia dla dzisiejszej rozprawy jest również okoliczność, iż postępowanie przeciwko kierownictwu »Startu« zostało umorzone. Z tych względów należało Bronisława Chajęckiego uniewinnić od stawianych mu w akcie oskarżenia zarzutów (...) ”.

Sąd nie udzielił rodzinie informacji, gdzie zostały po-
grzebane zwłoki „Boryny”.

Po wielu latach zastanawiając się nad tym, dlaczego
Bronisław Chajęcki musiał umrzeć, gdy innym skazanym
zamieniono wyroki kary śmierci na długoletnie więzienie,
dochodzę do wniosku, że władze komunistyczne chcia-
ły w ten sposób zatrzeć rzucające się w oczy ślady metod
stosowanych przez oficerów śledczych UB, a ponadto za-
równo „Boryna”, jak i jego zastępcę „Żmudzin”, odrzucili
propozycję współpracy z oficerami śledczymi, odmówili
obciążenia niewinnych ludzi oraz nie podpisali deklaracji
o lojalności i chęci dalszej współpracy z władzami bezpie-
czeństwa, w przeciwieństwie do innych osób skazywanych
w procesach politycznych tamtych okrutnych lat.

Wyciąg.

Sygn. Akt IV K. 189/57

WYROK

W IMIENIU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ.

Dnia 16 maja 1958r.

Sąd Wojewódzki dla m. st. Warszawy w Wydziale
IV Karnym w składzie następującym:

Przewodniczący S.K. Gerczak.

Ławnicy J. Głonacki i J. Guethner,

Protokółant H. Matzewska

w obecności Prokuratora Generalnego, Prokuratury
Miejscowej rozpoznaliśmy dnia 12. IV, 2 i 16. V. 1958r.

spRAWę Bronisława Chajęckiego urodz. 15. X. 1902r.
w Warszawie syna Kacpera i Takli z d. Piąteki/

to jest o zbrodnię przewidzianą w art. 1 pkt 2
Dekretu z dnia 31. VIII. 1944r. o wymiarze kary dla
fascystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy i zdraj-
ców Narodu Polskiego i... Bronisława Chajęckiego
od zarzutu dokonania czynu opisanego w akcie
oskarżenia uniewinnia, karstami postępowania
obciąża Skarb Państwa.

UZASADNIENIE

Cofnięcie oskarżenia przez oskarżyciela pub-
licznego w sprawie niniejszej jest słuszne i
w pełni uzasadnione albowiem brak jest

dotychczasowych dowodów winy Bromisława Chajęckiego w prowokacyjnie stawianych mu zarzutów.

Bromisław Chajęcki zarówno w rzedatnie jak i na rozprawie poprzedniej nie przyznał się do winy. Teza oskarżenia nie znalazła również potwierdzenia w zeznaniach świadków przesłuchanych na ostatniej rozprawie.

Z zeznań świadków Pajera, Konałskiego, Kraka, Łyszkowskiego i innych wynika, że Państwowy Korpus Bezpieczeństwa, którego komendantem był Bromisław Chajęcki przez swe podległe komórki rozpracowywał między innymi i organizacje leninowe i ich członków w celach informacyjnych dla zorientowania się w układzie sił politycznych w społeczeństwie polskim w okresie okupacji hitlerowskiej.

Zgodnie z wyrażonym ostatnio przez Sąd Najwyższy poglądem zbieranie wiadomości o organizacjach politycznych przez inne organizacje o odmiennym programie politycznym w celu zorientowania się w układzie sił politycznych w kraju nie jest działalnością przestępczą w rozumieniu dekretu z 31. VIII. 1941r. gdyż tego rodzaju działanie nie ma na celu pojęcia na ręce okupantów. l... /

Jednakże w sprawie niniejszej brak jest dowodów ażeby P.K.B. współpracował w okresie okupacji z Niemcami lub ażeby sam we własnym zakresie likwidował ludzi z powodu ich przekonań lewicowych. /.../

Jedynym zatem materiałem dowodowym który dla Sądu stanowić może podstawę orzeczenia mogą być tylko zeznania świadków zwołane na obecnej rozprawie oraz nie budzące żadnej wątpliwości co do ich pochodzenia dokumenty. Z zeznań tych świadków zwołanych na obecnej rozprawie wynika, że nie im nie wiadomo o antylewicowej działalności P.K.B. oraz o kontaktach zarówno P.K.B. jak i delegatury, rządu londyńskiego z gestapo.

Świadkowie ci jako nynie już zaznaczono stwierdzili, iż wiedzą że P.K.B. w celach orientacyjnych dla poznania zaistniałych i nępyrów P.P.R., G.L., A.L. rozpracowywał te organizacje.

Nie bez znaczenia dla niniejszej sprawy jest również okoliczność, iż postępowanie w sprawie przeciwko kierownictwu „Stentu” zostało na zaradzie art. 3 k.p. K. umorzone.

/.

Z tych też niuzystkich względów należało
Bronisława Chajęckiego uniewinnić
od stawianych mu w akcie oskarżenia
zarzutów.

Na oryginale niaticine podpisy.

Pieczęć Okrętu
Sąd Wojewódzki
dla m. st. Warszawy

Za zgodności
Sekretarz

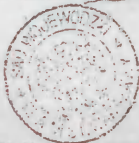
SĄD WOJEWÓDZKI
dla m. st. Warszawy
Wydział IV Karny

Nr. IV-K.189/57

Warszawa, dnia 20 sierpnia 1953r.

Z a ś w i a d c z e n i e

Zaświadczam, że Bronisław Chajęcki, syn Wacława i Teresy
urodz. 15.VIII.1902r. wyrokiem Sądu Rejonowego z dnia 20.X.
1952r. skazany został na karę śmierci. Przebywał w więzieniu
od 11 listopada 1948r. do chwili wykonania wyroku śmierci.
Wyrok skierowano do wykonania dnia 20 stycznia 1953r.
Postanowieniem z dnia 31 sierpnia 1957r. Sąd Rejonowy wno-
sił postępowanie w stosunku do Bronisława Chajęckiego, uchyl-
lił wyroki Sądu Rejonowego i Sądu Wojewódzkiego i sprawę
przekazał do ponownego rozpoznania. Wyrokiem Sądu Wojewódz-
kiego dla m. st. Warszawy z dnia 16 maja 1953r. Bronisław
Chajęcki został uniewinniony.



Przewodniczący Wydziału

/Zdzisław Zięba/

Zaświadczenie sądowe o uniewinnieniu.

PREZIDENT
MIASTA ST. WARSZAWY

Nr.B.Pers.I-42/787

Warszawa, dn. 16 listopada 1936 r.

Do

Pana BROMISŁAWA CHAJĘCKIEGO

w miejscu

Portuję Panu z dniem 16 listopada 1936 r.
pełnienie czynności Delegata Prezydenta Miasta
dzielnicy Warszawa-Praga.

Zakres czynności Pana, jako Delegata, określa
okólnik mój z dnia 29 listopada 1935 r. Nr.49.

Starzyński
PREZIDENT MIASTA

Dokument podpisany przez prezydenta Stefana Starzyńskiego.

LESZEK CHEŁMIŃSKI

Pewnego dnia, na początku września 2002 roku, późnym wieczorem zadzwonił telefon. Niespodziewanie usłyszałem głos Leszka Chełmińskiego. Przed trzema godzinami przyleciał z Montrealu i zatrzymał się u Stacha Wołosieckiego, za dwa dni miał odjeżdżać do Ciechocinka na trzytygodniową kurację. Umówiliśmy się, że gdy powróci do Warszawy po kurację, odwiedzi mnie dla odbycia dłuższej rozmowy połączonej z obiadem. Opowie mi wtedy dokładnie swoje wojenne oraz powojenne przeżycia i przygody. Miejsce w samolocie na powrót do Kanady miał zarezerwowane na dzień 19 października. W międzyczasie planował jeszcze odwiedzić przyjaciela mieszkającego w Hiszpanii. Na rozmowy ze mną zarezerwował kilka dni.

Ucieszył mnie ten telefon. Podczas poprzednich wizyt w Polsce poznałem wiele wspomnień Leszka. Ciekawie opowiadał o służbie w lotnictwie francuskim i o Royal Air Force, a także o powojennych służbowych podróżach w charakterze konsultanta do Chin, Indii i Arabii Saudyjskiej. Wiele zapamiętałem z tamtych opowieści. Ta nasza krótka rozmowa telefoniczna, a także zapowiedź spotkania, nie miały bez echa. Niekiedy bywały takie noce, gdy wy-

rwany ze snu jakimś warkotem silnika samochodowego, nie mogłem usnąć, napływały wspomnienia o dawnym Pruszkowie, a także o ludziach niegdyś tam mieszkających. Pewnej nocy, po telefonie Leszka, gdy rozmyślałem o swoim mieście, doszedłem do przekonania, że nazwisko CHEŁMIŃSKI zawsze będzie się dla mnie łączyło z widokiem wysokiego, przystojnego mężczyzny w mundurze strażackim, z błyszczącym złocistym hełmem na głowie, maszerującego na czele długiej kolumny dzielnych strażaków. Maszerujący ze swoim komendantem strażacy, z wyjątkiem orkiestry w granatowych mundurach i czapkach rogatywkach, mieli na głowach pięknie błyszczące, złociste hełmy, przepasani byli szerokimi strażackimi pasami, do których przyczepione były toporki. Podczas uroczystych pochodów i defilad za komendantem maszerowało dwóch oficerów – zastępców komendanta – a tuż za nimi poczet sztandarowy, za którym szła orkiestra z dyrygentem wymachującym małą drewnianą batutą. Dyrygentem, od wielu już lat, był syn słynnego śpiewaka Jana Reszke, który wraz ze swoim bratem na początku stulecia, przed pierwszą wojną światową, odnosił wielkie sukcesy na scenach operowych Londynu, Nowego Jorku, Paryża, mediolańskiej La Scali. Byli tak popularni w Wielkiej Brytanii, że najlepszy gatunek papierosów nazwano ich nazwiskiem. Leszek Chełmiński opowiadał mi podczas naszych ostatnich spotkań, że będąc w Londynie widział w sklepach tytoniowych, w trafikach, papierosy w ozdobnych pudełkach z napisem „de Reszke”, gdzie „de” miało sugerować szlacheckie pochodzenie słynnych artystów śpiewaków.

W ostatniej czwórce orkiestry prowadzonej przez pana „de Reszke”, maszerował strażak z wielkim bębniem, na którym wybijał rytm kroków strażackiej kolumny. Tuż za orkiestrą maszerował jeszcze jeden oficer prowadzą-

cy długie szeregi imponująco wyglądających strażaków. Pruszkowski Oddział Ochotniczej Straży Pożarnej był w tamtych czasach ozdobą tradycyjnych pochodów urządzanych dwa razy do roku, dla uczczenia rocznicy 3 Maja oraz 11 Listopada. W te rocznicowe dni Pruszków przybierał odświętny wygląd. W przeddzień wieczorem dokładnie zamiatano jezdnie i chodniki, a rynsztoki bielono wapnem. Od rana na wszystkich domach wywieszano flagi, a na niektórych balkonach w śródmieściu pojawiały się portrety prezydenta oraz Marszałka Piłsudskiego, a także wizerunek białego orła na czerwonym tle. W tych świątecznych dniach, po uroczystym nabożeństwie w kościele pod wezwaniem św. Kazimierza, odprowadzanym przez proboszcza ks. Edwarda Tyszkę z udziałem chóru, solistów oraz orkiestry, na placyku przed kościołem ustawiał się pochód. Długa kolumna miejscowych organizacji, stowarzyszeń, szkół i klubów sportowych oraz delegacji zakładów pracy. Ulicami Kraszewskiego, Bolesława Prusa i 3 Maja maszerowano na Żbików, do Kopca Kościuszki. Na skrzyżowaniu ulic 3 Maja, Narodowej i POW, na małym placyku, za parkanikiem z żelaznych sztachet usypano niegdyś mały kopiec z marmurową kolumną, na której umieszczono popiersie bohatera spod Racławic. Do tego bardzo skromnego pomnika, zbudowanego w roku 1917, w latach pierwszej okupacji niemieckiej, maszerował pochód – długa kolumna odświętnie ubranych ludzi, maszerujących czwórkami, idących ze sztandarami i z orkiestrami wygrywającymi wojskowe marsze.

Orkiestr dętych było w tym czasie w Pruszkowie kilka. Najliczniejsza i być może najlepsza była Orkiestra Reprezentacyjna Związku Zawodowego Kolejarzy w Warsztatach Kolejowych. Swoje orkiestry miały też Elektrownia i Fabryka Ołówków, jednak największą popularność

cią wśród młodzieży cieszyły się orkiestry „Sokolska” i „Strażacka”. Na długo zapamiętałem rywalizację tych dwóch orkiestr dętych podczas zabaw ogrodowych w parku „Sokoła”. „Strażacy” popisywali się słynnym „Marszem Radetzky’ego”, a „Sokoli” popularną od czasów wojny rosyjsko-japońskiej melodią „Na sopkach Mandżurii” oraz amerykańskim przebojem tamtych lat, „Lekką kawalerią” Suppého. Podczas tych świątecznych pochodów kolejno grały wszystkie orkiestry. Pochód zatrzymywał się na małym placu obok Kopca Kościuszki oraz na pobliskich ulicach, aby wysłuchać przemówień wygłaszanych z balkonu narożnego domu Ładyńskich. Uroczystość kończyła się odśpiewaniem hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła...” przy akompaniamencie wszystkich zgromadzonych orkiestr dętych. W te uroczyste dni, w godzinach popołudniowych, w kilku salach naszego miasta odbywały się okolicznościowe akademie, podczas których słuchano patriotycznych przemówień, po nich następowała tzw. część artystyczna, na którą składały się deklamacje i występy chórów śpiewających wojskowe piosenki. Wszystkie wydarzenia tych dwóch świątecznych dni najmocniej przeżywała młodzież z niższych klas szkolnych. Zazdrościli kolegom maszerującym w harcerskich mundurkach, zachwycali się czerwonymi koszulami „sokolskich” mundurów i błyszczącymi hełmami strażaków.

Przez długie lata komendantem pruszkowskiego oddziału Ochotniczej Straży Pożarnej był Witold Chełmiński. Z Pruszkowem związał się jeszcze przed pierwszą wojną światową. Był wtedy urzędnikiem Zarządu Miasta Warszawy, po latach został natomiast dyrektorem Biura Zarządu. Na wiosnę 1914 roku poślubił Antoninę Kurowską, córkę zawiadowcy stacji Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeń-

skiej w Pruszkowie. To małżeństwo związało go na zawsze z Pruszkowem. Młodzi małżonkowie zamieszkali w domu nr 46 przy ulicy, którą znacznie później nazwano ulicą Narutowicza. W roku 1915 urodził im się syn Leszek, a w rok później – córka Jadwiga (zmarła 01.05.1975 r.). Ojciec nadal pracował w Biurze Zarządu Miasta Warszawy, a matka zorganizowała i uruchomiła szpital przy ul. Pięknej.

Leszek rozpoczął naukę w warszawskim gimnazjum Wojciecha Górskiego. W roku 1927 umarła jego matka. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w kościele na Żbikowie. Jej grób znajduje się na żbikowskim cmentarzu. W roku 1930 Leszek zmienił szkołę, przeniósł się do gimnazjum im. Tomasza Zana w Pruszkowie. Tu w roku 1936 zdał egzamin maturalny. Lata spędzone „u Zana” wspominał bardzo dobrze. Zapamiętał jako wzorowych nauczycieli dyrektora i matematyka – Leona Ostrowskiego oraz jego żonę polonistkę, panią Stanisławę Ostrowską, a także historyka – Warpachowskiego. Był naprawdę uszczęśliwiony, gdy opowiadał o swoich odwiedzinach u dwóch koleżanek szkolnych, Zosi Kalisiewicz-Michalskiej w Pruszkowie i u Jadzi Wenerowicz-Donten w Warszawie. Pierwsza jest dentystką, druga – lekarką.

Z dawnych kolegów szkolnych najcieplej wspominał Staszka Jasińskiego, który poległ w obronie Warszawy w 1939 roku oraz Janka Świrczewskiego. Z tymi kolegami odbywał wycieczki rowerowe, wędrując po całej Polsce. Wspominał także Franka Jezierskiego, z którym zbudował kajak. Razem odbyli długą wyprawę z Pińska do Warszawy, płynąc Prypecią, Kanałem Królewskim do Muchawca i dalej – przez Brześć do Bugu i Bugo-Narwią do Wisły. Wędrowkę zakończyli w Warszawie.

Po wielu latach z pewnym rozbawieniem wspominał Leszek głośną niegdyś historię zainstalowania, wspólnie z

Jankiem Świrczewskim, podsłuchu w sali posiedzeń rady pedagogicznej. Zapragnęli wtedy poznać opinię nauczycieli o swoim zachowaniu i o swoich postępach w nauce. Chcieli dowiedzieć się, co nauczyciele myślą o swoich uczniach. Zdekonspirowani przez woźnego, zostali zawieszeni w prawach ucznia na miesiąc. Podobno niektórzy nauczyciele byli zachwyceni ich pomysłowością.

Na początku 1934 roku ojciec Leszka, po siedmiu latach wdowieństwa, ponownie się ożenił. Poślubił Marię Zawicką. Z tego małżeństwa, w roku następnym, urodził się syn – Bogdan, późniejszy lekarz weterynarii, popularny w Pruszkowie miłośnik i opiekun zwierząt. Zmarł w roku 2001.

Po maturze w roku 1936 Leszek zdał konkursowy egzamin do Sekcji Technicznej Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Warszawie przy ul. Rakowieckiej nr 2.

Sekcję techniczną powołano dla szkolenia inżynierów – mechaników, specjalistów w zakresie aeronautyki. Trudno jest przecenić wagę tego zawodu. Życie każdego lotnika zależało od umiejętności i rzetelności mechanika przygotowującego samolot do lotu.

Selekcja kandydatów do obu Szkół Lotniczych była wyjątkowo dokładna. Dobierano rzeczywiście najlepszych. Pilotów i obserwatorów szkolono w „Szkole Orłąt” w Dęblinie, a mechaników lotniczych – w Warszawie, w szkole mieszczącej się w dawnych carskich koszarach. W pobliżu – aż do dzisiejszej Alei Żwirki i Wigury – rozciągało się Lotnisko Mokotowskie. W latach trzydziestych przeniesiono lotnisko na Okęcie i tam, do nowo zbudowanych koszar, przeniósł się 1. Pułk Lotniczy. Budowano hangary, stację benzynową i bocznice kolejową. Przenoszono także lotnisko cywilne Polskich Linii Lotniczych LOT.

Leszek w każdy sobotni wieczór przyjeżdżał do Pruszkowa. Powoli wsiąkał w wojskowy tryb życia. W niedziele zawsze był obecny na wieczornym capstrzyku. W tym czasie rodzina przeprowadziła się do nowo zbudowanego domu przy ul. Kraszewskiego, w pobliżu kościoła.

Trzy lata studiów Leszka przypadały na gorący przedwojenny okres. Polaków ogarniał jakiś niewytłumaczalny niepokój. Artykuły w gazetach, audycje radiowe, groźne wiadomości nadchodzące z zachodniej i z wschodniej granicy budziły złe przeczucia. Wojna wisiała w powietrzu. Trwały ciche mobilizacje. Przez Pruszków przejeżdżały transporty wojska, koni, armat.

W pełnym niepokojów i trwogi czerwcu 1939 roku urlop spędzałem w Poroninie. Co drugi dzień około ósmej rano jechałem „warszawskim” pociągiem do Zakopanego, aby włączyć się po górach. Tego dnia zamierzałem pojechać kolejką linową na Kasprowy Wierch. Tam, przy czarnej kawie w kawiarni, chciałem wysłuchać opowieści mego przyjaciela z Pruszkowa, Włodka Kalinowskiego, który był kasjerem sprzedającym bilety na kolejkę, a następnie zejść do Doliny Pięciu Stawów i wędrować dalej – do Zakopanego. Na peronie w Poroninie, wśród oczekujących na pociąg z Warszawy, stała młoda kobieta w kolorowej sukience, w ładnych pantoflach, w sweterku i z torebką na pasku zarzuconą na ramię. Gdy przyjechaliśmy do Zakopanego, odjechała dorożką sprzed dworca. Ja nie spiesząc się, oglądając sklepowe wystawy, szedłem do stacji kolejki na Kasprowy.

Tego dnia amatorów jazdy kolejką na szczyt Kasprowego było bardzo dużo. Przed kasą biletową ustawiała się kilkusetosobowa kolejka chętnych. Gdzieś bliżej końca ustawionych przed kasą wycieczkowiczów zobaczyłem nieznaną z Poronina. Jechałem już kilka razy kolejką,

wiedziałem, że do kasy może dotrzeć dopiero po południu. Powiedziałem do niej:

– Razem przyjechaliśmy z Poronina, jeśli pani chce się dostać na szczyt, to proszę ze mną!

Opuściła kolejkę i poszła, doganiając mnie. Gdy w kasie zobaczyłem Włodka, pokazałem dwa palce. Zrozumiał. Wyszedł na chwilę z kasy i doprowadził nas do wagonika, do którego konduktor wpuszczał posiadaczy biletów.

– Jasiu! Państwo do Obserwatorium!

Jasio puścił nas poza kolejnością i już po kilku minutach wagonik ruszył. Nie rozmawialiśmy. Dopiero na górze, siedząc w kawiarni przy stoliku, pijąc kawę i podziwiając wspaniały widok na słowackie Tatry, powiedziałem jej, że kasjer jest moim dobrym znajomym, pochodzimy z jednego miasta – z Pruszkowa, mieszkamy na sąsiednich ulicach. Po pewnym czasie odnalazł nas Włodek. Sprzedał już wszystkie bilety na przedpołudniowe odjazdy i mógł z nami wypić kawę. Dzięki ciekawości Włodka mogłem się dowiedzieć, że nieznajoma jest lekarką i prowadzi ośrodek zdrowia w Międzyrzeczu Podlaskim. Pomyślałem wtedy, że to przeznaczenie postawiło ją na mojej drodze życia. Przed miesiącem dostałem nową kartę mobilizacyjną. Na wypadek mobilizacji rezerwistów z kartami o czerwonym pasku miałem się zgłosić do 34 pp w Białej Podlaskiej, a przecież po drodze leży Międzyrzec. Dowiedziałem się wtedy, że przyjechała przed dwoma dniami i będzie w Poroninie przez dwa tygodnie. Tak zaczęła się nasza znajomość. W taki też sposób splątało się nasze życie na okres kilku najbliższych miesięcy. W lipcu i sierpniu, w prawie każdą sobotę, późnym popołudniem, przyjeżdżała do Warszawy. Zatrzymywała się w pensjonacie, na trzecim piętrze domu na rogu Alej Jerozolimskich i Poznańskiej. Wieczory spędzaliśmy w kawiarni „Esplanada” na rogu Marszałkowskiej

i Sienkiewicza. W niedzielę po południu odprowadzałem ją na Stare Miasto, skąd odjeżdżał autobus do Brześcia nad Bugiem. Po drodze zatrzymywał się przed ośrodkiem zdrowia w Międzyrzeczu, gdzie po drugiej stronie ulicy, w małym jednorodinnym domu, mieszkała Fila.

W soboty późny obiad lub wczesną kolację zjadaliśmy „Pod Bukietem”, a później resztę wieczoru spędzaliśmy w „Esplanadzie”, słuchając gry na trąbce i śpiewu Ady Rosnera, któremu towarzyszył mały zespół jazzowy. Ady Rosner był świetnym kompozytorem i wspaniałym trębaczem. Ja nie tańczyłem. Wieczór spędzaliśmy na słuchaniu dobrej muzyki jazzowej i na rozmowie.

W ostatnią sobotę lipca siedzieliśmy w rogu, w głębi sali. Wszystkie stoliki były zajęte. Na parkiecie tańczyło kilkanaście zakochanych par. Tak było w każdą sobotę. Przy wejściu obok szatni zawsze stało kilka osób. Niektórzy rozglądali się po sali, szukając znajomych, inni – obserwowali kelnerów, czy któryś z nich nie rozlicza się z szykującymi się do opuszczenia kawiarni gośćmi. Niespodziewanie przy wejściu zobaczyłem dwóch lotników. Jednym z nich był mój dobry znajomy, Józek Kuliński. Obydwaj rozglądali się po sali w poszukiwaniu wolnego stolika. Wiedziałem, że takiego nie ma. Józek był z jakimś kolegą. Obaj byli podporucznikami lotnictwa. W dobrze skrojonych mundurach, z małymi kordzikami u boku. Gdy Józek skierował wzrok w moją stronę, zamachałem ręką. Kiedy mnie dojrzał, najpierw widać było niepewność, a później – przyjazny uśmiech. Znaliśmy się od kilkunastu lat, ale przez ostatnie dwa lata nie widzieliśmy się.

Z Józkiem od dawna się przyjaźniłem. Razem spędzaliśmy wakacje w Łaskarzewie. Razem graliśmy w siatkówkę, kąpaliśmy się w dużym stawie przy młynie, zbieraliśmy grzyby, wieczorami spacerowaliśmy po alejkach przycmen-

tarnych, śpiewaliśmy wojskowe piosenki. Józek był synem profesora na wydziale lekarskim Uniwersytetu i ordynatora któregoś z oddziałów szpitala Dzieciątka Jezus. Mieszkał na terenie tego szpitala. Jego ojciec uparcie przekonywał znajomych i nieznajomych, że Łaskarzew jest najzdrowszą miejscowością w okolicach Warszawy, a spacery po okolicznych lasach są błogosławieństwem dla dzieci i młodzieży. Tam, w roku 1935, poznaliśmy Helę. Była absolwentką lubelskiego gimnazjum. Nie zdała egzaminu na dentystykę, więc wstąpiła do pomaturalnej Warszawskiej Szkoły Pielęgniarek mieszczącej się w budynku zbudowanym przez Fundację Rockefellera u zbiegu ulic Chałubińskiego i Koszykowej. Zaprzyjaźniłem się z Helą. Mieliśmy jakieś wspólne plany na przyszłość, gdy zostaliśmy oboje zaproszeni do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie na uroczystą nominację Józka na podporucznika lotnictwa. Było to 15 października 1937 roku. Pojechała tylko Hela. Już nie pamiętam, co mnie zatrzymało w Warszawie. Gdy w kilka dni później ją spotkałem, mówiła tylko o Józku i o uroczystej promocji w Dęblinie. W niedzielę nie spotkaliśmy się, gdyż była zaproszona na obiad do państwa Kulińskich. Zrozumiałem, że to już koniec znajomości. Dowiedziałem się, że byli zaręczeni. Od tego czasu nie widziałem Heli, a także nie spotkałem się z Józkiem aż do tego wieczora. Gdy po wzajemnych prezentacjach przysiedli się do naszego stolika, Józek zapytał, gdzie znalazłem taką sympatyczną towarzyszkę. Fila opowiedziała o wycieczce na Kasprowy, o schodzeniu z Wierchu do doliny Pięciu Stawów i o wielkiej ulewie, jaka niespodziewanie spotkała nas na drodze. Opowiedziała o tym, jak zmoczeni do suchej nitki doszliśmy do schroniska i suszyliśmy się, ona w majtkach i staniu, a ja w krótkich kalesonach. Gdy Kazio Nowak, bo tak się nazywał Józkowy towarzysz, poprosił Filę do tańca,

Józek trochę zmartwiony, trochę rozbawiony, opowiedział mi o Heli, która pojechała w czerwcu do Zaleszczyk na urlopowy wypoczynek, poznała tam przystojnego syna łódzkiego przemysłowca, z własnym sportowym samochodem i już są lub niedługo będą małżeństwem. Zauważyłem, że rozmowa o Heli sprawia Józkowi przykrość i zmieniłem temat, pytając, czy będzie wojna. Zauważyłem, że Józek ożywił się:

– Będzie! I to niedługo. Najgorsze jest to, że nie mamy żadnych szans w tej wojnie. Jedyne ratunek to sojusz z Francją i z Anglią!

Więcej nie mówiliśmy o wojnie. Z kolei Józek zaprosił Filę do tańca. Towarzysz Józka opowiadał, jak lecieli samolotem z Poznania do Warszawy; mówił, że jutro wracają. Jeśli dzień będzie pochmurny, to wylecą po obiedzie, a jeśli będzie pogoda i niebo gwiaździste, to odlecą wieczorem – lecąc do Poznania w kierunku znanych gwiazd. Lotnikom pomagała znajomość astronomii. Gdy powracali z Warszawy do Dębłina, lecieli wzdłuż Wisły.

Fila chwaliła obu lotników. Podobno byli znakomitymi tancerzami. Oni odwzajemniali pochwały, zachwycając się jej lekkością w tańcu. Do końca wieczoru bawiliśmy się znakomicie. Fila była szczęśliwa, oni dziękowali nam za miły wieczór.

W którąś sobotę, na początku sierpnia, spotkaliśmy się jeszcze raz. I ten wieczór spędziliśmy w przyjemnym nastroju. Ani słowa nie mówiliśmy o wojnie.

Józek zginął w Anglii.

We wrześniu 1939 roku latał w Eskadrze Rozpoznawczej Armii Łódź. Pod koniec września opuścił Polskę, aby przez Grecję, Malte i Francję dotrzeć – w grudniu – do Anglii. Przydzielono go do Dywizjonów Bombowych. W dniu 25

września 1940 roku, gdy startował do swojego ostatniego lotu, był porucznikiem obserwatorem w 301. Dywizjonie. Lecieli na dwusilnikowym samolocie Fairey Battle z zadaniem zbombardowania barek desantowych we francuskim porcie Bolougne. W kilkanaście minut po starcie samolot, zaatakowany przez niemieckiego myśliwca nocnego, runął na ziemię. Zginęła cała załoga. Grób Józka Kulińskiego na komunalnym cmentarzu w Hampton jest oznaczony numerem 665.

Podczas wieloletniej zawieruchy wojennej szczęście nie opuszczało porucznika obserwatora Kazimierza Nowaka. W Anglii wylądował na początku roku 1940. Dość szybko, bo zaledwie po kilku miesiącach, rozpoczął loty bojowe. Nadal był porucznikiem obserwatorem, a następnie pilotem. Szczęście nie opuszczało go w blisko stu lotach bojowych. Zrzucali bomby na zgrupowania wojsk niemieckich, na linie kolejowe, fabryki i na niemieckie miasta. Po wielu latach opowiadał mi o swoim udziale w nalocie tysiąca bombowców na Bremę (w dalszej części wspomnę jeszcze o tym wydarzeniu). Było to 26 czerwca 1942 roku. Jego 305. Dywizjon Bombowy wystartował z lotniska Lindholme. Lecieli na samolocie dwusilnikowym typu Vickers Wellington, a on był już kapitanem. Na chwilę przed startem wszedł dodatkowo do ich samolotu podpułkownik Stanisław Skarżyński, jeden z komendantów tego lotniska. Chciał obserwować nalot tysiąca bombowców na niemieckie miasto portowe. W drodze powrotnej, po awarii silników, samolot osiadł na Morzu Północnym w odległości 14 mil od brzegu w Great Yarmouth w hrabstwie Norfolk. Załoga w kamizelkach ratunkowych ułożyła się na płatach samolotu. Była ciemna noc. Gdy rano przyплыł do nich kuter ratunkowy, okazało się, że fale zniosły podpułkowni-

ka Stanisława Skarżyńskiego. Morze wyrzuciło jego ciało na brzeg. Był to jeden z najwspanialszych lotników międzywojennej Polski. W roku 1931 odbył lot dookoła Afryki samolotem prototypowym PZL Ł-2, a w roku 1935 samolotem RWD-5bis dokonał słynnego lotu z Warszawy przez Paryż i Dakar do Pernambuco (Recife) w Brazylii, potem dalej do Rio de Janeiro i do Buenos Aires.

Kapitan Kazimierz Nowak zakończył tym przymusowym lądowaniem swe loty bojowe. A miał ich blisko sto. Na odpoczynek popłynął do Kanady, gdzie szkolił amerykańskich pilotów. W tamtejszej Szkole Oficerskiej nauczał przyszłych pilotów astronomii, aby – obserwując gwiazdy – mogli trafić do swojej bazy, gdy zepsuje się radio. W roku 1944 przewoził wyprodukowane w USA samoloty typu Boeing do Egiptu przez Brazylię i Dakar. Te samoloty były przeznaczone dla wojsk alianckich oraz Armii Czerwonej.

Wojnę zakończył Kazimierz Nowak w stopniu pułkownika. Osiadł w Kanadzie.

Kazio odwiedził mnie w Pruszkowie w połowie lat siedemdziesiątych. Po raz pierwszy po wojnie przyleciał do kraju. Wędrowaliśmy po zupełnie innej Warszawie. Po „Esplanadzie” nie było już śladu. Ady Rosner umarł niedawno w Nowym Jorku.

Kazio poznał wtedy jakąś malarkę z Sopotu. Poślubił ją w Kanadzie. Na początku lat osiemdziesiątych pewna jej znajoma wręczyła mi w kawiarni „Gong” niewielkie pudełko, w którym był metalowy pojemnik z prochami Kazika Nowaka. W załączonym do przesyłki liście była prośba o doręczenie prochów do rodziny mieszkającej w Sosnowcu. Pułkownik lotnictwa Kazimierz Nowak chciał być pochowany w polskiej ziemi.

* * *

Leszek Chełmiński w końcu lipca 1939 roku pomyślnie złożył końcowe egzaminy. W dniu 1 sierpnia odbyła się uroczysta promocja na stopień podporucznika. Został oficerem Korpusu Lotnictwa. Równocześnie dowiedział się, że został przydzielony do 1. Pułku Lotniczego w Warszawie. Pułk stacjonował już na lotnisku Okęcie. Dawne lotnisko na Polu Mokotowskim powoli stawało się terenem wypoczynkowym i spacerowym.

Pierwszy Pułk Lotnictwa Myśliwskiego, do którego przydzielono Leszka, był wyposażony w dość przestarzałe samoloty polskiej konstrukcji P.11 oraz w bardziej nowoczesne samoloty rozpoznawcze Karaś, także polskiej konstrukcji. Sierpień 1939 roku był miesiącem nerwowego niepokoju oraz oczekiwania na najgorsze. Urlopu Leszek nie otrzymał. Atmosfera w kraju stawała się napięta, pełna różnych złych przeczuć i domysłów. Oczekiwano najgorszego – wybuchu wojny. Z niepokojem obserwowaliśmy przejeżdżające przez Pruszków transporty kolejowe. Na zachód jechali żołnierze, armaty, kuchnie polowe, konie i wozy taborowe. Żołnierze nie śpiewali wojskowych piosenek, mieli niewesołe miny i smutne spojrzenia. Ten smutek udzielał się pasażerom oczekującym na peronie na opóźniony pociąg do Warszawy. Gorsze było to, że zamiast oczekiwanego pociągu elektrycznego, znowu pojawił się pociąg towarowy wiozący znad granicy uciekających przed Niemcami gospodarzy. Wieźli cały swój dobytek. Wozy, konie, krowy, prosiaki, drób zamknięte w naprędcie zbitych skrzyniach. Spojrzenia tych ludzi były równie smutne jak spojrzenia jadących ku granicy żołnierzy. Leszek od rana

do wieczora doglądał napraw uszkodzonych samolotów. W soboty wieczorem wyjeżdżał do rodziny w Pruszkowie. Podczas niedzielnych spacerów po ulicach rodzinnego miasta obserwował objawy sympatii dla swojej osoby i dla lotniczego munduru. Wierzano wówczas, że nasze wspa-
niałe lotnictwo potrafi obronić Polskę przed atakami wro-
ga. Powtarzano sobie wtedy słowa piosenki: *...nikt nam nie
zrobi nic, bo z nami Śmigły Rydz....*

Ten dziwny ogarniający ludzi niepokój najmocniej
uwidaczniał się wieczorami. Ludzie nie mogli usiedzieć
w mieszkaniach, szukali kontaktu z innymi, z sąsiadami,
wychodzili na podwórka, rozsiadali się na ławeczkach lub
przyniesionych z domu krzeselkach. Mężczyźni zapalali
papierosy, wymieniając między sobą jakieś zasłyszane wia-
domości. Sierpniowe wieczory były ciepłe, niebo błysz-
czało gwiazdami, pokazywano sobie spadające meteoryty.
Gwiazdy nabrały jasności od dnia, w którym wprowadzono
obowiązek zaciemniania. Zagasty uliczne latarnie, okna sta-
ły się ciemnymi plamami. Mleczna Droga jak gdyby przy-
bliżyła się do ziemi. Na podwórkach wyczekiwano godziny
22.00, aby wysłuchać ostatnich wiadomości napływających
z wystawionych w oknach radioodbiorników. Komunikaty
nie przynosiły dobrych wieści. Ciche podwórkowe rozmo-
wy trwały dość długo. Niepokój skutecznie zwalczał sen-
ność.

Leszek spędzał sobotnie wieczory i niedziele w Prusz-
kowie. W niedzielny wieczór, przed capstrzykiem, był jed-
nak zawsze w koszarach. W każdą niedzielę był w prusz-
kowskim kościele na mszy o godzinie 10.00, podobnie jak
to było w latach szkolnych. Po mszy spacerował z kolegami
po ulicach miasta lub alejkach parku Sokoła. Później był
obiad i odpoczynek na łonie rodziny. Starano się nie mówić
o możliwości wybuchu wojny. Przed wieczorem odjeżdżał

kolejką EKD do Warszawy. W sobotę 26 sierpnia obowiązywał zakaz opuszczania koszar. Rozpoczęły się przenosiny na polowe lotnisko w okolicach Mińska Mazowieckiego. Coraz mocniej dawało się odczuć zbliżające się wielkie niebezpieczeństwo. Stopniowo na polowe lotniska odlatywały gotowe do akcji myśliwce P.11 i rozpoznawcze Karasie. Łosie – samoloty bombardujące – już od kilku dni znajdowały się na polowych lotniskach. W hangarach na Okęciu były tylko samoloty starych typów i remontowane P.11.

Wszystkie te samoloty nie wymagały betonowych pasów startowych, wystarczała im równa powierzchnia łąki lub rzyska.

Już od dość dawna przygotowywane były lotniska polowe na polach w pobliżu lasów, w których – po odpowiednim zamaskowaniu – można było ukryć samoloty. Choć wiele oznak zapowiadało zbliżającą się wojnę – jadące ku granicy transporty wojska, ewakuacja ludności z przygranicznych terenów, zaciemnianie ulic, mieszkań i fabryk, sprzedaż masek przeciwgazowych – nie spodziewano się jednak tego, że wojna jest tak blisko, że za moment na nasze domy mogą spaść bomby. Dopiero rozklejanie ogłoszeń mobilizacyjnych naprawdę przestraszyło ludzi. Niepokój ogarnął wszystkich. Jednak po kilku godzinach minął na widok policjantów zrywających ogłoszenia mobilizacyjne. Ludzie odetchnęli, widocznie zażegnano niebezpieczeństwo wojny. Jednak niespodziewanie, znowu zjawili się na ulicach policjanci, ponownie rozwieszający zrywane przed kilkoma godzinami afisze. Okazało się, że radość była przedwczesna, że to była jakaś pomyłka z tym zrywaniem ogłoszeń, że wojna zbliża się naprawdę. Zapomniano już o poprzedniej wojnie, trudnościach, jakie wtedy panowały. Mało kto robił zapasy żywności. W sklepach nie było kolejek, panował normalny ruch. Przecież granica państwa jest daleko od

Pruszkowa, tam będzie się toczyła bitwa, pomogą nam nasi sojusznicy – Anglia i Francja. Może nastąpi jakieś nowe Monachium, tak jak przed rokiem było z Czechosłowacją i Hitler zaspokoi się uzyskaniem Gdańska?

Ostatnie dni sierpnia Leszek w spędzał hangarach na Okęciu. Naprawiano jakieś drobne uszkodzenia. Po wielu latach Leszek wspominał, że w ostatnich dniach sierpnia pracy miał bardzo dużo. W hangarach na Okęciu pozostawiono pewną ilość samolotów P.11 przeznaczonych do obrony Warszawy i lotniska Okęcie. Wszystkie maszyny kontrolowano, uzupełniano paliwo, oliwę i amunicję. Pracy miał tak dużo, że nie miał czasu na wysłuchanie wiadomości radiowych ani na przeczytanie gazety. Zmęczony, poszedł spać około 22.00. Od razu usnął.

Następnego dnia, a był to piątek 1 września 1939 roku, rano podczas golenia usłyszał warkot nadlatujących samolotów. Po chwili na lotnisko spadły pierwsze bomby. Chwilę później usłyszał długie serie karabinów maszynowych. To nasze samoloty przepędzały nieprzyjaciela. To już była wojna! Szybko się ubrał i pobiegł do pomieszczeń dowództwa. Okazało się, że kilka bomb spadło na teren lotniska. Uszkodzony został jeden hangar. Leszek mógł zaobserwować pierwszą walkę powietrzną. Przed południem odjechał wraz z kolumną samochodów ciężarowych z ludźmi i sprzętem potrzebnym do napraw uszkodzonych samolotów, na lotnisko polowe pod Mińskiem Mazowieckim.

Po południu obserwował z daleka nalot na Warszawę. Samoloty leciały na dużej wysokości. Nasza artyleria przeciwlotnicza nie mogła ich dosięgnąć. Od pierwszego dnia wojny zaznaczyła się ogromna przewaga niemieckiego lotnictwa. Ogłoszone po wojnie zestawienie mówi o 388 polskich samolotach przystępujących do walki z 4248 samo-

lotami Luftwaffe. Mieliśmy 40 nowoczesnych samolotów Łoś, a Niemcy posiadali 1180 samolotów przeznaczonych do bombardowań. Polacy mieli 142 samoloty myśliwskie P.9 i P.11, a Niemcy 771 różnych typów. Ogromna przewaga Niemców polegała nie tylko na ilości samolotów, ale także na nowoczesności zarówno maszyn, jak i wyposażenia pomocniczego. Samoloty niemieckie były bardziej nowoczesne, szybsze i zwrotniejsze.

Odwaga i brawura naszych pilotów to było za mało, aby pokonać nieprzyjaciela. Przewaga Niemców w powietrzu była tak duża, że już po kilku pierwszych dniach wojny całkowicie opanowali przestrzeń powietrzną nad Polską. Po kilku dniach 1. Pułk Lotniczy przenosił się na południe Polski. Straty tego pułku były ogromne – zarówno w ludziach, jak i w sprzęcie. W ślad za pułkiem, na południe wyjeżdżały samochody z mechanikami i sprzętem potrzebnym do napraw uszkodzonych samolotów. Gdy zgodnie z otrzymanymi rozkazami kolumna ciężarowych samochodów przybyła 16 września nad granicę rumuńską, okazało się, że Leszek był jedynym oficerem. Dowódca pułku, tak jak i jego zastępca, polegli podczas nalotów. Wielu oficerów zostało rannych. 17 września, po otrzymaniu wiadomości o wkroczeniu Sowietów w granice Polski, Leszek otrzymał rozkaz udania się wraz z całą kolumną samochodów do Bukaresztu, aby nawiązać kontakt z ambasadą polską. Tam otrzymał kolejny rozkaz – udania się do portu w Constancy, gdzie polscy lotnicy mieli przejąć angielskie samoloty jako pomoc dla naszego lotnictwa. Przy wjeździe do Constancy kolumna polskich ciężarówek z polskimi lotnikami została zatrzymana. Skierowano ich do portu Bałczik (obecnie port bułgarski), gdzie oczekiwał na uchodźców angielski statek, którym mieli popłynąć na Maltę. Na statek załadowało się blisko tysiąc uciekinierów z Polski. Byli to żołnierze, któ-

rzy chcieli razem z armią francuską walczyć z Niemcami. Pobyt na Malcie przedłużał się. Dopiero 11 listopada wyładowali na ziemi francuskiej. Znaleźli się w Marsylii.

Już na Malcie, pośród kilku tysięcy uciekinierów z Polski, rozpoczęły się gorące dyskusje, nie tylko na tematy związane z klęską wrześniową. Wiele mówiono o losie, jaki czekał pozostawione w kraju rodziny, a także o tym, co stanie się z Polską. Wszyscy Polacy, którzy znaleźli się na Malcie, chcieli nadal walczyć z okupantami. Z Niemcami i z Rosją. Anglia była daleko, więc byli zdecydowani walczyć u boku Francji. Już wtedy większość uchodźców tłumaczyła sobie porażkę wrześniową trudnymi do obrony granicami, zafaniem gospodarczym kraju, zbyt dużą ilością mniejszości narodowych wrogo nastawionych do polskości, wielką przewagą wojskową i przemysłową Niemiec. Choć wiele mówiono o nieudolności naszego dowództwa, to jednak nikt nie twierdził, że należało skapitulować, że należało zgodzić się na niemieckie żądania. Politykę ministra Becka uważano za dalekowzroczną, gdyż wszyscy byli przekonani, że i ta wojna zakończy się zwycięstwem koalicji – Anglii i Francji. Polacy wierzyli w potęgę Francji, w siłę armii francuskiej, która tak wspaniale walczyła podczas I wojny światowej. Te nieustające spory i kłótnie naszych rodaków zakończyły się z dniem przyplłynięcia brytyjskiego statku, który rozpoczął przewożenie polskich uchodźców do portu w Marsylii. Leszek stanął na lądzie francuskim.

1 listopada 1939 roku – lotników przewożono do Bron pod Lyonem, gdzie zostali wcieleni do Armée de l'Air. Otrzymali francuskie mundury oraz przydzielono im kwatery. Zaczynali nowe życie. Po kilku tygodniach szkolenia teoretycznego eskadrom polskim przydzielono samoloty, bombowce Potez 540 i myśliwce Morane-Saulnier. Francuscy instruktorzy rozpoczęli szkolenie Polaków.

W pierwszych dniach grudnia 1939 roku 64 polskich pilotów odpłynęło do Anglii. Oficerowie angielscy już na Malcie przeprowadzali rozmowy z polskimi lotnikami. Anglicy najbardziej potrzebowali pilotów samolotów myśliwskich. Od razu przystąpiono do szkolenia ich na brytyjskich maszynach.

Leszek, przebywający w Bron, został przydzielony do grupy francuskich mechaników samolotowych. Od pierwszego dnia zauważył lekceważący stosunek do polskich żołnierzy. Jakiś oficer francuski pogardliwym tonem pytał, w jaki sposób Polska mogła tak szybko przegrać wojnę:

– Przecież tyle wam pomagaliśmy!

Nie przemawiały do niego żadne usprawiedliwienia i wyjaśnienia. Nie rozumiał, jak można było w miesiąc doznać takiej porażki. Inni Francuzi także nie mogli zrozumieć, jak mogło dojść do tego, że Prezydent i Wódz Naczelny trzydziestomilionowego państwa, w siedemnastym dniu wojny, mogli opuścić kraj i walczącą armię. Do tych rozmów z Leszkiem włączali się i inni Francuzi, coraz częściej padało pytanie:

– Dlaczego mamy umierać za jakiś tam Gdańsk, jeśli nam Niemcy nie zagrażają?

To były naprawdę bardzo przykre rozmowy. Raz padło i takie stwierdzenie:

– Co nas obchodzi jakaś Polska?

Ten nieprzychylny stosunek do Polaków zmieniał się stopniowo, gdy Francuz coraz częściej uciekał przed niemieckim myśliwcem lub kiedy polscy piloci zaczęli odnosić zwycięstwa w walce z Niemcami. Leszek opowiadał mi takie wydarzenie. Z lotniska pod Lyonem pewnego ranka wyleciały trzy samoloty. Dwóch Francuzów i jeden Polak. Gdy zobaczyli nadlatujące ze wschodu trzy niemieckie samoloty myśliwskie, Polak poleciał w ich kierunku i zaata-

kował lecącego w jego stronę Niemca. Walka trwała krótko. Po kilkudziesięciu sekundach płonący samolot niemiecki spadał na ziemię. Podczas tej krótkiej walki dwa pozostałe samoloty niemieckie odleciały na wschód. Wcześniej to samo zrobiły samoloty francuskie. Gdy Polak powrócił na lotnisko, usłyszał wymówki francuskich pilotów: jednemu zaciął się karabin maszynowy, a drugiemu drążek sterowy odmawiał posłuszeństwa.

Ta sprawa stała się głośna na lotnisku. Wzrastał autorytet polskich lotników. Naprawdę była to dziwna wojna. Francuzi nie chcieli się bić. Marzyli tylko o szybkim powrocie do domu.

W rozmowie ze mną, po sześćdziesięciu latach od tamtych wydarzeń, Leszek obciążał winą za ówczesny stan moralny armii francuskiej Partię Komunistyczną, która we wrześniu 1939 roku, po wybuchu wojny, rzuciła hasło „Nie będziemy umierać za Gdańsk!” W tym czasie Hitler był sojusznikiem Stalina i Związku Radzieckiego. Razem dzielili się pokonaną Polską, razem mieli walczyć o zaprowadzenie „nowego ładu” na świecie. FKP była wtedy najsilniejszą partią we Francji, a większość Francuzów zachwycała się Związkiem Radzieckim i postacią Stalina. Stosunek Francuzów do Niemców zmienił się dopiero 22 czerwca 1941 roku, gdy Hitler rozpoczął wojnę ze Stalinem. Dopiero wtedy FKP zmieniła swoje dotychczasowe stanowisko i rzuciła hasło walki z Niemcami. To wszystko było znacznie później. Na razie trwała przyjaźń Hitlera ze Stalinem! Jest początek roku 1940.

Lotnicy francuscy nadal nie przejawiali chęci walki z niemiecką Luftwaffe. Byli przekonani, że Francję obroni osławiona Linia Maginota, fortyfikacje ciągnące się wzdłuż granicy z Niemcami. Tymczasem pancerne kolumny Wehrmachtu ruszyły przez Holandię i Belgię. Linia

Maginota przetrwała wojnę niezdobyta. Okazało się, że Francja skapitulowała szybciej niż Polska w 1939 roku.

Wielka Brytania stała się „wyspą ostatniej nadziei” dla tysięcy uchodźców z Polski.

Strategia wojenna bogatej Francji okazała się całkowicie nieskuteczna wobec niemieckiej broni pancерnej oraz samolotów nurkujących Stukas. Ogłoszona przez marszałka Petaina, bohatera I wojny światowej, kapitulacja – spotkała się z poparciem ogromnej większości żołnierzy francuskich i równocześnie z potępieniem przez żołnierzy polskich walczących u boku sojuszniczej Francji. Żołnierze polscy zgodnie z apelem Naczelnego Wodza, generała Władysława Sikorskiego, rozpoczęli wędrówkę w kierunku portów nad kanałem La Manche, aby na statkach brytyjskich dopłynąć do wymarzonej Anglii.

Gdy przez radio ogłoszono wiadomość o kapitulacji Francji, na lotnisku pod Lyonem lotnicy polscy z wielkim zdziwieniem, a nawet z oburzeniem i rozpaczą, obserwowali radość prawie wszystkich Francuzów z zakończenia działań wojennych. W tym czasie Polacy nastawiali odbiorniki radiowe na angielską stację BBC i słuchali audycji w języku polskim. Dowiadywano się o posiedzeniu rządu polskiego na emigracji, o apelu Naczelnego Dowódcy, generała Władysława Sikorskiego do żołnierzy polskich we Francji, aby starali się przedostać na Wyspy Brytyjskie, gdzie zostanie odbudowana armia polska. Wszyscy lotnicy polscy z lotniska pod Lyonem zdecydowali się na wędrówkę nad kanał La Manche, aby oczekującymi na nich statkami angielskimi dostać się do Anglii. Wszyscy oni wyruszyli na północ samochodami ciężarowymi, zarekwirowanymi Francuzom. Uzupełnili zapasy paliwa i strzałami odgonili usiłujących ich zatrzymać lotników francuskich. Szosą

wzdłuż Pirenejów dotarli do Bayonne w pobliżu Biarritz. Z tego portu odpłynęli angielskim statkiem. Mogli mówić o szczęściu, gdyż ów statek podczas następnego rejsu został zatopiony niemiecką torpedą. Na długo zapamiętali napotkanych po drodze rozbrojonych żołnierzy francuskich, ucieszonych powrotem do domu i zdziwionych tym, że Polacy chcą nadal walczyć, że starają się dostać do Anglii, aby wstąpić do RAF.

Po wielu latach Leszek opowiadał mi, że na długo zapamiętał widok spotkanych podczas jazdy ciężarówkami do Biarritz dużych grup, już nie żołnierzy, ale maruderów armii francuskiej, bez pasów i oznak, choć jeszcze w mundurach, z gołymi głowami lub w beretach zamiast czapek wojskowych. Rozbrojeni powracali do domu, a przed kilkoma miesiącami zapewniali, że pokażą nam, Polakom, jak należy bić Niemców, jak należy zwyciężać.

Po upadku Francji, wbrew oczekiwaniom Hitlera, Anglicy zdecydowali się nadal walczyć. Gdy świat poznał decyzję rządu Wielkiej Brytanii o walce z Niemcami aż do ostatecznego zwycięstwa, uchodźcy polscy, w większości żołnierze Września, zdecydowali się walczyć u boku Anglii. Chcieli walczyć o słuszną sprawę, o wolną Polskę.

Fakt, że po wojnie zostali haniebnie oszukani – to już inna sprawa.

Leszek opowiadał mi, że w Anglii przyjmowano Polaków zupełnie inaczej niż we Francji. Tu nikt ich nie lekceważył, nie wyśmiewał się z „polskiego Września”. Bezprzykładna i w pewien sposób kompromitująca klęska Francji rehabilitowała honor polskiej armii. Dla polskich uchodźców Wielka Brytania okazała się zupełnie innym krajem niż Francja, którą w latach przedwojennych uważaliśmy za najważniejszego i najbliższego naszemu sercu sojusznika. Tymczasem życie pokazało, że było inaczej.

Gdy pod koniec 1939 roku do Anglii przybyło 64 naszych lotników, zaskoczyła ich wielka serdeczność, z jaką zostali powitani. Od razu zostali włączeni w struktury Royal Air Force – Królewskich Sił Lotniczych. Wypłacono im żołd, a krawcy dopasowywali im mundury i umieszczali na ramieniu napis „Poland”. Zakwaterowano ich na lotniskach w głębi kraju, tworząc specjalne polskie jednostki, w których instruktorami byli Anglicy. Zorganizowano także specjalne kursy języka angielskiego. Szybko poznawali obyczaje panujące w Anglii, gdyż nawiązywali stosunki towarzyskie z mieszkającymi w pobliżu rodzinami angielskimi.

Leszek Chełmiński po przybyciu do Anglii otrzymał przydział do Dywizjonu Bombowego Nr 300, kwaterującego na lotnisku w pobliżu miasta Bristol. Wystąpił wtedy po raz pierwszy z prośbą o przeniesienie go do personelu latającego. Chciał być „myśliwcem”. Spotkał się z kategoryczną odmową. Usłyszał, że amatorów latania jest dużo, natomiast specjalistów – mechaników lotniczych – stale brakuje. Instruktorzy angielscy byli wzorowymi wykładowcami. Dokładnie poznano budowę angielskiego samolotu przydzielonego Dywizjonowi. Było to 31 maszyn typu Fairey Battle, dwusilnikowych samolotów, podobno – tak mówili nasi lotnicy – znacznie gorszych od naszego „Łosia”.

W tym czasie napływały do Anglii alarmujące wiadomości o przygotowaniach Niemców do przeprowadzenia inwazji na Wyspy Brytyjskie. Obserwowano, jak w portach francuskich nad kanałem La Manche przybywało barek desantowych i łodzi pontonowych. A tymczasem Anglia była prawie bezbronna. Pod koniec roku 1939 i na początku roku 1940 wysyłano na kontynent, dla wzmocnienia Francji, doborowe jednostki, a także wielkie ilości uzbrojenia i sprzętu wojkowego. Gdy okazało się, że Francja ma zamiar kapitulować, zdołano wycofać na Wyspy większość wojsk, jed-

nak uzbrojenie i sprzęt wojskowy pozostały na kontynencie i wpadły w ręce Niemców. Na Wyspach Brytyjskich pozostało niewiele uzbrojenia.

Leszek wspominał, że personel lotnisk i lotnicy nie mieli uzbrojenia. Do obrony własnej na wypadek inwazji mieli tylko bagnety, gdyż nie było pistoletów. Do nich dodawano drewniane kije, na których miano osadzić bagnety, aby można było lepiej się bronić na wypadek ataku nieprzyjaciela. Dopiero po kilku miesiącach przydzielono oficerom rewolwery, a wartownikom – pistolety maszynowe.

Równocześnie z niemieckimi przygotowaniem do inwazji na Wyspy nasiliły się naloty na miasta. W każdą noc płonął Londyn, płonęły miasta nad kanałem.

Leszek przyplłynął do Anglii w połowie lipca 1940 roku. Na lotnisku pod Londynem odbywało się szkolenie personelu latającego i mechaników. Dwusilnikowe samoloty Fairey Battle miały załogę trzyosobową: pilot, obserwator i strzelec pokładowy. Każdego z nich szkolono osobno, wedle specjalności. Osobne szkolenie przechodzili także mechanicy. Wieczorami odbywała się nauka języka angielskiego.

Hitler oraz Naczelne Dowództwo Wehrmachtu dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że atak na Wyspy Brytyjskie może się udać tylko wtedy, gdy Luftwaffe osiągnie przewagę w powietrzu. Ta przewaga umożliwi osiągnięcie trzech celów: całkowite zniszczenie brytyjskiego lotnictwa, zbombardowanie fabryk zbrojeniowych oraz zablokowanie dostaw uzbrojenia drogą morską.

Pomyślny wynik działań inwazyjnych był uzależniony od osiągnięcia tych celów.

10 lipca 1940 roku rozpoczęła się Bitwa o Anglię.

Setki niemieckich samolotów przelatywało nad Wyspami Brytyjskimi, niosąc śmierć i zniszczenie. Legły w gruzach fabryki, płonęły miasta. Na niebie toczyły się śmiertelne pojedynki angielskich i polskich pilotów z niemieckimi myśliwcami. Bombardowano Londyn i inne miasta, niszczone urządzenia portowe i bombardowano statki płynące do angielskich portów.

Dopiero po sześćdziesięciu latach, w roku 2000, Anglicy przyznali się do tego, że bez udziału polskich lotników Niemcy pokonaliby ich. Druga wojna światowa miałaby zupełnie inny przebieg. Hitler zapanowałby nad Europą. Tak napisał brytyjski minister pracy Norman Tebbit w dzienniku *The Daily Mail* z 6 stycznia 2000 roku.

O sprawności i waleczności polskich lotników z dywizjonów myśliwskich świadczą najlepiej zestawienia ogłoszone przez prasę brytyjską pod koniec 1940 roku: oto w brytyjskich dywizjonach myśliwskich na stratę własnego jednego samolotu przypadały trzy strącone samoloty niemieckie, natomiast w polskich – na stratę jednego przypadało dziewięć strąconych niemieckich samolotów.

Bitwa o Anglię trwała do końca października 1940 roku. W wojnie powietrznej nad Anglią Hitler uznał się za pokonanego.

Już znacznie wcześniej lotnictwo brytyjskie przystąpiło do bombardowań portów francuskich nad kanałem La Manche, gdzie nagromadzono barki desantowe mające przewozić żołnierzy niemieckich na angielskie wybrzeża, a także bazy łodzi podwodnych działających na Atlantyku.

25 września 1940 roku mój przyjaciel, porucznik lotnictwa, Józek Kuliński z Dywizjonu Bombardującego Nr 301, wyleciał z lotniska w Swinderby na dwusilnikowym samolocie typu Fairey Battle z zadaniem zbombardowania

urządzeń portowych w Bolougne. W trzyosobowej załodze Józek był obserwatorem.

Podczas Kampanii Wrześniowej służył w 32. Eskadrze Rozpoznawczej Armii Łódź. Po przegranej kampanii dostał się do Francji i jako jeden z pierwszych wylądował w Anglii. Przydzielony do pierwszego składu Dywizjonu 301, kwaterował na lotnisku w Swinderby. Jako obserwator odbył kilkadziesiąt lotów bojowych. Brał udział w nalotach na zachodnie Niemcy oraz na francuskie porty. 25 września 1940 roku odbywał lot na samolocie Fairey Battle z zadaniem bombardowania barek desantowych w porcie Bolougne we Francji. Po starcie samolot został zestrzelony przez nocnego myśliwca nad Thedford w Anglii. Załoga zginęła, a samolot został zniszczony.

Leszek Chełmiński, po kilkumiesięcznej służbie w Dywizjonie 300, został przydzielony do Dywizjonu 301 jako inżynier mechanik z zadaniami kontrolowania każdego samolotu powracającego z lotu bojowego. Po każdym locie usuwano usterki i drobne uszkodzenia, uzupełniano paliwo, smary i amunicję, kontrolowano pracę silników – przygotowywano samolot do następnego lotu. Przed samym odlotem sprawdzano również działanie karabinów maszynowych.

Po kapitulacji Francji, do Anglii przedostała się grupa polskich lotników, a ponadto różnymi drogami zaczęli przybywać uciekinierzy z ziem Drugiej Rzeczypospolitej oraz dawni emigranci z Europy Zachodniej i obu Ameryk.

Przeszkolenie tych ludzi, jeśli wyrazili chęć służenia w lotnictwie, odbywało się w Blackpool i w pobliskim Bramcote. Pośród ponad 6000 polskich lotników najmniej było ludzi nadających się do służby w dywizjonach myśliwskich. Przeprowadzano ścisłą selekcję.

Okres Bitwy o Anglię był dla Leszka Chełmińskiego najtrudniejszym czasem. Pracy miał bardzo dużo. Każde niedopatrzenie, każda pomyłka, każdy moment nieuwagi mogły być przyczyną katastrofy.

Pomiędzy listopadem 1940 a czerwcem 1941 roku nastąpiła poważna reorganizacja polskiego lotnictwa w Anglii. Utworzono dziesięć dywizjonów:

Dywizjony Bombardujące: 300, 301, 304 i 305;

Dywizjony Myśliwskie: 302, 303, 306 i 308;

Dywizjon Myśliwców Nocnych: 307;

Dywizjon Współpracy (rozpoznawczy): 309.

W czerwcu 1941 roku Dywizjony 300 i 301 dostały samoloty typu Vickers Wellington. W 1941 roku utworzono dodatkowe Dywizjony Myśliwskie: 315, 316 i 317. Dywizjony 300 i 301 brały udział w wielkich nalotach – 1 stycznia na Bremę, 25 marca na Berlin.

W sierpniu 1941 roku utworzono Dywizjon 138, przeznaczony do zadań specjalnych m.in. do łączności z ruchem partyzanckim. W lutym 1942 roku utworzono kolejny do takich zadań przeznaczony – Dywizjon 161.

3 marca 1943 roku Dywizjon 138 otrzymał samoloty Halifax, a Dywizjon 192 – samoloty Halifax i Wellington.

W końcu sierpnia 1943 roku Dywizjony 300 i 301 zostały przeniesione do miasta Swinderby niedaleko Lincoln.

W lutym 1941 roku generał Władysław Sikorski wystąpił do władz brytyjskich o wydzielenie stałej eskadry do łączności z krajem, aby dokonywać zrzutów uzbrojenia oraz ludzi.

25 marca 1941 roku polscy lotnicy z Dywizjonu 300 po raz pierwszy brali udział w nalocie na Berlin. Wszystkie polskie załogi powróciły do bazy. W tym okresie polscy pi-

loci z Dywizjonów 300 i 301 brali udział w nalotach na miasta niemieckie. Od kwietnia dołączyły do nich Dywizjony 304 i 305. Bombardowano Hamburg, Bremę, Kolonię oraz inne miasta w głębi Niemiec. Okazało się, że samoloty Wellington są zbyt wolne, co powodowało duże straty.

Bombardowano także porty francuskie, w których miały swoje bazy niemieckie pancerniki, krążowniki i łodzie podwodne operujące na Atlantyku. Wypływające z tych portów okręty Kriegsmarine działały na całym Atlantyku, atakując przede wszystkim konwoje wiozące do Anglii żywność oraz uzbrojenie z USA i Kanady.

Straty polskiego lotnictwa stopniowo powiększały się, gdyż powiększała się również ilość niemieckich dział przeciwlotniczych. Zwiększał się także kaliber tych dział i pułap, jaki osiągały pociski.

Każdy strącony Wellington to strata sześciu ludzi. Z zestrzelonych nad Niemcami samolotów ratowało się tylko około 12% załogi. Ginęli w roztrzaskanych maszynach, a tych, którzy uszli z życiem, mordowali Niemcy.

W historii drugiej wojny światowej rok 1941 był rokiem przełomowym. Gdy Hitler zdał sobie sprawę z tego, że nie pokona Anglii – co miało zapobiec wojnie na dwa fronty – postanowił szukać decydującego rozstrzygnięcia na Wschodzie, jak najszybciej pokonać Związek Radziecki. Oznaczało to konieczność przerzucenia dużej części sił powietrznych na front wschodni.

Drugim ważnym wydarzeniem roku 1941 było przystąpienie do wojny USA. Od tej chwili coraz wyraźniej zaznaczała się przewaga aliantów w powietrzu. Coraz mniej samolotów niemieckich pojawiało się nad Wyspami Brytyjskimi, natomiast coraz więcej płonęło miast niemieckich. Rozpoczęły się naloty tysięcy samolotów na Berlin, Hamburg, Bremę, Kolonię.

Leszek Chełmiński opowiadał mi, że pewnego wieczoru odprowadzał do samolotu pułkownika Makowskiego, przedwojennego dyrektora Polskich Linii Lotniczych LOT. Był rok 1941, a oni wspominali przedwojenną Warszawę. Pułkownik prowadził nalot dywizjonu na Berlin. Po szczęśliwym powrocie powiedział do Leszka:

– Nie odczuwam żadnej radości z tego powodu, że mogę pomścić nasz Wrzesień. Jednak odczuwam pewne zadowolenie z tego powodu, że nareszcie i mieszkańcy miast niemieckich odczują smak wojny...

W sierpniu 1941 roku powstał Dywizjon 138, powołany do zdań specjalnych, m.in. do łączności z krajem. 7 listopada 1941 roku wyleciał pierwszy samolot z polską załogą, do lotu nad okupowaną Polską. Leciał nad Morzem Północnym, Norwegią, Danią i Morzem Bałtyckim. Następnie trasą pomiędzy Gdańskiem a Kołobrzegiem poleciał w okolicę Warszawy, gdzie w podwarszawskich lasach dokonano zrzutu uzbrojenia. Zrzucano także trzech „cichociemnych” skoczków spadochronowych. Samolot szczęśliwie powrócił do bazy.

Nie wszystkie loty kończyły się pomyślnie. Samolot lecący do Polski, jeśli nie został strącony, powracał po 12-15 godzinach. Dodatkowym utrudnieniem takiego lotu były warunki pogodowe np. nieprzychylnie wiatry.

26 czerwca 1942 roku z lotniska Lindholme wystartował samolot typu Wellington z Dywizjonu Bombowego 305, pilotowany przez mojego przyjaciela kapitana Kazimierza Nowaka. Miał on brać udział w nalocie tysiąca samolotów na Bremę. Tuż przed startem do załogi dołączył pułkownik pilot Stanisław Skarżyński.

Nad Holandią lewy silnik Wellingtona przestał pracować, wobec czego załoga zawróciła do Anglii. Z powodu

niemożliwości utrzymania wysokości piloci zmuszeni byli wodować w Kanale La Manche, ok. 40 mil na wschód od Yarmouth. Lotnicy napełnili powietrzem dinghy i zdążyli zająć w niej miejsce – wyjątkiem był Skarżyński, który wychodząc jako ostatni z kabiny Wellingtona, został zmyty przez falę do morza. Pozostali członkowie załogi przez około 30 minut słyszeli wołanie o pomoc, jednak ze względu na wzburzone morze nie byli w stanie uratować tonącego. Ciało Skarżyńskiego fale morskie wyrzuciły na brzeg holenderskiej wyspy Terschelling, należącej do Wysp Fryzyjskich. Miejscowa ludność złożyła je na cmentarzu w miejscowości West-Terschelling. Czwórkę lotników, którzy przeżyli, po ośmiu godzinach wyловиła brytyjska łódź motorowa.

Po tej tragicznej w skutkach awarii samolotu pięciosobowa załoga została zwolniona z dalszych lotów bojowych.

Kapitan pilot Kazimierz Nowak został skierowany do Kanady. Zajął się tam szkoleniem nowych pilotów. Gdy spotkaliśmy się po wielu latach, opowiadał mi, jak doszło do tego, że w kanadyjskiej Wojskowej Szkole Pilotów wprowadzono naukę astronomii, aby gwiazdozbiory pomagały pilotom w gwiazdzistą noc trafić do celu. W tamtym okresie bowiem nie było w samolotach radia, a na lotniskach radarów.

Na początku 1944 roku na własną prośbę został przeniesiony do grupy pilotów, którzy dostarczali wyprodukowane w amerykańskich fabrykach samoloty na alianckie lotniska we Włoszech oraz przeznaczone dla Związku Radzieckiego – na lotniska w Gruzji.

Gdy zakończyła się wojna, został zdemobilizowany w stopniu podpułkownika i osiedlił się w Kanadzie. Na począt-

ku lat osiemdziesiątych, po raz pierwszy od czasu wybuchu wojny, odwiedził Polskę. Oprowadzałem go po Warszawie, odwiedziliśmy grób marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, byliśmy na Starym Mieście. Opowiadał mi o swoich wrażeniach wyniesionych z Gruzji i z Bengazi oraz o swoim życiu w Kanadzie, którą uważał za swoją drugą ojczyznę. Zmarł kilka lat później.

31 października 1942 roku, na samolocie Wellington z Dywizjonu Bombowego 305, z lotniska w Hemswell, wyleciał na minowanie wybrzeża francuskiego w rejonie Lorient, mieszkaniec Pruszkowa, Wacław Józef Pilarski. Urodzony 25 września 1915 roku, plutonowy – strzelec pokładowy. Podczas wykonywania zadania samolot został zestrzelony. Zginęła cała załoga. Pilarski został pochowany na cmentarzu komunalnym w Lorient-Kerentrech.

Dopiero w lipcu 1942 roku Dywizjon 301 otrzymał nowoczesne radiostacje. Równocześnie ta część Dywizjonu, która miała być przydzielona do brytyjskiego Bomber Commando, otrzymała nowoczesne samoloty typu Halifax.

Leszek Chelmiński w tym czasie nadal zajmował się kontrolą samolotów powracających z lotów bojowych. Nadzorował pracę mechaników. Początkowo załogi latały na samolotach dwusilnikowych, na których ze względu na mniejszą szybkość, ponoszono najczęściej strat. Później otrzymano czterosilnikowe samoloty typu Vickers Wellington oraz Liberator. W lutym 1943 roku nasze Dywizjony 300 i 305 uczestniczyły w nalotach na niemieckie miasta.

W kwietniu 1943 roku rozwiązano Dywizjon 301. Ponoślił on największe straty. Część załóg przydzielono do Dywizjonu 300, a część do brytyjskiego Bomber Commando,

do Dywizjonu 138. Leszek został przydzielony do tego Dywizjonu wraz z siedmioma polskimi załogami. Po pewnym czasie Dywizjon został przeniesiony do Tunisu.

Dywizjon 138 kwaterował w Tunisie do grudnia 1943 roku, następnie został przeniesiony do Brindisi, w południowych Włoszech. Utworzono tam Eskadrę 159, przeznaczoną do lotów z zaopatrzeniem dla oddziałów partyzanckich w krajach okupowanych – w Polsce, Grecji oraz Jugosławii. Czas przelotu z zaopatrzeniem do Polski wynosił teraz siedem do ośmiu godzin. Na trasie przelotu przez Węgry i Słowację było znacznie mniej dział przeciwlotniczych i myśliwców Luftwaffe i znacznie mniej strat.

Od początku kwietnia 1943 roku Dywizjon 301 odbywał loty nad tzw. Generalną Gubernią, niosąc pomoc oddziałom partyzanckim Armii Krajowej. W pewnym okresie, gdy nasiliły się działania partyzanckie, do akcji niesienia im pomocy włączono załogi australijskie, południowoafrykańskie oraz angielskie i amerykańskie.

W tym czasie polskie załogi brały udział w nalotach na Niemcy oraz akcjach bombardowania francuskich portów.

23 kwietnia 1943 roku samolot Wellington z Dywizjonu 300 odleciał z lotniska w Hemswell na minowanie portów w rejonie Saint Nazaire we Francji. Samolot z lotu tego nie powrócił i został uznany za zaginiony. Po wojnie ustalono, że został zestrzelony przez artylerię przeciwlotniczą. Cała załoga poniosła śmierć. Pośród tej załogi był pruszkowianin, harcerz z ulicy Stalowej, Ireneusz Dębowski, urodzony 4 lipca 1922 roku, kapral – strzelec pokładowy. Pochowany został na cmentarzu La Boule Esoublack we Francji.

27 czerwca 1943 roku samolot Wellington z Dywizjonu 300 na lotnisku Hemswell dokonywał lotu próbnego. Z nieustalonych przyczyn samolot w ostrym nurkowaniu wyłonił

się z chmur i spadł, rozbijając się o ziemię w Heighington na północ od Fiskerton. Zginęła cała załoga, a wśród niej pruszkowianin, Henryk Kazimierz Czarkowski, urodzony 19 września 1919 roku.

W grudniu 1943 roku Dywizjon 300 otrzymał zamiast Wellingtonów nowoczesne Lancaster.

Nasi lotnicy od chwili przybycia do Anglii byli wcielani do RAF. Leszek Chełmiński po wielu latach nadzwyczaj dobrze wspominał angielskich instruktorów-mechaników, którzy wprowadzali jego i polskich mechaników we wszystkie tajniki budowy samolotów używanych w RAF. Nigdy nie odmawiali oni pomocy, gdy zachodziła taka konieczność. Zawsze służyli dobrymi radami. Francuskich inżynierów-mechaników nie wspominał tak dobrze. Nie mógł zapomnieć ich lekceważącego stosunku do polskich żołnierzy. Anglicy natomiast tylko początkowo kontrolowali jego pracę, dyskretnie wskazywali błędy, nigdy w obecności podwładnych.

Leszek wspominał, że po przybyciu do Anglii dwukrotnie stawał do raportu z prośbą o przeniesienie do personelu latającego. Zawsze otrzymywał odmowną odpowiedź. Tłumaczono się brakiem personelu technicznego. Polscy podoficerowie, mechanicy samolotowi pracowali bez odpoczynku, przerywając pracę tylko dla zjedzenia posiłków lub na wypalenie papierosa. Pracowali nadzwyczaj dokładnie, pamiętając, że każde niedopatrzenie może być przyczyną śmierci załogi samolotu.

Dzięki pracy personelu technicznego w roku 1942 Dywizjon 301, w którym służył Leszek, miał procentowo największą ilość gotowych do lotu samolotów w całym Bomber Commando, co było dowodem wzorowej pracy mechaników oraz wzorowej organizacji napraw.

Leszek opowiadał mi, jak kontrolowano każdy samolot powracający z lotu bojowego. Ustalano usterki i uszkodzenia. Polscy podoficerowie-mechanicy byli wyjątkowo solidnymi pracownikami. Ich praca była nagradzana awansami i pochwałami. Otrzymywali wysokie odznaczenia i byli wielokrotnie wymieniani w rozkazach dowództwa.

W niedługim czasie po przybyciu na lotnisko w Brindisi, Leszek przeżył niezwykłą przygodę. W niedzielne popołudnie wybrał się willysem (niewielki samochód terenowy) do pobliskiego Brindisi. Szosa była pusta. Gdzieś w połowie drogi zatrzymał go podniesieniem ręki stojący obok szosy młody mężczyzna. Stosunki z miejscową ludnością układały się dobrze, lotnisko budowali amerykańscy żołnierze, wśród których wielu pochodziło z rodzin włoskich. Być może dlatego miejscowa ludność witała alianckich żołnierzy bardzo serdecznie. Ponadto mieszkańcy otrzymywali od razu znaczną pomoc żywnościową oraz medycyną, co dla wygłodzonej ludności było bardzo ważne.

Leszek zatrzymał samochód i otworzył drzwiczki, wskazując miejsce obok siebie. Chodziło o podwiezienie do miasta. Leszek okazał się doskonałym obserwatorem. Od razu zwrócił uwagę na jakiś nie włoski akcent nieznajomego. Równocześnie obserwował jego twarz, był to jasny blondyn o jasnoblękitnych oczach i bladej cerze. Lekko uniesiona marynarka na lewym biodrze mogła świadczyć o ukrytym rewolwerze. Pomyślał, że to na pewno jakiś dywersant. Błyskawicznie podjął decyzję. Zwiększył szybkość i gwałtownie zahamował. Nieznajomy oparł obie dłonie o szybę i spojrzał na Leszka. Na pewno nie spodziewał się, że ujrzy wycelowaną lufę rewolweru i usłyszy słowa:

– Nie odrywaj rąk od szyby!

Na twarzy nieznajomego pojawił się lęk. Patrzył to na lufę rewolweru, to na twarz Leszka, który trzymając lewą

ręką kierownicę, zawrócił samochód w drogę powrotną – do koszar i lotniska.

Nieznajomy próbował nawiązać rozmowę w języku angielskim, jednak Leszek ostrym tonem powtarzał rozkaz, aby trzymał ręce na szybie. Tak dojechali do bramy lotniska. Na warcie stali dwaj amerykańscy żołnierze, biały i czarnoskóry. Zdziwieni widokiem rewolweru Leszka wycelowanego w nieznajomego cywila, również wycelowali w niego swoje maszynowe pistolety, otworzyli drzwiczki, aby mógł wysiąść i Murzyn zaczął go rewidować. Przypuszczenia Leszka okazały się słuszne. Nieznajomy pod marynarką, przy pasie, na lewym biodrze miał pistolet. Leszek pomyślał wtedy:

– Dzięki Bogu! Uniknąłem śmierci!

Leszek za swoją czujność i spostrzegawczość został nagrodzony pochwałą w rozkazie oraz wysokim odznaczeniem wojskowym.

W dalszych wydarzeniach związanych z zatrzymaniem niemieckiego spadochroniarza Leszek nie brał udziału. Podobno podczas przesłuchania przez amerykańskiego oficera, zdając sobie sprawę z beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazł, wydał swoich dwóch kolegów, również spadochroniarzy, którzy oczekiwali na niego w zabudowaniach niedaleko szosy. Poddali się, gdy zostali otoczeni przez oddział amerykańskich żołnierzy. Mieli ze sobą materiały wybuchowe. Plan był prosty. Jeden z nich zatrzyma samochód z samotnym żołnierzem. Zmusi go do jazdy połą drogą aż do zabudowań, w których czekają dwaj pozostali. Tam miał się przebrać w wojskowy mundur i prowadzić samochód, a dwaj w cywilnych ubraniach sięść z tyłu wraz z materiałem wybuchowym i wieczorem jechać na pobliski wiadukt, aby wysadzić go w powietrze.

Po wielu latach od tych wydarzeń Leszek stwierdził, że przez całe życie nie opuszczało go szczęście. Wspominał tragiczny wrzesień, naloty na angielskie lotniska, podczas których tylko jeden raz został ranny.

Kiedy stwierdzono, że przeloty z Brindisi nad Generalną Gubernią są znacznie bezpieczniejsze niż przeloty z lotnisk angielskich, zdecydowano się na przerzucanie tym szlakiem nie tylko cichociemnych, ale także różnych ważnych osobistości. Pewnego ranka powrócił na lotnisko w Brindisi samolot, którego pilot odważył się na lądowanie na wielkiej polanie leśnej na terenie Generalnej Guberni. Zabrano wtedy z kraju kilka ważnych osobistości, a także części rakiety przygotowywanej do bombardowania Anglii z dużych odległości. Był to prototyp znanych później rakiet V-1 i V-2. Rakieta wystrzelona z poligonu raketowego na terenie Generalnej Guberni nie doleciała do wyznaczonego celu i spadła w pobliżu Bugu. Przechwycona przez ludzi z AK została wywieziona w bezpieczne miejsce. Raketę rozłożoną na części składowe, paliwo używane do jej napędu przetransportowano do Warszawy, gdzie została poddana badaniom. Najważniejsze części oraz próbki paliwa przekazano z Brindisi do Londynu. Niemcy przez kilka miesięcy poszukiwali rakiety, która do celu nie doleciała. Niedługo potem rakiety V-1 i V-2 zaczęły spadać na Londyn oraz inne miasta angielskie.

W Brindisi, przybycie samolotu, który lądował w kraju, stało się wydarzeniem. Po latach dowiedzieliśmy się, że tym samolotem przyleciał mecenas Józef Hieronim Retinger, przyjaciel Churchilla, wysłany do Warszawy przez premiera Anglii dla zbadania sytuacji w okupowanej Polsce.

Równie wielkim wydarzeniem była wizyta generała Sosnkowskiego. Oto jak sam Leszek wspominał te niezwykle dni końca lipca i początku sierpnia 1944 roku:

„Kiedy samolot, którym przyleciał generał Kazimierz Sosnkowski, wylądował na naszym lotnisku, do schodków podeszło kilkunastu oficerów polskich, amerykańskich i angielskich ze słowami powitania. Nie było żadnych przemówień. Każdy z witających oficerów przy podawaniu ręki wymieniał swoje nazwisko oraz pełnioną na lotnisku funkcję. Razem z generałem przyleciało trzech polskich oficerów oraz niski, krępy starszy sierżant. Wszyscy zamieszkali w gościnnych pokojach naszego hoteliku. Generał wyglądał na przemęczonego, był smutny i mało mówny. Podczas kolacji, przy stole dowódcy naszego Dywizjonu Bombowego 301, majora Króla, mało mówiono. Po kolacji generał pożegnał majora podaniem ręki, a nam powiedział: Do widzenia panom. Następnego dnia po śniadaniu zarządził zbiórkę polskiego personelu. Generał wygłosił krótkie przemówienie i rozpoczął dekorowanie wysokimi odznaczeniami wyróżniających się pilotów, personelu latającego oraz obsługi technicznej. Zgodnie ze swoim zwyczajem, dekorował najpierw podoficerów, a następnie oficerów. Z każdym z odznaczonych zamieniał kilka zdań. Pytał o miejsce pochodzenia, o to, co kto robił przed wojną, o zdrowie. Każdy z dekorowanych słyszał od generała jakieś ciepłe słowa. Chwile te zapamiętali na długo. Po obiedzie generał zwiedzał lotnisko, hangary oraz nasze warsztaty naprawcze. Dość długo rozmawiał z załogami przygotowującymi się do nocnego lotu nad okupowaną Polskę.

Trzeciego dnia, podczas kolacji, nasz dowódca zakomunikował nam, że generał chciałby – „prywatnie” – porozmawiać z personelem lotniska, z lotnikami i z obsługą techniczną. Chciałby poznać nasze troski i męczące nas problemy. Po kolacji w kasynie oficerskim zabrakło krzeseł. Wielu z nas siedziało na podłodze w półkołu. Wszyscy byli wpatrzeni w dobrze znaną z fotografii postać genera-

ła, który siedział wraz z naszym dowódcą przy stole stojącym w końcu jadalni, tuż obok ściany. Generał interesował się naszymi życiorysami oraz sprawami służbowymi i pozasłużbowymi. Pytał o stan naszego zdrowia, o samopoczucie, a także o nasze rodziny w kraju. Później jeden z oficerów poprosił generała, aby opowiedział coś o sobie, o swoim życiu, rodzinie, a także o swoim przyjacielu, marszałku Piłsudskim. Ta ostatnia prośba w widoczny sposób ożywiła generała. Zobaczyliśmy wtedy, po raz pierwszy tego wieczoru, uśmiech na jego twarzy. Opowiadał o swoim dzieciństwie, o latach szkolnych i studenckich, o spotkaniu z Józefem Piłsudskim, z którym wspólnie organizowali Drużyny Strzeleckie działające w ówczesnej Galicji, szkolące młodzież do przyszłej walki o niepodległą Polskę. Usłyszeliśmy opowieść o wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej z krakowskich Oleandrów. Dowiedzieliśmy się o bitwach Pierwszej Brygady, a także o wspólnym pobycie z Józefem Piłsudskim w magdeburskim więzieniu. Słuchaliśmy tych opowieści z wielkim zainteresowaniem. Generał był świetnym mówcą, wspaniałym gawędziarzem.

Następnego dnia po kolacji pojawili się nie tylko ci sami słuchacze, przybyło także kilku lotników z innych dywizjonów. Generał rozpoczął swoją opowieść, wspominając dzień 11 listopada 1918 roku. Tego dnia rodziła się Druga Rzeczpospolita. Usłyszeliśmy opowieść o „cudzie nad Wisłą” i o tym, jak na Kurpiach chłopcy z kosami i widłami walczyli z bolszewickimi żołnierzami, którzy przyjeżdżali na koniach, aby gwałcić kobiety i rabować skromny wieśniaczy dobytek. Kolejnego dnia generał opowiadał o roku 1926, o przewrocie majowym. Marszałek Józef Piłsudski wyprowadził wtedy na ulice Warszawy oddziały wojska, doprowadzając do obalenia rządu, rozwiązania Sejmu i ustąpienia ze stanowiska prezydenta Stanisława Wojciechowskiego.

W tych pamiętnych dniach oddziały podległe Sosnkowskiemu nie dostały rozkazu ruszenia na Warszawę. Generał nie został wtajemniczony w plany Piłsudskiego. Próbował popełnić samobójstwo. Jakaś kość odchyliła lot kuli skierowanej do komory serca. Opowiadał o swojej wielkiej rozterce, która doprowadziła go do próby samobójczej. Wyżej bowiem cenił swoje obowiązki wobec Rzeczypospolitej od przyjaźni z Marszałkiem. Tego samego wieczoru mówił też o Kampanii Wrześniowej. Nikogo nie obciążał winą za klęskę. Uważał, że spowodowało ją wiele czynników. Trudne do obrony granice, nadmiernie rozbudzone w ostatnich latach pragnienia imperialistycznych podbojów u obu naszych wielkich sąsiadów, wrogie naszej państwowości mniejszości narodowe, zacofanie gospodarcze kraju wpływające na zły stan uzbrojenia armii. Do klęski przyczyniło się także niedotrzymanie podjętych zobowiązań przez naszych sprzymierzeńców, Francję i Anglię. Generał przypominał nam przebieg wrześniowych walk, mówił także o swoim udziale w działaniach bojowych i o wędrówce przez góry i lasy na Węgry.

Tematem dwóch następnych spotkań była sytuacja na okupowanych terenach Polski. Działo się to wszystko w ostatnich dniach lipca 1944 roku. Dowiedzieliśmy się wielu szczegółów o życiu naszych rodaków pod okupacją niemiecką, a także pod okupacją sowiecką. Okazało się, że generał dzięki pracy towarzyszących mu oficerów, utrzymywał stałą łączność z rządem londyńskim, miał także wgląd w zapisy bieżących informacji nadawanych przez Berlin i przez Moskwę. Radio Moskwa podało wiadomość o utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego oraz informację, że Naczelnym Dowódcą Wojska Polskiego został były polski generał Michał Żymierski, usunięty z wojska pod koniec lat dwudziestych za nadużycia popeł-

nione przy zakupie we Francji masek przeciwgazowych dla polskiego wojska.

Usłyszeliśmy po raz wtóry, że przedwojenna Polska była państwem zbyt słabym, aby utrzymać swoją niepodległość w otoczeniu dwóch wielkich mocarstw dążących do nowego rozbioru. Oba te mocarstwa w latach drugiej wojny popełniły wielkie zbrodnie na ludności polskiej. W celowym niszczeniu inteligencji polskiej przodowali Rosjanie. Generał dla poparcia swojej tezy przytaczał liczby jeńców, oficerów polskiego wojska. Rosjanie zgładzili około trzydziestu tysięcy jeńców. Wielu grobów nigdy nie uda się odnaleźć. Spośród wziętych do niewoli oficerów ocalało kilkuset. Oficerowie przebywający w niewoli niemieckiej w większości przeżyli wojnę w obozach jenieckich, tzw. oflagach. Ocalali tam nawet oficerowie pochodzenia żydowskiego. W oflagach jeńcy mogli dokształcać się, prowadzić działalność kulturalno-oświatową, organizować zawody sportowe.

Tego wieczoru poznaliśmy też przyczyny, dla których generał opuścił Londyn, siedzibę naszego rządu emigracyjnego. Dowiedzieliśmy się o wielu szczegółach dotyczących działalności Armii Krajowej w okupowanej Polsce. Ta nasza podziemna armia, licząca kilkaset tysięcy ludzi, skierowała swoją aktywność przeciwko Niemcom. Obecnie sytuacja wojenna i polityczna zmieniła się. Niemcy, nasz główny przeciwnik, za kilka miesięcy zostaną pokonani. Równocześnie nasz drugi okupant, Związek Radziecki, uważany przez generała za nową odmianę imperializmu rosyjskiego, stał się sojusznikiem naszych sprzymierzeńców – Anglii i Stanów Zjednoczonych. Nasi alianci zapominają o Polsce i oddają nie tylko nas, ale i całą Europę Wschodnią pod władanie Związku Radzieckiego. Komunizm ma zapanować, nie wiadomo na jak długo, nad wielką częścią Europy. Takie decyzje zapadły na konferencji w Teheranie. Z pra-

wem Polaków do życia w niepodległym kraju nikt się nie liczył.

Dowództwo Armii Krajowej nie bierze pod uwagę nowej sytuacji politycznej i nadal przygotowuje się do powstania przeciwko Niemcom. W urzędującym w Londynie emigracyjnym rządzie polskim tylko kilku ministrów poparło zastrzeżenia generała Sosnkowskiego. Pozostali ministrowie albo nie zabierali głosu w tej sprawie, albo uważali, że decyzja należy do dowództwa AK w Warszawie. Gdy z kraju napływały do Londynu wiadomości o zbliżaniu się armii radzieckiej, a rząd nie podejmował żadnej decyzji, generał opuścił Anglię, odlatując do Włoch, aby dokonać inspekcji walczącego tam 2. Korpusu Polskiego pod wodzą generała Władysława Andersa. Wiadomo już było, że generał Sosnkowski nie chciał ponosić żadnej odpowiedzialności za wybuch w Warszawie powstania przeciwko Niemcom. Podczas ostatniej, w lipcu 1944 roku, wieczornej pogadanki generała usłyszeliśmy jego pytania:

– Jaki cel strategiczny zamierzają osiągnąć powstańcy? Opanowanie Warszawy? Aby sprowadzić rząd z Londynu? I Niemcy mają to obserwować znad Utraty czy znad Rawki? Przecież Warszawa jest dla Niemców ważnym punktem strategicznym! Węzeł kolejowy! Mosty! Drogi! A Rosjanie znajdujący się nad Wisłą? Co będzie z nimi? Przyjmemy ich jak przyjaciół? Przecież mają już nasz nowy rząd w Lublinie! A może rozpoczniemy z nimi walkę?

Wieczorem 1 sierpnia 1944 roku nie doczekaliśmy się generała ani na kolacji, ani na wieczornej pogawędce. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że w Warszawie wybuchło Powstanie. Generał każdego dnia przybywał do polskich oddziałów. Odznaczał zasłużonych żołnierzy w szpitalach i na stanowiskach bojowych. Zjadał w naszym kasynie śniadania oraz kolacje, po których odchodził do

swego hotelowego pokoju. W połowie sierpnia odleciał do Londynu.”

Z lotniska w Brindisi startowały samoloty dostarczające do kraju nie tylko uzbrojenie dla AK, ale także coraz więcej cichociemnych, specjalnie szkolonych ludzi do walki z Niemcami. Przesyłano także dolary, banknoty i złote monety dziesięcio- i dwudziestodolarowe na potrzeby Polski Podziemnej. W Generalnej Guberni urzędową walutą były złotówki nazywane „młynarkami”, kursowały także niemieckie marki, lecz najbardziej poszukiwaną walutą były dolary USA. Wartość dolara ustalała jakaś dobrze utajniona giełda, zbliżał się koniec wojny, traciły na wartości i marki, i złotówki, a cena dolarów rosła.

Na lotnisku w Brindisi najlepszym polskim pilotem był Zbyszek Szostak, zaprzyjaźniony z Leszkiem. Dobrą opinię o nim podzielali także piloci angielscy i amerykańscy stacjonujący w tej bazie. Urodzony 11 listopada 1915 roku, kapitan lotnictwa, był przed wojną pilotem w PLL LOT. Podczas tragicznego września brał udział w ewakuacji samolotów naszego LOT-u do Anglii. Były to nowoczesne samoloty Lockheed produkcji amerykańskiej. Na Wyspach Brytyjskich był jednym z pierwszych pilotów w polskich Dywizjonach Bombowych. Po pierwszej turze lotów bojowych (tura to 30 lotów), został przydzielony do Dywizjonu 301, gdzie odbył dwie tury lotów bojowych. Po kilkutygodniowym odpoczynku zgłosił chęć dalszego udziału w lotach i został przydzielony do Eskadry 158. Była to eskadra do specjalnych zadań. Nie skorzystał z przysługującego po trzech turach dłuższego odpoczynku. Był już rok 1944, gdy rozpoczynał loty w czwartej turze bojowej, choć mógł już odpoczywać lub wykonywać inne zadania. Był wtedy jedynym pilotem RAF rozpoczynającym czwartą turę. Nie

chciał zostać instruktorem ani być pilotem w transporcie. W kwietniu 1944 roku wyleciał na lot operacyjny do Polski. Lecieli z zaopatrzeniem dla oddziałów partyzanckich AK. W godzinę po starcie, gdy byli już nad Jugosławią, przestał działać jeden z czterech silników. Zawiadomiony o tym dowódca lotniska, Anglik, wydał rozkaz powrotu do bazy. Szostak nie usłuchał rozkazu. Leciął dalej na trzech silnikach Liberatora mimo rozkazu „return to base!”. Żadnej odpowiedzi od Szostaka nie otrzymano, nie dawał znaku życia. Inne samoloty już dawno powróciły, gdy około siódmej rano usłyszano warkot silników. To nadlatywał Szostak. Gdy uszczęśliwiony Leszek podjechał samochodem do lądującego samolotu, ujrzał w okienku uśmiechniętą twarz Zbyszka i usłyszał:

– Leszek! Przyślij mi natychmiast dobrego radiomechanika!

Gdy samolot zatrzymał się przed hangarem, na pokład wszedł radiomechanik, który usłyszał polecenie wykonania drobnego uszkodzenia aparatu radiowego. Uszkodzenie miało być łatwe do naprawienia. Gdy Szostak wysiadał z samolotu, czekał na niego żandarm z rozkazem natychmiastowego zameldowania się u dowódcy lotniska, angielskiego pułkownika:

– Please, come with us to the Station Commander!

Leszek, choć nie zapraszany, pomaszerował z Szostakiem. Dowódca lotniska powitał ich głośnymi okrzykami. Pułkownik był wściekły, co rzadko zdarza się u Anglików:

– Rozkazałem wam natychmiast wracać! Nie usłuchaliście rozkazu! Pójdziecie pod sąd wojenny za niewykonanie rozkazu!

Szostak odpowiedział spokojnie:

– Nic nie słyszałem, zepsuło się radio!

Rozwścieczony pułkownik rozkazał przywołać radiomechanika z lotniskowej radiostacji. Gdy ten zameldował się, otrzymał rozkaz zbadania radioodbiornika w samolocie Szostaka. Angielski radiomechanik powrócił po kilkudziesięciu minutach i stwierdził, że radioodbiornik jest zepsuty. Pułkownik, przeklinając nieudolnych mechaników, rozkazał Szostakowi odmaszerować.

Niestety, kilka miesięcy później szczęście opuściło kapitana Szostaka. 14 sierpnia 1944 roku wyleciał na czteromotorowym Liberatorze z pomocą dla powstańczej Warszawy. Lecieli z uzbrojeniem, lekarstwami i żywnością. Zrzutu dokonali w rejonie Placu Krasińskich. Po wykonaniu zadania, w drodze powrotnej, samolot został zestrzelony przez atakujące go dwa niemieckie nocne myśliwce. Gdy załoga na rozkaz dowódcy opuszczała samolot, ziemia była zbyt blisko. Spadochrony nie rozwinęły się. Wszyscy ponieśli śmierć. Samolot rozbił się w okolicach Bochni.

Z lotniska w Brindisi wyleciał także Sławek Wojda, zaprzyjaźniony ze mną, już nieżyjący, dawny prezes naszej spółdzielni mieszkaniowej. Na terenie dawnej Jugosławii walczyły jeszcze resztki serbskiej partyzantki wiernej królowi, przebywającemu na emigracji w Londynie. Miał do spełnienia niebezpieczną misję. Poza resztkami partyzantki „królewskiej” działały tam oddziały armii niemieckiej, wojska ogłoszonego nie tak dawno Niezależnego Państwa Chorwackiego oraz bardzo liczna partyzantka komunistyczna, dowodzona przez Josipa Broz-Tito. Wojda zabierał ze sobą korespondencję do generała, dowódcy „królewskiej” partyzantki, list króla Piotra do generała oraz pieniądze na wsparcie działalności partyzanckiej. Wojda wyleciał z Brindisi z załogą pochodzącą z Unii Południowo-Afrykańskiej, z zaopatrzeniem dla partyzantki AK w Generalnej

Guberni. Sławek miał zostać zrzucony na terenie działania rojalistycznych oddziałów partyzanckich, lecz trafił w środek terenu, na którym od dość dawna działała partyzantka komunistyczna dowodzona przez Josipa Broz-Tito, absolwenta moskiewskiej Szkoły NKWD. Sławek Wojda cudem uniknął śmierci, miał przecież korespondencję emigracyjnego rządu byłej Jugosławii do partyzanckiego generała oraz nadzwyczaj ważny list króla Piotra do tegoż dowódcy. Tylko szybka orientacja i instynkt samozachowawczy ocaliły Wojdę od pewnej śmierci. Teren zrutowiska oznaczono na dużej leśnej polanie lampkami naftowymi. Gdy Sławek stojąc w otwartych drzwiach samolotu, przeżegnał się i wyskoczył w groźną, tajemniczą i nieznaną przestrzeń, zasunięto drzwi, samolot poleciał na północ, w kierunku dalekiej polskiej ziemi. Skoczek poczuł szarpnięcie otwierającego się spadochronu i zbliżając się do ziemi, obserwował palące się w dole lampki. Noc była bezwietrzna, gwiazdzista. Gdy dotknął ziemi, otoczyli go uzbrojeni cywile, których przede wszystkim zainteresował spadochron. Wyciągali składane noże i każdy z nich odcinał dla siebie wielki kawał nylonowej tkaniny. Gdy zakończyli kłótnie o spadający z nieba łup, przypomnieli sobie o skoczku i zaprowadzili Sławka piaszczystą drogą przez las na skraj jakiejś wioski. Gdy wyszli z lasu, Sławek z pewnym przeżeniem zobaczył komunistyczne odznaki na kurtkach niektórych partyzantów. Gdy wprowadzono go do dużej izby w starej chałupie i zamknięto drzwi na klucz, był już pewny, że dostał się nie tam, gdzie miał być zaprowadzony. Utwierdziły go w tym przekonaniu odznaki na kurtkach, komunistyczna chorągiew na jednej z chałup, a także słowo „towarzysze”, często powtarzane przez partyzantów w ich języku. Sławek, nawet po wielu latach, nie wiedział, w jaki sposób znalazł się wśród komunistów, skoro powinien zna-

leżeć się pośród partyzantów wiernych królowi oraz jugosłowiańskiemu rządowi emigracyjnemu. Gdy ukrył paczkę z korespondencją i zniszczył najważniejszy dokument, list królewski do generała, uspokoił się, że nie wpadną one w obce ręce. Do rana drzemał na łóżku. Rano wyprowadzono go do studni, aby się umył. Zjadł jakąś partyzancką zupę i czekał na bryczkę, którą miano go przewieźć do dowódcy. Starą jednokonną bryczką, w towarzystwie czterech uzbrojonych partyzantów, zawieziono go do niewielkiej osady, gdzie w piętrowym domu urzędowało dowództwo. Przed wejściem stało dwóch wartowników, a z balkonu zwisała partyzancka flaga z pięcioramienną gwiazdą. W dużej izbie było kilka osób. Najpierw dokładnie go zrewidowano. Z szerokiego pasa wyciągnięto walutę, papierowe dolary i złote monety dziesięcio- i dwudziestodolarowe. Wszystko dokładnie przeliczono. Później jeden z obecnych, znający trochę język polski, spytał go o nazwisko. Wojda podał nazwisko jednego z kolegów spadochroniarzy, który polecał do partyzantów w okolice Nowego Sącza – „Wolski”. Na twarzach siedzących za stołem ludzi pojawiło się zdziwienie. Padło pytanie:

– To wy nie Wojda?

Fakt, że znają jego prawdziwe nazwisko, zaskoczył i przeraził Sławka. Przecież miał być zrzucony gdzie indziej! Miał wylądować pośród partyzantów wiernych emigracyjnemu rządowi!

Zdał sobie sprawę z tego, że musi udawać kogoś innego niż jest.

– Ja jestem Bronisław Wolski, a Wojda polecał dalej! Został w samolocie.

Dopiero później zdał sobie sprawę z tego, że to kłamstwo ocaliło mu życie. Po wielu latach opowiadał mi, że dopiero ucieczka Philby’ego, przez Kaukaz do Moskwy, wyjaśniła

mu zagadkę, skąd jugosłowiańscy komuniści znali jego nazwisko. Brytyjski oficer, będący agentem NKWD, wyznaczył lotnikom teren, na który mają dokonać zrzutu Sławka Wojdy. Wiele lat po wojnie zdołano ustalić, że w kierownictwie angielskiego wywiadu przez wiele lat skutecznie działało kilku Anglików, agentów GPU NKWD. Ważne dokumenty przesyłane przez jugosłowiański rząd emigracyjny urzędujący w Londynie, kierowane do wiernej królowi partyzantki, dostawały się w ręce sowieckiego wywiadu kierującego działalnością partyzantki komunistycznej.

Wśród przesłuchujących był sowiecki oficer. Na kategoryczne żądanie Wojdy wydano mu poświadczenie konfiskaty waluty. W pasie, w którym miał ukryte pieniądze, znajdowało się 6000 dolarów w banknotach, pięćdziesiąt monet dwudziestodolarowych oraz pięćdziesiąt monet dziesięciodolarowych.

Po kilku godzinach przesłuchań Sławek dowiedział się, że będzie przebywał w chacie, w której spędził noc i oczekiwał na dalsze decyzje dowództwa. Polecono mu, aby pomagał partyzantom w szkoleniu nowych ochotników. Izby nie zamykano na klucz, nie było też wartownika. Sławek w ciągu dnia kąpał się w pobliskiej rzeczce, opalał się na skraju lasu, uczył partyzantów sztuki minowania linii kolejowych oraz mostów. Współzycie z partyzantami układało się nadzwyczaj dobrze. Po kilku tygodniach zawiadomiono go, że zostanie przerzucony na Węgry, do Polskiego Ośrodka Pomocy Uciekinierom w Budapeszcie.

Opisany powyżej fragment przeżyć Sławka Wojdy usłyszałem od niego podczas kilku wieczorów spędzonych w moim mieszkaniu. Miał mi dokładnie opisać drogę powrotu do Polski. Niestety, tak się nie stało, choć Sławek mówił mi, że pracuje nad swoimi wspomnieniami, że niedługo je skończy. Przed kilku laty umarł. Podobno pośród

papierów pozostałych po Sławku nie ma żadnego opisu jego wojennych przeżyć.

Na początku 1945 roku Leszek służył w Dywizjonie Bombowym 318 kwaterującym w środkowych Włoszech.

Dzień 27 kwietnia 1945 roku zapamiętał na długo. Był to dzień, w którym, ku swojemu przerażeniu, zobaczył na prymitywnej szubienicy ciała dwóch osób wiszące do góry nogami. Dowiedział się od jakiegoś Włocha, stojącego w tłumie gapiów, że są to zwłoki „Duce” oraz jego przyjaciółki. „Duce” – Benito Mussolini – był przywódcą stworzonej przez siebie Narodowej Partii Faszystowskiej, skupiającej w swoich szeregach miliony Włochów skutecznie pomagających mu sprawować dyktatorskie rządy. Obok zawisła jego przyjaciółka Claretta Petacci, wierna mu aż do śmierci. Mussolini, który przez lata realizował swoje plany stworzenia nowoczesnego *Imperium Romanum*, popełnił wielki błąd, przyłączając się do Hitlera w dniach jego największego sukcesu, po upadku Francji.

Początkowo sojusz z Niemcami przynosił Włochom same sukcesy. Powiększano posiadłości w północnej Afryce, podbito Albanie, a po nieudanej inwazji na Grecję, podporządkowano Włochom Chorwację i Słowenię po ich rozbiću przez armię niemiecką. To pasmo włoskich sukcesów zakończyło się z chwilą uderzenia Niemców na Związek Radziecki. Kiedy po pierwszych wspaniałych zwycięstwach Armia Czerwona oraz wczesna zima powstrzymały natarcie Hitlera na Moskwę, zażądano od Mussoliniego pomocy. Dziesiątki tysięcy żołnierzy włoskich wysyłano na wschód, gdzie oczekiwały na nich bezkresne ukraińskie stepy, mróz oraz sowieckie łagry. W taki nieoczekiwany sposób zakończyły się marzenia Mussoliniego o wskrzeszeniu Imperium Rzymskiego. Kiedy Anglicy przy pomocy Polaków próbo-

wali przepędzić Włochów z północnej Afryki, Mussolini wezwał na pomoc Niemców. Hitler wysłał do Afryki dywizję pancerną dowodzoną przez generała Rommla, nazwanego po chwilowych sukcesach „Lisem Pustyni”, jednak o wyniku tych zmagających zdecydowali Amerykanie. 15 maja 1943 roku wojska alianckie zakończyły likwidację wojsk włosko-niemieckich w północnej Afryce. Generał Rommel z resztkami swojej dywizji, a także część armii włoskiej, wycofali się na Sycylię i do południowych Włoch. Niemcy spodziewając się ataku wojsk alianckich na Półwysep Apeniński, zaczęli wzmacniać swoje garnizony w miastach włoskich.

Inwazja wojsk alianckich z morza i z powietrza na Sycylię nastąpiła 10 lipca 1943 roku. Włosi mówili coraz głośniej o konieczności zawarcia pokoju. Wiktor Emanuel III, król Włoch oraz Albanii, 25 lipca 1943 roku odwołał ze stanowiska premiera rządu Benito Mussoliniego. Nowym premierem został Pietro Badoglio, a Mussoliniego osadzono w areszcie, w zabytkowym budynku na szczycie jednej z gór.

16 sierpnia alianci zdobyli Messynę, opanowując całą Sycylię. Rząd włoski, zdając sobie sprawę ze słabości własnych sił zbrojnych oraz z tego, że kraj jest nieprzygotowany do długotrwałej wojny, ogłosił 8 września 1943 roku kapitulację Włoch. Po uzyskaniu tej informacji Hitler nakazał znaczne powiększenie garnizonów niemieckich w miastach włoskich oraz rozpoczęcie budowy fortyfikacji mających powstrzymywać ataki aliantów.

Armia niemiecka stawiała się z armii sojuszniczej armią okupacyjną. W tym samym dniu wojska alianckie rozpoczęły lądowanie na południu Włoch, w Kalabrii, a 9 września oddziały armii amerykańskiej wylądowały w okolicach Sorrento.

3 września 1943 r. marszałek Badoglio podpisał zawieszenie broni. Tego samego dnia ukazał się w prasie niemieckiej komunikat kwatery głównej Hitlera o uwolnieniu Mussoliniego przez specjalny oddział spadochroniarzy SS-Waffen i komandosów Luftwaffe. W kwaterze głównej Mussolini odbył dłuższą rozmowę z Hitlerem. Konferował także z Himmlerem, ministrem spraw wewnętrznych Rzeszy, współtwórcą SS, Gestapo i policji.

13 października Włochy zostały uznane za członka koalicji antyhitlerowskiej. W tym czasie alianci nacierali na pozycje niemieckie, spychając nieprzyjaciela do rejonu Monte Cassino. Walki wznowiono dopiero 4 stycznia 1944 roku. Trzy wielkie ataki na wzgórze i klasztor Monte Cassino przeprowadzone przez wojska amerykańskie, angielskie i francuskie zakończyły się niepowodzeniem. Dopiero czwarty atak przeprowadzony przez polskich żołnierzy, doprowadził do zdobycia wzgórza i klasztoru Monte Cassino. Natarcie rozpoczęło 11 maja. Po kilkudniowych walkach nad ruinami klasztoru ukazała się flaga polska.

4 czerwca 1944 roku wojska alianckie wkraczają do Rzymu. Gdy 6 czerwca rozpoczęła się w Normandii inwazja wojsk alianckich, Francja stała się głównym terenem walk. We Włoszech działania wojenne ustawały. Wojska niemieckie pozostawały w północnych Włoszech, okupując Mediolan, Turyn, Padwę i Wenecję, w których Mussolini starał się utrzymać rządy. W tym czasie lotnictwo alianckie wykorzystywało lotniska na terenach wyzwolonych Włoch. Bombardowano miasta w południowych Niemczech oraz wojskowe obiekty w krajach okupowanych jeszcze przez Niemców. Dopiero w kwietniu 1945 roku, gdy armia radziecka okrążała Berlin, a wojska amerykańskie zbliżały się do Pragi Czeskiej, dowództwo wojsk niemieckich w północnych Włoszech podjęło decyzję wycofania się do granic

Rzeszy. Powiadomiony o tym Mussolini zdecydował się na opuszczenie Włoch i zwrócenie się do rządu Szwajcarii z prośbą o udzielenie azylu. Zdecydowano także o tym, aby razem z Duce opuściło granice Włoch pięćdziesięciu jego najwierniejszych współpracowników. Kilkanaście samochodów, którymi mieli uciekać, włączyło się do długiej kolumny samochodowej wycofujących się z Włoch Niemców. Mussolini założył płaszcz niemieckiego oficera, a na głowę włożył niemiecki stalowy hełm. Mimo takiego przebrania rozpoznano go już w najbliższym mijanym miasteczku.

W północnych Włoszech pod niemiecką okupacją pod koniec wojny działały liczne oddziały partyzanckie. Mieszkańcy miasteczka zawiadomili partyzantów o tym, kogo widzieli w kolumnie samochodów niemieckich zdążających w kierunku granicy. Partyzanci zawiadomili delegata Frontu Wyzwolenia Narodu, a ten zwrócił się do dowódcy oddziałów niemieckich z propozycją zapewnienia bezpiecznego dotarcia do upragnionej granicy, w zamian żądając wydania uciekających z nimi Włochów. Niemcy przystali na tę propozycję i wskazali partyzantom samochody z Mussołinim i jego towarzyszami. Tego samego dnia, 27 kwietnia 1945 roku po południu, Benito Mussolini wraz z pięćdziesięcioma towarzyszącymi osobami stanęli przed Trybunałem Rewolucyjnym w miasteczku Dongo, na północ od Mediolanu. Wszyscy zostali skazani na karę śmierci. 28 kwietnia rozstrzelano skazańców w miejscowości Giullino di Mezzegra. Zwłoki Benito Mussoliniego i jego wiernej aż do końca kochanki Claretty Petacci oraz zwłoki najbardziej znienawidzonych skazańców przewieziono do Mediolanu, gdzie powieszono ich na prowizorycznych szubienicach.

Tego samego dnia do Mediolanu wjechała kolumna alianckich samochodów. W tej długiej kolumnie były także samochody z Dywizjonu Bombowego, w którym słu-

żył Leszek Chełmiński. Jechali, aby przejąć w północnych Włoszech jakieś lotnisko dla potrzeb ich dywizjonu. W jednym z samochodów jechał major Leszek Chełmiński, który zrobił makabryczne zdjęcie przedstawiające powieszonych głowami w dół Benito i Clarette. Był wstrząśnięty tym widokiem. Przypomniwał sobie niedawne kroniki filmowe, w których oglądał tłumy Włochów wiwatujących na cześć Duce.

31 marca 1945 roku w miejscowości Forli odbył się ślub Leszka Chełmińskiego z Krystyną Tarnowicz, radiotelegrafistką ze sztabu generała Władysława Andersa. Pochodziła ze Lwowa. Jako uczennica, w roku 1941, została wraz z całą szkołą wywieziona do Kazachstanu.

Gdy kończyła się wojna dywizjon Leszka kwaterował w pobliżu Wenecji. W roku 1946 przeniesiono go do Anglii, gdzie nastąpiła demobilizacja. Leszek opuścił armię w stopniu majora. W roku 1947 wsłuchiowano się w nadchodzące z Polski wiadomości. Gdy okazało się, że droga do kraju jest zamknięta, Leszek zdecydował się na wyjazd wraz z rodziną do Kanady. W międzyczasie bowiem jego rodzina powiększyła się – w roku 1946 urodził się syn Andrzej, a w roku 1948 – córka Lilianna. Znacznie później przybyło im dwoje wnucząt, w roku 1982 wnuk Darek, a w roku 1983 wnuczka Teri.

Po przybyciu do Kanady, w roku 1948, Leszek otrzymał od rządu kanadyjskiego trzymiesięczne wynagrodzenie i rozpoczął pracę jako inżynier mechanik w biurze konstrukcyjnym największej kanadyjskiej fabryki samolotów – Canadair. W roku 1952 został mianowany szefem jednego z wydziałów tej fabryki, a w roku 1965 awansował na stanowisko kierownika jednego z departamentów. W godzinach wolnych od pracy studiował na Uniwersytecie McGill, na

Wydziale Aeronautyki. Studia te trwały od 1952 do 1956 roku. Chcąc pogłębić swoje wiadomości, w latach 1965-1970 studiował na Wydziale Business and Administration. W zakładach Canadair pracował aż do przejścia na emeryturę w roku 1975. Już jako emeryt zaczął pracować w charakterze doradcy-konsultanta w Canadian Executive Service Organization. Jest to instytucja zatrudniająca około 4300 wybitnych specjalistów w różnych dziedzinach.



Leszek Chełmiński, major lotnictwa.

W tamtych czasach Leszek był jednym z najwybitniejszych w Kanadzie specjalistów w dziedzinie aeronautyki. Instytucja, w której pracował, została stworzona przez rząd kanadyjski w celu udzielania pomocy krajom rozwijającym się. Czterokrotnie był zapraszany do Polski przez przemysł lotniczy. Ostatnia jego wizyta związana była z zaproszeniem przez WSK PZL w Mielcu. Negatywna ocena, jaką wydał po wizytacji tego zakładu, mogła mieć niedobry wpływ na ewentualne kontakty z producentami zachodnimi. Złą opinię potwierdziły liczne katastrofy produkowanych w Mielcu helikopterów.

W Księdze Pamiątkowej wydanej w Kanadzie Leszek Chełmiński, ze swoimi sześćdziesięcioma trzema wyjazdami zagranicznymi, jest prawdziwym rekordzistą. Najdłużej, przeszło dwa lata, pracował w Chinach. Nadzorował przebudowę starych i budowę nowych lotnisk. Doradzał przy tworzeniu warsztatów naprawczych dla samolotów, a nawet pomagał w budowie dużej, nowoczesnej fabryki tworzyw sztucznych potrzebnych w produkcji różnych akcesoriów stanowiących wyposażenie samolotów. W jednej z chińskich gazet, wychodzących w języku angielskim, nazwano Leszka „God of Prosperity” – „Bóg Dobrobytu”. Kilka chińskich miast, w których pracował, nadało mu tytuł



Leszek Chełmiński, Prezes Stowarzyszenia Polonii Kandyjskiej.

Honorowego Obywatela. Najwięcej pochwał związanych z tym tytułem otrzymał w mieście Wuhan.

W Indiach pobyt Leszka trwał ponad rok. Pomagał tam w budowie nowoczesnych lotnisk wraz z zapleczem technicznym.

Nadzorował przez osiem miesięcy budowę lotnisk w Arabii Saudyjskiej. Zaplecze tych lotnisk to nie tylko warsztaty naprawcze, ale także hotele, a nawet baseny kąpielowe dla lotników biorących udział w „Wojnie w Zatoce”. Budując lotniska dla wielkich, ciężkich samolotów oraz wznosząc budynki dla personelu, a także warsztaty naprawcze, napotymano na wiele trudności, takich jak piaszczyste podłoże, brak wody, wysoka temperatura powietrza. To były trudne miesiące.

Wyjazdy do innych krajów nie były połączone z tak ogromnymi trudnościami. Pracował w Brazylii, Argentynie, Kolumbii, Gwatemali, Ekwadorze, Singapurze i Malezji.

Czas wolny od zajęć zawodowych Leszek poświęcał pracy społecznej i sportowi. W Stowarzyszeniu Lotników Polskich w Kanadzie pełnił różne funkcje. Był sekretarzem, wiceprezesem i prezesem w latach 1956 – 1966. Podobne funkcje pełnił w Stowarzyszeniu Techników Polskich w Kanadzie. W Kongresie Polonii Kanadyjskiej zajmował najwyższe stanowiska. Już w roku 1953 był współzałożycielem Stowarzyszenia Byłych Lotników Polskich w Anglii. W Montrealu żyło wtedy ponad stu byłych lotników RAF. Do Stowarzyszenia przyjmowano także lotników polskich, którzy po Kampanii Wrześniowej dostali się do niemieckiej niewoli i po wojnie osiedli w Kanadzie. Wiele czasu poświęcał pracy w Stowarzyszeniu Polonii Kanadyjskiej. W czasie gdy był jego prezesem, doprowadził do połączenia wszystkich organizacji polonijnych w Kanadzie w jeden Kongres Polonii Kanadyjskiej.

Wszystkie pozostałe wolne chwile poświęcał życiu sportowemu. Jego zamiłowanie do sportu ujawniło się już w 1945 roku, kiedy Dywizjon 318 kwaterował w północnych Włoszech, w pobliżu Cortina d'Ampezzo, gdzie panowały wspaniałe warunki do uprawiania narciarstwa. W latach 1945-1946 brał udział wraz z innymi polskimi żołnierzami narciarzami w różnych zawodach urządzanych dla żołnierzy armii sprzymierzonych. W urządzanych w Alpach Austriackich mistrzostwach w biegach zjazdowych narciarze z Dywizjonu 318 zdobyli pierwsze miejsce zespołowe. Znany przedwojenny narciarz z Zakopanego, Jan Kula, był drugi, inny zakopiańczyk – Wawrytko – piąty, a siódmy był Leszek Chełmiński. Zwycięstwo Polaków uznano za wielki sukces, gdyż pokonali ekipy USA, Kanady, Anglii i Francji.

Sytuacja polityczna w Polsce, ograniczająca możliwości powrotu żołnierzy tułaczy, pomniejszała radość z odnoszonych zwycięstw, podobnie jak radość z zakończenia wojny. Polscy żołnierze przebywający na Zachodzie nie mogli zrozumieć, jak mogło dojść do tego, że po zwycięstwie zamknięto przed nimi drogę powrotu do ojczyzny, za którą walczyli i przelewali krew. Nie rozumieli, jak mogło się tak stać. Wojna gwałtownie zakończyła dawne życie ich wszystkich. Teraz, gdy nareszcie nadszedł oczekiwany pokój, okazało się, że muszą od nowa budować swoje życie.

Leszek Chełmiński, podobnie jak jego koledzy, stopniowo zapuszczał korzenie w piękną kanadyjską ziemię. Powoli zapominał o tym wszystkim, co działo się przed wojną. Życie rodzinne, praca zawodowa, aktywność społeczna i sportowa ułatwiały aklimatyzację w zupełnie nowych warunkach.

W sporcie automobilowym zdobył w Kanadzie ponad sto medali. W latach 1957-1958 na samochodzie Porsche zdobył mistrzostwo Kanady. Wygrał także, jadąc na samochodzie Citroen, wyścig na trasie Halifax – Vancouver – Halifax.



L. Chełmiński wygrywa rajd Halifax-Vancouver-Halifax.

Piastował też stanowisko Wicedyrektora Sportu w Komitecie Olimpijskim XXI Igrzysk Olimpijskich, które odbyły się w Montrealu w roku 1976. Był odpowiedzialny za wszystkie wyścigi kolarskie, konkurs na to stanowisko wygrał dzięki swoim sukcesom sportowym. Wybrano go spośród ponad pięciuset kandydatów. Po zakończeniu Olimpiady otrzymał od Polskiego Komitetu Olimpijskiego Dyplom Honorowy wraz z serdecznymi podziękowaniami.

Wszystkie swoje urlopy spędzał nad jeziorami lub nad oceanem, uprawiając żeglarstwo oraz pływając na desce windsurfingowej.



L. Chełmiński, córka Liliana, żona Krystyna, syn Andrzej.

Kończę moją opowieść 3 marca 2003 roku. Gdy rozstawaliśmy się z Leszkiem w październiku ubiegłego roku, obiecał, że zjawi się u mnie w maju bieżącego roku. Przeczyta ten tekst, dokona poprawek. Oby tak się stało!

Leszek Chełmiński zmarł nagle 2 lutego 2007 roku.

MIECZYŚLAW KRUSZEWSKI

Mieczysław Kruszewski urodził się w dniu 25 listopada 1914 roku, w Warszawie, w rodzinie rzemieślniczej. Gdy zakończyła się Pierwsza Wojna Światowa, w Pruszkowie przystąpiono do odbudowy Warsztatów Kolejowych. W dużej, mechanicznej kuźni zatrudniono ojca Mietka, a wtedy rodzina Kruszewskich przeprowadziła się do Pruszkowa, Zamieszkali w domu Dudy, przy ul. Szopena nr 4 (dawniej). Sześciuosobowa rodzina, rodzice, trzy córki, Stefania, Janina i Ewa, oraz syn Mieczysław, zamieszkała w dwupokojowym mieszkaniu, na drugim piętrze, z balkonem. Z balkonu i z okien wychodzących na ulicę Szopena, widać było park „Sokoła” z boiskiem koszykówki, rozległą panoramę miasta z dwoma fabrycznymi kominami i dwiema niedokończonymi wieżami kościoła pod wezwaniem św. Kazimierza,

Po raz pierwszy drogi naszego życia zetknęły się w dniu 1 września 1922 roku, na rozległym piaszczystym dziedzińcu, tuż obok piętrowego budynku z czerwonej prasowanej cegły, zbudowanego przez Dyрекcję Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, na Żbikowie, w pobliżu Warsztatów Kolejowych i nie istniejącego dziś przejazdu. Gdy na tych ziemiach, zniszczonych krwawą wojną, zapa-

nował wreszcie pokój i powstała niepodległa Polska, wprowadzono nareszcie obowiązek kształcenia dzieci, okazało się, że dla wielu młodych ludzi nie było miejsca w szkołach, mimo że w pośpiechu przerabiano budynki mieszkalne na prymitywne budynki szkolne, bez kanalizacji i wodociągów. W tym czasie zaczęły powracać do Pruszkowa rodziny kolejarskie, ewakuowane w latach 1914-15 w głąb Rosji. Gdy okazało się, że dla tych dzieci zabrakło miejsc w szkołach, dyrekcja Polskich Kolei Państwowych postanowiła oddać na potrzeby szkolnictwa dwa swoje budynki, które miały służyć przede wszystkim dzieciom z rodzin kolejarskich. Był to duży budynek dawnego szpitala na Papierni oraz piętrowy budynek na Żbikowie, w którym rozpoczynaliśmy naukę. Jeśli w jakiejś klasie w tych budynkach były wolne miejsca, przyjmowano dzieci nie kolejarzy.

Już pierwszego dnia okazało się, że los połączył nasze nazwiska w dzienniku klasowym, Kruszewski i Krzyczkowski. Ta kolejność odczytywana podczas sprawdzania listy obecności, została zachowana przez sześć lat mojej nauki w szkole „Kolejowej”; później spotkaliśmy się, ale w roku 1935 na komisji poborowej, kiedy po Mietku, moja naga postać ustawiła się przed komisją.

Naszą wspólną naukę w tych dwóch szkołach kolejowych opisałem w książce „Dzielnica milionerów”. Razem z Mietkiem włóczyliśmy się po łąkach nad Utrą, razem strącaliśmy kasztany w parku „Sokoła”, wiosną pływaliliśmy w stawach parku Bergsona na krach, a zimą, wracając ze szkoły na Żbikowie, zjeżdżaliśmy na naszych tornistrach z ośnieżonej małej górki, dawnej „lodowni”. Gdy nadeszła pora na przygotowania do przyjęcia pierwszej Komunii św., wspólnie uczyliśmy się katechizmu. Wspomnienia o tamtych czasach nie opuszczały nas po wielu latach.

Nawet w Argentynie, jadąc samochodem przez bezkresny interior, mówiliśmy o dawnych nauczycielach, o „przepychance” przed konfesjonalem podczas pierwszej spowiedzi i o pierwszej Komunii św. udzielanej nam przez niezapomnianego księdza proboszcza Edwarda Tyszkę.

Przez pierwsze trzy lata naszej nauki w szkole na Żbikowie uczyła nas starsza pani, nieduża, siwiuteńka, bardzo przez nas lubiana pani Romanowska. Przez następne trzy lata, a Mietka przez cztery, uczyła nas, już na „Papierni”, pani Franciszka Nurkiewicz. Wzorowa nauczycielka, surowa, wymagająca, sprawiedliwa. Pochodziła z Galicji, gdzie otrzymała solidne wykształcenie. W styczniu 1928 roku fotograf Abramowicz zrobił zdjęcie naszej klasy. W środku siedzą dwie nauczycielki i kierowniczką szkoły, pani Jasiewicz oraz pani Nurkiewicz, otulona chustką. U góry stoi Mietek, był zawsze dobrze ubrany, nosił krawat, ręce założył „po napoleońsku”. Obok stoi Kazio Drygas, późniejszy dyrektor Warsztatów Kolejowych, a dalej Marian Michalski, zwany „Dziunią”, który później zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Samochód prowadził narzeczony jego córki – Ewy – znanej prezenterki telewizyjnej. Obok Mariana stoi dwóch kolegów i ja, jako przedostatni. Pierwszy z lewej, z siedzących na podłodze, to Mundek Grabowski. Aresztowany przez gestapo w dniu 4 kwietnia 1940 roku, zmarł w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, a przedostatni to Gienek Zalewski, rozstrzelany 31 grudnia 1943 roku w Warszawie na ul. Towarowej, w pobliżu dzisiejszego Dworca Ochota. Pół roku później ja byłem już uczniem warszawskiego Gimnazjum Zgromadzenia Kupców, a Mietek dopiero w rok po mnie, po ukończeniu siedmiu oddziałów, zdawał do Gimnazjum Zana. Zdjęcie zostało zrobione podczas ostatnich miesięcy naszej wspólnej edukacji.

Chociaż kończyło się nasze wspólnie spędzane dzieciństwo, to niezupełnie rozchodziły się drogi naszego życia. Zachowały się wspomnienia. Wspominaliśmy siedzenie w jednej ławce, pamiętaliśmy o wspólnych kąpielach na helenowskich gliniankach, o gonitwach na bosaka za kółkiem popychanym odpowiednio zakrzywionym drutem po piaszczystych drogach, wspomnienia o palonych jesienią ogniskach i o puszczaniu latawców na polach nad Utrą.

W latach późniejszych, kiedy uczyliśmy się w różnych szkołach średnich, nasze spotkania nie były już tak częste. W ciepłe popołudnia spotykaliśmy się w parku „Sokoła” aby pograć w koszykówkę, lub podczas spacerów po pruszkowskim „deptaku” wędrując wzdłuż ulicy Kościuszki. W niedziele spotykaliśmy się przed pruszkowskim kościołem po szkolnej mszy na dziesiątą, na którą „Zaniacy” przychodzili czwórkami. Po mszy, jeśli dopisywała pogoda, szliśmy rozgadaną gromadą do Komorowa, słuchając opowieści kolegów. W upalne dni wolne chwile spędzaliśmy na komorowskich gliniankach.

Po kąpieli czytaliśmy książki lub graliśmy w karty w preferansa lub brydża. Podczas ostatniego roku nauki w liceum Zana Mietek grał w koszykówkę w drużynie „Strzelca”. Po maturze, którą zdawał w roku 1934, już jako student Szkoły Głównej Handlowej, przeniósł się do warszawskiej „Polonii”. W roku 1938 wszedł do zespołu reprezentującego Polskę w międzynarodowych rozgrywkach. W roku 1935 stawaliśmy razem przed komisją poborową, uznano nas za zdolnych do służby wojskowej. Ja, już we wrześniu, odjechałem do Szkoły Podchorążych w Pułtusk a Mietek w następnym roku rozpoczął służbę wojskową w Szkole Podchorążych w Łodzi.

Z naszych wspólnych przedwojennych przeżyć zapamiętałem dobrze wizytę w Pęcicach u Marylskich; tego

roku komorowskie glinianki w upalne dni wypełniały się nadmierną ilością amatorów kąpieli. Woda była mętna, pełna zawiesin. Szukając dobrego miejsca powędrowaliśmy do stawów rybnych należących do majątku w Pęcicach. Po kilku dniach, uzbrojeni w kije ludzie z majątku odgonili nas od stawów. Kąpiącym zabierano ubrania, które należało odebrać w biurze majątku, u administratora. Ktoś z nas wpadł na pomysł, aby udać się do dziedzica Pęcic, Marylskiego, z prośbą, aby zezwolił nam na kąpiel w upalne dni, w pierwszym stawie od strony kolejki EKD. Wybraliśmy się we czwórek: Witek Pakulski, przebywający w Pruszkowie na krótkim urlopie ze Szkoły Podchorążych w Lidzie, Mietek, mój brat Jurek oraz ja. Stojąc na schodach, prowadzących do pałacu, poprosiliśmy jakiegoś pracownika, aby powiedział panu dziedzicowi, że chcemy z nim porozmawiać. Zdziwiłem się, gdy zobaczyłem, że wyszedł do nas Wojciech Marylski, postać dobrze znana czytelnikom tygodnika „Świat” z reportaży pisanych z Afryki, gdzie był organizatorem polowań na słonie i lwy dla bogatych turystów. Przy tytule każdego reportażu było zdjęcie autora w takim samym stroju, w jakim do nas wyszedł. Buty z cholewami, spodnie „oficerskie” w kolorze zielonkawym, w tym samym kolorze koszula z krótkimi rękawami, rozpięta pod szyją. Wyglądał tak samo, jak na zdjęciach z Afryki. „Co panów do mnie sprowadza?” – zapytał. Witek, jako „najmocniejszy” w gadaniu, odpowiedział, zgodnie z prawdą, że nie mamy się gdzie kąpać, gdyż na komorowskich gliniankach kąpie się tak dużo dzieci i młodzieży, że woda stała się brudna, zawieszista jak bulion. Chcieliśmy wykąpać się w pierwszym stawie od strony torów kolejki EKD, jednak ludzie z Pęcic zabraniają nam kąpieli. Marylskiego zaciekawił akcent Witka. Spytał o jego pochodzenie. Witek powiedział, że mimo piętnastoletniego pobytu w Polsce nie

może pozbyć się amerykańskiego myślenia oraz akcentu z przedmieść Nowego Jorku. Zaczęli rozmawiać po angielsku. Witek tłumaczył różnice językowe angielsko-amerykańskie. Przyprowadzono osiodłanego konia, Marylski powiedział służącemu, że jedzie do Pruszkowa na pocztę i do Komorowa. Będzie z powrotem za dwie godziny. Poklepał konia, wziął lejce i poszedł razem z nami, prowadząc konia przy sobie, w kierunku Pruszkowa. Przez cały czas rozmawiał z Witkiem. Dowiedział się, gdzie studiuje Jurek, a gdzie Mietek, że ja we wrześniu idę do podchorążówki. Gdy doszliśmy do stawu nazywanego przez nas „Capri”, Marylski odesłał strażników do Pęcic mówiąc, aby pilnowali tylko tych dalszych stawów, a w tym będziemy się kąpać do końca wakacji. Przy pożegnaniu, gdy powiedziałem, że czytam jego reportaże w tygodniku „Świat”, zaprosił nas na godzinę 18.00 w najbliższą sobotę, abyśmy wysłuchali jego opowieści o Afryce dla kilkunastu zaprzyjaźnionych osób. Miał swoją opowieść ilustrować przeżroczami. Nie wiem, dlaczego nie skorzystaliśmy z tego zaproszenia.

W dniu 20 września meldowałem się w Pułtusku, w Szkole Podchorążych. W rok później do Szkoły Podchorążych w Łodzi odjeżdżał Mietek. To nasze spokojne życie zakończyło się z dniem 1 września 1939 roku, kiedy zawalił się cały nasz świat.

W końcu sierpnia Mietek został zmobilizowany do 50 pp stacjonującego w Cytadeli Warszawskiej. A w dniu 3 września odjechałem do 34 pp w Białej Podlaskiej. Mietek był już podporucznikiem rezerwy. Dowodził plutonem, wraz ze swoim 30 pułkiem piechoty im. Strzelców Kaniowskich brał udział w obronie Warszawy. Po kapitulacji nie poszedł do niewoli. Przedostał się na Pragę, do mieszkającej na Targówku siostry Stefanii. Przebrał się w cywilne ubranie

i przy najbliższej okazji powrócił do Pruszkowa. W końcu listopada, gdy dowiedział się o mojej nieudanej wyprawie na Zachód, przez Krynice i Słowackie Tatry, postanowił wędrować do Rumunii przez dawne Kresy Wschodnie. Liczył na pomoc szkolnego kolegi, Mariana Łukasika, pruszkowianina, który już przed wojną zamieszkał w Białymstoku, po usunięciu z Uniwersytetu Warszawskiego za umieszczanie w komunizującej gazecie kłamliwych informacji o profesorach z tej uczelni. Podobno, jak mówiono w Pruszkowie, Marian osiadł w Białymstoku jako funkcjonariusz partyjny, działający w konspiracji Komunistycznej Partii Polski. Mietek, żegnając się ze mną, wziął ze sobą mapę Polski, wyrwaną przeze mnie z dużego atlasu geograficznego Korzona. Składając Mietkowi życzenia szczęśliwego dotarcia do wymarzonej Francji, byłem już zdecydowany pozostać w kraju, ostrzegałem Mietka przed „sowieckim rajem”, z którym zetknąłem się we wrześniu, w Międzyrzeczu Podlaskim. Mietek wyruszył w towarzystwie kolegi z Komorowa, Bogdana Zabłockiego. Opuścili Pruszków w połowie grudnia 1939 r. Zobaczyliśmy się dopiero po blisko trzydziestu latach. Opowiadał mi wtedy, jak przed przekroczeniem „linii demarkacyjnej” w pobliżu Małkini, jadł kolację w jakiejś leśniczówce, żona leśniczego częstowała ich białą kielbasą z kapustą popijaną szklanką samogonu. W środku nocy leśniczy przeprowadził ich na sowiecką stronę, omijając posterunki niemieckie i sowieckie. Otumanieni wódką, nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, że już są po drugiej stronie granicy. Z tej wyprawy Mietek najlepiej zapamiętał smak białej kielbasy. Po wielu latach, gdy odwiedzał mnie w Warszawie, zawsze prosił moją żonę Eufrozinę o przygotowanie obiadu z białą kielbasą i kapustą. Biała kielbasa z kapustą po każdym przylocie Mietka do kraju zjawiała się na stole. Mietek wspominał niezmiennie tamten wieczór i

wędrówkę przez ośnieżony las. Przekraczając granicę udawali przemysłowców. Nieśli ze sobą kilka kilogramów cukru i soli, dużą ilość zapalek oraz igły i nici. Były to artykuły, których brakowało po tamtej stronie.

W Białymstoku odszukali Mariana Łukasika. Odradził im wędrówkę przez Litwę, doradzał drogę przez Lwów. Podczas szczerej rozmowy z Marianem, Mietek wyczuł, że ten zjadłszy komunista po trzech miesiącach pobytu w wymarzonym „raju” zmienił swe poglądy na „realny komunizm”. Marian załatwił im jakieś przepustki umożliwiające podróż do Lwowa. Dał im także adres Stanisława Gruszczyńskiego, ostatniego burmistrza Pruszkowa.

Lwów okazał się zupełnie innym miastem. Puste lub pozamykane sklepy, brudne, nie zamykane ulice, restauracje zamienione na stołówki, wydające obiady na kartki. W starej książce telefonicznej wynalazł Mietek adres rodziny kolegi ze studiów, z warszawskiej SGH. Okazało się, że kolega nie powrócił z wrześniowej wojny, nie dał żadnego znaku życia. Podczas długiej rozmowy z ojcem kolegi, ustalili trasę dalszej wędrówki w kierunku granicy rumuńskiej. Należało jechać pociągiem przez Sambor, w kierunku granicy. Miało być uzgodnione z polskimi maszynistami, że przed Samborem pociąg zwolni bieg, by zagrożeni aresztowaniem podróżni mogli wyskoczyć z pociągu, okrążyć przedmieścia i za Samborem oczekiwać na zwalniający znowu bieg, ten sam pociąg. W Samborze kontrola dokumentów podróżnych trwała około godziny. Dalsza podróż miała się odbywać bez kontroli dokumentów, tylko należało opuścić pociąg w odległości kilku kilometrów od granicy, podczas następnego umówionego zwolnienia biegu pociągu. Widocznie ten dobrze opracowany plan znany już był władzy sowieckiej, gdyż przed Samborem, gdy pociąg zwolnił bieg kilkunastu młodych

ludzi, wyskakujących na tory kolejowe, zostało aresztowanych przez sowiecką milicję. Po kilkudniowym pobycie w samborskim areszcie, przewieziono więźniów do więzienia w Winnicy, gdzie rozpoczął się kilkumiesięczny okres przesłuchiwań, połączonych z biciem i różnymi formami znęcania się nad uwięzionymi. Po kilku dalszych miesiącach odczytano Mietkowi przysłany z Moskwy wyrok: kara śmierci, zamieniona na dwadzieścia pięć lat osadzenia w „łagrze”, karnym obozie pracy. W winnickim więzieniu, w niewielkiej celi, przebywało czterdziestu więźniów, w tym kilkunastu Polaków wybierających się do polskich formacji zbrojnych na Zachodzie. W celi nie było prycz ani krzeseł, tylko kubeł na nieczystości. Trzy razy dziennie dwóch więźniów przynosiło kocioł z zupą i miski. Jeden z tych więźniów nalewał chochlą zupę. Polakom lał samą wodę, ziemniaki i kaszę z dna kotła pozostawiał dla znajomych więźniów. Gdy minęło kilka tygodni i system rozdzielania zupy nie ulegał zmianie, zdenerwowany Mietek wylał do kotła nalaną dla niego rzadką zupę, złapał za kołnierze rozdzielających, uderzył ich głowami i odrzucił na podłogę daleko od kotła. Wziął chochlę i zaczął rozlewać zupę po dokładnym wymieszaniu. Stojący w celi strażnik nie powiedział ani słowa. Gdy więźniowie zakończyli jedzenie strażnik kazał Mietkowi wynieść kocioł, umyć miski i wyznaczyć do rozlewania zupy podczas następnych posiłków.

W więzieniach decydowało prawo silniejszego. Pod koniec maja 1940 roku, przewieziono skazanych do łagru Aleksandrowka, gdzieś pomiędzy Archangielskiem a Wołogdą. Po wielu latach Mietek mówił nam, że nikt nie potrafi opisać upodlenia, do jakiego zwyrodniały komunizm doprowadzał ludzi. Pierwszej nocy skradziono Mietkowi

buty, trzymane pod bardzo zniszczoną poduszką. Były to wojskowe, przedwojenne buty, z podkówkami i z 32 gwoździami na zelówce. Jakiś wytrawny złodziej wyciągnął je umiejętnie spod głowy śpiącego, a następnie wyniósł do innego baraku. Przez wiele tygodni Mietek musiał wychodzić do pracy w lesie w prymitywnych chodakach, zrobionych z kawałków opony samochodowej, powiązanej umiejętnie drutem. Po wielu tygodniach odziedziczył mocno już zniszczone buty po zmarłym na sąsiednim barłogu więźniu. Przydzielono Mietka do grupy zbierającej żywicę ze ścinianych drzew. Żywicę ładowano do beczek. Załadowana żywicą beczka powinna ważyć 30 kg. Grupa, w której był Mietek, miała wyznaczoną normę – 20 beczek dziennie. Od wykonania normy zależał przydział chleba. Szybko opracowano metodę wykonywania i przekraczania normy. Na dno beczki dawano około 10 kg żywicy, układano grubą warstwę gałązek, na to kładziono warstwę kamieni, które przykrywano warstwą gałązek i dopiero na to układano warstwę żywicy. Przykrywano to wszystko drewnianym dekle. Przy odbiorze dziennej produkcji, dwóch strażników ważyło każdą beczkę. Inni strażnicy odbijali pokrywę z jednej i z drugiej strony, sprawdzając czy w beczce jest żywica. Robiono to w pośpiechu, dużo grup oddawało żywicę. Nie było czasu na dokładne sprawdzenie zawartości. W ten sposób grupa wykonywała normę i nawet miała czas na odpoczynek. Co myśleli robotnicy w fabryce, do której wysyłano te beczki, nikt nie wie.

Zapamiętałem twierdzenie Mietka, że warunki panujące w sowieckich łagrach były znacznie gorsze od tych, jakie były w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Świadczy o tym śmiertelność, zwyrodnienie sowieckich strażników, którego nikt nie zdoła opisać. Wielkim zaskoczeniem dla więźniów była wiadomość o wybuchu wojny z Niemcami.

Po pierwszych sukcesach wojsk niemieckich, więźniom wydawało się, że już niedługo zostaną uwolnieni, że powrócą do swoich domów. Zima przyniosła rozczarowanie, front na razie zamarł i wiosną opuściły więźniów złudne nadzieje. Stopniowo narastało przekonanie o trwałości systemu komunistycznego. Trudno sobie wyobrazić radość Polaków, gdy komendant łagru na wieczornym apelu zawiadomił ich o układzie Sikorski – Majski i o tym, że ogłoszono amnestię dla uwięzionych Polaków.

Radość jeszcze się powiększyła na wiadomość, że odjadą samochodami do leżącej dość daleko stacji kolejowej, a stamtąd do jakiegoś punktu zbornego Polaków nad Morzem Kaspijskim

Podróż towarowymi wagonami trwała dość długo. Moskwę omijano z daleka. Po drodze zabierali rodziny Polaków wysiedlonych z dawnych Kresów Wschodnich. W wagonie obok Mietka siedziała na podłodze kobieta z trojgiem małych dzieci. Pochodzili z Grodna. W tym okresie rodziła się pomiędzy Polakami ogromna solidarność. Po wielu latach Mietek wspominał, jak matka z trójką małych dzieci, brudni, wychudzeni, w łachmanach, nie mogli oderwać wzroku od połowy bochenka chleba, wyciągniętej ze zniszczonej torby, służącej jako chlebak. Mietek zapamiętał to spojrzenie, był bardzo głodny, jednak po chwili namysłu oddał dzieciom swój chleb. Matka, na pewno bardzo głodna, też oddała chleb dzieciom. Na krańcowej stacji utrudzeni ludzie, wychudzeni, schorowani, brudni, nieogoleni, w łachmanach, wlekli się, noga za nogą, omijając miasto skrajem jakiegoś lasu, za którym miał być polski obóz. W pewnej chwili usłyszeli grany na trąbce hejnał mariacki. Było południe. Usłyszana melodia wzbudziła wspomnienia i wywołała niespodziewany efekt. Ludzie padali na kolana, zaczynając mówić „Ojcze nasz...”. Dziękowali

Bogu za to, że pozwolił im dożyć takiej chwili, że są wśród swoich i na pewno teraz wszystko dobrze się skończy. Od tego czasu minęło już kilkadziesiąt lat, a Mietek z wielkim wzruszeniem opowiadał nam o tamtych chwilach, których nie mógł zapomnieć. Do wielkiego obozu, zorganizowanego przez Rząd Polski w Londynie przy pomocy Anglików i Amerykanów, przybywali Polacy z całego Związku Radzieckiego, z części nie objętej działaniami wojennymi. Jednak nie we wszystkich rejonach tego rozległego kraju władze chciały pozbyć się taniej siły roboczej, nie wszędzie zawiadamiano Polaków o amnestii, o możliwości szukania pomocy w ośrodkach tworzonych przez rząd gen. Sikorskiego. A tych, którym udało się dotrzeć do obozu nad Morzem Kaspijskim, czekała najpierw trzytygodniowa kwarantanna, poprzedzona kąpielą i strzyżeniem oraz zmianą bielizny i ubrania. Podczas kwarantanny poddawani byli badaniom lekarskim, dostawali witaminy i potrzebne lekarstwa. Najważniejsze dla Mietka było to, że nareszcie znalazł się pomiędzy swoimi, na upragnionej wolności. Po przebyciu kwarantanny ubierano się w przysłane z Zachodu nowe polskie mundury lub w cywilne ubrania, jednak nadal dawało się odczuć, że to nie jest upragniony Zachód, że nadal są w Związku Radzieckim, w obcym Uzbekistanie, w Gusen. Wielkim wydarzeniem dla Mietka było spotkanie w obozie dwojga rodaków z Pruszkowa. Odnalazł w izbie chorych gimnazjalnego kolegę Mariana Łukasika, a podczas spaceru nad morzem spotkał córkę właściciela fabryki fajansu Ehrenreicha, którą znał z Pruszkowa. Po paru miesiącach, podczas pobytu w Palestynie, odszukała Mietka, aby się z nim pożegnać. Pozostała w środowisku żydowskim, z zamiarem wyemigrowania do USA, natomiast Marian Łukasik, poważnie chory, długo leżał w szpitaliku. Przed wojną był zagorzałym komunistą. W liceum Zana nie krył

się ze swoimi przekonaniem. Pamiętano jego słowne utarczki z księdzem prefektem. Gdy został studentem wydziału prawa Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczął współpracę z komunizującym „Dziennikiem Ludowym”. Anonimowo ogłaszał na łamach tej gazety szereg artykułów szkalujących zarówno władze Uniwersytetu, jak i profesorów. Po przegranym procesie sądowym redakcja „Dziennika” została zmuszona do ujawnienia nazwiska autora tych paszkwili. Mariana wyrzucono z Uniwersytetu, a redakcja musiała ogłaszać sprostowania i przeprosiny.

Marian wyjechał do Białegostoku. Mówiono wtedy w areszcie, że został tam oddelegowany do pracy partyjnej. Po wielu latach Mietek mówił mi, że z rozmów z leżącym w łóżku Marianem wynikało, że dwuletni pobyt w Związku Radzieckim wyleczył go na zawsze z komunizmu. Marian, wyleczony z tyfusu, po kilka tygodniach zapadł na inną odmianę tej choroby i zmarł po kilku tygodniach. Został pochowany na polskim cmentarzu w Krasnowłodzku nad Morzem Kaspijskim, z setkami innych Polaków, którzy nie doczekali chwili opuszczenia „niehumanitarnej ziemi”.

Mietek odpłynął ze Związku Radzieckiego pierwszym transportem. Przez Morze Kaspijskie dotarli do Persji (obecnie Iran). Tu pozostała większość rodzin. Młodzi ludzie płynęli dalej, przez Ocean Indyjski, Morze Czerwone i Kanał Sueski dotarli do Palestyny. W pobliżu Jerozolimy, na terenie obecnego państwa Izrael, Mietek został wcielony do XXI batalionu 1 Brygady Strzelców Karpackich. Dopiero dzisiaj, w cztery lata po śmierci Mietka, z przykrością stwierdzam, że za mało poznałem szczegółów z jego żołnierskiego życia. Zarówno z kampanii wrześniowej, jak i z pobytu w Palestynie i z kampanii włoskiej. Zapamiętałem doskonale, że już od jego pierwszego pobytu w Polsce, w la-

tach sześćdziesiątych, najczęściej mówiliśmy o warunkach naszego życia w PRL, musiałem rozjaśniać pewne rzeczy, których nie mógł zrozumieć, gdyż bardzo różniły się warunki jego życia od warunków, w których my żyliśmy.

Pamiętam pierwszą po wojnie wizytę Mietka w Polsce. Przyjechał nowym mercedesem, wynajętym w Danii. Samochód budził sensację. Odbyliśmy wspólną podróż do Krakowa, do Myślenic, gdzie mieszkał jego przyjaciel z 2-go Korpusu, oraz do Wrocławia. W przerwach pomiędzy moimi opowiadaniem o mijanych okolicach, o miastach i fabrykach, Mietek opowiadał najchętniej o pobycie na Wyspach Brytyjskich. Wśród żołnierzy znaleźli się byli reprezentanci Polski w koszykówce, którzy zajęli pierwsze miejsce w rozgrywkach o mistrzostwo Armii Sprzymierzonych. Szczęśliwiony generał Anders udzielił każdemu reprezentantowi miesięcznego urlopu, połączonego z przydziałem, do dyspozycji na ten miesiąc samochodu „Willys”; Mietek spędził ten urlop we Włoszech. W Wenecji poznał młodą, uroczą studentkę Annę Marię, z którą wędrował po całym półwyspie i Sycylii. Studentka historii była nie tylko wspaniałą przewodniczką, ale i przemiłą towarzyszką podróży. Zakochany Mietek chciał poślubić Annę Marię, starał się o zezwolenie na jej przyjazd do Londynu. Niestety, na próżno. Nadal traktowano Włochy jako kraj wrogi. Po powrocie do Anglii Mietek poznał młodą, ładną Polkę. Marysia Bednarska pochodziła z Nowogródka. Była sierotą. Losy wojny rzuciły ją na Wyspy Brytyjskie. Była córką rotmistrza Edwarda Bednarskiego z 25 pułku ułanów, stacjonujących w Prażanach. Ojciec, świetny jeździec, odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* za wojnę 1920 r., poznał w Nowogródku piękną dziewczynę o egzotycznym wyglądem. Była córką carskiego generała, dowódcy tatarskich formacji, który w carskiej armii był

tatarskim emirem, właścicielem 500-hektarowego majątku pod Nowogródkiem. Zakochany rotmistrz poślubił piękną muzułmankę w kalwińskim kościele w Wilnie. Gdy Marysia miała 5 lat, ojciec uległ wypadkowi podczas zawodów konnych na kawaleryjskim torze przeszkód, w pobliżu warszawskich Łazienek. Koń upadł na przeszkodzie, przygniatając jeźdźcę. Świetny kawalerzysta zmarł po przewiezieniu do szpitala. Pochowany został na cmentarzu kalwińskim przy ul. Żytniej w Warszawie. Niedługo później zrozpaczona żona popełniła samobójstwo. Pochowano ją na cmentarzu muzułmańskim pod Nowogródkiem. Osieroconą Marysię wychowywał dziadek, tatarski carski generał.

Mietek poznał Marysię podczas jakiejś uroczystości w środowisku emigracji polskiej pod Londynem. Była ładną dziewczyną, o egzotycznej urodzie, obdarzoną przyjemnym sopranem. Śpiewała w chórze. Wkrótce pobraли się. Postanowili osiedlić się w Argentynie. Wybierało się do tego kraju kilkadziesiąt tysięcy polskich żołnierzy. Mietek postanowił zaoszczędzone pieniądze przeznaczyć na kupno maszyn używanych do budowy szos. Amerykanie, przygotowując się do inwazji na Europę, przywieźli wiele takich urządzeń na Wyspy Brytyjskie. Po wojnie można je było kupować prawie za bezcen. Anglicy, chcąc się jak najszybciej pozbyć obcych, niepotrzebnych już żołnierzy, postanowili płacić nie tylko za bilet do kraju osiedlenia, ale i za bagaż odjeżdżających żołnierzy. Bagaż Mietka to było kilkanaście różnych maszyn i samochodów, zakupionych z amerykańskiego demobilu. Gdy Mietek odpływał do Argentyny, Krysia, w zaawansowanej ciąży, pozostała na Wyspach pod opieką sióstr zakonnych. Tu urodził się najstarszy syn, Wojciech Adalbert, obywatel brytyjski. Argentyna, do której przyплыł Mietek, przeżywała okres niebywałego dobrobytu. Mietek osiedlił się w mieście San

Luis, dokąd ściągnął przywieziony sprzęt, maszyny i urządzenia. Podpisał umowę na budowę pierwszego odcinka szosy, ściągnął kilku fachowców i rozpoczął budowę drogi na wskazanej trasie. Po roku wyczerpującej pracy Mietek ściągnął Marysię z małym synkiem do Argentyny. Tu urodzili się następni synowie: Ricardo Luis oraz Marcos, Ryszard, Ludwik i Marek.

Przez najbliższe kilkadziesiąt lat, aż do wybuchu kryzysu paliwowego, Mietek wybudował ponad 800 km autostrad, kilkaset kilometrów pięknych, nowoczesnych szos oraz 43 mosty. Argentyna, nie biorąca udziału w Drugiej Wojnie Światowej, była wtedy jednym z najbogatszych krajów świata. Do walczących krajów eksportowała zboże, mięso oraz skóry. Na ogromnych, bezkresnych pastwiskach Patagonii wypasały się milionowe stada krów, które atakowane przez kąśliwe muszki, wytwarzały grubą skórę, która idealnie nadawała się na wojskowe buty, przepuszczała powietrze, nie przepuszczając wody, wszyscy żołnierze amerykańscy mieli buty z argentyńskiej skóry. Gdy kończyła się wojna, argentyńskie banki dusiły się od nadmiaru pieniędzy. Podobno skarbcze bankowe były załadowane sztabkami złota, które ustawiano także w gabinetach dyrektorów. Argentyną rządził wtedy Peron, wraz z ukochaną przez naród żoną – Evitą. W kilka lat po zakończeniu wojny te dwa słowa – Evita i Peron – stały się symbolem miłości panujących do ludu. Słowa: Evita i Peron stały się także symbolem przyjęć urządzanych w każdą sobotę i niedzielę, na wielkim placu przed Pałacem Prezydenckim „Casa Rosada”. Na placu ustawiano stoły z krzesłami i ławami dla biesiadników. Na stołach zjawiały się butelki dobrego argentyńskiego wina, talerze oraz noże i widelce. W koszyczkach było pieczywo. Na talerze nakładano pieczeń wołową, słynne argentyńskie *asado*. Wokół placu

stały różna, na których pieczono duże porcje wołowiny. Każdy, kto chciał, mógł zasiąść za stołem i jeść, ile tylko chciał. Jedzącym przygrywały orkiestry, czasami zjawiała się Evita, śpiewająca swoje piosenki. Pociągi przywoziły bezpłatnie amatorów darmowego jedzenia z całego kraju. Dla najuboższych Argentyńczyków te sobotnio-niedzielne przyjęcia u Evity i Perona stały się niezapomnianym wydarzeniami. Takie „słodkie życie z Evitą” trwało kilkanaście lat. Skończyło się katastrofą finansową państwa. Evita w porę umarła, Perona przepędzono. Pozostały jednak straty moralne, których nie da się tak łatwo naprawić. Wśród ludzi prostych, ubogich, narastało przekonanie, że należą im się takie zabawy, a teraz nie ma Evity, ci co rządzą krajem, nie chcą im tego dać, zgarniają wszystko dla siebie. A równocześnie pierwszy okres rządów Perona zmienił sposób myślenia wyższych urzędników państwowych i samorządowych. Narastało przekonanie, że państwo jest po to, aby czerpać z niego korzyści, aby wyciągnąć z niego, co tylko się da. Narastała coraz większa korupcja, łapownictwo, złodziejstwo. Ta demoralizacja wyższej warstwy urzędniczej przyniosła Argentynie opłakane rezultaty. Państwo zaczęło żyć na kredyt z zaciąganych pożyczek. Przez te wszystkie lata przedsiębiorstwo Mietka bez żadnych zakłóceń budowało szosy, gdy niespodziewanie spadł na całą światową gospodarkę kryzys paliwowy. Raptownie zdrożała ropa naftowa, benzyna oraz artykuły ropopochodne. Ceny skoczyły kilkunastokrotnie. Oferty składane przez Mietka oraz umowy podpisane z ministerstwem opierały się na ustabilizowanych cenach artykułów ropopochodnych używanych do produkcji nawierzchni szos. Wprowadzenie nowych cen spowodowało bankructwo przedsiębiorstwa. Kryzys paliwowy spowodował zakłócenia nie tylko w pracy zawodowej Mietka, ale także w pracy społecznej. Przedsiębiorstwo

budowy autostrad tylko w pierwszym okresie wymagało ciągłej obecności Mietka, później jego praca polegała na kontrolowaniu wykonanych robót, zdobywaniu nowych zamówień, na załatwianiu surowców. Mietek miał coraz więcej wolnego czasu i mógł poświęcić się pracy społecznej wśród argentyńskiej Polonii. Został prezesem Polskiej Macierzy Szkolnej. W krótkim czasie stworzył Oddziały PMS we wszystkich miastach Argentyny, gdzie mieszkali Polacy, zarówno ze starej, jak i z nowej emigracji. Każdego roku trwały starania o nowe podręczniki i pomoce szkolne dla polskich dzieci, a także zabiegi o nauczycieli języka polskiego. Dzięki staraniom udało się Mietkowi uruchomić ośrodek wypoczynkowy dla polskiej młodzieży w prowincji Cordoba w miejscowości La Granja, nad rzeką o tej samej nazwie. W tym ośrodku setki młodych „Polonusów” spędzało wakacje, żyjąc w polskim środowisku, ucząc się polskiego języka i polskich obyczajów, poznając przy wieczornych ogniskach historię Polski – kraju rodziców. Okolice, w której położony jest ośrodek wypoczynkowy PMS przypomina Poronin, tylko zamiast Dunajca płynie tu La Granja, a zamiast wróbli latają kolorowe kolibry.

Mimo trudności finansowych, okres związany z kryzysem paliwowym nie trwał dla Mietka zbyt długo. Dzięki pomocy przyjaciół, w tym Niemców, Mietek założył przedsiębiorstwo zupełnie innej branży. Rozpoczął produkcję różnego rodzaju śrub, nakrętek i wkrętów. Wykorzystał odpowiednią chwilę, w której rozpoczęła się „inwazja” przemysłu niemieckiego w Argentynie. Budowano różne fabryki i powstało wielkie zapotrzebowanie na różnego typu śruby i wkręty w niemieckim systemie DIN, a nie jak dotychczas stosowano w tym kraju – systemie calowym. Mietek uruchomił produkcję na nowoczesnych, automatycznych



Wojaze

obrabiarkach, sprowadzonych z Niemiec i ze Szwajcarii. W krótkim czasie opanował całkowicie rynek południowo-amerykański. Zaniechano już importu tych wyrobów z Niemiec. Po kilku latach Mietek wybudował własną fabrykę. Dzięki gwarancjom, udzielonym przez zaprzyjaźnionych Niemców, Mietek płacił za dostarczone z Europy maszyny dopiero po półrocznej ich pracy. Po kilku latach takiej pracy spłacił wszystkie zobowiązania i znowu mógł co kilka lat odwiedzać Polskę. Niemcy budowali w Argentynie coraz to nowe fabryki: samochodów, różnego rodzaju aparatury, telewizorów, pralek i lodówek, potrzeba było coraz więcej śrub i śrubek w systemie DIN. Uruchomienie nowej produkcji związało Mietka na stałe z Buenos Aires. Rodzina zamieszkała w centrum miasta. Na niedzielny odpoczynek przyjeżdżano do podmiejskiego Moreno, gdzie obok willi był ogród z drzewami pomarańczowymi i cytrynowymi oraz z basenem. W tym okresie coraz więcej czasu Mietek poświęcał pracy społecznej. Kolejni synowie przygotowywali się w polskim kościele do Pierwszej Komunii św. W Moreno niekiedy zabierali na niedzielne nabożeństwo mieszkającą w pobliżu panią Guevarę, matkę słynnego rewolucjonisty – Che. Którejś niedzieli po nabożeństwie spotkał polskie zakonnice. Gdy dowiedział się, że w Argentynie pracuje kilkadziesiąt polskich sióstr, uzyskał zgodę siostry przełożonej na pomoc sióstr w nauczaniu języka ojczystego dzieci pochodzenia polskiego, w ośrodkach Polskiej Macierzy Szkolnej. Począwszy od lat sześćdziesiątych Mietek odwiedzał co kilka lat swoją Ojczyznę. W Warszawie była jego matka, siostry Janina i Ewa, Adam syn Janiny oraz Hania, córka nieżyjącej siostry Stefanii. Adam był studentem Politechniki, a Hania studentką Akademii Wychowania Fizycznego, świetną siatkarką, reprezentantką Polski. Podczas jednego z pobytów w Polsce

odwiedził także Leningrad, Moskwę oraz Winnicę, gdzie kiedyś spędził w więzieniu kilka miesięcy. Nie uzyskał zezwolenia na odwiedzenie łagru Aleksandrowka, a chciał chociaż z daleka popatrzeć na to przekłète miejsce. Na początku lat siedemdziesiątych odwiedził mnie w Międzyzdrojach, gdzie spędzałem urlop. Zwiedziliśmy wtedy część naszego wybrzeża, od Darłowa aż do Świnoujścia z wyspą Wolin włącznie. Był zachwycony krajem oraz ludźmi, których tu spotykaliśmy. Podczas kolejnego pobytu w kraju, w roku 1976 Mietek zaprosił mnie do odwiedzenia Argentyny. W połowie stycznia 1977 roku wypłynąłem z Gdyni, na MS „Romer” w daleką podróż.

Argentyna jest krajem siedmiokrotnie większym od Polski, liczyła wówczas 24 miliony ludności. Połowa mieszkała w stolicy, Buenos Aires. Na rozległych pampasach wypasało się 270 milionów sztuk bydła. Drugim bogactwem kraju była pszenica, której uprawiano tam sześć gatunków.

Dopiero po upadku Perona ujawniły się w pełni straty, jakie poniosła gospodarka argentyńska na skutek zarówno rozrzutności, jak i bezkarnego okradania państwa przez wysokich urzędników. Z poważnego kryzysu gospodarczego udało wyjść dzięki pomocy Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Pomoc udzielona przez MFW pociągnęła za sobą szereg różnych inwestycji. Najwięcej inwestowali Niemcy. Budowali elektrownie i sieć elektryczną (powstawały fabryki przemysłu elektronicznego, artykułów gospodarstwa domowego). Francuzi i Amerykanie rozpoczęli produkcję samochodów. Dzięki Japończykom powstawały wielkie plantacje winogron, brzoskwiń i jabłek. Dla potrzeb japońskich smakoszy hodowano specjalne gatunki krów, pojonych ciemnym piwem i masowanych kilka razy dziennie. Mimo pewnej poprawy gospodarczej i zahamowania szalejącej inflacji, nie dochodziło do pełnej stabilizacji sto-

sunków gospodarczych. Żadnemu z kolejnych rządów nie udało się zwalczyć korupcji, łapownictwa i rozkradania majątku państwowego. Gdy nastąpił kolejny kryzys, zaczęto przypominać sobie złote lata rządów Juana Perona. Ktoś zaproponował, aby dawnego dyktatora ponownie wybrać prezydentem. Peron na wezwanie przybył z Hiszpanii. Nie było już Evity, ale była dużo młodsza od Perona tancerka i pieśniarka kabaretowa – Isabel. Umiejętnie przeprowadzona akcja propagandowa doprowadziła do zwycięstwa Perona w wyborach prezydenckich. Wybrano nowy parlament, przychylny Peronowi. Nowa konstytucja przewidywała, że na wypadek śmierci Perona, prezydentem zostanie Isabel, która na razie pełniła funkcje premiera. Przewodniczącym parlamentu został dawny sierżant policji, a późniejszy właściciel restauracji w której występowała Isabel.

Peron po pierwszym okresie rządów, gdy doprowadził kraj do bankructwa, został skazany na banicję. Zamieszkał najpierw w Meksyku, a później w Hiszpanii, gdzie poznał Isabel. Wobec stałych trudności gospodarczych Argentyny, na pewno tam powstał pomysł ponownego wprowadzenia Perona na stanowisko prezydenta. Najpierw niektóre gazety w Buenos Aires rozpoczęły zachwalanie dawnych rządów, później jedna z gazet ogłosiła propozycję zaproszenia przebywającego w Hiszpanii Perona i zgłoszenia jego kandydatury w zbliżających się wyborach prezydenckich. Tak też się stało. Prości ludzie nie zapomnieli biesiad na placu przed Casa Rosada oraz piosenek Evity – poparli Perona, który odniósł druzgocące zwycięstwo. Zapomniano o tym, że to właśnie Peron roztrwonił wielki majątek zgromadzony podczas wojny, zapomniano, że Peron jest już zupełnie innym człowiekiem, schorowanym starcem, a Isabel – to nie Evita, a kochanka byłego sierżanta policji.

Peron niedługo umarł. Zgodnie z nową konstytucją prezydentem została Isabel, premierem – były sierżant policji, a przewodniczącym parlamentu jego zięć. Nowy premier powołał kilku swoich znajomych z Hiszpanii na stanowiska ministrów. Szybko rozpoczął się rabunek zasobów pieniężnych Argentyny. Podobno zdołano ukraść kilka miliardów dolarów. Międzynarodowy Fundusz Walutowy, obserwujący bacznie wydarzenia rozgrywające się w Argentynie, zaalarmował elity polityczne tego kraju. Jedynym czynnikiem mogącym zapobiec całkowitej klęsce gospodarczej była armia. Na czele przygotowywanego zamachu stanu znalazł się generał Jorge Rafael Videla. Plan przewrotu opracowano dokładnie i w największej tajemnicy. Prezydent Isabel Peron mieszkała w ekskluzywnej dzielnicy Buenos Aires – Martinez, urzędowała natomiast w śródmieściu, w Pałacu Różowym – Casa Rosada. Śmigłowiec, którym leciała Isabel miał podobno jakieś uszkodzenie i musiał lądować na krajowym lotnisku, w pobliżu Rio de la Plata. Isabel przeszła do reprezentacyjnego salonu, aby oczekiwać na drugi śmigłowiec. Gdy przekroczyła próg, drzwi zatrzasnęły się, oddzielając panią prezydent od czterech uzbrojonych wartowników. Równocześnie zamknęły się drzwi wejściowe za czterema wartownikami. Wartownicy znaleźli się w potrzasku, gdyż i jedne i drugie drzwi przed kilku dniami obito blachą pancerną. Tymczasem Isabel, innymi drzwiami, wyprowadzono na zewnątrz, do podstawionego śmigłowca, którym odleciała do koszar wojskowych na prowincji. W tym czasie aresztowano także premiera. W ten sposób zakończył się okres rządów Isabel Peron. Władzę objął generał Videla. Marszałek parlamentu zdażył uciec. Zamach stanu odbył się bez rozlewu krwi. Jednak w kraju nie było spokojnie, gdyż w okresie drugich rządów Juana Perona oraz Isabeli Peron międzynarodowe siły ko-

munistyczne rozpoczęły walkę o ustanowienie rządów komunistycznych w krajach Ameryki Południowej. Z Kuby, Meksyku, z Europy Zachodniej płynęli ochotnicy – aktywiści partyjni – mający dopomagać miejscowym komunistom w zdobyciu władzy oraz w budowaniu nowych komunistycznych społeczeństw. Argentyńscy komuniści rozpoczęli działalność jako „guerillas” – jak nazywano partyzantkę miejską. Napadano na banki, sklepy jubilerskie, duże sklepy samoobsługowe, rabując gotówkę. Napadano też na bogatych ludzi w ich mieszkaniach, rabując. Strzelano do policjantów, pod komisariaty podkładano bomby. Na ludność padł strach, zaczynał się gospodarczy chaos. Dość szybko udało się generałowi Videli zaprowadzić ład i porządek. Uzbrojone patrole wojska i policji krążyły po ulicach miast i po drogach całego kraju. Do ludzi, którzy wyciągali broń, strzelano bez ostrzeżenia. Po wielu latach ujawniono, że aresztowanych komunistów, bez względu na kraj z którego pochodzili, skrupowanych, otumanionych jakimś zastrzykiem, zrzucono ze śmigłowców do Atlantyku, w odległości kilkunastu kilometrów od brzegu Argentyny. Ślad po nich zaginął. Nie było żadnych ekshumacji, odkopywania grobów pomordowanych ludzi.

Przy tak długim wybrzeżu ułatwione było przenikanie do kraju różnego rodzaju agentów służb specjalnych, dywersantów, sabotażystów, a także ideowych komunistów, którym marzyło się panowanie ideologii Marksa i Lenina na całym świecie. Z człowiekiem który przybył do Argentyny nielegalnie z Hiszpanii zetknąłem się w porcie Buenos Aires, na kilkanaście minut przed odpłynięciem do kraju na statku MS „Henryk Jendza”. Do portu odwozili mnie dwoma samochodami przyjaciele. W pierwszym jechaliśmy z Mietkiem i Marysią, a w drugim prezes Polonii argentyńskiej Kazio Dziadul z żoną Hanią i Adolf Gled, kra-

kowski rzeźbiarz, spod jego dłuta wyszły wszystkie rzeźby na polskim cmentarzu na Monte Cassino. Przejechaliśmy przez bramę portową, samochody zatrzymały się przy okrętowym trapie. Mietek pomagał mi wnieść bagaże. Idąc do kajuty zobaczyliśmy dziwną scenę: przed mężczyzną w średnim wieku, klęczał płaczący młody człowiek w roboczym kombinezonie. Płacząc, obejmował za kolana stojącego przed nim mężczyznę. Gdy po umieszczeniu walizek w szafach wychodziliśmy na pokład, mężczyzna, którego kolana obejmował płaczący człowiek, poprosił Mietka, aby przetłumaczył mu o co chodzi temu człowiekowi, gdyż nie zna hiszpańskiego. Mężczyzna okazał się kapitanem statku. Płaczący młodzieniec chciał odpłynąć bez biletu. Był Hiszpanem, który przybył nielegalnie do Argentyny, po przeszkoleniu na Kubie, aby zaprowadzić tu ustrój komunistyczny. Wysłała go partia i teraz zostawiła bez opieki, bez dowodu osobistego. Był już na statku radzieckim, który stał w pobliżu, ale marynarze usunęli go siłą, teraz przyszedł do Polaków, aby pomogli mu wrócić do Hiszpanii, bo tutaj grozi mu śmierć. Kapitan był nieubłagany. Rozkazał opuścić statek grożąc wezwaniem straży portowej. Mietek zlitował się nad nim. Powiedział aby szedł obok samochodu, w którym Mietek uchylił okienko i będzie z nim rozmawiał. Tak przejdą przez bramę. Tak też się stało.

Tego dnia, odpływając z Buenos Aires, ja także naruszałem ustawodawstwo argentyńskie. Zabierałem ze sobą nie tylko prezenty przekazane przez Mietka dla jego przyjaciół w Pruszkowie, dla Zosi Michalskiej, Ireny Świerczyńskiej, Czesława Makowskiego i Witka Pakulskiego, ale także dwa pudła skamielin – skamieniałe fragmenty drzew, dar Prezesa Polonii Argentyńskiej, Kazia Dziadula, dla warszawskiego Muzeum Ziemi. Fragmenty skamieniałych drzew



Mieczysław Kruszewski z rodziną.

pochodziły z Doliny Księżycowej, liczyły ponad 170 milionów lat. To wtedy ta żyzna dolina została odcięta od świata i od wody przez wielkie trzęsienie ziemi. Od lat istnieje w Argentynie surowy zakaz wywożenia takich skamielin za granice kraju. Szczególnie cenne są skamieliny pochodzące z Doliny Księżycowej, po zwiedzeniu której strażnicy rewidują nie tylko zwiedzających, ale także bagaże i samochody. Kazio przed kilkunastu laty prowadził na terenie Doliny poszukiwania ropy naftowej. Podczas tych wierceń udało mu się wywieźć kilkanaście pięknych okazów skamieniałych gałęzi araukarii. Wywiózł je z myślą o przekazaniu do Muzeum Ziemi w Warszawie. Nie było strażników gdy wnosiliśmy pudełka na statek. Udało się, żałowałem wtedy, że nie zabrałem ze sobą innego daru przeznaczonego dla warszawskiego Muzeum Etnograficznego. Był to list, zabytek kultury Inków, pisany pismem węzełkowym, kipu, którego nie udało się jeszcze nikomu odczytać. Jest to sznur, długości około metra, na którym uczezione są krótsze, cieńsze sznurki, na których z kolei zawiązywano supły różnej wielkości; na różnych jedenastu cieńszych sznurkach widać ślady zabarwienia. Supły są umieszczone w różnych odstępach. We wszystkich krajach Ameryki Południowej istnieje surowy zakaz wywozu kipu, bardzo żałowałem, że nie zabrałem tego do Warszawy. Muzeum Ziemi uzyskało okazy skamieniałych gałęzi araukarii. Kazio ofiarował mi piękny okaz, wazon z *palo santo*, unikalnego drzewa, którego pień ma kolor zielony. Takie drzewa rosną tylko w Argentynie. Również bez żadnych obaw przewiozłem różowy kamień – rozalit, nazywany „Rosa del Inca”, kupiony w Catamarca, jedynym na świecie miasteczku, w którym są pokłady tych kamieni. Natomiast powracając do opowieści o działalności guerilli w Argentynie, spotkałem się z nią już wcześniej. Było to w Moreno, dokąd przyjeżdżała rodzina

Kruszewskich na soboty i niedziele. Najczęściej, przez te dwa dni, opowiadałem o Polsce. Musiałem odpowiadać na wiele pytań o życiu w naszym Kraju.

W poniedziałek rano, po wczesnym śniadaniu, rodzina odjeżdżała do Buenos Aires. Ja, jeśli nie podróżowałem z Mietkiem po Argentynie, to mieszkalem w Moreno, pod opieką pary starszych już Niemców. Ona pilnowała porządku, sprzątała, przyrządzała mi śniadania i kolacje, a jej mąż był ogrodnikiem. Dobrze mi się z nimi żyło. Codziennie jeździłem do Buenos Aires, metrem z dworca Once dojeżdżałem do Domu Polskiego, gdzie pochłaniałem zakazaną w Polsce literaturę. Obiad zjadałem pobliskiej włoskiej restauracji, niezmiennie zającąc się wspianą „pielą” z szynką oraz butelką wina. Na kolacje przyjeżdżałem do Moreno, gdzie czekało na mnie wspiane „asado” – pieczeń wołowa z rusztu, z nieodłącznym argentyńskim winem. Wyjątkowo w poniedziałki rano jechałem do Buenos Aires z Mietkami. Synowie odjeżdżali swoimi samochodami; któregoś poniedziałku Mietek zmienił trasę naszego powrotu do Buenos Aires. W Moreno pojechalismy do dzielnicy willowej leżącej za torem kolejowym. Wiedziałem już, że będziemy oglądali miejsce, w którym do minionego piątku stała willa szefa policji stołecznej. Jechalimy wolno obok ogrodzenia z drucianej siatki, rozglądając się po okolicznych budynkach i ogrodach. Do bramy i furtki biegła asfaltowa droga do nie istniejącej już willi. Widać było kilka powalonych drzew, zerwane dachy z sąsiednich domów, a na miejscu gdzie niegdyś stała willa, był kilkunastometrowy dół napelńiony wodą, wokół niego rozrzucone cegły, deski, fragmenty dachu, części mebli i rozrzucone książki. Nie zatrzymywaliśmy się. Gdy minelismy tor kolejowy i wjechalismy na szosę prowadzącą do Buenos Aires, Mietek opowiedział mi przebieg wydarzeń rozgrywających się

w miniony piątek. W nieistniejącej już willi mieszkał szef policji z Prowincji Buenos Aires, a także rodzice, matka żony, dwie córki i dwóch synów. Ponadto w willi przebywały dwie służące i dwóch policjantów – wartowników. Po tragedii ocalała tylko młodsza, 10-letnia córka i jeden z policjantów. Przy tej samej ulicy, pięć domów dalej mieszkała inna rodzina, składająca się z rodziców, syna 18-letniego, 10-letniej córki oraz jakiegoś „wujka”, którym, jak się później okazało, był pochodzący z Hiszpanii działacz komunistyczny. Rodzina sprowadziła się do Moreno przed kilkoma tygodniami. Obie dziesięcioletnie dziewczynki chodziły do jednej klasy w pobliskiej szkole. Szybko związała się pomiędzy nimi serdeczna przyjaźń. Tragicznego piątku obie dziewczynki powracały ze szkoły. Ta z sąsiedztwa weszła na chwilę do domu i po chwili wyszła, mając nadal tornister na plecach. Zadzwończyła do domu szefa policji. Wyszedł wartownik, aby otworzyć furtkę. Dziewczynki weszły do domu, po chwili wybiegła z domu córka sąsiadów i biegła do furtki. Wartownik wraca, aby otworzyć jej furtkę.

Równocześnie z domu wylatuje córka szefa policji, krzycząc: „Zostawiłaś plecak! Zapomniałaś plecaka”. Następuje wybuch, gdy dwie dziewczynki i wartownik są przy furtce. Dzięki temu ocaleli. Willa rozlatuje się jak domek z kart. Wartownik zatrzymuje obie dziewczynki. Po kilku minutach nadjeżdża samochód policyjny. Na ulicę wybiegli ludzie z sąsiednich domów. Zrobiło się głośno. Od razu było wiadomo, że bomba znajdowała się w plecaku przyniesionym przez dziewczynkę z sąsiedztwa. Policja udaje się do domu, w którym mieszkała dziewczynka. Do samochodu stojącego na podwórku przynoszą jakieś bagaże i walizki. Jak się później okazało, oczekiwali na powrót dziewczynki i jej matki, która według wcześniejszych ustaleń miała oczekiwać przed urzędem pocztowym na odgłos detonacji,

aby zawiadomić telefonicznie jakiegoś swojego zwierzchnika organizacyjnego o wykonaniu zadania. Kiedy wracała do domu, została aresztowana.

Przebieg następnych wydarzeń szeroko opisywała argentyńska prasa. Okazało się, że podczas śledztwa zrozpaczona matka pragnąc uzyskać uwolnienie syna i córki, ujawnia struktury tajnej komunistycznej organizacji działającej na terenie Argentyny, której centrala tej ma swoją siedzibę w centrum Buenos Aires, na dwóch ostatnich piętrach kilkunastopiętrowego gmachu, na szczycie którego jest umieszczona reklama znanej włoskiej firmy produkującej maszyny biurowe „Olivetti”. Z tyłu budynku znajdowały się pojedyncze drzwi wejściowe, za nimi było małe pomieszczenie, z którego kursowały dwie windy jadące bezpośrednio na najwyższe piętra. Do tych pomieszczeń można było się dostać tylko tymi windami, gdyż tzw. wyjście pożarowe było zablokowane. W odległości kilkudziesięciu metrów od budynku, przy drugiej ulicy znajdował się kiosk, w którym sprzedawano papierosy, gazety i różne drobiazgi. Siedzący w kiosku sprzedawca, miał dwa telefony. Jeden łączył z ostatnimi piętrami, a drugi z pomieszczeniem z dwiema windami. Jakiś ważny konspirator, który chciał rozmawiać z ludźmi ostatnia piętrzą, powinien podać sprzedawcy w kiosku umówione hasło i swój pseudonim. Sprzedawca telefonował do swoich przełożonych, podając uzyskane informacje i jeśli uzyskał zgodę telefonował z drugiego aparatu do wartowników przy dwóch windach, aby ci otworzyli drzwi, przed umówioną osobą.

Zrozpaczona matka dwojga aresztowanych dzieci, licząc na ich uwolnienie, zdradziła policji ściśle tajną metodę umożliwiającą dostanie się do siedziby centrali argentyńskiej guerilli – miejskiej partyzantki komunistycznej. Uderzenie policji było dobrze zorganizowane i skuteczne.

Kobieta z tajnej policji, znając umówione hasło i pseudonimy, spowodowała otwarcie drzwi do pomieszczenia z windami. Gdy winda, z uzbrojonymi agentami policji ruszyła do góry równocześnie nastąpiło otwarcie, przy pomocy materiału wybuchowego, zablokowanych drzwi prowadzących z pomieszczeń na szczycie budynku, do awaryjnych schodów jakie znajdują się w każdym wysokim budynku. W tym samym czasie na dachu budynku wylądowało kilkunastu policjantów z brygady antyterrorystycznej którzy przylecieli śmigłowcem.

Ludzie przebywający na dwóch ostatnich piętrach budynku nie stawili oporu. Podobno zaskoczenie było całkowite. Odzyskano dużą sumę pieniędzy, w peso i w dolarach, a także część kosztowności zrabowanych w sklepach jubilerskich. Zdobyto adresy składów broni i materiałów wybuchowych, nazwiska i pseudonimy czołowych działaczy Partii Komunistycznej. Było to już drugie, bardzo ważne, zwycięstwo generała Videli.

Od tych wydarzeń rozpoczął się upadek komunistów w Argentynie. Te dwa zwycięstwa zapewniały stabilizację życia, ale dla uzyskania aprobaty dla systemu rządów generała Videli potrzebne było i trzecie zwycięstwo. Wygrana Argentyny w mającym się odbyć w nadchodzącym roku Mundialu '78 zapewni generałowi poparcie całego narodu.

Podczas Mundialu '78 rozgrywano 14 czerwca 1978 r. w Rosario mecz Argentyna Polska, nasza drużyna nie popisała się przegrywając 2:0, a nasz najlepszy piłkarz nie strzelił karnego. Mietek był przekonany, że zadziałały tam pieniądze. Mundial '78 zakończył się zwycięstwem Argentyny. Jednak osobistym triumfatorą został generał Videla, za rządów którego Argentynie nareszcie udało się osiągnąć najwyższe trofeum.

Kilka lat później, już po wojnie o Falklandy, Mietek przeszedł na emeryturę, wydzierżawił lokal fabryczny. Emerytury Mietka i Marysi, opłata za wydzierżawienie lokalu fabrycznego oraz odsetki od zaoszczędzonego kapitału, zapewniały im godziwe życie. Mietek poświęcił się pracy społecznej w Związku Polaków. Co kilka lat odwiedzał Polskę. Przyjaciół miał tu coraz mniej. W Pruszkowie Zosia Michalska, Czesław Makowski, Witold Pakulski, a w Warszawie siostra Ewa, kolega z lat szkolnych, znany pisarz Wojciech Żukrowski oraz ja. Począwszy od roku 1989 przysyłałem do niego długie sprawozdania opisujące nasze życie. Co kwartał wysyłałem dokładny opis wydarzeń.

W roku 1994, w 50-tą rocznicę bitwy o Monte Cassino, odwiedził Italię. Był w Kalabrii, Neapolu, na Monte Cassino, w Bolonii i w Rzymie.

Późniejszy jego pobyt w Polsce był dość długi, na Boże Ciało odbyliśmy wspólną wycieczkę autokarową do kurpiowskiego Kadzidła. Do grupy kombatanatów z Ostrołęki dołączyła, dzięki Jurkowi Szymczakowi, nasza „piątka”: Mietek, Irena i Jurek Szymczakowie i ja z żoną. Mietek był zachwycony uroczystościami w Kadzidle. Zrobił wiele zdjęć. Później, przy ognisku i kiełbaskach, śpiewaliśmy wojskowe piosenki. Mietek był bardzo wzruszony.

Gdy poznałem nieporozumienia, jakie powstawały pomiędzy nim a nowym prezesem Polonii Argentyńskiej, Kobylańskim, skontaktowałem Mietka z przewodniczącym „Wspólnoty Polskiej”, prof. Andrzejem Stelmachowskim. Podczas kilku spotkań Mietek przedstawił profesorowi różne problemy nurtujące środowisko Polonii w Buenos Aires. Byliśmy także u Leszka Moczulskiego, przewodniczącego Konfederacji Polski Niepodległej i posła na Sejm, który kierował komisją Spraw Zagranicznych Polonii.

Odwiedziliśmy Pruszków. Byliśmy w gmachu Liceum Zana, na cmentarzu na grobach prof. Leona Ostrowskiego i Czesława Makowskiego. Nie mogliśmy znaleźć grobu prof. Stanisławy Ostrowskiej. Cmentarze odwiedzaliśmy także w Warszawie. Byliśmy na grobie rotmistrza Bednarskiego, teścia Mietka, oraz na grobie Witka Pakulskiego.

W roku 1996 Mietek ponownie przyleciał do Polski. Odwiedził Kraków, gdzie jak zwykle na Wawelu składał kwiaty przy trumnie Marszałka Piłsudskiego; był w Myślenicach, u swego przyjaciela z IX Korpusu i z Argentyny. Następną wizytę składał u Omilianowicza w Białymstoku. W Warszawie konferował z prof. Stelmachowskim o sprawach argentyńskiej Polonii. Byliśmy wraz z moją żoną Ziną w Ogrodzie Botanicznym oraz kilkakrotnie w Łazienkach.

Podczas pożegnania na lotnisku ścisnęło mi się serce na widok pogarszającego się stanu zdrowia Mietka. W roku 1998 ucieszyliśmy się szczerze odbierając telefon z Buenos Aires i słysząc, że za kilka dni będzie w Warszawie. Czekaliśmy na niego na lotnisku. Przyleciał z Marysią i z synem Luisem, którego nie widziałem przez 21 lat. Schorowany Mietek był szczęśliwy, powiedział nam wtedy, że spełniło się jego marzenie, aby przed śmiercią być jeszcze w Polsce.

Wejście do nas, na czwarte piętro, sprawiało mu dużą trudność, był u nas dwa lub trzy razy, zającąc się obiadami szykowanymi przez moją żonę. Ostatni raz był u nas w dniu 15 lipca, w moje imieniny. Za tydzień miał odlecieć do Buenos Aires. Tego dnia nie mogliśmy się rozstać. Tyle mieliśmy sobie do opowiedzenia. Około godz. 22.00 odprowadziłem go do zamówionej taksówki. Obaj czuliśmy, że jest to nasze ostatnie spotkanie. Był wtorek. Ostatni raz rozmawiałem z nim w niedzielę 20 lipca. Nasza rozmowa trwała około dwóch godzin. Opowiadał mi o swo-

jej wizycie u Wojtki Żukrowskiego, był u niego w środę, wspominali lata szkolne oraz wspólne zdawanie matury. Mietek otrzymał wtedy dwie ostatnio wydane książki, jedną Wojtki, a drugą jego córki Pauliny, ekonomistki. Żukrowski z wielką dumą pokazywał dwa ostatnio otrzymane listy od Papieża, z nagłówkiem „Kochany Wojtku”. Przed wojną studiowali razem polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. W czwartek, 24 lipca, Mietek odwiedził prof. Andrzeja Stelmachowskiego w domu „Wspólnoty Polskiej”. Rozmawiali o problemach Polonii argentyńskiej. Rozmowa, na którą zapracowany Profesor przeznaczył 30 minut, przedłużyła się do półtorej godziny. Mietek podtrzymywał swoją negatywną opinię o działalności obecnego prezesa argentyńskiej Polonii, Kobylańskiego.

W piątek Mietek pojechał do Krakowa. W drodze na Wawel, gdzie miał złożyć wiązanekę kwiatów na grobie Marszałka, poczuł się źle, kwiaty zaniósł kierowca taksówki. Nie pojechał do Myślenic, gdzie miał się pożegnać ze swoim przyjacielem z lat wojennych. Nie był także u krakowskiego historyka Stanisława M. Jankowskiego, autora książki o generale Leopoldzie Okulickim, który chciał uzupełnić swoją książkę relacją Mietki z rozmów przeprowadzonych z generałem w Kalabrii, przed jego odlotem do Polski wiosną 1944 roku. Podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej żalił się Mietek na swój los, który nie pozwalał zrealizować wszystkich zamierzeń.

Ta ostatnia rozmowa telefoniczna trwała blisko dwie godziny. Tak wiele chciał się ode mnie dowiedzieć, tak dużo miał mi do powiedzenia. Prosił, abym koniecznie był na lotnisku na dwie godziny przed jego odlotem, byśmy mogli jeszcze choć przez godzinę porozmawiać. „Będziesz na pewno?” Odpowiedziałem, że będę.

Samolot do Zurychu odlatywał o godz. 18.00. Ustaliliśmy, że będziemy z Ziną na lotnisku już o godzinie 15.00.

To miało być we wtorek, 22 lipca 1998 roku. Tego dnia przed południem otrzymałem wiadomość, że Mietek zmarł w nocy w szpitalu przy ul. Banacha. Pochowany został na Cmentarzu Bródnowskim w grobie rodzinnym.

Na uroczystości pogrzebowe przyleciało z Argentyny trzech synów: Wojtek, Lutek i Marek. Przywieźli ze sobą małą paczkę z napisem „Heniek”.

Przed odlotem w swoją ostatnią podróż do Polski, Mietek kupił dla mnie pulower z wełny z lamy. W zamieszaniu przedwyjazdowym paczka została w przedpokoju.

Gdy w roku 2000 Marysia odwiedziła Warszawę, przywiozła dla mnie laskę, kupioną przez Mietka przed kilku laty w Londynie. Mietek używał jej do końca. Gdy Marysia odlatywała do Polski, czterej synowie jednogłośnie postanowili, aby mnie ofiarować tę pamiątkę po Ojcu. W roku 2001 wraz z Krysią przyleciał czwarty syn, Ricardo, właściciel biura podróży. W dniu pogrzebu Mietka płynął jachtem po Amazonce, z wycieczką kilkudziesięciu Amerykanów. Podczas szczerej rozmowy, u mnie w domu, powiedział: „Mamy trochę żalu do Ojca, że więcej dbał o Polskę i sprawy Polaków, niż o swoją rodzinę”

Ricardo wybrał się do Nowogródka na Białorusi, do dawnego majątku dziadka, zamienionego przez komunistów na kołchoz. Na początku lat dziewięćdziesiątych kołchoz zbankrutował. Ludziom nie wypłacono zarobków. Z dużego dworu pozostały tylko zarysy fundamentów, w starych dworskich „czworakach” mieszkają nie mające żadnej pracy kobiety, mężczyźni wyjechali w poszukiwaniu pracy. Pozostał tylko stary furman, który rozplakał się,



Henryk Krzyczkowski
i Mieczysław Kruszewski.

widząc syna „panienki”, którą codziennie woził do szkoły w Nowogródku. Mówił, że panienka zawsze chciała powozić parą koni i siadała na koźle obok niego. Stary cmentarz muzułmański, na którym spoczywała rodzina Marysi, był zarośnięty zielskiem.

W klasztorze pod Nowogródkiem żyła jeszcze stara zakonnica, która uczyła Marysię religii oraz przygotowywała do Pierwszej Komunii św.

Marysia nie wybrała się w tę podróż. Bała się widoku ruin swego dzieciństwa.

STANISŁAW KOWALCZYK

Opowieść o życiu i śmierci mego przyjaciela, Staszka Kowalczyka podzieliłem, zgodnie z chronologią wydarzeń, na cztery krótkie części: trzy – mówiące o naszej znajomości oraz czwartą – w której opowiem o naszych staraniach i zabiegach dla utrwalenia pamięci o tragicznie zmarłym przyjacielu.

I

Staszek urodził się w Rosji, w mieście Tuła, słynnym z produkcji samowarów. W roku 1915 zostali tu przywiezieni rodzice Staszka: ojciec – Stanisław Kowalczyk i matka – Józefa, z domu Staniszevska. Przed wojną rodzice mieszkali w Pruszkowie. Ojciec był pracownikiem Warsztatów Kolejowych Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Na początku roku 1915, w obliczu nowej niemieckiej ofensywy na Warszawę, ewakuowano w głąb Rosji Warsztaty wraz z pracownikami. Ewakuacja była przymusowa.

W 1919 roku, po śmierci męża, matce udało się z wielkim trudem wydostać z ogarniętej rewolucją Rosji. Z dwuletnim synem powróciła do Pruszkowa, do niepodległej

Polski. Zamieszkali w świeżo odbudowanym, trzyizbowym lokalu z oknami od podwórka. Przedsiębiorcza kobieta uruchomiła magiel, który służył okolicznym mieszkańcom.

W tamtych czasach do maglowania upranej bielizny używano dość prostej, ale uciążliwej w obsłudze aparatury. Na mocnym, dużym stole o wygładzonym blacie układano nawiniętą na drewniane wałki bieliznę. Nad wałkami przesuwano się tam i z powrotem duża drewniana skrzynia wypełniona kamieniami. Wałki z bielizną, naciskane od góry ciężarem skrzyni, obracały się po wygładzonym blacie stołu. Skrzynię poruszano kręcąc – to w jedną, to w drugą stronę – dużym żeliwnym kołem z umocowaną na nim rączką. Praca przy maglu była ciężka. Jeśli klientka sama kręciła kołem, cena za maglowanie była znacznie niższa. W takim maglu bielizna, pościel i ręczniki były wyjątkowo dobrze wymaglowane. Za dużym pokojem, w którym stał magiel, była niewielka kuchnia, a za nią był pokój stołowy i sypialny zarazem. Staszek najczęściej przebywał w kuchni. Siadał przy stole stojącym pod oknem, patrzył wtedy na brzozy rosnące na podwórku lub na obłoki płynące po niebie. Wydaje mi się, że właśnie z okien sutereny chmury na niebie są najpiękniejsze. Może dlatego Staszek tak często siadywał przy tym oknie?

Gdy już był uczniem gimnazjum, pomagał często matce w kręceniu kołem, gdyż pod wieczór była ona bardzo zmęczona.

Staszka poznałem pewnego dnia, gdy z moim bratem Jurkiem przynieśliśmy wraz z naszą matką bieliznę do maglowania. Staszek po ukończeniu szkoły podstawowej im. Tadeusza Kościuszki dostał się do Gimnazjum Zana. Był to rok 1932. W tej samej klasie uczyła się młodsza od niego Ania Głowacka, jego przyszła żona. Wiosną 1935 roku Staszek wysłał swoje krótkie opowiadanie do redakcji ogólno-

polskiego pisma młodzieżowego „Kuźnia Młodych”. Zwycięzcą ogłoszonego przez pismo konkursu został Wojtek Żukrowski, kończący właśnie liceum Zana. Drugie miejsce, wraz z niedużą nagrodą, przyznano Staszкови. Wynik konkursu był wielkim sukcesem Gimnazjum i Liceum Zana oraz polonistki, pani Stanisławy Ostrowskiej, i jej męża, dyrektora szkoły, Leona Ostrowskiego.

Staszek po ukończeniu Gimnazjum Zana, zdaniu tak zwanej „małej matury” przenosi się do liceum zawodowego, aby po dwóch latach nauki rozpocząć pracę zawodową. Liceum Eksploatacyjne było wtedy częścią Szkoły Technicznej Kolejowej w Warszawie przy ulicy Chmielnej 88.

Decyzja o zmianie szkoły z ogólnokształcącej na zawodową wpływała z pragnienia szybkiego usamodzielnienia się. W Polsce nadal odczuwano skutki światowego kryzysu gospodarczego. Mało ludzi zdawało sobie sprawę z tego, że kryzys gospodarczy skończył się i następuje powolna poprawa sytuacji gospodarczej świata. Dla Staszka, obserwującego pogarszający się stan zdrowia matki, najważniejsze było to, że nie będzie jej stać na jego dalsze kształcenie. Niespodziewanie los zrzucił inaczej. W roku 1937, gdy kończył naukę w Liceum Eksploatacyjnym, matka została żoną właściciela restauracji w Piastowie. Odtąd nie musiała już tak ciężko pracować, zniknęły także kłopoty finansowe. Magiel został sprzedany. Rodzina przeprowadziła się do Piastowa. Matka pomagała nowo poślubionemu mężowi w prowadzeniu restauracji, a Staszek zamieszkał wraz z babcią w niedużej willi. Na facjacie urządzono mieszkanie dla babci, a do dyspozycji Staszka były trzy pokoje i kuchnia na parterze.

II

Staszek szybko zaprzyjaźnił się z ojczymem. Niespodziewanie otrzymał od niego propozycję rozpoczęcia studiów uniwersyteckich. Otwierała ona przed nim możliwość spełnienia najskrytszych marzeń o wspólnych z Anią studiach na Wydziale Polonistyki.

Maturę uzyskaną w Liceum Eksploatacyjnym musiał uzupełnić zdaniem dodatkowego egzaminu z języka polskiego, historii oraz języka niemieckiego.

Na wiosnę 1935 roku zdał w kuratorium, jako ekstern, dodatkowy egzamin, aby uzyskać prawo wstępu na Uniwersytet. Droga do studiów stała przed nim otworem.

Jak wspomniałem, Staszek mieszkał wtedy w Piastowie, w niewielkiej willi otoczonej ogródkiem, o który dbała mieszkająca na facjacie babcia. Tu po raz pierwszy odwiedziła Staszka Ania. Babcia upiekła ciasto, przyszła też matka. Była czarna kawa i jakieś deserowe wino.

W czerwcu Staszek zdawał egzamin na Wydział Polonistyki. Został przyjęty i w październiku 1938 roku rozpoczął studia. Ania była wtedy na drugim roku. Wspominał ten pierwszy rok studiów jako najszcześniejszy okres w swoim życiu.

Lata spędzone wspólnie ze Staszkiem na ulicy Stalowej opisałem w książce *Dzielnica Milionerów*. Książkę zakończyłem opisem spędzonego razem popołudnia, w ostatnią niedzielę pokoju. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co nas czeka, choć panował już nastrój zapowiadający zbliżającą się wojnę. Mimo to wciąż towarzyszyła nam niepewność – może będzie, a może nie będzie.

Wybuch wojny zmienił nasze życie. Zawalił się cały nasz dotychczasowy świat. Dnia 1 października nie rozpocząłem swoich studiów w Wyższej Szkole Dziennikar-

skiej. Tego samego dnia Ania i Staszek mieli uczestniczyć w inauguracji roku akademickiego na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Ania rozpoczynała trzeci rok, a Staszek drugi. Tymczasem okazało się, że Hitler już zadecydował o naszej przyszłości.



Stanisław Kowalczyk, 1939 r.

Kowalczyk po odejściu z Gimnazjum Zana został oficjalnym członkiem pruszkowskiego Gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Dwa razy w tygodniu brał udział w ćwiczeniach gimnastycznych, grał w koszykówkę w I drużynie „Sokoła”, uczestniczył w zajęciach Sekcji Teatralnej. O jego popisowej roli w amerykańskiej komedii „Dzień bez kłamstwa” pisał nawet „Kurier Warszawski”. W tym czasie tylko nieliczni, najbliżsi koledzy – Andrzej, Witek Pakulski oraz ja – wiedzieli, że pisze wiersze, że jest poetą.

Mimo zmiany miejsca zamieszkania nadal popołudnia i wieczory, prawie każdego dnia, spędzał z nami, w pałacu lub parku „Sokoła”. Stawał się popularną w Pruszkowie osobą. Dzięki nagrodzie przyznanej przez „Kuźnię Młodych” był uznanym początkującym literatem. Ponadto był

świetnym gimnastykiem, dobrym koszykarzem, aktorem amatorskiego teatru, studentem polonistyki oraz – o czym wiedzieli tylko nieliczni – wielką miłością Ani Głowackiej. To wspaniałe pasmo sukcesów przerwała mu wojna.

Runęło całe nasze dotychczasowe życie. Nowe, inne, niepodobne do poprzedniego, należało budować od początku. Powoli następowała aklimatyzacja do nowych realiów.

Dla mnie Kampania Wrześniowa zakończyła się dość późno. Powróciłem do Pruszkowa 18 października 1939 roku. W domu dowiedziałem się, że Staszek kilkakrotnie odwiedzał moich rodziców, pytając o mój los, o wiadomości ode mnie. Gdy zjawił się tuż przed Bożym Narodzeniem, zastał w pokoju Witka Pakulskiego. Ucieszył go nasz widok. Wypytywał o plany, zamierzenia. Rozmowa nam się rwała. Najczęściej milczeliśmy, patrząc na siebie bez słowa. Nie znaleźliśmy odpowiedzi na pytania Staszka – co my teraz mamy robić? Zapamiętałem, że pożyczył wtedy ode mnie W stronę Swanna mówiąc, że chce poszukiwać straconego czasu.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że już zakończyło się całe nasze dotychczasowe życie. Nie było już wyższych uczelni, nie było naszego „Sokoła” z jego licznymi zajęciami, nie mieliśmy już chęci na spacerów ulicami Pruszkowa, zatłoczonymi niemieckimi żołnierzami.

Pojawiły się kłopoty ze zdobyciem żywności. Życie stało się coraz trudniejsze, mieliśmy coraz więcej problemów do rozwiązania.

Oczekiwaliśmy wiosny, wraz z którą miała nastąpić stabilizacja, poprawa warunków naszego życia. Łudziliśmy się wtedy, że wiosna przyniesie decydujące uderzenie naszych zachodnich aliantów na Niemcy. Powtarzaliśmy: „Im słoneczko wyżej, tym Sikoreczka bliżej!”. Wiosna nie spełniła naszych nadziei. Nastąpiło uderzenie Niemców na Danię

i Norwegię. Zakończyły się marzenia o bliskim zakończeniu wojny, o zwycięstwie naszych sprzymierzeńców.

W maju 1940 roku ruszył Front Zachodni. Zamiast spodziewanego uderzenia z Zachodu na Wschód – nastąpiło uderzenie ze Wschodu na Zachód. Armia niemiecka ruszyła na Holandię i Belgię, padł Paryż, a Anglicy uciekali na Wyspy Brytyjskie, które stały się ostatnią nadzieją. Marzenia o zakończeniu wojny przesunęły się z miesięcy na lata.

Pierwszy rok wojny nie sprzyjał naszym spotkaniom. Nie spełniły się nasze plany i zamierzenia. Wojna bardzo skomplikowała nam życie. Klęska Francji była kresem naszych marzeń o szybkim zakończeniu wojny, o przepędzeniu Niemców z Polski. Zostaliśmy zmuszeni do układania swego życia w zupełnie innych warunkach. Nie znajdowaliśmy innego wyjścia, jak podejmowanie pracy w niemieckich fabrykach, w zakładach przemysłowych pracujących dla potrzeb armii niemieckiej. Nasze decyzje o podejmowaniu pracy w niemieckich przedsiębiorstwach wpływały z kilku ważnych powodów. Praca „u Niemców” zapewniała nam ausweis – zaświadczenie o zatrudnieniu, chroniące podczas coraz częstszych łapanek, urządzanych przez żandarmerię na ulicach miast. Zarobki wypłacano nam według przedwojennych stawek – były śmiesznie małe wobec wzrostu cen żywności o kilkaset procent. Przydziały kartkowe na chleb i marmoladę, po przedwojennych cenach, były również bardzo małe. Ważne stawały się więc „deputaty” – pracownicze przydziały żywności. Pracowałem w fabryce „Bruhn Werke”, produkującej części do samolotów. Średnie zarobki wynosiły około 200 złotych. Miesięczny deputat to pół litra wódki, setka najgorszych papierosów Haudegen – Junak, jeden kilogram „rąbanki” z kością, jeden kilogram mąki i pół kilograma cukru. Do tego dochodziła dobra, pożywna zupa wydawana w czasie

przerwy obiadowej. Przydziały kartkowe to pół kilograma dość lichego chleba na osobę. Raz na miesiąc dostawaliśmy pół kilograma marmolady.

Nie wiem, dlaczego Staszek nie chciał podejmować pracy „u Niemców”, natomiast zdecydował się na małżeństwo z Anią. W Piastowie, w fabryce „Tudor”, produkowano akumulatory. Była to zbrojeniowa fabryka, wydająca ausrweiss. Mimo naszych perswazji, namawiań, Staszek nie chciał pracować w „Tudorze”.



Anna i Stanisław
Kowalczykowie

Po ulicach Pruszkowa wędrowały grupki niemieckich żołnierzy, słychać było głośną niemiecką mowę.

Gdy 27 lipca 1940 roku wybrałem się na ślub Staszka, stojąc na przykościelnym placu, rozłożyłem kupioną w kiosku na dworcu gazetę. Na pierwszej stronie „Nowego Kuriera Warszawskiego” przeczytałem o nalotach Luftwaffe na Wyspy Brytyjskie oraz na atlantyckie konwoje. Poprzedniego dnia samoloty niemieckie zniszczyły statki o łącznym tonażu 65 000 ton. Po niespodziewanej kapitulacji Francji, tylko Anglia stała się „Wyspą Ostatniej Nadziei”.

A u nas Hans Frank, Generalny Gubernator, odwiedził Dystrykt Lubelski. W swoim przemówieniu zapewniał, że zaprowadzi tu ład i porządek.

Tymczasem w pustym kościele zgromadziło się przed ołtarzem kilkanaście osób. Rodzina i najbliżsi przyjaciele. Anna Maria Józefa Głowacka miała wtedy 20 lat a Stanisław Kowalczyk 23 lata. Obydwoje przed rokiem byli studentami Uniwersytetu Warszawskiego. Studiowali polonistykę. Podobno rodzice Ani odnosili się niechętnie do tego małżeństwa. Najbliżsi koledzy Staszka też nie popierali tego kroku. Jednak młodzi byli przekonani o słuszności podejmowanej decyzji – „Ciężkie czasy? Spędzimy je razem! Będzie nam lżej!”. Zamieszkali w Piastowie. Zabezpieczeniem finansowym była matka Staszka, kierująca sprawnie restauracją. Na pewno byli szczęśliwi.

Nie odwiedzaliśmy ich w Piastowie, mimo ponawianych zaproszeń. Staszek odwiedzał mnie, aby pożyczyć jakąś książkę. Mówiliśmy o wojnie, dzieląc się wiadomościami.

W kilka miesięcy później odbył się ślub Andrzeja Willa z Krysią Trapszo-Kwinto. To małżeństwo od początku miało opierać swoje warunki bytowania na skromnym wynagrodzeniu Andrzeja, który pracował jako malarz lakiernik w Warsztatach Kolejowych. Jego wynagrodzenie miesięcz-

ne nie sięgało dwustu złotych. Dopiero gdy udało mu się zmienić pracę i został rysownikiem w Biurze Konstrukcyjnym Fabryki Mechaników „Waverma”, jego zarobki wzrosły do 240 złotych. Znacznie lepsza była sytuacja finansowa małżeństwa Staszka, którego matka dbała o zaspokojenie potrzeb finansowych młodych.

W roku 1941 rozpocząłem pracę w Polskich Zakładach Optycznych. W dniu moich imienin, 15 lipca przed wieczorem, pojawili się u mnie Staszek, Andrzej i Witek Pakulski, który pracował w piastowskim Ośrodku Zdrowia jako pomoc medyczna. Tłumaczyliśmy Staszce na co się naraża, nie mając *ausweissu*, zaświadczenia z miejsca pracy.

Wydawało nam się, że Staszek rozumie grożące niebezpieczeństwo, jednak do rozpoczęcia pracy nie spieszył się – mimo tego, że w pobliżu były Zakłady Kauczukowe i fabryka „Tudor”. A był to czas, gdy niezwyciężona do tej pory Armia Niemiecka ruszyła na Wschód. Nic na razie nie wróżyło klęski Hitlera.



Stanisław Kowalczyk, 1942 r.

Nasze argumenty nie trafiały Staszкови do przekonania. W tym czasie Andrzej rozstał się z Krystyną. Nawet przyjsie na świat syna – teŹ AndrzeŹa – nie utrwałiło tego zwiąŹku. Andrzej znalazł się bez mieszkania, gdyŹ w międzyczasie jego pokój, w rodzinnym mieszkaniu przy Stalowej nr 2, zajęła jego siostra Hania po ślubie z Jackiem Kościelnickim, a w mieście nie było wolnych lokali. Z pomocą przyszedł Witek Pakulski, który namówił właściciela sąsiedniego domu, przy ulicy Parkowej 12, do wynajęcia małego pomieszczenia na poddaszu. Okno było tam w dachu-suficie. Przenośny żeliwny piecyk podłączono do przewodu kominowego, ściany były z desek. Na szczęście była podłoga. Nazwałiśmy to pomieszczenie „malarską mansardą”. Nikt z nas nie spodziewał się, Źe dwuletni okres szczęśliwego poŹycia małŹeńskiego Ani i Staszka zakończy się tak tragicznie.

III

Dnia 14 lipca 1943 roku podczas porodu zmarła Ania, a 29 sierpnia zmarła Ewunia. Zrozpaczony Staszek myślał o samobójstwie. Nie mógł sobie wyobrazić Źycia bez Ani. Przygotowując się do odejsia, zniszczył cały swój dorobek literacki – wiersze i drobne utwory prozą. W tym najcięższym dla Staszka momencie nie mogliśmy mu pomóc. Czekałiśmy, wiedząc, Źe kiedy opuści go myśl o samobójstwie, to na pewno znajdzie do nas drogę. NawiąŹe z nami kontakt. Pewnej soboty, przed wieczorem, zjawił się u AndrzeŹa. Był teŹ Witek. Niedługo później i ja nadszedłem do „mansardy”. We czterech wypiliśmy pół litra bimbru przyniesionego przez Staszka.

W drugiej połowie roku 1943 – nie pamiętam, czy żyła jeszcze Ania, czy już odeszła – spotkaliśmy się, nieodłącznie przyjaciele: Andrzej, Staszek i ja z redaktorem Grzegorzem Załęskim. Było to na Powiślu, w małej kawiarence, w okolicach Tamki. Do spotkania doszło z inicjatywy naszego dobrego znajomego – Witolda Matuszewskiego, naszego sąsiada z domu nr 16, przy ulicy Ołówkowej. Dopiero po latach dowiedziałem się, że redaktor Załęski był już związany z Edwardem Osóbką-Morawskim, który tworzył odłam Polskiej Partii Socjalistycznej, podporządkowanej Krajowej Radzie Narodowej i komunistom. Po wojnie okazało się, że Załęski był związany z Rafałem Praga, późniejszym redaktorem naczelnym „Ekspresu Wieczornego”.

Podczas naszego spotkania dowiedzieliśmy się, że Załęski organizuje zespół współpracowników do wydawania „Demokraty” – konspiracyjnego tygodnika, a także do miesięcznika humorystycznego „Moskit”. Andrzej miał odpowiadać za szatę graficzną, Staszek miał dostarczać fraszki i różne wierszyki na aktualne tematy. Ja, jako redaktor „Moskita”, dostarczony materiał miałem rozmieścić na czterech kartkach formatu zeszytu. Redagowałem tylko cztery numery. Andrzej i Staszek współpracowali z „Demokratą” do końca.

Okupacja była okresem, w którym wybuchła eksplozja talentów poetyckich. Większość tych młodych ludzi, świetnie się zapowiadających, nie przeżyła końca wojny.

W dniu 1 listopada 1942 roku spotkałem się ze Staszkiem na pruszkowskim cmentarzu. Staszek przyniósł kwiaty i zapalił świece na grobie Ani i Ewuni. Na grobie stał brzozy krzyż. Nagrobek zbudowano dopiero po śmierci Staszka. Niedaleko, przy sąsiedniej alei jest grób mojego ojca. Będę tu pogrzebany. W pobliżu Staszka.

Staszek głęboko odczuwał brak Ani. Nie opuszczała go myśl, że niedługo połączy się z nią. Świadczył o tym „Testament”, który napisał 25 października 1942 roku. Do odzyskania równowagi duchowej i chęci do dalszego życia na pewno przyczyniała się współpraca z konspiracyjnymi pismkami, najpierw z „Demokratą” i „Moskitem” a później i z innymi wydawnictwami. Pruszkowski muzyk, Stefan Wasiak, namówił go do pisania tekstów do komponowanych przez siebie piosenek. Piosenki kupowała i wykonywała, także po wojnie, znana pieśniarka – Ola Obarska. Staszek używał wtedy pseudonimów: „Lapis” i „Evanna”.

Kiedy zaczął w sobotnie wieczory przynosić do andrzejowej „mansardy” swoje fraszki i wiersze, wiedzieliśmy już, że szczęśliwie wyrывa się z głębokiej depresji, że najgorsze minęło.

Od jesieni 1941 roku byłem uczuciowo związany z „Marianną”, Marią Pruszkowską, którą w 1939 roku poznałem w Szkole Dziennikarskiej przy ulicy Rozbrat. Później pracowaliśmy razem, ale na różnych działach, w fabryce zbrojeniowej „Bruhn – Werke”. W pierwszych miesiącach 1943 roku „Marianna” zorganizowała nam wizytę u państwa Pruszkowskich. Stryj Marianny, Tadeusz, był przed wojną rektorem Akademii Sztuk Pięknych, znanym malarzem, twórcą „Bractwa Świętego Łukasza” oraz lotnikiem, posiadaczem awionetki. Jego przemiłą żoną Zofia – „Zuzia” – z domu Katarzyńska, była także malarką. Zajmowali obszerne mieszkanie na poddaszu, na facjacie w stanowiącej ich własność kamienicy przy ulicy Noakowskiego w Warszawie. Razem z nimi mieszkał rektor konserwatorium – Morawski, znany muzyk i kompozytor, autor m.in. poematu muzycznego „Świtezianka”. Zuzię opisywała jej przyjaciółka, Maria Kuncewiczowa, w książce o Kazimierzu nad Wisłą „Dwa księżycy”. Zuzia to Flora – wiernie opisana.

Cała trójka, Zuzia i dwaj rektorzy, byli wspaniałymi gawędziarzami. Godzinami można było słuchać opowieści o Kazimierzu nad Wisłą albo o Paryżu, do którego przed wojną co roku jeździli. W przytulnym mieszkaniu na poddaszu, ze wspaniałymi obrazami znanych malarzy, siedząc w fotelach, popijaliśmy bimbler z kieliszków zabarwionych na kolor ametystu. W takie wieczory poznawaliśmy Paryż widziany oczami zakochanych w tym mieście artystów.

Pewnej soboty podczas takiego spotkania słuchaliśmy paryskich piosenek śpiewanych przy dźwiękach fortepianu. Zapamiętałem niesamowite wrażenie, odczuwane przez nas, gdy wieczorem opuszczaliśmy to „zaczarowane poddasze” – jak mówił Staszek. Wyganiała nas godzina policyjna. Trzeba było uwzględnić czas potrzebny na dojście do dworca, godzinę odjazdu pociągu, tak aby zdążyć do domu przed godziną policyjną. Marianna miała najlepiej. Mieszkała przy ulicy Królewskiej nr 7. Musiała na Marszałkowskiej, przy ulicy Wilczej, wsiąść do odpowiedniego tramwaju.

Nasze wizyty w domu przy Noakowskiego skończyły się z chwilą śmierci profesora Tadeusza Pruszkowskiego. Po aresztowaniu został rozstrzelany w ruinach getta. Tylko jeden raz odwiedziliśmy samotną Zuzię.

Staszek napisał kilka wierszy o tych naszych wizytach. Nie mam tego najlepszego. Gdzieś przepadł....

Z tego okresu, z pierwszych miesięcy roku 1943, pozostał jeden wiersz:

Fragment

(...) O miła moja, miła moja, coraz mi dalsze są mi te lata
I nie mam na to ni rady, ni słów.

A może, może – cmentarz?

Przy zachwaszczonym, zgniłym torze, gdzie szyny wrosły
w zieloną darni?

Stąd biały widać brzozowy krzyż, i tuje cztery, i Twój
grób.

Tu, gdzie wędrowek wierny szlak, czekasz, o miła na mnie
dziś,

a ja się spóźniam, spóźniam, leń, na to ostatnie rendez
vous

Z Tobą

Gorzkie jest życie.

Trudna jest śmierć.

Gorszy, trudniejszy jest smutek,

bo w nim i życie moje jest,

I moja śmierć

Bez Ciebie.

wiosna 1943 r.

Na początku 1943 roku Staszek, Andrzej i ja odwiedziliśmy w Stawisku Jarosława Iwaszkiewicza. Staszek przyniósł kilkanaście swoich wierszy, prosząc o „surową ocenę”. Iwaszkiewicz był w niedobrym nastroju. Rozmowa miała przebieg urzędowy, oschły. Staszek miał przyjść za miesiąc. Później odwiedzał jeszcze kilkanaście razy willę „na Stawisku”. Ślady tych odwiedzin pozostały w Księdze przyjaciół Iwaszkiewicza.

Wydaje mi się, że jesień 1943 roku i wiosna roku następnego były okresem najbardziej intensywnej pracy twórczej Staszka. Powstało dużo dobrych wierszy, fraszek oraz kilka nowelek. Myślę, że Staszek wtedy właśnie przestał myśleć o samobójstwie. Duże znaczenie miało tu zaangażowanie w różne prace związane z wydawnictwami konspiracyjnymi, jak również własne przemyślenia oraz kontakty z Jarosławem Iwaszkiewiczem, wsłuchiwanie się w paryskie wspomnienia państwa Zofii i Tadeusza Pruszkowskich, podczas rozmów o sztuce, literaturze i muzyce.

W połowie 1943 roku zmieniłem pracę. Znajdującą się pod komisarycznym zarządem niemieckim fabrykę wyrobów metalowych ewakuowaliśmy z ruin warszawskiego getta do dawnej fabryki „Ortwein i Karasiński” we Włochach. Nadzorowałem przenoszenie galwanizerni. Zetknąłem się wtedy z pozostałymi jeszcze w getcie Żydami. Być może to moje opowieści o niedobitkach getta wpłynęły na kilka wierszy Staszka poświęconych Żydom.

Jesienią 1943 roku w andrzejowej „mansardzie” narodził się pomysł wydania tomiku wierszy Staszka. On sam wybrał dziesięć najlepszych wierszy, Andrzej narysował okładkę i kilka ilustracji. Tomik kosztował mnie 1500 złotych. Pieniędźmi podzielili się Staszek, Andrzej i pani Helena Kobusowa, urzędniczka zatrudniona w wyświetlarni rysunków Biura Konstrukcyjnego Fabryki „Waverma”.



Jesień 1943 r. Od lewej: Stanisław Kowalczyk, Maria Pruszkowska, Andrzej Will, Hanka Pruszkowska, Henryk Krzyczkowski

Kartki papieru z wyświetlonymi rysunkami lub utworami poetyckimi wynosiła z pilnie strzeżonej fabryki pani Helena Kobusowa lub Andrzej. Ja układałem je według ponumerowanych stron i zszywałem spinaczem. Egzemplarze wyrównywałem na małej gilotynie. Tak powstał tomik poezji *Osty na wietrze*. Uważaliśmy to za specyficzną formę walki z okupantem. Egzemplarze były numerowane. Numer „1” otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz. Numer „2” jest moją własnością. Staszek zaproponował, abym wybrał

wiersz, który mi się podoba. Wybrałem „Kołysankę”. Na arkuszu papieru, poniżej tego wiersza, napisał: „najuczynniejszymu z przyjaciół...”.

„Osty na wietrze” wywołały sporą sensację, nie tylko w Pruszkowie, ale nawet w Warszawie. Te 32 egzemplarze szybko się rozeszły. Warszawskie antykwariaty poszukiwały wydawcy, aby kupić po kilka egzemplarzy.

Obserwując efekty, jakie wywołało nasze wydawnictwo, postanowiliśmy wydać Kieszonkowy Kalendarz Kieszonkowca na rok 1944, z rozmaitymi przysłówkami, fraszkami i powiedzonkami, mówiącymi o konieczności stosowania kradzieży jako środka umożliwiającego przeżycie tych nadzwyczaj ciężkich czasów. Pomysł narodził się w „mansardzie” Andrzeja, przy szklaneczkach napełnionych bimbrem, w obecności przyjaciół. Byli to: Staszek, Tadek Targowski, Witek Pakulski, Ali Morawski, Andrzej i ja.

Stroną techniczną przygotowania tego wydawnictwa miał się zająć Tadek, który w biurze Warsztatów Kolejowych pracował w wyświatlarni rysunków. Najlepsze rysunki są dziełem Andrzeja, resztę wykonał Tadek, podobnie jak większość tekstów. Wydaje mi się, że najlepsze teksty pochodzą od naszej piątki. Dzisiaj trudno jest określić, kto jaki tekst dostarczył. Najwięcej pracy w wykonanie Kalendarza włożył Tadek Targowski. On też sprzedał ponad pięćset egzemplarzy, rozprowadzając je po całej Generalnej Guberni. Kupowali je głównie kolejarze przyjeżdżający ze wsząd po odbiór wyremontowanych wagonów.

Nadal prawie każdej soboty spotykaliśmy się na strychu, w pokoiku Andrzeja. Omawialiśmy sytuację wojenną. Front wschodni zbliżał się do naszych ziem. Którejś soboty, w lutym lub marcu 1944 roku, Witek Pakulski przywiózł z Piastowa do swoich rodziców starą kobietę, która miała jakąś dziwną moc przepowiadania przyszłości. Przed woj-

na była właścicielką folwarku, gdzieś w okolicach Włodzimierza Wołyńskiego. Któregoś dnia pojechała bryczką do miasta. Gdy powróciła, przekonała się, że męża, dwie córki i syna Sowieni wywieźli do pociągu odjeżdżającego do Kazachstanu, a dwór obrabowali sąsiedzi – Ukraińcy. Przedostała się do Generalnej Guberni, zamieszkała w Piastowie i rozpoczęła pracę w Ośrodku Zdrowia, w którym pracował Witek – student medycyny.

Witek mówił o niej: „młodsza pielęgniarka – starsza sprzątaczką”. W Ośrodku Zdrowia miała swój pokój. Personel Ośrodka stanowiło dwóch lekarzy, student medycyny, dyplomowana pielęgniarka i ta kobieta – uciekiniarka z Kresów Wschodnich. Była inteligentną kobietą w wieku 50 – 60 lat. Witek opowiadał, że miała jakiś talent określania stanu zdrowia pacjentów. Jeśli powiedziała: „temu choremu nie warto dawać drogiego lekarstwa, bo on niedługo umrze”, to okazywało się, że pacjent rzeczywiście po kilku tygodniach umierał. Witek mówił nam, że niektóre osoby, śmiertelnie chore, wydzielają pot o charakterystycznym zapachu, który wyczuwa lekarz z dużą praktyką. Jednak w przypadku tej kobiety było inaczej. Nieraz przepowiedziała śmierć komuś z błahą chorobą, a ten ginął po kilku tygodniach na przejeździe kolejowym pod kołami pociągu. Jej tajemnicze zdolności stały się głośne w Piastowie. Mówiono także o jej wróżeniu z kart. Stała się popularną w mieście wróżbitką. Pewnej soboty przyjechała wraz z Witkiem do Pruszkowa, aby wróżyć – „postawić karty” pani Julii, jego matce. Witek po kolacji kończącej wróżby, przeprowadził tę kobietę do andrzejowej „mansardy”. Dom rodziców Witka stał po drugiej stronie ulicy Parkowej. U Andrzeja było wtedy kilku kolegów – Staszek, Ali Morawski, Tadek Targowski i ja. Ktoś z nas przyniósł butelkę bimbru, napełniono szklanki i rozpoczęło się wróżenie z kart.

Z kart „wyszło”, że Andrzej rozszedł się z żoną i pozna drugą kobietę, że Ali w tragicznych warunkach utracił swoją wielką miłość (rzeczywiście, Marysia zginęła w Treblince, przywieziona z warszawskiego getta), ale niedługo ożeni się, koło Tadka nie widać było żadnej kobiety, a ja miałem niedługo się ożenić.

Byliśmy sceptykami, o tym wszystkim mógł opowiedzieć Witek. Zdumiało nas jednak, że ta stara kobieta po rozłożeniu na stole „przełożonych” przez Staszka kart, patrzyła to na karty, to na niego, po czym bez słowa złożyła je, szykując się do wyjścia. Powiedziała: „ja panu kart nie będę rozkładała!”

Pożegnała się z nami i wyszła w towarzystwie Witka, który odprowadził ją na dworzec. Witek już nie powrócił do nas tego dnia. Dopiero nazajutrz, kiedy nie było Staszka, powiedział nam, że kobieta „w kartach” widziała bliską śmierć Staszka. Witek, który obserwował ją od dłuższego czasu, był wstrząśnięty taką informacją. Nic Staszкови nie mówiliśmy. Pamiętam, że nalegaliśmy na niego, aby poszedł do pracy. Niezmiennie odpowiadał: „Dajcie mi spokój! Wojna się kończy, a ja mam dla ausweissu pomagać Niemcom!”.

W sobotę, 15 kwietnia 1944 roku, odbył się mój ślub. Staszek ofiarował mi z tej okazji wiersz, pięknie wykaligrafowany przez Tadka Targowskiego. W niedzielę, na skromnym przyjęciu u rodziców mojej żony, Hani Karlickiej, odbyło się spotkanie przyjaciół.

Nadal spędzaliśmy sobotnie popołudnia i wieczory u Andrzeja, natomiast w niedzielne popołudnia zbieraliśmy się u rodziców Hani. Pod rozłożystym orzechem włoskim rozstawialiśmy leżaki. Kiedy kończyliśmy długie rozmowy o wydarzeniach wojennych, Staszek niezmiennie czytał nam jakiś nowy swój wiersz lub aktualną fraszkę. Dokład-

nie omówiliśmy sprawę wydania tomiku z trzema krótkimi opowiadaniem Staszka. Jedna nowelka była opowieścią o Wrześniu 1939 roku spędzanym przez autora w Piastowie, druga była oparta na opowieściach Witka o pacjentach piastowskiego Ośrodka Zdrowia, a trzecia – najlepsza według mnie – opowiadała o granatowym policjancie, który otrzymał wyrok śmierci wydany przez Tajny Polski Sąd za współpracę z Niemcami i wydawanie ukrywających się Żydów. Do każdej z nich Andrzej przygotował ilustracje.

Rytm naszych cotygodniowych spotkań zakłócił wybuch Powstania Warszawskiego.

Tragedia Warszawy, dramat obozu „Dulag 121” zburzyły nasz spokój. Na inne zakończenie wojny czekaliśmy. Przygniatał widok płonącej Warszawy oraz otaczający nas, wędrujący po ulicach tłum ludzi wypędzonych ze swoich domów, otępiałych z nieszczęścia, poturbowanych, okaleczonych, rannych młodych, zgwałconych kobiet. Tragedia Warszawy przesłaniała trudności dnia codziennego. Ostatni raz rozmawiałem ze Staszkiem 11 lub 12 sierpnia 1944 roku. Znowu walił się nasz świat.

O śmierci Staszka dowiedziałem się od Witka Pakulskiego. Staszek został zastrzelony przez niemieckich żandarmerów tuż przy skrzyżowaniu drogi do Kań z torami kolejki EKD. Było to po południu 23 sierpnia 1944 roku. Któryś z mieszkańców pobliskich Otrębus wyciągnął z marynarki zabitego kennkartę z adresem. Matkę Staszka zawiadomiono tego samego dnia.

Nie byliśmy na żałobnym nabożeństwie. Od rana trwała w Pruszkowie wielka łapanka. Żołnierze niemieccy przeszukiwali dom po domu, wyłapując warszawiaków oraz młodych ludzi, zdolnych do pracy w Niemczech.

Kilka dni później staliśmy we trzech niedaleko grobu, przy którym skupiła się rodzina Staszka i Ani. W dali pło-

nęła Warszawa. Samoloty krążące nad płonąca stolicą zrzucały bomby. Odgłos wybuchów dobiegał do ludzi skupionych na cmentarzu. Artyleria ostrzeliwała Warszawę bez przerwy. Dzień i noc. Ciało Staszka spoczęło obok najbliższych – Ani i Ewuni.

A my, stojący obok grobu, wspominaliśmy tę staruszkę, która przepowiedziała gwałtowną śmierć Staszka.

Niedługo później żołnierze niemieccy wyciągnęli Andrzeja z jego „mansardy”. Tej samej nocy został wywieziony do Breslau – Wrocławia, gdzie już pozostał na zawsze.

Pod koniec września matka Staszka odwiedziła moją matkę, prosząc, abym przyjechał do niej, do Piastowa i przejrzał papiery pozostałe po Staszku. Uważała, że powinienem zająć się wszystkim, co po nim pozostało. Postanowiła sprzedać dom, gdzie mieszkał. W papierach nie było już nic z dawnych utworów Staszka. Widocznie zniszczył wszystko po śmierci Ani, kiedy myślał o samobójstwie. Zabrałem nieliczne rękopisy i sporo maszynopisów. Wziąłem także dwie książki, stanowiące własność Jarosława Iwaszkiewicza. Były na nich dedykacje autorskie. Te książki zawiozłem do Stawiska. Iwaszkiewicz przejął się bardzo wiadomością o śmierci Staszka.

W marcu 1945 roku ponownie zjawiłem się w Stawisku. Zostałem zmobilizowany do Ludowego Wojska Polskiego. Trwała nadal wojna. Nie wiedziałem, kiedy się skończy i czy ja z niej powrócę. Postanowiłem spuściznę po Staszku przekazać Iwaszkiewiczowi. W dwóch grubych teczkach było wszystko, co po nim zostało. Iwaszkiewicz obiecał mi wtedy, że o Staszku nie zapomni, a co będzie mógł, to z tej spuścizny ogłosi drukiem.

Gdy w roku 1946 zakończyłem swoją służbę wojskową, czekały na mnie w Pruszkowie trudne lata. Tylko niekiedy, bardzo rzadko, myślałem o Staszku.

Warunki życia przygnały Andrzeja. Wrocław stał się jego miejscem zamieszkania. Powoli, dzięki talentom stawał się znany i popularny w tym mieście. Gdy po uzyskaniu rozwodu z drugą żoną – Heleną Bandrowską – ożenił się ze swoją studentką z Wyższej Szkoły Plastycznej, Ireną Lenartowicz, gdy ustabilizowało się jego życie prywatne, pomyślał – podobnie jak ja – o dawnym przyjacielu.

Wiersze Staszka ukazywały się w „Kulturze”, „Kierunkach”, w pismach wrocławskich. Dopiero na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych udało się Andrzejowi zainteresować poezją Staszka profesora Czesława Hernasa – dyrektora Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. On to zaproponował Stanisławowi Beresowi – wówczas dobrze zapowiadającemu się studentowi – temat pracy magisterskiej: „Stanisław Kowalczyk”. Wybór tego akurat studenta okazał się nadzwyczaj szczęśliwym posunięciem. W roku 1974 otrzymałem przesyłkę z Wrocławia. Była to kopia pracy magisterskiej Beresia „Stanisław Kowalczyk, zarys monograficzny”. Był to dzień spełnienia naszych marzeń, jak powiedziałem w rozmowie telefonicznej z Andrzejem. A wszystko zaczęło się kilka lat wcześniej.

IV

Stanisława Beresia poznałem na początku lat siedemdziesiątych. Było to w nieistniejącej już dziś kawiarni „Gong” w Alejach Jerozolimskich, tuż obok „generalskiej czapki” – okrągłego budynku Banku PKO.

Siedzieliśmy z Andrzejem przy stoliku stojącym obok okna, piliśmy kawę i patrząc na ulicę wspominaliśmy dawną Warszawę. Andrzej nocował u mnie, na Żbikowie. Tu przyjechaliśmy razem. W kawiarni byliśmy punktualnie

o umówionej godzinie. Niestety, pociąg z Wrocławia spóźnił się. Gdy wreszcie zjawił się student, przepraszający za spóźnienie, od razu wyruszyliśmy na dworzec, aby jak najszybciej znaleźć się w Pruszkowie. Spacer po mieście rozpoczęliśmy od ulicy Stalowej. Pokazywaliśmy okna od pokoju Andrzeja, później staliśmy przy dwóch domach, gdzie ja kiedyś mieszkalem (pod numerami 18 i 17), a następnie weszliśmy na podwórko domu numer 21. Zaglądaliśmy w okna sutereny, gdzie kiedyś był magiel. Po obejrzeniu z daleka szkoły im. T. Kościuszki, udaliśmy się na ulicę Cedrową, do państwa Ostrowskich. Przedtem oglądaliśmy budynek liceum im. Tomasza Zana, gdzie przed wojną dyrektorem i nauczycielem matematyki był pan Leon Ostrowski, a pani Stanisława – niezapomnianą nauczycielką języka polskiego. Pan Leon wyciągnął stare bruliony, w których zapisywał wszystkie oceny dawnych uczniów. Dowiedzieliśmy się wtedy, że z matematyki Staszek był uczniem przeciętnym, średnim. Dobry był z polskiego, historii oraz geografii. Pani Stanisława zapamiętała Staszka – był najlepszym polonistą w klasie, tylko że najczęściej „omijał” zadany temat.

Na pruszkowski cmentarz pojechaliśmy taksówką. Trochę sprzątnęliśmy wiecznie zaniedbany grób Staszka i jego rodziny, a na płycie ustawiliśmy znicz. Po chwili zadumy wyruszyliśmy do Komorowa, do przystanku kolejki, którą dojechaliśmy do Kań. Dawniej nie było tu przystanku. Było tylko skrzyżowanie z torami kolejki EKD.

Z przejeżdżającej kolejki, widząc nas, wysiadł nasz dawny przyjaciel z lat harcerskich, kolega Staszka z Gimnazjum Zana – Zbyszek Melion. Był prezesem spółdzielni, która budowała pobliskie osiedle domków jednorodzinnych w Otrębusach. Gdy poznał powody, dla których zjawiliśmy się w Kaniach, powiedział nam, jak chce uczcić pamięć

Staszka. Otóż niedawno, z przejeżdżającej przez Otrębusy wielkiej ciężarówki wiozącej ogromne głązy, kupił od szofera jeden głaz. Zrzucony z samochodu, leży w pobliżu skrzyżowania szosy do Nadarzyna z torami kolejki i czeka na okazję przewiezienia do Kań. Po ustawieniu na miejscu kaźni, będą na nim wyryte nazwiska trzech rozstrzelanych wtedy mężczyzn. Ten pomysł nigdy nie został zrealizowany. Niedługo później Zbyszek Melion zmarł.

Tamtego dnia ostatnim etapem naszej podróży była wizyta na Stawisku, u Jarosława Iwaszkiewicza. Upředzony moim listem, oczekiwał nas. Po zakończeniu powitalnych grzeczności, pisarz wyraził swoje zadowolenie z faktu, że po tylu latach od śmierci Staszka ktoś zajął się zbieraniem dokumentów i opracowaniem monografii o tragicznie zmarłym poecie. Bereś wręczył Iwaszkiewiczowi ostatnie dzieło profesora Czesława Hernasa – słynny już dziś Barok, z odpowiednią dedykacją. Stanisław Bereś pilnie notował snute przez Iwaszkiewicza wspomnienia o Kowalczyku. Dziś, po tylu latach, nie pamiętam wielu fragmentów tamtej rozmowy. Zapamiętałem jednak, że autor Starej cegielni usłyszał od Staszka słowa „zaklinania się” pruszkowskiej młodzieży – „jak kocham Pruszków” – i włączył takie zaklęcie do słownika bohatera tego opowiadania.

Po raz drugi usłyszałem opinię Iwaszkiewicza o Staszku: „to był zaśpiew na wielkiego poetę”.

Stanisław Bereś otrzymał dwie teczki z rękopisami i maszynopisami Staszka. Wcześniej część tych rękopisów otrzymał sąsiad pisarza z Podkowy – Zbigniew Mitzner (Jan Szela), który zamierzał napisać artykuł o Kowalczyku.

Gdy żegnaliśmy się po dość długiej rozmowie, po snuciu wspomnień o Staszku, Bereś umówił się na następne spotkanie z Iwaszkiewiczem, obiecując przywieźć brudnopis swojej pracy. Tych wizyt podobno było kilka.

Na początku bodajże 1975 roku otrzymałem grubą przesyłkę z Wrocławia. Była to oczekiwana przez nas praca magisterska: Stanisław Kowalczyk, zarys monograficzny. Praca liczyła 264 strony maszynopisu. W dołączonym liście Stanisław Bereś napisał, że przystępuje do przygotowania monograficznej książki o życiu i twórczości Staszka.

W roku 1990, gdy dotarła do mnie wydana w Londynie książka Beresia „Już tylko sen...”, dowiedziałem się, że autor jest profesorem na uniwersytecie w Lille. Napisałem wtedy do niego list, w którym donosiłem, że wraz z Andrzejem cieszymy się z jego sukcesów naukowych i przypomniałem o danej nam obietnicy – wydania książki o Staszku. W odpowiedzi Bereś napisał, że prawdziwy mężczyzna (a za takiego uważa siebie) nigdy nie zapomni pierwszej kobiety i pierwszych przeczytanych wierszy, o których powinien coś napisać.

Po kilku następnych latach otrzymałem list z Wrocławia. Stanisław Bereś był już profesorem wydziału filologii polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, a także wykładowcą na Uniwersytecie Wileńskim.

Z kolejnego listu dowiedziałem się, że w 2001 roku złożył w jednym z wrocławskich wydawnictw książkę monograficzną o Staszku. Wydawnictwo stara się o dotację i obiecuje w najbliższym czasie wydanie tej książki.

Andrzej Will zmarł we Wrocławiu w 1992 roku. Zmarli już wszyscy nasi dawni przyjaciele. Tylko ja jeden jeszcze żyję. Chcę po prostu opowiedzieć, w jaki sposób uczestniczyłem w przedziwnym misterium, mającym na celu ocalenie sensu, ocalenie jeszcze jednego życia. O tym, jak byłem świadkiem narodzin pewnej wizji człowieka egzystującego jeszcze w świadomości bliskich. Są to coraz mniejsze strzępy pamięci, rozwiewające się wraz z upływem czasu i odchodzeniem ich nosicieli. Pragnę ukazać także ludzi i ich

zachowanie w chwili gdy ujrzeli szansę dla swojego zmarłego przyjaciela. Szansę, na którą tyle lat czekali. I jak stałem się świadkiem odtworzenia życia Staszka Kowalczyka.

Fragment wstępu do pracy magisterskiej Stanisława Beresia:

... Praca ta powstała dzięki życzliwości i zabiegom przyjaciół Stanisława Kowalczyka: Andrzeja Willa i Henryka Krzyczkowskiego, którym pragnę podziękować za pomoc przy zbieraniu materiałów oraz danych o życiu ich towarzysza z lat młodości. Przechowali oni przez 30 lat utwory zachowane po poecie i umożliwili pełny dostęp do nich, nie szczędząc przy tym niezmiernie cennych uwag oraz informacji.

WIERSZE

* * *

Konno? Nie. Wiosną? Nie.
Odjeżdżamy, moja miła, prędeej.
Srebrną łodzią o pękniętym dnie.
A nad nami wierzba się rozplącze.
Rankiem? Nie. Zmierzchem? Nie.
Odjedziemy, odpłyniemy w południe,
Tam, gdzie rzeka w zakolach się gnie
I gdzie głucho pod wierzbami dudni.
Szybko? Tak. Nagle? Tak.
Tak odjechać, tak odlecieć najtrudniej.
Żagiel spłynie nad rzekę jak ptak
I uniesie łódź w ciche południe.
Latem? Tak. Zimą? Tak.
To ostatnia będzie zima i lato.
Szukasz łodzi? A to już tylko srebrny
Ptak błdzi w ciszy koralowych zatok.
Razem? Nie. Razem? Nie.
Ty odpłyniesz, ty odlecieś za chwilę
W srebrnej łodzi, o pękniętym dnie,
A ja wciąż trudniej, a ja wciąż zawilej
Będę błdził samotny we mgle.

* Ten wiersz, a także wiersze: *Niedziela*, *Październik*, *Gdzie nie posieją mnie* oraz *Fragment* były drukowane w „Miesięczniku Literackim” z sierpnia 1978 roku.

Tylko trzeba wierzyć niezachwianie,
Tylko trzeba codziennie powtarzać,
Że spotkamy się za tamtym zakrętem,
Kochanie!

styczeń 1944 r.

NIEDZIELA

Kiedy na mszę idą dziewczyny,
tym gościńcem w zielony, wyżłobiony kanion,
do kościoła z czerwonej cegły i białego jak ser jaśminu,
rozmawiają ze świętym Franciszkiem – litanią.

A wieczorem – leniwym i dusznym,
gniotąc w udach niepokój jak orzech,
na piersiach gorących rwą bluzki
chciwe zatrwożeń.

1943 r.

PIJANY, ZAPŁAKANY

Taki już mój zapłakany los,
i zasmarkana dola,
że tylko płakać umiem w głos,
choć śmiać się wolę.

Zwykle spokojny. Nie mówię nic,
To znaczy – mało. Lubię słuchać.
A przy wódeczce dobry wic
– nadstawiam ucha.

Wiem już, jak Goering budował most,
znam to o św. Piotrze i o Stalinie...
Panowie, lepiej powiedzcie wprost ,
kto tu zawinił,
Że zasmarkany, pijany mój los
i zasmarkana dola.
że płaczę w głos, wycieram nos,
choć śmiać się bym wolał...

Evanna 1943 r.

LAS

Świerki zielone i młode jak młodość
pachnące miłosną, leśną przygodą.
Pąki brązowe, nabrzmiące
jak latem pierś dziewczyny,
otrutej nagłą tęsknotą
niczym sen zapachem łubinu.
Duszność żywiczna, lepka i gęsta

stężeje w zieloną ciszę.
Aż się w wierzchołkach ostrych jak włócznie
wiatr rozkołysze
zadum – dalekich jak cienie – zachodem.
Szorstkich jak świerki zadziwień
i jak topole smukłych zachwyków
dopaść: w igliwie.

Evanna 1943 r.

PAŹDZIERNIK

Jarosławowi Iwaszkiewiczowi

Płyną, skrzydłem trzepocząc jak cieniem,
Cichym lotem, białym lotem, gołębiem,
Wszystkie smutki i wszystkie jesienie,
W gaj zielony, w bór czerwonych jarzębin.

I niewodem, białym, mglistym niewodem
Zgarniają z pól ugornych i ściernisk
Rdzawolistną, śródjesienną urodę
I chłód serca ostry jak październik.

Już kołują, już kołyszają się śnieżyście
Śnieżną chmurą oszalałych jastrzębi,
Aż zapadną białe liście, śnieżne liście
W gaj zielony, w bór czerwony jarzębin.

1943 r.

ŻOŁNIERZOWI NIEMIECKIEMU

Dębowe liście, liście dębowe,
krzyże z mieczami i z brylantami,
krzyże żelazne, krzyże brązowe.
Najczęściej... polny kamień.

Krzyże zasługi i za usługi,
szanse, wakanse, listy Fuehrera,
za bój na Dnieprem, a później nad Bugiem,
list z matki skarga – nieraz.
Wzmianki pochwalne w komunikatach.
Wzmianki „petitem” o śmierci „Asa”
(Mój Boże! Wielka to dla nas strata!
w dzisiejszych czasach!).

Wciąż więcej zwycięstw, a mniej ludzi
i słów wciąż więcej, a mniej broni.
Żołnierzu! Przestań się już łudzić.
Koniec już. Koniec. KONIEC.

PODZWONNE

Okaryną, śpiewną okaryną,
błękitną i sierpniową –
niech będę. Z lazuruwej cyny,
gwizdzący koncertowo.
Duszyckę w nią włóżcie z bursztynu
i tryl słodki i koloraturę.

Niech zaperli się akwamaryną.
Niech rozśpiewa się ciepłym lazurem.
Serce dajcie z różanego drzewa,
Od krwi gorące jak młody gladiolus.
Niech trzepoce w nim najmilszy śpiewak –
ptasznik z Tyrolu.
I nauczcie melodii dalekich
Miast, nieznanych, smutnych oceanów,
by gładziły znurzone powieki
co wieczór i co rano.
Otulcież ją woniami ziół leśnych
i igliwem świerków i modrzewi.
Niech się rozetka, niechaj się rozpieśni
jak drzewiej.
Jak ongiś.
By w niej pieśni jak ptaki się lęły
w rozdźwięczonej zamknijcie ją stągwi.
Potem w domku zamurujcie węgły,
w domku węgły pod oknem na strychu,
by zbyt blada nie zbiegła się cichość,
by zbyt wielka nie zbiegła się cichość.
By w wieczornym świerszczy skrzypkowaniu
smutek dłońmi oczu nie osłaniał –
wyklęty archanioł.

1943

TO... TAMTO... OWO...

Gorliwy wyszperał urzędnik,
długo naradzał się z teściową,
i uchwalili... wymyślili...
to... tamto... owo...

Jakoby przechrztą był ojciec pani,
za taką rzecz, płaci się głową...
chyba, że... rozumie pani...
to... tamto... owo...

Pierwszy raz pani o tym słyszy?
I to dla pani rzecz całkiem nowa?
Lecz proszę sprawdzić, czarno na białym...
To.. tamto... owo...

Proszę nie płakać! Ja to załatwię!
Powiem, gdzie trzeba... dwa... trzy słowa...
Tylko, rozumie pani, koszta...
to... tamto... owo...

Pani już wszystko wyprzedala?
Trzeci rok wojny? Pani wdowa?
Smutne! Może znajomi coś...
To... tamto... owo...

Ja? Skądże znowu? Mały człowieczek.
I po cóż zresztą ta cała mowa?
Mnie za to grozi... rozumie pani?
To... tamto... owo...

Doniósł gdzie trzeba!... Dostał nagrodę...
Żyje spokojnie. Toczy się zdrowo.
Jest ktoś, kto mógłby o nim powiedzieć...
To... tamto... owo...

Lapis
„Moskit” 1943

ZATACZAJ SIĘ

A od ściany do ściany
zataczał się pijany
w sztok, w bambus, w pestkę...

Może teraz ci lepiej,
możesz ból swój oślepił,
że ci ciemno przywarł
w piersiach jak kret.

Możesz wyśnił jej oczy
i wycieplił jej usta,
szloch siłą w krtani wtłoczył
nijako i pusto?

Nijako i pusto...

A od ściany do ściany
zataczasz się pijany
w sztok, w bambus, w pestkę...

Nie odnajdziesz wieczorów
i nocy nie napotkasz
ciężko czas się przeorał
bez spotkań,
bez uśmiechów,
bez spojrzeń,
westchnień,
zachwyceń,
bez grzechu.
Bez zgryzot – uśmiechniętych,
bez smutków – radosnych
...i – pamiętasz?
pamiętasz...?
– bez wiosny.

.... więc od ściany do ściany,
zataczaj się pijany...
w sztok, w bambus, w pestkę...

Evanna, maj 1943 r.

UŚMIECH

Życie mnie piecze jak pokrzywa,
więc chucham wciąż i dmucham,
pociesznie gębę swą wykrzywiam.
Dokucza? Jak psu mucha.

I po cóż zaraz się przejmować
Dziecinnie, dziecinnie łzawić?

Skończyło się. Zaczynij od nowa...
I tak nic nie naprawisz.
Pękł dzban głęboko, głęboko.
Ucieka... Ucieka zeń szczęście:
zły kobold zmiażdżył go obłokiem
jak pięścią.
Kiedy tak chucham wciąż i dmucham,
pociesznie gębę swą wykrzywiam,
proszę: „Wysłuchaj mnie, wysłuchaj”.
To życie. Piecze jak pokrzywa.

Evanna 1943 r.

* * *

Czemuś tak dolę moją uściernił
Boże,
Że się już jutra bardziej niż wczoraj
Trwożę?
Że się dniem każdym niezasłużenie
Ranię,
Czemuś tak dolę moją utrudził
Panie?
I czemu gniesz mnie w każdą godzinę
Człowieczą,
Kiedy bluźnię, krzywoprzysięgam,
Złorzeczę?

1944 r.

PANU XX

Dziad ślepy nie widząc – nie czuje.

Siadł pod murem

I z harmonią do wtóru

Skrzeczy w głos: alleluja!

Alleluja.

Wesołydzień.

A w miasto idzie swąd,

A w miasto idzie smród,

Słup dymu skargą w niebo –

Stamtąd.

O idioto,

O idioto!

Po cóż to czytasz?

Czy po to,

By mnie zapytać,

Co jest od Zweiga?

Od czego jest Proust?

TU

Getto się huśta

Z płomienia w płomień,

Z bloku w blok.

Cóż mi twój świat, który spruszczał

W „sztuczny tłok”?

Widziałem dwie armatki:

Jechały zwinne i gładkie

Z Elektoralnej w Solną.

Patrzę – pożar.

Słońce w okopconych chmurach.

Żandarm. Karabin. Stój. Nie wolno.
Rozumiesz?
To dziś literatura.
W kąsaniu,
Rozwściekieniu
Oszalałych,
Oślepiionych
Os.

Radzę – nie pytaj o Wassermanna.
Radzę – nie pytaj o Kellermanna.
Jak Boga kocham
– dam w nos
.....
..... –
Lubię takiego pana.

Maj 1943

* * *

I

Na pijanym strychu
stapamy po cichu,
gwarzymy po cichu.
Na pijanym strychu.
I nie dacie wiary,
zagląda tu Paryż.
Przez lila kotary
zagląda tu Paryż.

Biała Katarzyna
marzy o Pekinach,
bo mądra jest psina,
panna Katarzyna.

Siedzimy gwarzymy,
ciągnąc mocną wódę,
popijając rymy,
siedzimy, gwarzymy.

Niecierpliwi cudu,
popijając wódę
na strychu pijanym,
na zaczarowanym.

II

Nocą jak kinoteatr,
zmierzchem jak ametyst,
wychodzą złe słowa
jak kupne kobiety.

I górą jak pociąg
rytm huczy przeciągle,
a dołem, ulicą,
pijany gna żongler.
I słowa zaczepia,
klnąc ciężko jak murarz
aż wszystkie się zbiegną.
Noc i awantura.

III

Wpadam jak furiat w składy fortepianów,
cytr i mandolin, okaryn i skrzypiec,
gdy mnie obudzi już o piątej rano
lipiec.

Perliste kolie koliście turlam
w płaskie i chore piersi z hebanu.
Ciepło mi nuci wiślany burlak –
lipcowy poranek.

Gwiżdżę i skrzypię, płaczę kontrabasy,
pękają struny, brzuchy mandolin,
ale melodia rośnie mi w masyw
nieznanej woli.

1943/1944

GDZIE NIE POSIEJĄ MNIE

Gdzie nie posieją mnie, tam wszędzie
ostem, makami lub kąkolem.
Wiatr latający jak Holender
włóczy mnie po ściernistych dolach.
Ziemi nie pragnę ciepłej, ornej,
ni rączęt Matki Boskiej Siewnej –
zanadto może bym spokorniał,
zbyttnio bym się może rozrzewnił.

Więc niech się dzieje zła zawieja!
A ja kąkolem, makiem, ostem
tam wszędzie, gdzie mnie nie posieją.
To takie proste.

1943

CO Z NIM ZROBIĆ?

Jeżeli o mnie chodzi,
to nie mam wielkich wymagań.
Chociaż mi bardzo szkodził,
przed niską zemstą się wzdragam.
Są tacy, co chcą go w klatce
wozić po Unter den Linden.
Inni zaś, chcą go w armatę
nabić za cały ten szwindel.
Jedni chcą napluć mu w gębę,
drudzy chcą napluć mu w oczy,
chcą walić w niego jak w bęben
lub w kwasie solnym go moczyć.
Chcą kości łamać mu powoli,
straszą komorą gazową,
chcą go ćwiartować i solić,
pieprzyć i ćwiartować na nowo.
Chcą mu paznokcie wyrywać...
Nie! Nie chcę więcej już słuchać,
świat przecież (nie jestem dziwak!)

to nie Aleja Szucha!
Ja gdybym miał decydować,
(myślę, że z tym się zgodzicie)
plan pięcioletni głodowy,
plan swój wprowadzić chcę w życie.
Więc wyspę mu dam. Bez straży.
Strumieni pełną i kaskad.
Piękniejszą, niż mógł by wymarzyć,
większą niż Madagaskar.
Park na niej podzwrotnikowy
będzie, lian pełen będzie i agaw.
Przeciwlotnicze w nim rowy,
bo to pomaga.
W nim piękny pałac wystawię,
lepszy niż w Bergstengaden.
Pokoї w nim, jak w Warszawie.
Lecz zamieszkały w nim – żaden!
Dopiero w ostatnim – klosz szklany,
pod którym go właśnie umieszczę.
By tak odizolowany
wyglądał jak zwykły mieszczuch,
by cicho siedział, jak trusia.
Naczynia mu dam przeróżne,
pracować więc będzie musiał.
Przelewać z pustego w próżne...
Żywności dostarczę mu takiej,
jaką nam daje w Guberni –
chleb, marmoladę, ziemniaki
i kawę, by nie zmizerniał.
Nie wiem, jak długo żyć będzie?
Rok, może dwa lata...
Zastrzyków mu nie oszczędzę,

by nie zmarł przypadkiem na katar.
Pięć lat. Gdyby się jednak męczył,
to wiem co zrobić trzeba –
dam mu (za skutek rączę!)
podwójną porcję chleba!

Lapis
„Moskit” nr 4

JÓZEF KWASIBORSKI

Pierwsze moje spotkanie, pierwsza rozmowa z Józefem Kwasiborskim, odbyła się w małej kawiarence przy ulicy Brackiej w Warszawie. Było to w czerwcu 1940 roku, w kilkanaście dni po kapitulacji Francji. Do spotkania tego doszło z inicjatywy naszego wspólnego znajomego, członka „Sokoła” i działacza Stronnictwa Narodowego, Kazimierza Wojtczaka. Nie wiedziałem wtedy, jakie stanowisko zajmuje nasz rozmówca w strukturach Polski Podziemnej, obdarzałem jednak pełnym zaufaniem obu tych ludzi. Rozmowa trwała około godziny.

W latach okupacji, a także w latach PRL, spotykałem kilkakrotnie Józefa Kwasiborskiego na ulicach Pruszkowa, wiedziałem o jego tragicznych więziennych przeżyciach, kłaniał mi się z daleka, ale nie zdradzał chęci rozmowy. Dopiero na początku lat siedemdziesiątych, gdy w „Tygodniku Powszechnym” zaczęły się ukazywać fragmenty mojej książki „W cieniu Warszawy”, dowiedziałem się od mego brata – Jerzego, że Józef Kwasiborski chciałby spotkać się ze mną. W tym czasie obaj pracowali społecznie w Towarzystwie Anonimowych Alkoholików. Odwiedziłem go w

willi na terenie „starego” Komorowa. Wtedy właśnie, kończąc naszą długą i bardzo ciekawą rozmowę, umówiliśmy się na następne spotkanie w mieszkaniu przy ulicy niegdyś Armii Ludowej, a obecnie POW.

Odwiedzał mnie kilkanaście razy. Już wtedy byłem przekonany, że odczuwał potrzebę opowiedzenia o swojej przeszłości, o swoich wzlotach i upadkach, o tym wszystkim, co przeżył.

Wdaje mi się, że rozmawiał ze mną bardzo szczerze, być może zdawał sobie sprawę, że to właśnie ja będę przekazywał dalej jego przemyślenia, że to ja będę opowiadał o jego życiu. Przychodził do mnie rano, około godziny ósmej, aby do południa rozmawiać ze mną o przeszłości.

Nie trzeba zapominać o tym że były to dziwne czasy. Gdy rozstawaliśmy się, szedł przez nasz ogród, wędrował przez ogródek sąsiadki, aby wyjść na ulicę Szkolną. Mówił mi wtedy, że często jest śledzony. Dobrze rozumiałem taką ostrożność. Ja nie mogłem wtedy robić żadnych notatek z naszych rozmów, gdyż po ukazaniu się w „Tygodniku” moich artykułów, wezwano mnie na „zapoznawczą” rozmowę do siedziby Służby Bezpieczeństwa. Zostałem wtedy ostrzeżony, że nie wolno mi zbierać żadnych materiałów mówiących o powojennych losach bohaterów mojej książki „W cieniu Warszawy”. Obydwaj woleliśmy zachować ostrożność, nie wzbudzać podejrzeń u czujnych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa.

Nasze spotkania odbywały się aż do roku 1976. Przerwała je moja podróż do Argentyny. Podczas tych spotkań najczęściej rozmawialiśmy o latach okupacji, a także o pierwszych miesiącach roku 1945. Nie dowiedziałem się wszystkiego o dwóch, być może najważniejszych, wydarzeniach z tamtego okresu. O Powstaniu Warszawskim i o aresztowaniach w willi Szulcowej na Ostoi. Józef Kwasiborski był

uczestnikiem przygotowań i ustaleń dotyczących terminu wybuchu Powstania, a także przebiegu „konsultacji” z władzami radzieckimi. Podczas naszych rozmów o godzinach poprzedzających te oba wydarzenia, tak ważne w naszych dziejach, podczas tych naszych nie wyjaśnionych do końca dociekań, nawiązywała się pomiędzy nami nie przyjaźni. Staralem się zrozumieć jego jak najlepiej, do końca. Zdawałem sobie sprawę, że był człowiekiem znacznie wyraźającym ponad przeciętność, człowiekiem nieprzeciętnym. Gdy po moim powrocie z Argentyny zamieszkałem w Warszawie urwały się nasze spotkania. Rozmawialiśmy przez telefon, odwiedzał mnie jego brat, Franciszek, ale do naszego spotkania już nie doszło.

* * *

Józef Kwasiborski urodził się w Mińsku na Białorusi w dniu 24 października 1898 roku, jako syn Henryka i Antoniny z domu Niemira. W roku 1902 rodzina opuszcza Mińsk i przeprowadza się do Warszawy, a następnie przenosi się do Pruszkowa, gdzie ojciec, pracownik Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, zostaje zatrudniony jako rzemieślnik-mechanik w Warsztatach Kolejowych. Tu rodzice dochowali się sześciu synów i córek. Józef Kwasiborski był uczniem warszawskiego Gimnazjum im. M. Reja, maturę zdaje w roku 1918. Wcześniej wstępuje do tajnej organizacji niepodległościowej POW (Polska Organizacja Wojskowa).

Gdy kończyła się I Wojna Światowa był już studentem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego oraz równocześnie pełnił funkcję zastępcy komendanta XV

Obwodu POW, obejmującego Pruszków, Ożarów, Błonie, Grodzisk, Żyrardów i Mszczonów. Komendantem XV Obwodu był Pruszkowianin Antoni Gniewecki a pruszkowski Oddział POW prowadził Jan Ptasznik, pracownik apteki na Żbikowie.

Wojna polsko-bolszewicka 1919-1920 przerywa Józefowi Kwasiborskiemu studia medyczne. Ochotniczo zgłasza się do wojska i dostaje przydział do Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie. W tym niespokojnym okresie rozpoczyna wydawanie dwutygodnika „Głos Pruszkowa”. Wydaje kilkanaście numerów tego czasopisma, rozpoczynając swoją działalność literacko-wydawniczą. Píše o sprawach związanych z wojną, o trudnych problemach naszego kraju oraz naszego miasta. Nieliczne egzemplarze tego pisma znajdują się w Bibliotece Narodowej i w Bibliotece Uniwersyteckiej. W późniejszych latach Józef Kwasiborski, po przegranym procesie prasowym, nie występuje już jako wydawca.

W rok po zakończeniu wojny przerywa studia medyczne i rozpoczyna pracę administratora w Sanatorium dla Psychiczenie Chorych dr Edwarda Steffena, na Wrzesinie (obecnie szpital na Ostoi). W tym samym czasie zostaje radnym Rady Miejskiej Pruszkowa. W okresie dwudziestolecia międzywojennego, we wszystkich wyborach samorządowych będzie wybierany do Rady Miejskiej. W latach 1926-30 był wiceburmistrzem miasta Pruszkowa.

Równocześnie staje się Józef Kwasiborski główną postacią wśród wydawców oraz współpracowników pruszkowskich wydawnictw prasowych. W roku 1923 wydaje wspólnie z dr Konradem Bagdachem i Piotrem W. Kuklińskim dwutygodnik „Echo Pruszkowa”, poświęcony żywotnym problemom Pruszkowa i okolic. Gdy „Echo” przestaje wychodzić, w roku 1928 zakłada wraz ze Stefanem Szeppen-dwutygodnik „Głos Pruszkowa”. Wydawnictwo nie prze-

trwało długo. W roku 1934 wznawia wydawanie „Głosu” już samodzielnie. Ostatni numer ukazał się z datą 3 września 1939 roku.

W roku 1931, podczas wielkiego kryzysu, zbankrutowała jedyna pruszkowska drukarnia Słoniewskiego, mieszcząca się przy ul. Cedrowej (obecnie Obrońców Pokoju). Upadający zakład przejmuje Józef Kwasiborski do spółki ze Stefanem Szepe. Po pewnym czasie Szepe wycofuje się, a Kwasiborski przenosi drukarnię do nowowzniesionego budynku przy ul. Sobieskiego 14. W budynku poza częścią przeznaczoną na drukarnię, znajdują się pomieszczenia mieszkalne, a także lokale dla pruszkowskich organizacji społeczno-katolickich. Przebudowaną i unowocześnioną drukarnię, o nazwie „Znicz”, prowadził brat Józefa – Franciszek Kwasiborski. W tym czasie obaj byli studentami Szkoły Dziennikarskiej. Drukarnia specjalizowała się w wydawnictwach o treści religijnej. Własna drukarnia odgrywała dużą rolę w pracach społeczno-politycznych Józefa Kwasiborskiego.

Był wtedy dobrze znanym w Pruszkowie działaczem społecznym i politycznym. Przez dwie kadencje był ławnikiem w Zarządzie Miejskim, równocześnie pełnił obowiązki przewodniczącego Sejmiku Powiatowego, przewodniczył także Komisji Rewizyjnej w Komunalnej Kasie Oszczędności. Przez te lata w „swoich” czasopismach przeprowadzał akcję mającą zapewnić wszystkim dzieciom w naszym mieście naukę. Działając wspólnie z wiceburmistrzem Stanisławem Berentem zdołał przeprowadzić Gimnazjum im. Zana z budynku mieszkalnego przy ul. Narodowej do odpowiednio przebudowanego budynku przy ul. Klonowej nr 4 (dziś ul. Daszyńskiego). Sukcesem zakończyły się starania o zorganizowanie wypoczynku letniego w Komorowie dla polskich dzieci z Niemiec i z ówczesnych Kresów

Wschodnich. Dużym sukcesem Józefa Kwasiborskiego było załatwienie ubezpieczenia społecznego dla dozorców domowych. Zyskali oni, wpłacając niewielkie składki miesięczne, stałą opiekę lekarską w ramach Kasy Chorych. W połowie lat trzydziestych był inicjatorem przeprowadzenia w naszym mieście zbiórki pieniędzy na budowę okrętu podwodnego „Orzeł”.

Dzięki jego staraniom i przy pomocy akcji prasowej powstało w Pruszkowie kilka stowarzyszeń katolicko-społecznych. Założył Związek Robotników Chrześcijan, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży „Odrodzenie”, a także pruszkowski oddział Chrześcijańskiej Demokracji.

Nie wszystkie pomysły Józefa Kwasiborskiego przynosiły pomyślne rezultaty, niepowodzeniem zakończył się pomysł wprowadzenia w Pruszkowie prohibicji. Pomysł narodził się pod wpływem opowieści licznych w naszym mieście przybyszów z USA, gdzie ona obowiązywała. Pod koniec lat dwudziestych złożył Józef Kwasiborski w Radzie Miejskiej wniosek o wprowadzenie i u nas prohibicji. W ogłoszonym plebiscycie większość z niewielkiej ilości głosujących poparła ten projekt. Pruszków stał się jedynym w Polsce miastem, w którym obowiązywał zakaz sprzedaży alkoholu. W niedługim czasie okazało się, że zakaz był fikcją. Podobnie było i Stanach Zjednoczonych, tylko że u nas, na szczęście, nie powstała mafia i gangi. Aby ominąć zakaz otwierano restauracje tuż przy granicy miasta, kwitł pokątny handel, w wielu domach rozpoczęto produkcję bimbru. Równocześnie znacznie wzrosła przestępczość. Coraz więcej krajowych gazet ośmieszało „suchy Pruszków”. Dość szybko okazało się, że ta próba „urzędowego” odzwyczajania ludzi od picia wódki nie udała się. Podobnie było i w USA. Nie pamiętam, kiedy przestał obowiązywać zakaz sprzedawania alkoholu w Pruszkowie.

W roku 1937 powstało Stronnictwo Pracy. Z inicjatywy przebywających na emigracji: Władysława Sikorskiego, gen. Józef Hallera oraz Ignacego Jana Paderewskiego nastąpiło połączenie kilku mniejszych organizacji Chrześcijańskiej Demokracji, Związku Hallerczyków, Narodowej Partii Robotniczej, działającej na Śląsku i kilku drobnych stowarzyszeń w Stronnictwo Pracy. Ta niewielka partia, o charakterze katolicko-narodowym, w latach wojny odgrywała pewną rolę dzięki zagranicznym protektorom.



Weronika i Józef Kwasiborscy wraz z dziećmi (od lewej: Krystyna, Weronika, Tomasz, Józef, Joanna).

Zbliżająca się wojna, przyniosła wiele zmian w prywatnym życiu Józefa Kwasiborskiego. Ożenił się. Jego żona Weronika, magister praw, została znanym pruszkowskim adwokatem. Mieli troje dzieci. Jego córka Krystyna jest lekarką. Wiele lat pracuje w Szpitalu Kolejowym w Pruszkowie.

We wrześniu 1939 roku, po słynnym apelu płk Umiańskiego, powędrował Józef Kwasiborski na Wschód, za Bug, docierając aż do Zdołbunowa, gdzie przebywał najstarszy z braci – Henryk. W kilka miesięcy po powrocie do Pruszkowa zostaje powołany, jako przedstawiciel Stronnictwa Pracy, do Rady Jedności Narodowej, krajowego odpowiednika Rządu Polskiego na Emigracji. Na początku roku 1940 zostaje mianowany Delegatem Rządu na Warszawę i województwo warszawskie. W roku 1942 Delegatem Rządu na Warszawę zostaje mianowany Marcei Porowski „Sowa”.

W roku 1940 zaczął Józef Kwasiborski swoje „konspiracyjne” życie. Jak wtedy mówiono „żył na papierach”. Otrzymał dokumenty na inne nazwisko. Zostaje zameldowany na Targówku w mieszkaniu swojego teścia. W strukturach podziemnych istnieje jako „Niemira”, „Rafał” oraz jako „Podmiejski”. Ten ostatni kryptonim pozostał tajemnicą dla emigracyjnego historyka Pobóg-Malinowskiego, który cytując niektóre depesze przesyłane z Kraju do Londynu, stwierdza, że nie wie kto kryje się za tym pseudonimem,

Rok 1942 poświęca „Niemira” na stworzenie tajnych władz administracyjnych. W granicach przedwojennego województwa warszawskiego zaufanych ludzi mianuje na stanowiska starostów, oni zaś zadbali o to, aby każde miasto z ich powiatu, każda gmina, miały konspiracyjnych burmistrzów oraz wójtów. Stworzono oddziały Służby Ochrony Powstania, mające zajmować się porządkiem i bezpieczeń-

stwem mieszkańców. Gdy SOP przejęła Komenda Główna AK przystąpiono do organizowania oddziałów Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, werbując patriotycznie nastawionych, zaufanych „granatowych policjantów” oraz strażaków.

Wychodzono z założenia, że działania wojskowe należą do Armii Krajowej, natomiast zabezpieczeniem fabryk, mostów, linii kolejowych oraz bezpieczeństwem ludności, powinny zajmować się organizacje podlegające Delegaturze Rządu na Kraj. Taki podział obowiązków został uzgodniony z Rządem w Londynie. Komendantem Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa na miasto Warszawę i na województwo warszawskie był Bronisław Chajęcki „Boryna”.

Niezapomniane lipcowe dni 1944 roku spędzał „Niemira” w swojej konspiracyjnej siedzibie przy ulicy Kruczej w Warszawie. Przed wieczorem przyjeżdżał do Pruszkowa. W drugiej połowie lipca front wschodni załamał się. Odwrót Niemców zamieniał się w paniczną ucieczkę. Pewnego dnia rano „Niemira” dowiedział się o ucieczce *stadtkomissara* Waltera Bocka, a gdy szedł do kolejki EKD w Pruszkowie widział opuszczony przez żołnierzy niemieckich budynek szkoły im. T. Kościuszki, poruszone wiatrem franki w otwartych oknach opuszczonych mieszkań w dzielnicy niemieckiej i zamkniętą furtkę do willi „Pod bocianem” – siedziby żandarmerii.

W mieście nie było już Niemców. Prawie punktualnie kursowała kolejka EKD. Przed południem tego dnia był razem z Delegatem na Kraj Janem Stanisławem Jankowskim na odprawie z dowództwem AK, mówił o sytuacji w Pruszkowie o tym, że czołgi sowieckie poprzedniego dnia pojawiły się w Mszczonowie; decyzja o powstaniu nie zapadła. Dla żołnierzy AK trwał stan pogotowia.

W dwa dni później sytuacja była zupełnie inna. Walter Bock powrócił do pałacyku Potulickich, w willi „Pod bocianem” ponownie pojawili się żandarmi, a na rampie kolejowej wyładowywały się oddziały jakiejś pancernej dywizji. Znowu zobaczył zupełnie innych niemieckich żołnierzy. Opaleni, z barwnymi chustkami na szyjach, pokrzykiwali na siebie; w parku „Sokoła” pojawiły się kuchnie polowe, było tam kilkanaście samochodów pancernych i ciężarówek. Jadący na transporterach w kierunku Warszawy żołnierze śpiewali „Lili Marleen”. Pruszków już dawno nie słyszał tej żołnierskiej piosenki.

„Niemira” dowiedział się, że to dywizja SS *Herman Goering* przybyła z Włoch. Następnego dnia znowu był z Delegatem Rządu na odprawie. Mówił o radykalnej zmianie sytuacji. Znowu byli żołnierze niemieccy w Szpitalu Tworowskim, pełno ich było na ulicach miasta. *Sicherheitspolizei* znowu urzędowała w domu przy ulicy Parkowej.

Podczas przedpołudniowej odprawy wysłuchano jego sprawozdania z sytuacji w Pruszkowie. Gdy opuszczano lokal przy ul. Chmielnej nie mówiono o Powstaniu. Był poniedziałek 31 lipca 1944 roku. „Niemira” nocował w Pruszkowie. Następnego dnia około godz. 10.00 był już w swoim konspiracyjnym lokalu przy ul. Kruczej. Przed godziną 13-tą zjawił się zdyszany Kazimierz Pużak, z wiadomością, że o godzinie 17-tej ma wybuchnąć Powstanie. Okazało się, że on, przewodniczący Rady Jedności Narodowej dowiedział się o „Godzinie W” przed dwoma godzinami, na parę godzin przed wyznaczonym terminem.

Nie zrozumieli przyczyny tak szybkiej zmiany przedpołudniowej decyzji, „Niemira” miał „zamelinowane” w magazynie broni PKB przy ul. Jasnej swój rewolwer, pas z kabiną i opaskę delegata na woj. warszawskie. W magazynie zastał żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa. Nie chcieli z nim

rozmawiać, zasłaniając się rozkazem Komendy Głównej AK. Broń maszynową przenieśli już w inne miejsce. Rewolweru nie chcieli wydać. Dopiero znacznie później dowiedział się od „Boryny”, że w przeddzień Powstania otrzymał od Delegata na Kraj polecenie przekazania Komendzie Głównej AK adresów magazynów broni PKB, podobno dla uniknięcia nieporozumień podczas Godziny „W”. „Boryna” wykonał to polecenie niechętnie, ulegając kategorycznemu poleceniu Delegata na Kraj. Rozkaz o Godzinie „W” dotarł do „Boryny” zbyt późno. Ludzie z KB znali dużo wcześniej ten termin i dlatego mogli opanować magazyny broni PKB na wyraźne rozkazy Ludwika Muzyczki „Benedykta” z Komendy Głównej AK. Pozbawieni broni żołnierze PKB nie odegrali żadnej roli podczas Powstania, znacznie później dowiedziano się, że komendant KB, „Tarnawa”, pod koniec lipca przedostał się przez linię frontu do Lublina i tam podporządkował swoją formację Krajowej Radzie Narodowej. Powstały Połączone Siły Zbrojne AL, PAL, KB.

Po upadku Powstania „Niemira” ukrywał się w Milanówku i Podkowie Leśnej. Delegat na Kraj przebywał w Komorowie. Trwały spotkania z nim, w czasie których Jan Stanisław Jankowski starał się wytłumaczyć swoją decyzję, swoje poparcie dla rozkazu o Godzinie „W” oraz innych postanowień. Tragedia Powstania wycisnęła na nim swoje piętno. Z Rządem w Londynie utrzymywano stałą łączność radiową. W drugiej połowie lutego dotarła do Delegata wiadomość, że przedstawiciele Armii Radzieckiej chcą się z nim spotkać w celu omówienia obecnej sytuacji, doniósł o tym ktoś ze Stronnictwa Ludowego. Pierwsze, nieoficjalne rozmowy, przeprowadzali ludowcy. Dla udokumentowania swojej dobrej woli Sowietci zaproponowali, aby Delegat na Kraj wytypował kilku ludzi z Delegatury, którzy udadzą się do Londynu w celu naradzenia się z Rządem Emigracyj-

nym. Potrzebne były fotografie oraz dane personalne tych osób dla wystawienia dokumentów podróży.

„Niemira” był wśród wytypowanych. Jeden z ludowców dostał od niego potrzebne dokumenty. Oczekiwał na przelot do Londynu. Równocześnie Sowieci zaproponowali, aby przed właściwymi rozmowami odbyły się wstępne „konsultacje”, by radziecki generał spotkał się z czołowymi przedstawicielami Polski Podziemnej. Podali od razu nazwiska gen. L. Okulickiego, Jana St. Jankowskiego i Kazimierza Pużaka. Już wtedy okazało się, że nasza konspiracja, skuteczna podczas niemieckiej okupacji, nie zdaje egzaminu, przy zetknięciu z Sowietami.

Ludowcy nalegali, aby nie zmarnować okazji do nawiązania kontaktu z wojskiem radzieckim. Dopiero znacznie później okazało się, że „konsultacje” będzie prowadziła nie Armia lecz GPU – NKWD. To ludowcy ustalili program tych spotkań. Pierwszego dnia wizyta „zapoznawcza” naszego kierownictwa, a w następne dni odbędą się spotkania, na których omówi się wszystkie szczegóły porozumienia.

„Niemira” po wielu latach, rozmawiając ze mną, wspominał, że zarówno gen. L. Okulicki, jak i K. Pużak oraz on, byli przeciwni takim spotkaniom. Nie wierzyli Sowietom. Jednak ludowcy byli dziwnie uparci. Gdy ustalono willę Szulcowej jako miejsce spotkania, „Niemira” postanowił obserwować willę z poddasza, leżącego po drugiej stronie ulicy szpitala na Wrzesinie (przedwojennym sanatorium dr Steffena dla Psychicznie Chorych).

W latach międzywojennych administratorem w tym zakładzie był „Niemira”. Znał tu wszystkie pomieszczenia i zakamarki. Wiedział, że z okienka na strychu widać dokładnie, co dzieje się na podwórku za wysokim murem otaczającym willę. Podczas ostatniej narady z Delegatem przed konsultacjami ustalono, że „Niemira” z okienka na strychu

obserwować będzie willę podczas wizyty w niej naszych trzech przywódców. Po zakończeniu konsultacji, gdy nasi trzej delegaci opuszczą willę, w pewnej odległości za nimi będzie szedł „Niemira”, obserwując czy nie są śledzeni. Na pruszkowskim przystanku EKD J. St. Jankowski miał pożegnać się z gen. Okulickim i K. Pużakiem i powędrować do pruszkowskiego kościoła, gdzie opowie „Niemirze” o przebiegu rozmów. Jeśli okaże się, że rozmowy z sowietami przebiegały pomyślnie, to następnego dnia na dalsze konsultacje przyjdzie do willi powiększona delegacja członków Delegatury dla ustalenia szczegółów porozumienia mającego doprowadzić do ujawnienia się władz Polski Podziemnej i do przybycia Rządu Emigracyjnego do kraju. Ustalając skład powiększonej delegacji na drugi dzień „konsultacji”, zdecydowano, że gen. Okulicki zawiadomi dwóch „swoich” wojskowych, K. Pużak zawiadomi swoją „siatką kontaktową” mieszkających na przedmieściach Warszawy i na Pradze członków Delegatury a „Niemira”, po uzgodnieniu z J. St. Jankowskim, zawiadomi działacza ludowego Kazimierza Bagińskiego, który z kolei zawiadomi „swoją siatkę”, ludzi mieszkających na zachód od Pruszkowa. Kazimierz Bagiński zamieszkał po Powstaniu we wsi Granica pomiędzy Komorowem a Nową Wsią. Jego siostra Wanda była żoną doktora Jerzego Dębskiego i mieszkała przy ul. POW nr 8.

„Niemira” spędzał ostatnie dni u swojej siostry, w domu rodziców, przy ul. Ogrodowej na Żbikowie. Idąc z kościoła pruszkowskiego na Żbików przez ulicę POW miał wstąpić do Wandy Dębskiej i przekazać jej umówiony sygnał, że wszystko jest na dobrej drodze. Przed wieczorem K. Bagiński miał odwiedzić siostrę.

Dokładnie ustalony plan zawiódł całkowicie. Ktoś zdradził. Nie przewidziano, że przeciwnik jest i mądrzejszy

i sprytniejszy, że ma dość sił i środków, aby narzucić inne rozwiązanie. Nie doceniano sprawności działania NKWD GPU. Nie zdawano sobie sprawy z tego, jak głęboko sięgają w struktury Polski Podziemnej będący na usługach Sowietów nasi rodacy.

Gdy w dniu 27 marca 1945 roku, na kilkanaście minut przed godziną ósmą, „Niemira” wchodził na drewniany most nad kolejką EKD (w tamtych latach droga od przystanku EKD do mostu przebiegała z północnej strony kolejki), zobaczył gapiących się na niego dwóch mężczyzn. Minął ich obojętnie, idąc w kierunku szpitala. Już za mostem spotkał powracającą z dyżuru znajomą pielęgniarkę. Zatrzymała się i wzburzonym głosem ostrzegła go, aby nie szedł do szpitala, gdyż weszła tam duża grupa żołnierzy radzieckich. Poza nią nikt ze szpitala już nie wyszedł. Ostrzeżony „Niemira” widząc, że dwaj mężczyźni stojący na moście ruszają w ich kierunku, pożegnał się i poszedł w stronę zabudowań Ostoi. W pobliskiej willi mieszkał dobry znajomy. Z okna pokoju na facjacie widać było część mostu i ulicę Pęcicką aż do wysokiego muru, otaczającego willę Szulcowej. Powracająca ze sklepu żona gospodarza opowiedziała o patrolach żołnierzy sowieckich, którzy legitymowali niektórych przechodniów. „Niemira” powrócił do swojego nazwiska, od chwili złożenia fotografii oraz zaświadczeń niezbędnych dla uzyskania paszportu zagranicznego wołał unikać kontaktu z Sowietami. Przez dwa dni pozostał w pokoju na facjacie, obserwując most i drogę. Widział trzech naszych przywódców spieszących na „konsultacje”. Ogarnęło go złe przeczucie, gdy do zmroku nie widział ich wychodzących z willi. Natomiast następnego dnia ogarnęło go przerażenie, gdy obserwował kilkunastu znajomych ludzi z Delegatury spieszących na „konsultacje” wbrew poprzednim ustaleniom. Samochody osobowe

przyjeżdżały do willi Szulcowej i po chwili odjeżdżały. To wszystko było bardzo dziwne. Przed wieczorem odeszli z mostu dwaj podejrzani cywile. Nie było także patroli na uliczkach Ostoi.

Gdy „Niemira” zobaczył tłum ludzi opuszczających budynek szpitalny, nie zatrzymywanych przez nikogo, pożegnał zaprzyjaźnionych gospodarzy i poszedł w kierunku mostu, gdzie od spieszących do domu ludzi dowiedział się, że radzieccy żołnierze przez dwa dni wpuszczali do budynku interesantów, ale nikogo nie wypuścili. Zablokowano nawet telefon. Nikt nie znał przyczyn przeprowadzenia takiej akcji, tylko „Niemira” umocnił się w przekonaniu, że w sprytnie zastawioną pułapkę dali się złapać łatwowierni i lekkomyślni przywódcy Polski Podziemnej.

Gdy w dwa dni później spotkał się z Jerzym Braunem, wiedziano już, że uczestnicy „konsultacji” zostali przewiezieni do Moskwy. Wieczorem wysłano do Londynu depechę z dokładnym opisem tragicznego wydarzenia. Obowiązek Delegata na Kraj miał przejąć Jerzy Braun, był to przedwojenny wydawca pisma literackiego „ZET”, poeta, autor popularnej piosenki harcerskiej „Płonie ognisko i szumią knieje...”. Wtedy właśnie niektóre funkcje Delegata na Kraj przejął Józef Kwasiborski, podpisując swoje depesze do Londynu nowym pseudonimem „Podmiejski”.

W rozmowach, choć od tamtych wydarzeń minęło trzydzieści lat, wielokrotnie powracaliśmy do tamtych dni, do wydarzeń tak trudnych do zrozumienia i wytłumaczenia.

Oto pytania:

– Dlaczego wybuchło Powstanie Warszawskie? Dlaczego Godzinę „W” wyznaczono na 1 sierpnia?

– Dlaczego Godziny „W” nie wyznaczono wcześniej, w dniach panicznej ucieczki Niemców z Warszawy, po załamaniu się Wschodniego frontu?

– Dlaczego podjęto tę decyzję, gdy Niemcy opanowali już sytuację, zdusili panikę, gdy do Warszawy i okolic napływały doborowe jednostki Wehrmachtu?

– Dlaczego ktoś z Komendy Głównej AK przekazał magazyny uzbrojenia PKB żołnierzom z Korpusu Bezpieczeństwa na kilka godzin przed tym, kiedy zawiadomiono dowództwo PKB o Godzinie „W” i to wtedy, gdy dowódca KB „Tarnawa” podporządkował podległe sobie oddziały KB Krajowej Radzie Narodowej w Lublinie?

– Dlaczego wbrew zdrowemu rozsądkowi i wcześniejszym ustaleniom, wyruszyli na rzekome „konsultacje” czołowi przywódcy Podziemia, doświadczeni konspiratorzy?

Po tylu latach obydwaj zdawaliśmy sobie sprawę, że była to wzorowo zorganizowana akcja sowieckich Służb Bezpieczeństwa, NKWD lub GPU. Jednak do końca naszych spotkań nie mogliśmy pojąć, nie mogliśmy zrozumieć łatwości, z jaką udało się Sowiecom przeprowadzić swój plan likwidacji polskiego podziemia politycznego. Widocznie nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jak głęboko sięgały w nasze Podziemie sowieckie służby wywiadowczo-dywersyjne. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że tylko dostęp do archiwów rosyjskich może nam wyjaśnić te tajemnice.

Proces przywódców Polski Podziemnej, aresztowanych na Ostoi, odbywał się w Moskwie, w dniach 18-21 czerwca 1945 roku, w tym czasie trwały „konsultacje” z innym polskim przywódcą.

W dniu 27 czerwca Mikołajczyk podpisał w Moskwie umowę o powołaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. W końcu czerwca, na tajnym posiedzeniu w Krakowie, rozwiązała się Delegatura na Kraj. Do Warszawy przyjechał Mikołajczyk, entuzjastycznie witany przez Polaków. Wydawało się, że wraz z jego przylotem zawita do Polski wolność. To były złudzenia. Nie znaleźmy planów Kremla.

Józef Kwasiborski zaczynał nowe życie, wrócił do swego nazwiska. Zamieszkał w Pruszkowie, w swoim mieszkaniu. Z Londynu powrócił do Kraju przywódca Stronnictwa Pracy, Karol Popiel. Wydawało się, że Polska znalazła się na drodze ku odzyskaniu niepodległości, że nasi wielcy sojusznicy, USA oraz Anglia, nie opuszczą nas po zwycięskim zakończeniu wojny. Członkowie Stronnictwa Pracy zostają powołani do stworzonej przez komunistów Krajowej Rady Narodowej. Józef Kwasiborski jako poseł skrytykował postępowanie funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa oraz milicji. Nikt wtedy nie spodziewał się, że trzy lata później, po aresztowaniu, podczas pierwszego przesłuchania minister Stanisław Radkiewicz poleci swoim funkcjonariuszom-oprawcom odpowiedzieć na tę interpelację okrutnym biciem, aż do utraty przytomności.

W listopadzie 1945 roku ukazuje się pierwszy numer „Tygodnika Warszawskiego”, katolickiego pisma społeczno-kulturalnego. Redakcja mieściła się w gmachu „Romy” przy ul. Nowogrodzkiej, redaktorem naczelnym był ks. Zygmunt Kaczyński, a w skład zespołu redakcyjnego wchodził m.in. Jerzy Braun, Jerzy Kierst, Antoni Madej, Olgierd Budrewicz, Bohdan Ostromięcki, oraz Józef i Franciszek Kwasiborscy. Józef prowadził dział wydarzeń kulturalnych i politycznych. Franciszek zajmował się sprawami wydawniczymi i administracyjnymi. „Tygodnik” zakończył swoją działalność w sierpniu 1948 roku. Po wyborach parlamentarnych w styczniu 1947 roku, gdy okazało się że komuniści nie mają zamiaru z nikim dzielić się zdobytą władzą, opuścił Polskę Stanisław Mikołajczyk, a Karol Popiel legalnie wyjechał do Paryża. Pożegnanie prezesa Stronnictwa Pracy odbyło się podczas kolacji w mieszkaniu Kwasiborskich w Pruszkowie. Nikt wtedy nie przewidział tego, co będzie czekało uczestników tej pożegnalnej kolacji.

Ksiądz Zygmunt Kaczyński i działacz wielkopolskiej Chadeccji, Antoni Antczak, umrą w więzieniu, Józef Kwasiborski i Jan Hoppe z wyrokami dożywocia spędzą wiele lat w więzieniach na Koszykowej i Rakowieckiej w Warszawie oraz we Wronkach i Rawiczu.

Przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie stanął Rudolf Dengel, hitlerowski „prezydent” Warszawy, który już w 1940 roku planował barbarzyńskie zbурzenie Warszawy do rozmiarów 130 tysięcznego miasta. Na zdjęciu Dengel z tłumaczem

PO PRAWEJ:

Przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie stanęli członkowie kierowniczego ośrodka nielegalnego, tzw. „Popielowskiego” Stronnictwa Pracy. Oskarżeni współpracowali z hitlerowskim okupantem, a po wyzwoleniu uprawiali działalność dywersyjną i szpiegowską. Na fot.: ława oskarżonych. Widoczni od lewej: Hoppe, Kwasiborski, Antczak i Bukowski



Fot.: FILM POLSKI i M. KURNIK

Gazetowa notatka z procesu.

W dniu 11 sierpnia 1947 roku w willi przy ul. Brzozowej w Komorowie zostaje aresztowany Józef Kwasiborski, tego samego dnia w Pruszkowie zostaje aresztowany Franciszek Kwasiborski. Z ich mieszkań zabrano kilka worków różnych dokumentów. Obu przewieziono do więzienia Urzędu Bezpieczeństwa przy ul. Koszykowej w Warszawie. Franciszek Kwasiborski po kilkutygodniowym przesłuchaniu zostaje zwolniony, natomiast Józef Kwasiborski, uznany za „przywódcę szajki Popiela”, zostaje poddany okrutnym torturom. Podczas pierwszych przesłuchań jest bity aż do utraty przytomności. Śledztwo, prowadzone przez wyjątkowo okrutnych funkcjonariuszy UB pod osobistym nadzorem ministra Stanisława Radkiewicza, zakończyło się spreparowanym przez komunistów procesem w dniach 18-21 marca 1951 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym w War-

szawie. Józef Kwasiborski otrzymał wyrok dożywotniego więzienia. Ten całkowicie sfałszowany i spreparowany proces opisano w książce „Sojusznicy Gestapo, J. Kwasiborski i inni”, wydanej w nakładzie 4000 egz. Zawiera ona tak wiele kłamstw, że autor wołał nie ujawniać swojego nazwiska.

Skazanego umieszczono we Wronkach, w więzieniu o zaostrowym rygorze. Od czasu aresztowania nie zezwolono na korespondencję z rodziną, dopiero w następnym więzieniu, w Rawiczu, mógł otrzymywać listy od rodziny i widzieć odwiedzających. W tym ostatnim więzieniu pracował jako sanitariusz, w więziennej izbie chorych.



Józef Kwasiborski

Po historycznym przełomie roku 1956, w wyniku starań rodziny Józef Kwasiborski został zwolniony z więzienia. Sąd Apelacyjny unieważnił poprzednie wyroki, uznając całkowitą niewinność niesłusznie skazanego. Za bezprawne aresztowanie i uwięzienie otrzymał odszkodowanie.

Jednak nic nie mogło wynagrodzić doznanых krzywd, zarówno fizycznych, jak i moralnych. Okrutne śledztwo, połączone z biciem oraz torturowaniem, znęcanie się nad więźniem we Wronkach wywarło nie dające się zatrzeć ślady. Józef Kwasiborski opuszczając wiezienie w Rawiczu, był już zmienionym, zupełnie innym człowiekiem, pokiereszowanym nie tylko fizycznie, ale i duchowo, psychicznie.

Podczas niezapomnianej dla mnie, naszej pierwszej rozmowy, powiedział: „wyszedłem z więzienia zupełnie innym człowiekiem, czułem się tak, jak gdyby złamano mi kręgosłup”.

Zobaczyłem wtedy werdykt Sądu Najwyższego. Uznano za niewinne wszystkie osoby skazane w procesie tzw. „Grupy Popiela”, stwierdzając, że zeznania składane w śledztwie i podczas procesu, zostały wymuszone przemocą.

W naszych rozmowach Józef Kwasiborski często powracał do aresztowania naszych Przywódców w willi Szulcowej na Ostoi. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób mogło dojść do takich „konsultacji” i jak mogło dojść do tego, że tacy doświadczeni politycy, którym udawało się przez wiele lat unikać hitlerowskich represji, sami, z własnej woli, weszli w precyzyjnie zastawioną pułapkę, znając metody stosowane przez Rosję. Czy u tych doświadczonych konspiratorów zanikł instynkt samozachowawczy? Czy w taki sposób mogło się ujawnić ogromne zmęczenie, wyczerpanie psychiczne wywołane zbyt długo trwającą niewolą i konspiracją? Czy u niektórych ludzi, po tak długim ukrywaniu się, nie narodziło się umiejętnie przez kogoś podsycane, pragnienie

sprawowania władzy, jawnego rządzenia społeczeństwem? Pragnienie zdobycia za każdą cenę władzy. Zawsze wtedy pojawiało się pytanie, kto i jakich używał argumentów, aby wmówić tym ludziom przekonanie o konieczności szybkiego „konsultowania” z przedstawicielami Armii Radzieckiej sposobów umożliwiających przejęcie władzy na ziemiach polskich. Nasze przypuszczenia zamieniały się w pewność po ujawnieniu na warszawskim pogrzebie ostatniego premiera londyńskich rządów, Hugona Wita Hankego, przedwojennego wiceprzewodniczącego Stronnictwa Pracy, który zgodnie ze słowami wypowiedzianymi na pogrzebie był „wiernym synem Partii Komunistycznej, oddelegowanym w latach dwudziestych do Chrześcijańskich Związków Zawodowych...”.

Józef Kwasiborski zmarł po długiej chorobie w Szpitalu Kolejowym w Pruszkowie, w dniu 17 października 1980 r. Do końca była z nim córka Krystyna, lekarka w tym Szpitalu.

Spoczął w rodzinnym grobie na pruszkowskim cmentarzu.

JERZY NIEROJEWSKI

Z Jerzym Nierojewskim zaprzyjaźniliśmy się dość późno, w wieku dojrzałym, a nasze pierwsze i najważniejsze spotkanie nastąpiło w wyniku wielu nieprzewidywalnych wydarzeń w moim życiu.

Chociaż obaj urodziliśmy się jeszcze przed Pierwszą Wojną Światową, na terenie dzisiejszego Pruszkowa, to rozdzielały nas nie tylko rzeka Utrata oraz tory kolejowe i parafie, a także, co na pewno było najważniejsze, trzy lata różnicy wieku, a co za tym idzie przebywanie różnych grupach wiekowych tego samego środowiska młodzieżowego. Gdy ja w roku 1925 wstępowałem do 1-szej Pruszkowskiej Drużyny Harcerskiej, pod opiekuńcze skrzydła druha Aleksandra Kamińskiego „Kamyka”, to czternastolatek Jurek Nierojewski wstępował do „sokolej” młodzieży, w pruszkowskim Gnieździe „Sokoła”. A kiedy ja, w latach trzydziestych, wstępowałem do „Sokoła”, on był uczniem Państwowej Szkoły Morskiej w Tczewie, a później w Gdyni. Wydaje mi się, że właśnie dlatego poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy dopiero w wiele lat później, po wojnie.

Widocznie los tak chciał, takie było przeznaczenie, że spotkaliśmy się dopiero w latach siedemdziesiątych, w

niemożliwych do przewidzenia okolicznościach, bo przecież nikt i nigdy nie mógł przewidzieć aby dwaj rodowici pruszkowianie rozpoczynali swoją znajomość i przyjaźń od wspomnień o dawnym Pruszkowie przywracanych pamięci w luksusowej restauracji „Mena House Hotel”, w centrum Aleksandrii, w Egipcie.

Droga, którą musiałem przebyć, aby z Pruszkowa dotrzeć do Sopotu, do miejsca zamieszkania Jerzego Nierojewskiego, była bardzo długa. Zaczynała się właściwie w Puławach i wiodła przez Casablankę oraz Aleksandrię. Bo przecież tak się dziwnie złożyło, że bez Puław nie byłoby Casablanki, bez Casablanki nie byłoby Aleksandrii, a bez Aleksandrii nie byłoby moich wizyt w Sopocie, w gościnnym domu państwa Nierojewskich.

Gdy we wrześniu 1935 roku rozpoczynałem służbę wojskową w Szkole Podchorążych w Puławach, do naszej grupy kilkunastu młodych ludzi z Pruszkowa dołączył Leonid Teliga, mieszkaniec Milanówka, związany z Pruszkowem pięcioletnią nauką w Gimnazjum im. T. Zana. Byliśmy razem w I-szym Plutonie. Ja w trzeciej drużynie, a Teliga w drugiej. Razem z nim służyli dwaj prawnicy: Zygmunt Nagórski i Staś Smotrycki oraz ekonomista – Staszek Fürstenberg, który urodził się w Buenos Aires, a do Polski przyплыł, aby zdobyć doktorat z ekonomii na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz odbyć służbę wojskową w polskim wojsku. Miał zamiar powrócić do Argentyny jako pełnoprawny obywatel polski.

W zimowe, nadmiernie dłużące się niedzielne popołudnia, gdy obowiązywał nas zakaz opuszczania koszar, wprowadzony dla pogłębienia naszej „nauki własnej”, zamiast „wkuwać” regulaminy służby wojskowej słuchaliśmy bardziej nas interesujących opowiadań Staszka o urokach jego dalekiej, drugiej ojczyzny. Mówił nam o pięknym Buenos

Aires, o pingwinach na Ziemi Ognistej, o wielkich stadach krów, pasących się na bezkresnych równinach Patagonii, o wysepkach przy ujściu Rio de la Plata. Z Pułtusza rozjeżdżaliśmy się w różne strony świata. W marcu Zygmunt Nagórski i Stasio Smotrycki przenieśli się do Szkoły Podchorążych Broni Pancernej w Modlinie. Teliga, po dwóch latach „zawodowej” Szkoły Podchorążych w Ostrowii Mazowieckiej został oficerem zawodowym w 67 pułku piechoty, Staszek Fürstenberg popłynął do Buenos Aires, a ja powróciłem do Pruszkowa. W kilka lat po drugiej wojnie światowej spotkałem Teligę w kolejce WKD. Jechał do swojej matki, która mieszkała gdzieś pomiędzy Milanówką a Grodziskiem. Wiedziałem już o tym, że podczas wojny był szyprem na kutrze rybackim pływającym po Morzu Kaspijskim, że służył w polskich dywizjonach RAF, że jest znanym dziennikarzem i tłumaczem literatury angielskiej z okresu wojny. Pochwaliłem go wtedy za wspaniały przekład „HMS Ulisses”, książki o wojennych losach angielskiego niszczyciela. Widziałem, że ucieszyły go moje pochwały. Przy naszym następnym spotkaniu, po kilku latach, opowiadał mi o zamiarze opłynięcia świata na zbudowanym przez siebie jachcie „Opty”. Po kilkunastu miesiącach, podczas następnego spotkania w kolejce WKD, mówiliśmy o planowanej trasie podróży. Chciał opłynąć przylądek Horn, wspominał opowiadania Staszka Fürstenberga o pingwinach na Ziemi Ognistej, martwił się brakiem wizy argentyńskiej i brazylijskiej. Chciałby zatrzymać się w Buenos Aires lub w Rio de Janeiro dla dokonania konserwacji „Opty” po przepłynięciu Atlantyku.

Podaliśmy wtedy Telidze adres Mietka Kruszeńskiego, mieszkającego w Argentynie mojego przyjaciela, a jego kolegi z gimnazjum Zana. Na ten adres może wysłać list i do Stacha. Ci znajomi mogą pomóc w uzyskaniu wizy,

są dobrze znani w Argentynie. Podczas naszego ostatniego spotkania, przed wypłynięciem w tą niebezpieczną podróż, która była spełnieniem jego wieloletnich marzeń, dowiedziałem się, że będzie wypływał z Casablanki, do której zamierzał powrócić po opłynięciu kuli ziemskiej; bardzo wierzyłem w to, że napisze do mnie, gdy będzie kończył swoją wędrówkę. Umówiliśmy się, że przybędę do Casablanki na polskim frachtowcu, aby pomagać przy załadunku „Opty” do ładowni statku. Obiecywałem pomoc, nie bardzo wierząc w możliwość spełnienia tej obietnicy.

Znając Teligę, wierzyłem, że zrealizuje swoje plany, że opłynie świat, nie bardzo jednak wierzyłem w to, że uda mi się zdobyć miejsce na statku płynącym do krajów arabskich, gdyż były to ulubione trasy podróżnych wiozących z Polski różne towary, a przywożących wyroby ze złota. Na innych trasach łatwiej było o miejsce na statku. Ponadto istniały także trudności paszportowe.

Po wypłynięciu Teligi z Casablanki, gazety, radio i telewizja niewiele mówiły o jego zamiarach. Dopiero gdy dopłynął do Galapagos i znacznie później do Tahiti, rozpisywano się o jego odwadze. Po wypłynięciu w kierunku Przylądka Dobrej Nadziei znowu zaległa cisza, nie rozumiałem dlaczego nie płynie do Nowej Zelandii i Australii? Przepłynięcie z Tahiti do Casablanki było naprawdę wielkim osiągnięciem, wymagało nie tylko odwagi, ale także wielkiego wysiłku i brawury. W międzyczasie przyleciał do Polski z Argentyny mój przyjaciel Mietek Kruszewski. Od niego dowiedziałem się, dlaczego nie udzielono wiz Telidze w wielu miejscowościach i dlaczego musiał wypływać z Casablanki. Był po prostu w wielu krajach „gościem niepożądanym”. Dość długo nie było żadnej wiadomości o losie samotnego żeglarza, aż wreszcie otrzymałem kolorową pocztówkę z Dakaru. Był już bliski wymarzonego

kresu swej wielkiej podróży. To był naprawdę niebywały sukces! Za miesiąc miał być w Casablance. Rozpocząłem starania o zezwolenie na wyjazd zagranicę. Na milicji i w Polskich Liniach Oceanicznych wiele pomogła mi kolorowa pocztówka z Dakaru.

Byłem wtedy członkiem Rzemieślniczej Spółdzielni w Ursusie. Gdy powiedziałem o moim zamiarze odbycia podróży do Casablanki, od razu dołączyło do mnie czterech chętnych do odbycia takiej podróży. Koledzy z Ursusa mieli jakieś znajomości w Ministerstwie Żeglugi. Wydaje mi się, że zarówno te znajomości, jak i pocztówka z Dakaru pomogły nam w uzyskaniu zezwolenia na podróż zagraniczną oraz w wyszukaniu miejsc na statku płynącym do Casablanki. Okazało się, że bez większych trudności mogliśmy otrzymać zarówno paszporty zagraniczne, jak i pięć miejsc na MS „Orłowo”. Kolorową pocztówkę z Dakaru otrzymała w prezencie miła urzędniczka z PLO. Czterej koledzy z Ursusa to: Jurek Ciechomski, Michał Grabski, Kazio Karasek i Bogdan Majewski. Marynarze z naszego statku, patrząc jak wchodzimy po trapie niosąc cztery kartony wódki „Wyborowej”, od razu nazwali nas: „Pięciu chłopców z Albatrosa”. W tamtych latach śpiewano taką piosenkę. Celnicy, widząc tak okazałą ilość alkoholu, wnoszoną na statek, zażądali opłacenia cła. Michał zareagował: „Przecież to na użytek własny!” Popatrzyli na stojące przed trapem samochody zagraniczne, stanowiące wówczas rzadkość, na reprezentacyjne „Volvo” Michała i zadowolili się dwiema butelkami „Wyborowej”, szybko ukrytej w służbowych teczkach.

MS „Orłowo” zabierał ośmiu pasażerów. My mieliśmy trzy kajuty. W czwartej płynęło dwóch pułkowników z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ponadto płynęła jeszcze kierowniczką kwaterunku jednej z warszawskich dzielnic.

Dla niej była specjalna kajuta, na rufie statku. Był koniec maja 1969 roku. Odpływaliśmy wieczorem. Mijając Hel, żegnaliśmy niknące we mgle światła Trójmiasta. Tej nocy nie mogliśmy usnąć. Praca silników, kołysanie, ustawiczne drgania statku i niewygodne koje.

Wczesnym rankiem byliśmy już na pokładzie. Wdychamy świeże, morskie powietrze. Posiłki spożywamy w tzw. „mesie kapitańskiej”. Kapitan, pierwszy oficer, pierwszy mechanik, ochmistrz i pasażerowie. Trójka naszych współtowarzyszy podróży jadła w swojej kajucie. Od początku izolowali się od nas. Posiłki mieliśmy bardzo dobre. Śniadanie: zupa mleczna, pieczywo, masło, ser żółty, wędlina, dżem. Do tego kawa lub herbata. Obiad: przystawka, dobra zupa, drugie danie, deser i kawa lub herbata. Podwieczorek: jakieś ciastko, sok owocowy; kolacja: bigos z parówką lub gulasz, wędlina, ser, dżem, kawa lub herbata. W nocy można było się posilić chlebem z wędliną, serem. Jedzenie było smaczne i zdrowe. W piątki mieliśmy ryby w różnych postaciach. W niedzielę był kotlet schabowy z kapustą i przysmażane kartofelki. Tak było podczas całej podróży.

Szybko przyzwyczailiśmy się do szumu głównego silnika. Wieczory spędzaliśmy na pokładzie wyciągnięci na leżakach. Odpoczynek był wspaniały. Zatrzymaliśmy się w trzech hiszpańskich portach: w Bilbao, Huelva i Sewilli. W Bilbao byliśmy na corridzie. Sztuka zabijania byków nie zachwyciła nas. Huelva to stary port, z którego wypływał Kolumb w swą największą podróż. Oczarowała nas Sevilla, w której zatrzymaliśmy się na sześć dni. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od katedry, z imponującym grobowcem Krzysztofa Kolumba, z ołtarzem kutym w złotej blasze, ze wspaniałymi obrazami El Greca, Murilla, Velazqueza, Zurbarána. Popołudnia spędzaliśmy w wielkim parku, gdzie odbywały

się występy folklorystycznych zespołów z Ameryki Południowej pod hasłem „Espana nostre Madre”. A wieczorami siedzieliśmy w kawiarenkach, popijając koniak i słuchając flamenco.

Pewnego dnia, gdy szykowaliśmy się do zejścia na ląd, aby udać się do Alkazaru – pałacyku Karola V, zwrócili się do mnie dwaj pułkownicy, współpasażerowie, z prośbą abym udzielił im pomocy przy zakupie szwedzkich maszyn do liczenia. Obiecali dowieźć mnie taksówką do Alkazaru, gdzie będą moi współtowarzysze. Pojechalismy taksówką do śródmieścia. Wysiedliśmy przed dużym, narożnym sklepem, w którym Szwedzi handlowali różnymi wyrobami. Pułkownicy wiedzieli, co będą kupowali. Problem polegał na tym, że chcą zapłacić za maszyny, które będą wysłane ze Szwecji dla odbiorców w Warszawie.

Pułkownicy mieli ze sobą katalogi szwedzkich wyrobów, a także wizytówki z dokładnymi adresami odbiorców. Czekaliśmy na połączenie z Madrytem. Po krótkiej rozmowie z Centralą, przystąpiono do zakończenia transakcji. Uzgadniano typy zamawianych maszyn liczących, przeliczano dolary. Choć przy finalizowaniu transakcji nie byłem potrzebny, to mogłem patrzeć z daleka uzgadniając należność, pisząc sumy na arkuszu papieru. Pułkownicy, powracający do portu taksówką, podwieźli mnie w pobliże Alkazaru. Ten zabytek nie interesował ich. Troje naszych współtowarzyszy było uprzywilejowanych. W Gdyni mieli ze sobą pismo zwalniające ich od kontroli granicznej. W Casablance okazało się, że połączarowy samochód z naszej ambasady zabrał ich bagaże, przewożąc bez kontroli przez posterunki graniczne. Gdy powracaliśmy do Gdyni, telefonowali do Warszawy i czekali do następnego dnia, aż przyjedzie kolega z pismem zwalniającym ich od granicznej kontroli.

Podczas tej sześciotygodniowej wspólnej podróży, wyraźnie wystąpiły dzielące nas różnice. Oni izolowali się nie tylko od nas, ale i od całej załogi. To co interesowało ich, nas zupełnie nie interesowało. Dziwiło nas ich zachowanie, nie rozumieliśmy ich. Prawdopodobnie i oni nie rozumieli nas. Oni powiększali swój majątek, a my chcieliśmy dobrze odpocząć oraz przeżyć coś ciekawego. To były dwa światy!

Gdy MS „Orłowo” zarzucił cumy na sterczące w porcie kołki, zachwyciła nas panorama Casablanki. Ustawiono trap i na pokład wkroczyli celnicy oraz nasz konsul. Dowiedzieliśmy się od niego, że Teliga odleciał już do Warszawy. Lekarze orzekli, że rozwija się choroba nowotworowa. Prosił o zaopiekowanie się „Opty” oraz o dokładne zabezpieczenie małej łódki nazywanej „Bajbusem”. MS „Orłowo”, po dokonaniu rozładunku, ma zabrać „Opty”, Miałem ze sobą czeską kamerę filmową. Robiłem zdjęcia podczas umieszczania „Opty” w ładowni. Przy naszym spotkaniu mówiłem o tym Telidze. Miał przyjechać do mnie, miał mi wiele rzeczy opowiedzieć. Ostatni raz rozmawiałem z nim w Domu Kultury Kolejarza w Pruszkowie. Razem z p. Leonem Ostrowskim słuchałem jego opowieści o wędrowce dookoła świata. Teliga nie mógł zapomnieć, że na maturze został oblany z matematyki i ponownie zdawał rok później, w Grodzisku. Cekał na niego samochód, który miał go zawieźć do Milanówka, na podobną prelekcję.

Z naszego kilkudniowego pobytu w Casablance utkwił mi na zawsze w pamięci moment spotkania z kontradmirałem Józefem Unrugiem, dowódcą Marynarki Wojennej Drugiej Rzeczypospolitej. Nasz drugi oficer, przedwojenny bosman Marynarki Wojennej, zaprowadził nas do wielkiego nowoczesnego supermarketu, o jakich w tamtych

czasach nikt w Polsce nawet nie marzył. Przed trzydziestu laty widok takiego sklepu zdumiewał każdego przybysza z Polski. Ogromna ilość półek zawalonych najrozmaitszymi towarami. Dla nas, pamiętających puste półki w naszych sklepach, było to czymś nierealnym, niewyobrażalnym. Wszystkiego można dotknąć, wszystko dokładnie obejrzeć. W pewnym momencie zadziwił mnie przestraszony wygląd twarzy „drugiego”. Oficer złapał mnie za rękę, mówiąc: „Nie chodźcie tam!” Spojrzałem w tamtym kierunku. Za dwoma rzędami półek stały trzy osoby: starsza kobieta, starszy mężczyzna oraz popychający wózek z różnymi towarami, młodszy, śmiejący się z czegoś, mężczyzna. Wysocy, dobrze ubrani, przystojni. Drugi oficer, wyraźnie zdenerwowany, wyszeptał: „To kontradmirał Unrug! Dowódca naszej floty, służyłem pod jego rozkazami, we wrześniu byłem w jego sztabie”.

Nie rozumiałem zachowania „drugiego”. Wyraźnie uradowany Michał Grabski powiedział: „To jest przyjaciel mojego dziadka! Idę do niego, na pewno się ucieszy!”. Rozdygotany drugi oficer, trzymając Michała za rękę, powiedział: „Nie chcę aby mnie poznał. Tu są ludzie z naszej załogi, pomyślą, że was przyprowadziłem na spotkanie z Unrugiem! Wyleją mnie z pracy!” Gdy moi koledzy, ulegając słowom przestraszonego oficera, odeszli w głąb sklepu, ja podszedłem do tej trójki. Chciałem z bliska przyjrzeć się jednemu z prawdziwych bohaterów Drugiej Rzeczypospolitej. Pani, w małym kapelusiku, w płaszczyku, przebierała w pudełkach z herbatą, dwaj mężczyźni dyskutowali o zaletach silników do łodzi, amerykańskie lepsze czy szwajcarskie! Zapamiętałem twarz kontradmirała, jego dobrze skrojoną marynarkę, zielonkawy krawat. Pomyślałem wtedy: „To była przedwojenna elegancja!”. Michał był zrozpaczony, że nie przywitał się z dobrym znajomym jego dziadka: „Na pewno by się

ucieszył. Przecież przyjaźnili się z moim dziadkiem.” Nie wiem, który z dziadków Michała był przyjacielem kontradmirała Unruga. Michał miał dwóch wspañałych dziadków: prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i ministra Skarbu Władysława Grabskiego, twórcę reformy walutowej. Przez kilka dni odwiedzaliśmy ten supermarket, ale nigdy już nie spotkaliśmy tego wielkiego Polaka.

Pewnego dnia pojechaliśmy samochodem do Marakeszu. Jest to miejscowość kuracyjna, leżąca na skraju pustyni. Odkryto tutaj źródła z wodą mineralną, mającą własności lecznicze. Zbudowano wiele sanatoriów i pensjonatów dla zagranicznych kuracjuszy. Jedziemy piękną, asfaltową szosą. W połowie drogi spotkaliśmy typowy arabski obrazek: na osiołku jedzie Arab, podśpiewuje, tłukąc bosymi piętami boki osiołka. Za nim biegnie młoda Arabka, niosąca na plecach wielki tłumok. Biegąca truchcikiem kobieta trzyma długi, duży liść palmowy, którym odgania muchy z twarzy męża, wachlując go. Widząc to, moi koledzy wzdychali: „Jaka szkoda, że nasze żony tego nie widzą!”

Zapamiętałem jeszcze inny fragment arabskiego życia. W Marakeszu zbudowano duży, nowoczesny meczet. Obok niego stoi wieża-minaret, na szczycie którego, co kilka godzin, muezin wyśpiewuje wersety Koranu. Gdy po zwiedzeniu meczetu wchodziliśmy do wieży, zobaczyłem leżących obok, w cieniu wieży, dwóch starych Arabów, w długich sukmanach, burnusach, spod których wystawały chude stopy, sama skóra i kości. Na kapturach spoczywały ich równie wychudzone głowy. Oczy mieli zamknięte, ręce skrzyżowane na piersi. Widziałem, że jeden z nich spojrzał na nas. Gdy patrzyłem na ich twarze, zrobiło mi się żal tych starych ludzi. Ułożyłem przy ich głowach dwa batoniki „Prince-polo” oraz pomarańcze. Nie zareagowali na mój

gest. Gdy wchodziłem po krętych schodach na szczyt minaretu, zobaczyłem przez okienko, że nasz kierowca bierze w dwa palce, delikatnie, jak gdyby się brzydził, mój batonik i wyrzuca go za wysokie ogrodzenie, poleciały także pomarańcze. Nie rozumiałem tego, dlaczego wyrzucił? Dlaczego nie wziął dla siebie? Dopiero nasz konsul w Casablance wytłumaczył mi to zdarzenie. Oto ci starzy Arabowie, gdy czują zbliżającą się śmierć, przychodzą w pobliże meczetu, aby tu umrzeć. Najczęściej każdy z nich ma jakąś złotą monetę, którą ofiaruje muezinowi, jako wynagrodzenie za pogrzebanie na pobliskim cmentarzu. Oczekujący na śmierć Arab nie przyjmuje pokarmów, nie pije wody, nie błaga o jakieś lekarstwo. Po prostu czeka na śmierć, która jest dla niego wybawieniem, kończącym utrudnione życie starego człowieka. Znajduje się w stanie jakiejś ekstazy. Widzi już obiecany raj, w którym spotka Allaha, w którym jest dużo zieleni, są źródła wody i piękne hurysy. To wszystko spotka go po śmierci, która powinna nastąpić jak najszybciej, a niestety konanie trwa nieraz kilka tygodni.

Myślałem wtedy o tym, jak dziwny jest świat napotkanych tu ludzi. Jak bardzo różni się od nich. Przecież umierający Europejczyk błaga o lekarstwa, o jakiś napój, o jedzenie.

W Casablance widoczne są ślady długiego pobytu Francuzów w tym kraju. Widać to wyraźnie po architekturze dzielnicy przylegającej do portu, widać w pięknej katedrze. Wewnątrz są idealnie białe ściany. Na tej bieli ręka mistrza wyrysowała grubą kreską nad głównym ołtarzem ukrzyżowanego Chrystusa, a nad głównymi drzwiami widnieje Madonna z Dzieciątkiem. Na bocznych ścianach wyrysowane są stacje Męki Pańskiej. Jedyne dekoracje wewnątrz, narysowane czarną kreską na białym tle rysunki, robią niezapomniane wrażenie. Do tego dochodzą kolory przepięknych

witraży ze scenami biblijnymi. Te rysunki oraz witraże zaprojektował i wykonał wielki francuski malarz Matisse. Silne, jaskrawe promienie słoneczne rzucają kolorowe plamy na śnieżnobiałe wnętrze kościoła. Niestety! Gdy dwa razy odwiedziliśmy katedrę, tylko my modliliśmy się w jej wnętrzu.

W Casablance spotkaliśmy się z zadziwiającym objawem naiwności, fanatyzmu czy nawet głupoty. Oto na portowym nabrzeżu, tuż przy naszym trapie, po którym schodziłmy na ląd, ustawiono niewielki stolik nakryty barwnym obrusem, na którym położono kilkadziesiąt czerwonych książeczek różnego formatu. Ludzie z załogi MS „Orłowo” ostrzegali nas: „To maoistowska propaganda! Nie bierzcie. Mao Tse-Tung to nasz największy wróg, a wśród załogi są ludzie, którzy złożą meldunek, że wzięliście „Czerwoną książeczkę!”. W tym okresie Chiny były największym wrogiem rosyjskiego komunizmu. Doszło do tego, że dotychczasowy nasz sojusznik, Albania, stanęła po stronie Chin, a w Tiranie wybudowano wielką radiostację, z której głoszono na całą Europę złote myśli „Wielkiego Mao”. Polskie audycje w tej radiostacji prowadził były członek KC PZPR tow. Kazimierz Mijał, atakując każdego dnia Gomułkę, Cyrankiewicza oraz innych przywódców.

Przy tym „chińskim” stoliku nikt z załogi nie zatrzymywał się. Ja, w przeddzień odpłynięcia, zatrzymałem się i zacząłem czytać jedną z tych „Czerwonych książeczek”. Zawierała fragmenty różnych przemówień „Wielkiego Mao”, które należy stosować przy zwalczaniu różnych chorób i dolegliwości. Po chwili pomyślałem, że byłby to wspaniały materiał do „Szpilek”. Były tam wskazania jakie słowa „Wielkiego Mao” trzeba stosować przy reumatyzmie, przy bólach kręgosłupa oraz, co mnie najbardziej zdziwiło, co powinna powtarzać kobieta, aby nie zajść w ciążę.

Przy stoliku stale dyżurowali dwaj Chińczycy oraz trzy Chinki. Dwie z nich grały jakąś melodię na fleciku i harmonijce, a trzecia wykonywała jakiś chiński taniec ludowy. Gdy zapytałem jednego Chińczyka skąd zna polski język, okazało się, że był studentem Uniwersytetu Łódzkiego. Grzecznie rozstając się z nimi, wziąłem trzy „książeczki”, jedną dla mnie, a dwie dla moich synów, aby i oni mogli się pośmiać.

Służby wywiadowcze działały dobrze, gdyż w Gdyni celnik od razu trafił do mojej kajuty. Książeczki miałem na wierzchu, w walizce. Rzucił się na tę największą. Były w niej owe przepisy lekarskie. Pomogłem mu odszukać przepis na zapobieganie ciąży. Zaczął kręcić głową, uśmiechać się i zapytał, czy może wziąć sobie na pamiątkę. Pozwoliłem, zadowolony, że dwie następne mogę przewieźć. Po chwili przyszedł drugi celnik, pytając czy nie mam drugiej takiej książeczki. Nic nie dostał.

W drodze powrotnej z Casablanki zatrzymaliśmy się w Lizbonie. Zabieraliśmy korę drzewa korkowego. Z tej kory robi się prawdziwe korki. Przez dwa dni zwiedzaliśmy miasto, pułkownicy zapewniali nas o wyjątkowo niskiej cenie wyrobów ze złota. A my zwiedzaliśmy Muzeum Vasco da Gamy oraz bardzo ciekawy ogród zoologiczny, w którym były piękne okazy goryli i szympanсів. Zastanawialiśmy się nad tym, co można było tutaj zobaczyć na filmach, w sklepach, na wystawach. Przecież Portugalia przed wojną była najbiedniejszym krajem Europy, a gdzie my teraz jesteśmy?

Nasz powrót do kraju porównywali moi współtowarzy-
sze do powrotu ze świata baśni do szarej, codziennej rzeczywistości. Nie wolno nam było zbyt zachwalać zwiedzanych miast, gdyż ostrzegali nas przed tym zaprzyjaźnieni marynarze. Powoli zapominaliśmy o tej naszej przygodzie.

Nie wiadomo kiedy minęło lato, nastąpiła smutna jesień, z deszczami i chłodami. Nadchodząca zima stawała się dla mnie bardzo dokuczliwa. Pojawił się reumatyzm, bolały mnie stawy barkowe, miałem trudności z poruszaniem rękami. Nie mogłem unieść łokcia do góry.

Mój przyjaciel, Witek Pakulski, lekarz warszawskiego pogotowia ratunkowego, powiedział mi, że swoim pacjentom, z takimi dolegliwościami, doradza nagrzewanie bolących miejsc oraz ustawiczne gimnastykowanie atakowanych przez reumatyzm stawów. Przypomniałem sobie wtedy gimnastykujących się pacjentów w sanatorium w Marakeszu. Oni także byli leczeni nagrzewaniem i gimnastykowaniem bolących stawów. Witek poradził mi, abym odbył taką kurację na pokładzie statku płynącego po Morzu Śródziemnym. Wspominając ubiegłoroczną podróż do Casablanki, postanowiłem popłynąć ponownie, po słońce, do krajów arabskich. Urzędniczka w PLO pamiętała moją pocztówkę z Dakaru; gdy opowiedziałem o moich dolegliwościach, postanowiła mi pomóc. „Zespół bolesnego barku” spowodował znalezienie miejsca na statku płynącym do Aleksandrii na sześciotygodniową wyprawę. Rozpocząłem starania o wydanie paszportu. Opłaciłem należność za bilet, dowiedziałem się szczegółów o mojej wyprawie: do Aleksandrii będę miał w kajucie sąsiada, kilkunastoletniego chłopca. W drodze powrotnej będę w kajucie sam. Chłopiec odleci z matką i z bratem do Abisynii.

Przed Wielkanocą, gdy kupowałem koszule w Domach Towarowych „Centrum” spotkałem mego kolegę z Pułtyska, Staszka Smotryckiego. Był on wtedy radcą prawnym Domów „Centrum”. Dowiedziałem się od niego, że odwiedził przed kilkoma miesiącami naszego wspólnego kolegę, Zygmunta Nagórskiego, który jest konsulem USA w Alek-

sandrii. Gdy wyraziłem chęć spotkania się z Zygmuntem, otrzymałem numer telefonu do prywatnego mieszkania, w którym jest codziennie po godzinie 17-tej. Miałem umówić się na spotkanie w małej kawiarence w pobliżu odkopanego przez polskich archeologów starego greckiego teatru, przy którym jest obecnie Polska Stacja Naukowa.

Zygmunta zapamiętałem ze szkoły Podchorążych w Pułtusk, ale także ze spotkania tuż przed wojną, w warszawskich Łazienkach. Był wtedy prawnikiem, pracującym w dyrekcji „Społem” przy ul. Grażyny. W pamiętnym wrześniu 1939 bronił twierdzy w Brześciu. Ja w piechocie, on w broni pancernej, tarasował bramy czołgami, uniemożliwiając Niemcom wjazd do twierdzy. Wiedziałem, że wydostał się na Zachód, bił się pod Narwikiem, a następnie był korespondentem wojennym podczas walk dywizji generała Maczka o Holandię. Ciekawiły mnie jego przeżycia powojenne i droga do służby zagranicznej USA.

Jednak chęć rozmowy z Zygmuntem nie była dla mnie tak ważna, jak możliwość bezpośredniego spotkania i obejrzenia zabytków starożytnego Egiptu. Przeczytałem wiele książek o państwie fraonów, a teraz będę miał możliwość stanąć obok piramid, przyrzuć się dokładnie sfinksowi, poznać zabytki znajdujące się w Muzeum Archeologicznym, zobaczyć Nefretete i sarkofag Tutanchamona, a także obejrzeć z bliska figurki z Tanagry, znane dotychczas z książki Agaty Christie i albumów Ermitażu oraz Luwru. Kuracja moich stawów wobec tych atrakcji schodziła na dalszy plan. Na początku maja 1970 roku, mając w kieszeni paszport zagraniczny, zgłosiłem się w biurze PLO. Ucieszyłem się na wiadomość, że zatrzymamy się w Aleksandrii przez 18 dni, po drodze odwiedzimy Almerię, a wracając zatrzymamy się w Barcelonie. Taka podróż była spełnieniem moich marzeń.

Gdy na pokładzie MS „Orłowo” „zameldowałem się” u ochmistrza, okazało się, że z dawnej załogi płynie z nami tylko steward. Pamiętał nasz zeszłoroczny rejs i od razu wydał mi dobrą opinię, wspominając ilość wódki wypitej w towarzystwie moich kolegów. W tym rejsie zupełnie inny był zespół pasażerów. Dwie kajuty zajmowały dwie pary podróżujących „handlarzy-przemytników”. Nie interesowali mnie, nie nawiązywałem z nimi żadnego kontaktu, a oni także takich znajomości nie pragnęli. Pozostali pasażerowie to matka z dwoma kilkunastoletnim synami. Ze starszym zajmowaliśmy jedną kajutę. Przychodził, aby się przespać, resztę dnia spędzał z matką. Bo synowie wybragali podróż statkiem do Aleksandrii. Dalszą podróż do Addis Abeby mieli odbyć z Kairu samolotem. Mieli tam zamieszkać przez pięć lat wraz z ojcem – urzędnikiem polskiej ambasady. Posiłki jadali w swojej kajucie. Wychodząc na spacer nie szukali z nikim kontaktu. Kłaniałem im się z daleka. Dziwiłem się tylko temu, że mogą wysłuchiwać głośnej muzyki zespołu „Led Zeppelin” na magnetofonie przez cały dzień, prawie bez przerwy.

Gdy wpłynęliśmy do Zatoki Biskajskiej, rozpocząłem swoje ćwiczenia gimnastyczne. Słońce mocno przygrzewało, kładłem się na kocu rozłożonym na pokładzie, nadstawiając swoje ramiona ku promieniom słonecznym. Ręce ułożone wzdłuż tułowia, odsuwałem powoli od siebie. Po twarzy spływał pot, a ja ćwiczyłem i ćwiczyłem, aż wreszcie, po kilkunastu dniach ćwiczeń, udało mi się umieścić przedramiona i łokcie w pobliżu głowy. Opuchlizna powoli znikła, ból malał, aż zupełnie zanikł. To był prawdziwy sukces! Stojąc, mogłem unieść ręce do pionu. Moje wytrwałe ćwiczenia budziły sensację wśród załogi i pasażerów tylko przez kilka pierwszych dni, później nie zwracano na mnie uwagi.

Już pierwszego dnia pobytu na statku zwróciłem uwagę na tablicę ogłoszeniową umieszczoną w naszej jadalni. Była na niej lista z nazwiskami i funkcjami załogi. Dwa nazwiska były mi znajome. Kapitan Jerzy Nierojewski oraz pierwszy mechanik – Skrzypiński. Kapitana obserwowałem z daleka, gdy stał na mostku kapitańskim. W kanale La Manche często trzymał lornetkę przy oczach. W naszej jadalni nie zjawiał się. Przez pierwsze dni nie zjawiał się także pierwszy mechanik. Podobno były jakieś kłopoty z pomocniczym silnikiem. Gdy przyszedł, przysiadł się do mnie, przedstawiając się: „Skrzypiński”. Zapytałem, czy nie jest kuzynem mieszkających w Pruszkowie Skrzypińskich. Twarz jego rozjaśniła się w uśmiechu i powiedział: „Tak! to moi krewni. Teraz już nie mieszkają w Pruszkowie. Władek mieszka razem ze mną w Grodzisku”. Tak oto, od razu zostaliśmy dobrymi znajomymi. Ta znajomość bardzo mi się przydała podczas podróży. Wiele się dowiedziałem, wiele nauczyłem od pierwszego mechanika. Gdy dowiedział się, że Pruszków jest miejscem mojego urodzenia i zamieszkania, od razu stwierdził, że moim rodakiem jest nasz kapitan, który urodził się i ożenił w tym mieście. Ucieszyłem się, słysząc taką wiadomość. Przy okazji dowiedziałem się, że kapitan to wielki samotnik, z pasażerami nie rozmawia, a z załogą tylko służbowo.

Pierwszy mechanik był blondynem średniego wzrostu, o schorowanej twarzy. Niewiele było w nim podobieństwa do pruszkowskich Skrzypińskich. Niegdyś ta gałąź rodu Skrzypińskich była w Pruszkowie bardzo popularna. Mieszkali na piętrze domu Jana Szczepkowskiego, na rogu Kościuszki i Klonowej (obecnie Daszyńskiego). Matka była urzędniczką w magistracie. Miła, ładna córka mieszkała w Warszawie u ciotki, znanej śpiewaczki operetkowej Maryli Karwowskiej. Słynny był duet Maryla Karwowska

i jej mąż – Janusz Popławski. Starszy syn, Witold, był dość długo studentem. Miał przyjemny głos. Śpiewał tenorem w pruszkowskim chórze Zaremby. Pisał też teksty do piosenek. Witek Pakulski, który wychowywał się w Passaic pod Nowym Jorkiem i znał dobrze amerykańską odmianę języka angielskiego, bez trudu tłumaczył teksty piosenek modnych amerykańskich przebojów. Każde tłumaczenie nagradzał Skrzypiński monetą dwu- lub pięciozłotową. Witek zapraszał nas wtedy na lody do cukierenki Gradkowskiego. Sympatią, a później żoną Witolda Skrzypińskiego była, mieszkająca w Parzniewie, córka nauczyciela, uczennica Gimnazjum Zana, ładna dziewczyna, nazywana przez nas „Zosią z Dzikich Pól”. Po wojnie śpiewali razem w chórze rewelersów. Witold śpiewał też piosenki w jakimś teatrzyku oraz w Polskim Radio. Komponował muzykę i pisał teksty. Od dawna mieszkali w Warszawie. Jego młodszy brat, Władek, był moim rówieśnikiem. Po kilku latach nauki w Gimnazjum Zana, przeniósł się do warszawskiego Gimnazjum Wojciecha Górskiego. Ten znany pedagog był podobno jego dziadkiem. Władek był świetnym graczem w koszykówkę. Szybki, zwinny, rzucał kosze z połowy boiska, wzbudzając nasz zachwyt. W latach okupacji ożenił się z przystojną pruszkowianką, Jadzią Świrczewską. Po wojnie prowadzili we Wrocławiu dużą restaurację. Później rozeszli się. Jadwiga zamieszkała razem z córką, matką i siostrą Weroniką w Pruszkowie, w domu przy ul. Chopina. Wiele lat później, na MS „Orłowo”, dowiedziałem się o dalszych losach Władka. Ponownie się ożenił i zamieszkał w Grodzisku Mazowieckim, w pobliżu pierwszego mechanika. W końcu lat siedemdziesiątych, amputowano mu nogę. Podobno był to dla niego ogromny cios. Nie mogę sobie wyobrazić zwinnego, sprawnego, ruchliwego Władka chodzącego o kulach.

Opowiadania o losach Władka zbliżyły mnie do pierwszego mechanika. Gdy przychodził do naszej jadalni zawsze siadał obok mnie. Pewnego dnia pokazał mi całą maszynownię, swoje „królestwo”. Kochał maszyny. Ożywiał się, gdy opowiadał o swojej rodzinie. Od razu łagodniała jego twarz.

Po przybyciu do Almerii, zaproponował wspólne zwiedzanie tego miasteczka, leżącego pomiędzy malowniczą zatoczką a wzgórzem z ruinami starego zamczyska. W tle widać było pokryte śniegiem szczyty Sierra Morena. Podobno okolice pomiędzy miasteczkiem a górami przypominają Dzikie Zachód. Dlatego tu właśnie nakręca się ostatnio westerny. Zbudowano tu całe miasteczka, z szynkami, hotelikami, pocztą i siedzibą szeryfa. Widzieliśmy prawdziwych kowbojów, a w nowoczesnej kawiarni, w otoczeniu artystów czy statystów, siedział sam Burt Lancaster, także w stroju kowboja. Był i szeryf z błyszczącą gwiazdą, i dwie damy w strojach z epoki, popijające piwo. Zamówiliśmy dwie kawy i po kieliszku koniaku. Pierwszy mechanik opowiadał mi o naszym kapitanie, wychwalając jego postępowanie, a w drugim końcu sali rozbawione towarzystwo filmowców śmiało się z opowiadanych przez jakiegoś kowboja dowcipów. Dowiedziałem się wtedy, że kapitan jest wielkim służbistą, że w oznaczonych godzinach jest zawsze na mostku, w kanale La Manche podczas mgły nie opuszcza swojego stanowiska. Dowiedziałem się wówczas o bohaterskim zachowaniu kapitana w latach wojny. Marynarze uważają go za jednego z najlepszych, niezawodnych kapitanów. Z nim zawsze pływało się bezpiecznie, tak mówili.

Następnego dnia podczas obiadu pierwszy mechanik zaproponował wyprawę po najlepsze wino na tym wybrzeżu. „Bodega” była dużą piwnicą, wypełnioną ogromnymi beka-

mi z winem. Próbowaliśmy różnych roczników wina typu „malaga”. Zakręciło się nam w głowach, ale dotarliśmy do naszego statku, niosąc osadzone w koszach piętnastolitrowe balony, pełne malagi.

Czas na statku spędzałem na gimnastyce i spacerach po pokładzie, od dziobu do rufy. Odpoczywałem czytając pierwsze tomy wielkiej powieści Marcela Prousta. Do Aleksandrii wpłynęliśmy przed południem. Po nie tak dawnych atakach izraelskich płetwonurków port oddzielono od morza stalowymi sieciami. Po usunięciu przez holowniki fragmentu sieci mogliśmy wypłynąć do portowego nabrzeża. Znów usłyszałem daleki śpiew muezinów, na tle smutnej, jednostajnej muzyki. Te melodie wygrywane na flecie towarzyszyły nam każdego dnia pobytu w Aleksandrii.

Podczas obiadu niespodziewanie zjawił się w naszej jadalni, w mesie oficerskiej, sam kapitan. Przywitał się tylko ze mną. Podając rękę, przedstawił się: „Nierojewski jestem”. Patrząc z bliska na jego twarz, przypominałem sobie jak on wyglądał w dawnych, szkolnych latach. Przecież na pewno jeździliśmy razem do warszawskich szkół, miejscowym pociągami „siódma sześć”, w uczniowskim wagonie. „Zapraszam pana na wspólną kolację na mieście. Pożegnamy pasażerkę, która jutro rano odjeżdża do Kairu. O siódmej przyjedzie po nas taksówka albo samochód agenta PLO.” Zgodziłem się bardzo chętnie. Po odejściu kapitana podeszła do mnie para podróżnych z sąsiedniej kajuty. Były to pierwsze słowa, jakie wymieniliśmy w czasie do tychczasowej podróży. „Dlaczego Kapitan nie przywitał się z nami? Co panu zaproponował?” Odpowiedziałem krótko: „Zapytajcie Kapitana!”. Już podczas pierwszego wieczoru spędzonego w Egipcie, zwróciłem uwagę na ogromną nędzę panującą w tym mieście. Zobaczyłem długi sznur

biednie ubranych ludzi leżących pod wysokim parkanem, oddzielającym port od miasta. Jedni leżeli już na ziemi, inni układali się do spoczynku, układając jakieś zawiniątko, które miało im służyć za poduszkę. Kapitan wyjaśnił nam, że ci ludzie oczekują tutaj następnego dnia, kiedy otworzy się brama przed robotnikami portowymi. Chcą być pierwsi w kolejce ludzi, którzy tego dnia znajdą zatrudnienie przy rozładunku jakiegoś statku. W dzień nie ma tu nikogo, policja nie zezwala na tworzenie kolejki. Dopiero podczas nocy walczą o miejsce w pobliżu bramy wejściowej. Pracy nigdy nie starcza dla wszystkich chętnych. My żyliśmy w innym świecie.

Kierowca zawiózł nas do wytwornej restauracji w „Mena House Hotel”. Kilkadziesiąt stolików w dużej sali. Białe ściany ozdabiają arabeski złotego koloru. Przy ścianach wysokie palmy w drewnianych donicach. U sufitu wirują wentylatory. Agent zarezerwował dla nas trzyosobowy stół. Kapitan w wyjściowym mundurze, pani w wieczorowej sukni i ja, skromnie ubrany. Stół nakryty białym obrusem. Za każdym fotelem stoi młody Arab, w długiej szacie, w fezie na głowie. Ręce mają skrzyżowane na piersi. Podsuwają nam fotele. Dla pani, przydzielony jej Arab, przynosi stół do złożenia na nim torebki. Kelnerzy chodzą w smokingach, w białych koszulach z czarnymi muszkami. Gruby kelner przyjmuje zamówienie. Otwiera butelki z wodą mineralną i płynnym owocem. Normalna, europejska obsługa. Dobry obiad, kelnerzy przywożą na stoliku kolejne dania. Zupa, pieczeń z dodatkami. Jakieś ciastka na deser i dobra czarna kawa. Kolejne dania przywożą nam dwaj kelnerzy, natomiast po zjedzeniu zupy lub drugiego dania sprzątają ze stołu ci trzej młodzi, milczący Arabowie. Każdy z nich obsługuje tylko swojego gościa. Kawa nie kończy obiadu. Zabierają nam obrus i rozkładają nowy, już nie biały, tylko

w kolorowe desenie. Dostajemy płaski talerz, nóż i widelec. Na środku stołu pojawia się duża porcelanowa waza, w której pływają w ciepłej wodzie wielkie brzoskwinie. W oczekiwaniu na jakąś wazową łyżkę, rozmawiamy o Pruszkowie. Sytuacja komplikuje się, gdy przy każdej osobie usłużny Arab stawia stolik, na którym jest miska z ciepłą, pachnącą różami wodą. Obok małe mydełko na plastikowej podstawie, a na lewej ręce każdego Araba pojawia się mały, włochaty ręcznik. Nie bardzo wiemy, jak się zachować, więc uparcie kontynuujemy rozmowę. W pewnym momencie twarz kapitana rozjaśnia się, dostrzegł jak zachowują się nasi sąsiedzi. Za przykładem kapitana myjemy w małej miednicy nasze ręce, wycieramy je w podawany przez usłużnego Araba ręczniczek i sięgamy po brzoskwinie. Najładniejszą kładziemy na talerzu, przy pomocy noża i widelca wyłuskujemy pestkę i jemy. Powoli poznajemy arabskie zwyczaje. Pani jest psychologiem. Pracuje w szpitalu w Tworkach. Otrzymała roczny urlop. Po roku powraca z mężem i dziećmi do kraju. Rozmawiamy o Pruszkowie, tym dawnym i tym obecnym. O brudnej Utracie i nieczynnej oczyszczalni ścieków przy tworkowskim szpitalu. Kapitan miał zamiar uregulować rachunek, ale okazało się, że wystarczy kapitański podpis na przedstawionym rachunku. Bawiliśmy się na koszt agenta PLO. Usłużni Arabowie nie chcieli przyjąć napiwku. Podobno był wliczony w rachunek.

Pani psycholog wysłuchiwała opowieści kapitana o dawnym, przedwojennym Pruszkowie. O harcerstwie i o „Sokole”, o zabawach ogrodowych i zawodach sportowych. Ja tylko potakiwałem, kiwając głową. Żegnając się z panią psycholog, życzyłem jej szczęśliwego powrotu do Polski. Już nigdy jej nie spotkałem. Odjechała o świcie do Kairu. Natomiast ja, po śniadaniu, wyruszyłem na zwiedzanie miasta w towarzystwie pierwszego mechanika. Przed

zejściem na ląd otrzymałem od niego wiele ważnych informacji, które bardzo mi się przydały podczas pobytu w Egipcie i ułatwiły mi pobyt w tym kraju. Obowiązujące w Polsce prawo zezwalało na legalny wywóz pięciu dolarów. Osoby wyjeżdżające za granicę przemycały większą ilość dolarów, albo wywoziły jakieś towary, które można było za granicą sprzedać z godziwym zarobkiem. Dolar w Egipcie, podobnie jak w Polsce, miał dwie albo i trzy wartości. W Warszawie urzędowa cena dolara wynosiła 5 zł. Bon PKO wartości 1 dolara kosztował 80 do 100 zł, dolara można było kupić po 160 do 200 zł. Bony PKO otrzymywano zamiast dolarów wpłaconych do kas PKO w krajach kapitalistycznych.

Dwa artykuły produkowane w Polsce miały tutaj dużą wartość. Papierosy „Carmen” oraz woda kolońska „Prastara”. Pierwszy mechanik doradził mi kupno u naszego ochmistrza kilku kartonów papierosów „Carmen”. W kieszeni spodni można było umieścić sześć paczek. Przechodziłem przez bramę portową, w której były posterunki straży granicznej i celnicy, wynosząc dwanaście paczek tych papierosów. W małym sklepiku w pobliżu portu, z chorągiewką PLO na wystawie, sprzedawano każdą ilość papierosów. Cena była już ustalona przez naszych marynarzy. Gdy w sklepiku nie było klientów, kładło się papierosy na sklepowej ladzie i bez słowa otrzymywaliśmy odliczoną paczkę banknotów egipskich. Mały chłopak wkładał papierosy do brezentowej torby i biegł gdzieś przez podwórko, w kierunku krętych uliczek.

Dzięki radom mechanika miałem zapewnione wygodne życie. W Egipcie mogłem jeździć taksówkami, odbyć podróż do Kairu wraz z noclegiem w dobrym hotelu, a także kupić kilka pamiątek ze złota.

Tego dnia po obiedzie wyruszyłem na spacer po mieście. Na planie miasta odnalazłem zabytkowe ruiny antycznego teatru greckiego. Było to w pobliżu dworca kolejowego i niezbyt daleko od wejścia do portu. Po korzystnym załatwieniu papierosowej transakcji bez trudu odnalazłem dworzec kolejowy. Przy dworcu była opisywana przez Staszka Smotryckiego kawiarenka. Na teren Polskiej Stacji Naukowej, tuż przy odkopanym teatrze, dostałem się bez kłopotu, okazując polski paszport staremu Arabowi, podlewającemu rabaty z nagietkami i narcyzami. Gdy schodziłem w dół, w głąb starożytnego teatru, zaczęli się schodzić po obiadowej przerwie zatrudnieni tu Polacy. Młoda, miła pani adiunkt z Uniwersytetu Warszawskiego opowiedziała mi historię odkopania tego zabytkowego teatru, zasypanego niegdyś ogromną śtertą śmieci. Dowiedziałem się o wielkich trudnościach, związanych z likwidacją tego ogromnego wysypiska. Arabowie starali się zniszczyć ślady kwitnącej tu niegdyś kultury antycznej Grecji. Wielką zasługą polskich archeologów były starania o usunięcie śmieci, odkopanie teatru i rekonstrukcja tego wspaniałego zabytku.

Przed kilkoma miesiącami, jesienią 2000 roku, usłyszałem w radio informację, że w tym teatrze londyński zespół wystawiał „Antygone”.

Pani adiunkt zawdzięczam nie tylko wiele wiadomości o pracach polskich archeologów w Egipcie, ale także kilka cennych wskazań. Oto, aby obejrzeć najpiękniejsze figurki z Tanagry, muszę i tutaj, i w kairskim muzeum zapłacić strażnikowi pięć dolarów. Poznałem także cyfry arabskie, co umożliwiło mi podróżowanie taksówkami. Uniknąłem zatargów z taksówkarzami, którzy wioząc cudzoziemca nie znającego arabskich cyfr, zawsze żądają wygórowanej zapłaty. Szybko minął czas na rozmowie z miłą panią ze Stacji Naukowej. Około godziny 18.00 pożegnałem się

i poszedłem na dworzec. Postępowałem zgodnie ze wskazówkami Staszka. Przy wejściu do dworca były automaty telefoniczne. Niestety, gdy połączyłem się z mieszkaniem Zygmunta Nagórskiego usłyszałem odpowiedź w języku angielskim. Połączyłem się ponownie, usłyszałem ten sam głos. Nie pytałem o Zygmunta.

Znacznie później, już w kraju, dowiedziałem się, że Zygmunta Nagórskiego usunięto z Egiptu za kolportowanie ulotek w języku arabskim, nawołujących do protestowania przeciwko zamierzonej budowie przez Rosjan Tamy Assuańskiej. Według opinii naukowców z całego świata, budowla ta miała zaszkodzić Egiptowi. W tym kraju ziemie uprawne znajdowały się tylko wzdłuż rzeki Nil. Dwa razy do roku Nil wylewał, nie tylko nawadniając ziemie uprawne, ale także nawożąc je życiodajnym mułem. Budowana tama zapewni dostawę dużej ilości prądu elektrycznego, ale równocześnie zmieni całkowicie system nawożenia i nawadniania jedynych uprawnych ziem Egiptu. Mimo protestów Tamę Assuańską Rosjanie wybudowali. Przy okazji zniszczono wiele bezcennych zabytków archeologicznych. Elektrownia Assuańska dostarcza prąd elektryczny dla całego Egiptu, ale zmieniono cały system nawadniania urodzajnych ziem, poza tym, dwa razy do roku samoloty i śmigłowce rozsypują teraz nawozy sztuczne wzdłuż obu brzegów Nilu.

Przed kilku laty dowiedziałem się o dalszych losach Zygmunta Nagórskiego. Był ofiarodawcą złotego orła, pochodzącego z narzuty na tron królewski. Orzeł przebył długą drogę. Po kapitulacji Warszawy, we wrześniu 1939 roku, Generalny Gubernator Hans Frank zwiedzał ruiny Zamku Królewskiego. Oglądając zbiory ocalałe z płonącego Zamku, odcinał z narzuty na tron królewski złote orły, ofiarowując je najbliższymi współpracownikom, osobom ze

swojej świty. Złotych orłów było tyle, ile było województw. Po wielu latach, jeden z tych orłów został wystawiono na sprzedaż w nowojorskim domu aukcyjnym. Kupił go Zygmunt Nagórski i ofiarował odbudowanemu Zamkowi. Wisi teraz w jednej z zamkowych sal. Zygmunt Nagórski od czasu do czasu drukuje fragmenty swoich wspomnień we wrocławskiej „Odrze”. Staś Smotrycki umarł przed kilkunastoma laty.

Następnego dnia odwiedziłem Muzeum Archeologiczne. Wtedy udało mi się po raz pierwszy, zobaczyć figurki z Tanagry. W starożytnej Grecji była miejscowość Tanagra. Wyrabiano tam kilkunastocentymetrowe figurki przedstawiające różne sceny z życia współczesnych ludzi. Wyrabiane z terakoty figurki były malowane farbami o zadziwiającej trwałości barw. Oglądającego zadziwia nie tylko kolor, lecz przede wszystkim oddanie przez artystów ruchu postaci, układu rąk, nóg, rysów twarzy, układu ust; lekkość tancerki, ruch biegnącego młodzieńca. W Muzeum nie wolno było robić zdjęć. W oszklonej gablocie ustawiono tylko kilka figurek. Gdy zgodnie z otrzymaną informacją wręczyłem strażnikowi pięć dolarów, przynosił z jakiegoś magazynu po jednej figurce. Przez cały czas inny strażnik stał przy mnie. W ten sposób obejrzałem kilkanaście pięknych figurek z Tanagry. Gdy po mojej opowieści kapitan towarzyszył mi w następnej wizycie w muzeum, pokazano nam inne, równie piękne figurki. Tym razem 5 dolarów zapłacił kapitan.

Po kilku dniach wybrałem się do Kairu. Ekspresowy pociąg odjeżdżał o godzinie 6 rano. W Kairze byliśmy przed dziewiątą. Miejsca były numerowane. Gdy tylko rozsiadłem się w wygodnym fotelu, Arab w białym kitlu ustawił przede mną stół i nakrył go obrusem, przyniósł nóż i widelec oraz cienkie gumowe rękawiczki. Dopiero gdy przy-

niósł połowę pieczonego kurczaka z podsmażanymi ziemniakami, zrozumiałem, do czego to wszystko ma służyć. Nie wiedziałem, ile to będzie mnie kosztowało, wołałem od razu odmówić. Ma się rozumieć – na migi, bo Arab nie znał niemieckiego a ja nie mówiłem ani po francusku, ani po angielsku. Bardzo zdziwiony, zabrał to wszystko z powrotem. Podziękowałem także za kawę. Ze względów oszczędnościowych, przezornie zabrałem ze statku, przygotowane przez stewarda kanapki i termos z kawą. Zabrałem ze sobą także dokładną, wielką mapę Kairu, ofiarowaną mi przez Włodka Kalinowskiego.

Pani archeolog nie uprzedziła mnie, że śniadanie w pociągu porannym jest wliczone w cenę biletu. To była moja strata, pierwsze nieporozumienie. W Kairze dotknęło mnie drugie. Na moim planie miasta były angielskie nazwy ulic. Tymczasem moja wizyta odbywała się w innym okresie historii Egiptu. Rozkwitała przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, a budziła się nienawiść do Zachodu. Dlatego władze miasta poleciły zamalowanie wszystkich angielskich nazw ulic. Pozostawiono tylko napisy arabskie. Mimo zamalowania angielskich nazw do hotelu „Lotos” trafiłem posługując się planem miasta. Tu jest ten plac, a tu poszukiwana ulica. W pokoju hotelowym umyłem twarz, odpocząłem chwilę, zjadłem dwie kanapki, popijając kawą z termosu. Poprzednio ustaliłem porządek każdego z trzech dni mego pobytu w Kairze. Zostawiłem niepotrzebne rzeczy w pokoju i z planem miasta wyruszyłem na zwiedzanie piramid. Pojechałem taksówką. Kierowcy wszystkich taksówek, z którymi jeździłem w Egipcie, zachowywali się w podobny sposób. Bez przerwy coś głośno mówili, co chwila trąbili, wychyleni przez okienko wymyślali innym kierowcom. Na zatłoczonych ulicach nie mogą rozwijać większych szybkości, pełno tu samochodów, jezdnie zatłoczone pie-

szymi. Trudno mi było przyzwyczać się do ustawicznego hałasu. W pobliżu piramid i Sfinksa spędziłem wiele godzin. Podczas wchodzenia niskim, wąskim korytarzykiem prowadzącym w głąb piramidy do komory, w której była niegdyś mumia faraona, uśmiechałem się przez kilkanaście minut. Powodem był pewien polski akcent. Wzdłuż całego korytarza oraz w komorze świeciły jarzeniówki z napisem „POLAM”.

Do hotelu wróciłem przed wieczorem, wziąłem natrysk, zjadłem dwie kanapki, popijając kawą z termosu i położyłem się do łóżka. Pomimo zmęczenia, nie mogłem usnąć. W sąsiednim pokoju kłóciło się kilku Arabów, a drugi sąsiad, kłócąc się z kobietą, od czasu do czasu bił ją, co powodowało wrzask. Podeszedłem do okna, na pobliskim placu płonęło ognisko, wokół którego rozsiadło się kilka osób. Stary, brodaty Arab chodził wokół ogniska i gestykulując, opowiadał coś siedzącym wokół. Krąg zasłuchanych Arabów, jaskrawo świecące gwiazdy, ustawiczny szum wielkiej metropolii oraz charakterystyczny dla miast arabskich zapach, to była dla mnie prawdziwa egzotyka. Ubrałem się i zjechałem windą na dół. Bez trudu trafiłem do ludzi skupionych przy ognisku. Gdy stanąłem z tyłu, za kręgiem słuchaczy, ktoś wyniósł dla mnie stół, prosząc abym usiadł. Dość długo siedziałem, wsłuchując się w monotonną opowieść a w uszy wpadały mi znajome słowa: Harun al Raszyd! Harun al Raszyd... Przecież to jest opowieść „Z tysiąca jednej nocy”, takie opowieści o przygodach Haruna al Raszyda czytała nam nasza matka, a później oglądaliśmy film „Złodziej z Bagdadu” z Douglasem Fairbanksem w głównej roli. Przypominałem sobie te baśnie, obserwując tłum dorosłych Arabów, siedzących wokół ogniska i słuchających opowieści, starego brodatego Opowiadacza Bajek. A później przypominałem sobie pobyt na harcerskim

obozie w Kudryńcach nad Zbruczem, gdzie wraz z kolegami siadywałem przy ognisku i wsłuchiwałem się w opowieści druha Wieśka Klimaszewskiego. Zapatrzeni w ognisko, słuchaliśmy o walkach z Turkami, o Kamieńcu Podolskim, o Chocimiu, który niedawno odwiedziliśmy.

Następnego dnia zmieniłem hotel. Adres dostałem od Polki – archeologa, spotkanej w muzeum. Polaków można tu było spotkać wszędzie. Kilku mieszkało w hotelu noszącym nazwę „Omar Khayyam Hotel”. Tu noc spędziłem spokojnie.

W Muzeum Archeologicznym stałem dłuższą chwilę przed popiersiem Nefretete. Zastanawiałem się nad tym, co tak mocno przykuwa wzrok zwiedzających, że trudno jest oderwać wzrok od jej twarzy? Długo też stałem przed złotym sarkofagiem Tutanchamona. Najdłużej jednak podziwiałem figurki z Tanagry. W tym muzeum spędziłem prawie cały dzień. Przed południem następnego dnia pojechałem do Muzeum Koptyjskiego. Na szczęście był tam przewodnik znający język niemiecki. Obejrzałem tu ciekawe zbiory sztuki wczesnochrześcijańskiej. Zwiedziłem mały kościółek, zbudowany, według legendy, na miejscu, w którym przebywała Święta Rodzina.

Po obiedzie, zjedzonym w hotelu, siedziałem nad Nilem, obserwując płynące łodzie z ich charakterystycznymi żaglami. Towarzyszył mi Kopt, znający język niemiecki. Skarżył się na Arabów, odnoszących się bardzo źle do chrześcijan, a zwłaszcza do Koptów, dawnych mieszkańców Egiptu.

Wieczorem byłem już w Aleksandrii. Podczas śniadania opowiadałem pierwszemu mechanikowi o Kairze. Wybraliśmy się do kina na amerykański western – „Dyliżans”. Oglądaliśmy arabską wersję dobrze znanego nam filmu.

Następnego dnia wraz z mechanikiem odwiedziliśmy wielkie akwaria z rybami pochodzącymi z Morza Czerwonego. Przecudowne, bajecznie kolorowe ryby zachwyciły wszystkich zwiedzających. Stopniowo poznawałem Aleksandrię. Rano i po południu wędrowałem w poszukiwaniu zabytków rzymskich i starogreckich a przedpołudnia spędzałem w mieście z kapitanem. Pewnego dnia odwiedziliśmy wielką hurtownię oraz palarnię kawy. Był to trzypiętrowy, narożny budynek. Od strony każdej z ulic mieścił pięć lokali sklepowych. Przy wejściu była kawiarnia z kilkoma stolikami, bufet z dużą maszynką do parzenia kawy, a w głębi piec, w którym prażono surowe ziarna kawy. Właściciel tej wielkiej hurtowni był znajomym kapitana. Siedzieliśmy przy stoliku, podano nam w małych kubeczkach mocną, aromatyczną kawę. Okazuje się, że była dwa razy gotowana. Po pierwszym zaparzeniu, odlewa się ciecz i w tej cieczy zaparza się nową porcję kawy. Według opinii właściciela kawiarnianego przedsiębiorstwa, najlepsza kawa pochodziła ze Środkowej Ameryki – z Kostaryki i San Salwadoru. Podobno płucze się tam ziarna w potokach, w których są jakieś sole mineralne i to one właśnie nadają kawie ów wspaniały smak. Taką właśnie kawę kupował kapitan. Podczas tej naszej długiej rozmowy o kawie, przypomniałem sobie książkę Richarda Katza „Iskrzący się Daleki Wschód”, wydaną jeszcze przed wojną. Jej autor twierdził, że najlepsza jest tak zwana „kawa małpia”. Otóż na plantacjach kawy, w pewnym regionie Indii, hoduje się małpy, które dokonują selekcji dojrzałych owoców kawowych i zjadają je. Nie jedzą jednak ani niedojrzałych, ani nadgniłych owoców. Po przetrawieniu zbiera się nawóz, z którego wypłukuje się te najlepsze gatunki kawy. Po dokładnym oczyszczeniu przesyła się ziarna do palarni. Nasz rozmówca zdradził nam, że otrzymuje rocznie kilkaset kilogramów

takich ziaren. Po dalszej przeróbce sprzedaje taką kawę do Kuwejt i do Arabii Saudyjskiej. Wyznał nam też, że jego zdaniem najlepsza na świecie jest kawa z Kostaryki i taką właśnie kawą nas poczęstował. Ulegając jego namowom, kapitan kupił kilka kilogramów tej właśnie kawy.

Gdy już przyzwyczaiłem się do moich codziennych spacerów po Aleksandrii, okazało się, że po osiemnastu dniach musimy wypływać w drogę powrotną do kraju. A ja już przywykłem do monotonnego zaśpiewu muezina, płynących z ulicznych głośników smutnych i rzewnych melodii, do szumu miasta dochodzącego nas od świtu do późnej nocy, do ustawicznego trąbienia taksówek, do okrzyków ulicznych sprzedawców. Zaczynałem też inaczej patrzeć na Arabów.

W mgielce unoszącej się znad morza zniknęła stara latarnia morska, odwieczny symbol Aleksandrii. Wywoziłem trzy małe główki Nefretete. Dwie dałem moim synowym, a trzecią od czasu do czasu widzę na szyi mojej żony. Po opuszczeniu Aleksandrii w jadalni podczas posiłków byli tylko pasażerowie. Personel był zajęty służbowymi sprawami. Przed snem spacerowałem po pokładzie. Następnego dnia po śniadaniu wróciłem do gimnastyki. Następnie odpoczywałem spacerując lub czytając. Podczas kolacji steward nachylił się do mojego ucha, szepcząc: „Kapitan prosi pana do swojej kajuty!”. Kajuta kapitana to były dwa pokoje przylegające do mostka kapitańskiego. Gdy rozsiadłem się w wygodnym fotelu, gospodarz wyjął z lodówki butelkę „Gordon’s Gin” i dwie buteleczki toniku. Rozmawialiśmy o dawnym Pruszkowie. Od tego dnia stało się to regułą. Gdy ukazywały się pierwsze gwiazdy, kapitan uczył mnie wykorzystywania sekstansu do określenia pozycji statku. Była to ciekawostka w czasach namiarów radiolokacyjnych i satelitów, ale byłem szczęśliwy, gdy udawało mi się określić

położenie statku przy pomocy zegara określającego czas Greenwich, sekstansu i grubych ksiąg z tablicami, a także znajomych gwiazd. Gdy już ustaliłem położenie statku, szedłem na kolację, po której niezmiennie wędrowałem do kapitańskiej kajuty na wieczorne rozmowy. Około 22.00, po krótkim spacerze na pokładzie, szedłem spać.

Udzielana mi nauka posługiwania się sekstansem, nie spodziewanie przydała się podczas mojej podróży do Buenos Aires. Było to w roku 1977. Płynął z nami pastor Herman Wilm z Bielefeld. Zaprzyjaźniliśmy się, gdy przekazywałem mu nauki posługiwania się sekstansem. Cieszył się jak dziecko, gdy udało się mu określić położenie na Atlantyku naszego statku MS „Romer”, a nasza przyjaźń przetrwała aż do jego śmierci. Odwiedzał mnie w Warszawie, udzielał nam wielkiej pomocy podczas stanu wojennego.

Wieczory z kapitanem spędzałem aż do dnia, w którym wypłynęliśmy z Zatoki Biskajskiej do Kanału La Manche. Wtedy, na każdej wachcie, kapitan stał na mostku. Do portu w Barcelonie wpłynęliśmy w niedzielę przed południem. Po obiedzie wybraliśmy się z kapitanem na spacer po mieście. Taksówką dojechaliśmy do placu, na którym Gaudi wybudował swój słynny kościół La Sagrada Famiglia. Dotychczas znałem tę wspaniałą budowlę tylko z licznych fotografii. Teraz miałem możliwość przypatrzenia się kościołowi z bliska, wejść do środka. To wspaniałe dzieło trochę zwariowanego architekta. Na placu w pobliżu tego kościoła usiedliśmy przy kawiarnianym stoliku. Zamówiliśmy dwa koniaki i dwie kawy. Patrzyliśmy na tańczący na placu tłum. Kilkuosobowy zespół grał melodię, która przypominała mi tańce greckie. Taniec tych ludzi był podobny do greckiego tańca *syrtos*. Tancerze ustawieni w długim szeregu, z rękami

na barkach sąsiadów, przestawiali stopy w takt muzyki, raz w lewo, raz w prawo, raz do przodu, podśpiewując jakieś katalońskie piosenki ludowe. Niespodziewanie podeszły do nas dwie młode kobiety zapraszając do wspólnej zabawy. Gdy dowiedziały się, że jesteśmy Polakami, jeszcze energiczniej zapraszały nas do tańca. Nie mieliśmy innego wyjścia. Zrobiono nam miejsce w długim szeregu, dzieliła nas młoda, uśmiechnięta dziewczyna i po dłuższej chwili udało się nam złapać rytm. Gdy orkiestra przestała grać, odprowadzono nas do stolika. Po chwili te dwie niewiasty, mówiące coś i śmiejące się, przyniosły nam jakiś kataloński przysmak. Kłębek grubego makaronu, upieczonego we wrzącej oliwie, przysypanego cukrem pudrem. Było to bardzo smaczne. Gdy odchodziliśmy, kłaniając się zebranym, pożegnano nas przyjaznymi okrzykami, uśmiechami oraz oklaskami. Po wielu latach wspominaliśmy te godziny spędzone w pobliżu La Sagrada Famiglia. Wieczory w kajucie kapitana poświęciłem na spisywaniu jego wspomnień. Wydaje mi się, że marynarze najciekawiej opowiadają swoje życiorysy. Zresztą, mają o czym mówić.

Kapitan Żeglugi Wielkiej Jerzy Nierojewski urodził się w Pruszkowie, w domu rodziców, przy ul. Mickiewicza 4. Było to 24 lipca 1911 roku. Naukę rozpoczął w Szkole Powszechnej im. Żółkiewskiego (dawniej tzw. „ewangelickiej”). Dalszą naukę pobierał warszawskim gimnazjum Kulwiecia. Po ukończeniu sześciu klas wstępuje do Państwowej Szkoły Morskiej w Tczewie. W latach późniejszych Szkołę przeniesiono do Gdyni. Po ukończeniu wydziału nawigacyjnego odbywa służbę wojskową w batalionie morskim WP. Następnie zostaje młodszym oficerem na statkach handlowych. W roku 1935 poślubił pruszkowiankę, Irenę Sztykówną, którą poznał w latach gimnazjalnych, podczas

jazdy pociągami do Warszawy. Ślub odbył się w Pruszkowie, w kościele pod wezwaniem św. Kazimierza. Po ślubie zamieszkali w Gdyni. W sierpniu 1939 roku był już starszym oficerem na MS „Oksywie”. Przeczując zbliżającą się wojnę, odwozi rodzinę do Pruszkowa. Żona z dziećmi, zamieszkała u rodziców, w domu nr 22, przy ul. Klonowej (obecnie Daszyńskiego). Mieszkali tam aż do roku 1947. Podczas okupacji Irena pracowała w różnych firmach, początkowo w warszawskim Oddziale Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe SA – GAL.

MS „Oksywie” w ostatnich dniach sierpnia odpływa do Europy Zachodniej. Wiezie zboże i drobnicę. Płyną przez cieśninę Sund, omijając Kanał Kiloński. Wybuch wojny zastaje ich w Antwerpii, podczas wyładunku zboża. Już 6 września przypyływają do Dunkierki, gdzie pośpiesznie ładują uzbrojenie przeznaczone dla walczącej samotnie Armii Polskiej. Wiozą działa, amunicję i materiały wybuchowe. 10 września opuszczają Dunkierkę, kierując się do rumuńskiego portu Konstanca. Gdy na Morzu Śródziemnym dociera do nich wiadomość, że 17 września Armia Czerwona wkroczyła do Polski, otrzymują polecenie płynięcia do Bizerty, dla dokonania rozładunku. Następne tygodnie spędzają w greckim porcie Pireus. Oczekują tu na żołnierzy polskich, którzy uciekają z okupowanego kraju, aby walczyć na Zachodzie. Pobyt w Grecji przedłuża się, gdyż każdego dnia przybywają nowe grupy uciekinierów. Do Marsylii dotarli 17 listopada, przywożąc kilka tysięcy żołnierzy, w tym ponad 200 lotników. Przez następne miesiące MS „Oksywie” odbywa rejsy do portów w afrykańskich koloniach francuskich. Z Algierii przywożą transporty trawy alfa. W końcu grudnia płyną do Anglii. Nowy Rok 1940 spędzają w porcie Bristol. Od stycznia pływają pomiędzy portami angielskimi i francuskimi przewożąc z Francji zboże, a z

Anglii uzbrojenie. Początek niemieckiej ofensywy na Zachodzie zaskakuje ich w porcie Rouen. Francuzi w wielkim pośpiechu ładują na MS „Oksywie” maszyny, urządzenia, materiały pomocnicze i dokumentację techniczną fabryki samolotów. Odpływają z portu, gdy do miasta zbliżają się wojska niemieckie. Mają rozkaz płynąć do Maroka. Muszą jednak zawinąć do portu w Cherbourgu, gdyż kilkuset francuskich specjalistów płynących na statku decyduje się na pozostanie we Francji, na wiadomość o zajęciu Paryża przez Niemców.

W porcie setki polskich uchodźców oczekują na przewiezienie do Anglii. Przyjmowanie ludzi na pokład muszą jednak przerwać, gdyż Niemcy wkraczają do miasta. Podobnie jest w porcie Brest, gdzie oczekują tysiące uchodźców. Odpływają dopiero wtedy, gdy artyleria rozpoczyna ostrzeliwanie portu. 24 czerwca 1940 r. dopływają do Plymouth, skąd po kilku tygodniach na polecenie Admiralicji odpływają do Casablanki. W tym czasie Maroko było kolonią francuską. Po dokonaniu rozładunku przez blisko rok statek pływa pod francuską banderą do różnych portów na zachodnim wybrzeżu Afryki. W początku listopada 1941 r. zostaje internowany w porcie Safi, na południe od Casablanki. Wymontowano pompy, zabrano starter, załogę osadzono w dawnych koszarach Legii Cudzoziemskiej, konfiskując uzbrojenie. Gdy kapitan MS „Oksywie” rozpoczął pracę w zarządzie portu w Casablance, nieformalne dowodzenie nad dwudziestosześcioosobową załogą przejął pierwszy oficer, Jerzy Nierojewski. Tylko jemu zezwolono na poruszanie się po mieście Safi. Podczas rozmowy z napotkanym w porcie Francuzem, dowiedział się, że mieszka tu Polak, emerytowany żołnierz Legii Cudzoziemskiej. Przez niego nawiązał kontakt z przedstawicielem „Wolnych Francuzów” – sympatykiem przebywającego w Lon-

dynie generała de Gaulle'a. Dzięki pomocy tego człowieka zorganizowano ucieczkę marynarzy z MS „Oksywie” do Gibraltaru. Nierojewski uzyskał zgodę na przeprowadzenie badań lekarskich w Casablance. Rankiem wyjechało do rzeckiego lekarza dziesięciu marynarzy, w południe ośmiu, a wieczorem odjechała reszta. Na każdą grupę czekał ten Francuz w Casablance, umieszczając ich w jakimś baraku. W nocy, gdy byli wszyscy razem, wyruszyli na północ od miasta, do leżącej w odległości 20 km plantacji pomidorów. Ukryli się w gęstych zaroślach. Dostarczono im chleb i wodę. Dopiero następnej nocy przypłynął duży kuter rybacki. Oprócz naszych marynarzy było jeszcze 15 polskich żołnierzy, uciekinierów z kraju oraz czterech Belgów. Rybacy otrzymali umówioną sumę w dolarach i rozpoczęło się przechodzenie z brzegu do oddalonych o kilkadziesiąt metrów łodzi. Był przypływ i wysoka fala. Marynarze brodzili trzymając się liny. Umieszczono ich wszystkich na dnie łodzi; tam stłoczeni, siedząc lub kucając, szczęśliwie dopłynęli do Cieśniny Gibraltarskiej. Tu jednak okazało się, że silny wiatr i wysoka fala uniemożliwiają im wpłynięcie do portu w Gibraltarze. Wichura zepchnęła ich do hiszpańskiego portu Tarifa. Jako rozbitkowie otrzymali wodę do picia i jedzenie, a Nierojewskiemu zezwolono na telefoniczną rozmowę z dowództwem portu w Gibraltarze. Po dwóch godzinach przypłynęły do Tarify dwa brytyjskie ścigacze. Uciekinierów wzięto na pokład, a kuter na hol i popłynęli do Gibraltaru. Tam wszyscy przeszli badania lekarskie, nakarmiono ich oraz wypłacono pewne sumy na zakup ubrań, opłacenie hotelu i wyżywienie.

Marynarze z MS „Oksywie” na różnych statkach popłynęli na Wyspy Brytyjskie. Nierojewski popłynął na pancerniku „Rodney”, który po uszkodzeniu przez niemiecką torpedę wpłynął do angielskiej stoczni. Święta Bożego Na-

rodzenia i Nowy Rok 1942 spędził wraz z załogą MS „Ok-sywie” w Domu Polskiego Marynarza pod Londynem.

W dniu 7 stycznia 1942 roku Nierojewski zostaje zaokrętowany jako starszy oficer na MS „Lechistan”, statek o pojemności 1 907 BRT. Załogę stanowiło 26 marynarzy – Polaków. Na tym statku odbywa osiem rejsów z Ameryki na Wyspy Brytyjskie, wioząc w konwojach uzbrojenie dla wojsk sprzymierzonych. Podczas tych rejsów konwoje były wielokrotnie atakowane przez niemieckie łodzie podwodne i samoloty. Na początku kwietnia 1942 roku, Jerzy Nierojewski zostaje mianowany Kapitanem Żeglugi Wielkiej, staje się „pierwszym po Bogu”, obejmując MS „Chorzów”. Po odbyciu kilku rejsów do portów na wybrzeżu Anglii, zostaje podporządkowany Brytyjskiej Marynarce Wojennej, Royal Navy. Dostaje naszywkę „Poland” na ramię, pas wojskowy, kaburę i pistolety z nabojami, po czym płynie na południowe wybrzeże wyspy Wight. Skupiono tu 32 statki różnych bander, którymi będzie dowodził. Otrzymuje kolorową opaskę na przedramię jako oznakę pełnienia tej funkcji. Na statki ładowano uzbrojenie potrzebne dla wojsk inwazyjnych. Były to czołgi, samochody terenowe, amunicja, działa a także szpital polowy z całkowitym wyposażeniem, warsztaty do naprawy pojazdów mechanicznych, maszyny do budowy szos i wszystko to, co może być przydatne dla wojsk mających lądować na wybrzeżu francuskim.

Od rana 4 czerwca 1944 roku, odbywała się w dużym budynku na wyspie Wight odprawa kapitanów statków. Przez cały dzień komandor z Royal Navy omawiał z nimi zadania, jakie ich czekają po rozpoczęciu inwazji. Mają zaopatrzyć wojska inwazyjne na odcinku UTAH, ostatnim licząc od lewej. Ustalono kolejność, w jakiej mają statki płynąć i zajmować miejsce na plażach wybrzeża francu-

skiego. Statki podczas przyływu będą płynęły jak najbliżej wybrzeża, a podczas odpływu rozpocznie się wyładunek. Najpierw będą wyladowywane pojazdy, na które załaduje się amunicję. Każdy z kapitanów otrzymał zalakowaną kopertę, z rozkazami na kolejne dni inwazji. Kopertę można było otworzyć dopiero w dniu inwazji, w obecności oficera brytyjskiego, który przybędzie w tym celu na statek.

W połowie tej odprawy zarządzono przerwę obiadową. W sąsiednim pomieszczeniu ustawiono stoliki i długi stół, za którym stały kotły z jedzeniem. Usługiwały dziewczęta zmobilizowane do Żeńskiej Służby Pomocniczej, tzw. WAAF-ki. Każdy ze stojących w kolejce kapitanów otrzymał tacę, na której ustawiano talerze. Nierojewski stanął na końcu tej kolejki. Jeden z umundurowanych krzyknął, dojrawszy jego opaskę. Podeszła do niego dziewczyna z WAAF, wzięła tacę i przyniosła zupełne drugie danie i deser zapraszając do stołu poza kolejnością. Nie podobało się to jakiemuś podpitemu Anglikowi. Klnąc na cholernych Polaków i angielskie dziwki, wyrwał z rąk dziewczyny tacę i zawartość talerzy wylał jej na głowę a tacą uderzył w szyję kapitana. Nierojewski odepchnął go tak mocno, że ten przewrócił się na chodnik. Podnosząc się, wyciągnął rewolwer i krzycząc, że zastrzeli dziwkę i przekłętą Polakę, odbezpieczał broń. Polak był szybszy. Wyciągnął pistolet i strzelił w rękę awanturczego Anglika. Połała się krew. Pijany Anglik wypuścił pistolet i wzywał pomocy. Nierojewski przeprosił dziewczynę za ten incydent i poszedł do sali konferencyjnej, przekonany, że natychmiast zostanie pozbawiony kierowniczego stanowiska. W rozmowie ze mną, po wielu latach, wspominał jak bardzo był zdziwiony, gdy po wznowieniu odprawy usłyszał z ust komandora słowa przeproszenia za niewłaściwy postępek pijanego Anglika. Ponownie się zdziwił, gdy po zakończeniu odpra-

wy wychodził z sali obrad, a w sąsiednim pokoju zobaczył przebraną w nowy mundur dziewczynę z bukietem róż, w otoczeniu umundurowanych koleżanek, dziękującą serdecznymi pocałunkami za prawdziwie rycerski gest. Ten czyn kapitana pociągnął za sobą nieprzewidziane następstwa. Okazało się, że dziewczyna jest córką wiceministra żeglugi, „Drugiego Lorda Admiralicji”. Zdążyła już opowiedzieć ojcu całe wydarzenie. Kapitan został zaproszony do odwiedzenia tej rodziny po zakończeniu działań inwazyjnych, do rodzinnej posiadłości pod Londynem. W kilka tygodni później spędził tam sobotę i niedzielę. Poznał całą rodzinę, przyjaciół oraz narzeczonego, który po zakończeniu wojny został mężem tej dziewczyny. Najciekawsze okazało się to, że związana tego dnia nic przyjaźni przetrwała wiele lat. Pisywali do siebie, przesyłali rodzinne zdjęcia, opisywali losy swoich dzieci. Kiedy płynęliśmy razem z Aleksandrii, w Kanale Kilońskim czekał na kapitana list od tej Angielki, wraz ze zdjęciem. List był zatytułowany „My Dear Friend”, a na kolorowej fotografii, załączonej do listu, starsza pani stała z chartem przed ukwieconym krzewem. Na tym zdjęciu miała przyjemny uśmiech. Może wspominała tamten czerwcowy dzień 1944 roku?

Po kilku tygodniach awanturujący się kapitan odwiedził Nierojewskiego. Przeprosił go za tamtą awanturę. Przeprosiny poparł kilkoma butelkami starej szkockiej whisky.

Rycerskie zachowanie kapitana Niemojewskiego stało się głośnie w środowisku marynarzy z podlegających mu 32 statków. Na każdym z nich służyło kilkudziesięciu żołnierzy amerykańskich, którym wyznawana religia zabraniała posługiwania się bronią palną. Zostali oni zatrudnieni przy załadunku i rozładunku statków. Gdy po zakończeniu działań inwazyjnych żołnierze amerykańscy opuszczali pokład MS „Chorzów”, podszedł do kapitana jeden z nich,

przedstawił się i wręczył swoją wizytówkę. Wyraził prośbę, by po wojnie kapitan zechciał pływać na jego jachcie. Na wizytówce, poza adresami i numerami telefonów, było nazwisko: George Morgan, junior. Rodzina Morganów była jedną z najbogatszych w USA. Kapitan podziękował i schował wizytówkę.

4 czerwca 1944 r., wieczorem, powrócił na MS „Chorzów”. Teraz już nikomu nie było wolno opuścić statku. Radio zamilkło. Od dawna oczekiwana inwazja na wybrzeże francuskie rozpoczęła się 6 czerwca 1944 roku. Równocześnie z pierwszymi salwami armatnimi, do 32 statków podległych kapitanowi przybiły motorówki. Na pokład wkroczyli oficerowie angielscy upoważnieni do otwierania zalakowanych kopert z rozkazami. Były w nich dokładne instrukcje, mówiące o kolejności wypłynięcia w kierunku odcinka UTAH, o zajęciu odpowiedniego miejsca podczas wyładunku sprzętu i materiałów wojennych. Tymczasem rozpoczęło się prawdziwe piekło na ziemi. Artyleria niemiecka strzelała w kierunku angielskiego wybrzeża, a artyleria aliantów w kierunku umocnień niemieckich. Tysiące samolotów zrzucało bomby na niemieckie umocnienia. Flota aliancka wypłynęła na wody kanału La Manche i rozpoczęła bombardowanie niemieckich bunkrów. W powietrzu toczyły się walki z nielicznymi samolotami niemieckimi. Bez przerwy trwała strzelanina z broni maszynowej.

Zgodnie z rozkazem umieszczonym w zalakowanej kopercie MS „Chorzów” miał podnieść kotwicę 7 czerwca wieczorem. Popłynął na zachód, w kierunku wyznaczonych w rozkazie miejsc wyładunku. Za nim wyruszyło 31 statków, w ustalonej rozkazami kolejności. 8 czerwca przed południem na plażach Normandii rozpoczął się wyładunek uzbrojenia. Czas wyładunku był wyznaczony przypływa-

mi i odpływami. Fale Oceanu Atlantyckiego odpływają na osiem godzin. Pierwsze zostały wyładowane samochody, wozy towarowe, działa i amunicja; wyładunek był dobrze zorganizowany. Najpierw ułożono pomosty, prowadzące od statku do wybrzeża. Przejechały po nich czołgi, pojazdy opancerzone, wozy ciężarowe. Po ośmiu godzinach przypływ przerywa wyładunek. Przerwa trwa około ośmiu godzin i znowu fale odpływają, rozpoczyna się wyładunek. Gdy statek został rozładowany, czekano na przypływ, aby wycofać się na pełne morze. Jeśli statek zaryje się głęboko w piasek plaży, w czasie przypływu wkraczą do akcji holowniki, wyciągające go na otwarte wody. Statki z grupy kapitana Nierojewskiego płyną do wyspy Wight po następny transport uzbrojenia, środków opatrunkowych i żywności. Rozładunek statków trwał od trzech do czterech dni. MS „Chorzów” oraz pozostałe 31 statków wykonało dziewięć rejsów wspomagających działania inwazyjne. Następnie popłynęły do różnych stoczni dla dokonania remontów.

Po inwazji Nierojewski zostaje mianowany kapitanem na SS „Poznań”. Płynie do francuskiego portu Rouen, z ładunkiem amerykańskiej żywności. Pod koniec stycznia zostaje kapitanem SS „Krosno”. Był to wysłużony parostatek. Odbywa na nim kilka rejsów do USA. O końcu wojny w Europie dowiaduje się na środku Atlantyku. W czasie kolejnego pobytu w USA otrzymuje list od Morgana, z propozycją objęcia stanowiska kapitana na jego jachcie. Na Kubę, gdzie cumuje jacht, leci samolotem Morgana. Jacht to wspaniała, nowoczesna jednostka pływająca mogącą zabrać w podróż nawet sto osób. Zostaje pracownikiem Morgana.

Po kilku tygodniach wypływają w pierwszy rejs pod dowództwem Jerzego Nierojewskiego. Zabierają pięćdziesiąt osób zaprzyjaźnionych z właścicielem jachtu. Z Hawany

płyną do kilku portów na wybrzeżu Meksyku. Płynie z nimi kilkusobowa orkiestra, kucharze, kelnerzy, sprzątaczk i dziesięciu marynarzy. Po powrocie na Kubę kapitan decyduje się na pozostanie w USA i rozpoczyna intensywne starania o przyjazd żony z dziećmi. Morgan obiecuje interwencję w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. Ambasadador jest przyjacielem rodziny Morganów.

Kapitan szuka także innych możliwości. Kontaktuje się z ludźmi, którzy trudnią się przemytem pragnących uciec z Polski. Dwaj przemytnicy dostali po tysiąc dolarów zaliczki. Ten, któremu uda się sprowadzić żonę z dziećmi, dostanie jeszcze cztery tysiące dolarów. Jeden z tych przemytników zostaje aresztowany w Krakowie, drugi oddaje zaliczkę. Żonę podejmuje się przeprowadzić przez granicę, ale bez dzieci, boi się.

Irena pisze rozpaczliwe listy. Życie w Polsce staje się coraz trudniejsze. Błaga męża, aby powrócił. W dniu 5 kwietnia 1947 roku Nierojewski powraca do kraju pierwszym rejsiem „Batorego” z Ameryki do Gdyni.

Polska czeka na takich ludzi. Już 5 maja zostaje kapitanem na pierwszym polskim tankowcu „Karpaty”. Rodzina zamieszkuje w Gdyni. Później przenoszą się do Sopotu. Po wielu latach Irena Nierojewska napisała do mnie: „...nadszedł najszczęśliwszy okres w naszym małżeństwie...”

Kapitan przywozi z Zatoki Perskiej ropę. Równocześnie szkoli innych oficerów w dowodzeniu tankowcami.

Rodzina powiększa się. Na świat przychodzą bliźnięta. Pani Irena prosi męża o pomoc w wychowaniu dzieci. Kapitan zostaje doradcą Polskich Linii Oceanicznych oraz rzeczoznawcą przy zakupie statków. Dodatkowo pełni funkcję kierownika zespołu kapitanów PLO.

W dniu 15 grudnia 1950 roku odlatuje do Pekinu. Jest delegatem Ministerstwa do spraw powstania Chińsko-Polskiego Przedsiębiorstwa Maklerów Okrętowych, spółki, w której rząd polski ma 50% udziałów. Przedsiębiorstwo istnieje do dnia dzisiejszego, jest właścicielem kilkudziesięciu statków i przynosi każdego roku milionowe zyski. Na kilka tygodni przed podpisaniem umowy przylatuje do Pekinu pani Irena, zostawiając dzieci pod opieką swojej matki.

Po powrocie z Pekinu kapitan, pełniąc nadal funkcję rzeczoznawcy PLO, odbywa co roku kilka długich rejsów. W roku 1956 Ministerstwo Żeglugi zleca mu dowodzenie siedmioma statkami, które mają przewieźć różne towary do Chin i Wietnamu. W tym czasie rząd USA zablokował dostawy do tych krajów. Wybrano drogę Północno-Arktyczną. Wiosną 1956 roku z portu w Gdyni wypłynęło siedem statków załadowanych różnymi towarami. Był to głównie sprzęt wojskowy, działa, amunicja i miny, ale też całkowicie wyposażony duży szpital wojskowy z zapasem leków i środków opatrunkowych oraz radiostacje, urządzenia nawigacyjne, samochody ciężarowe, rowery, nasiona, nawozy sztuczne i materiały włókiennicze. Dowództwo tego zespołu objął kapitan Nierojewski, płynący na MS „Łódź”. W Murmańsku dołączyli do dwudziestu kilku statków radzieckich. Całością miał dowodzić radziecki admirał. Towarzyszyły im lodołamacze. Nie było jeszcze statków o napędzie atomowym. Wbrew radom Nierojewskiego admirał opóźniał wypłynięcie z Murmańska, twierdząc, że przełom czerwca i lipca jest właściwą porą. Nierojewski, mając duże doświadczenie z okresu wojny, domagał się wypłynięcia w początkach maja. Gdy statki znajdowały się w odległości około 150 mil morskich od Cieśniny Beringa, runął na nie huragan wiejący ze wschodu. Wichura gnała ogromne zwa-



Kapitan Żeglugi Wielkiej Jerzy Nierojewski

ły lodu. Ogromne płyty kry groziły zniszczeniem statków. Nic nie mogły pomóc lodołamacze. Ponadto gwałtownie spadała temperatura, należało wracać, aby uniknąć całkowitego zamarznięcia drogi powrotnej, a także zniszczenia statków. Admirala odwołano do Moskwy, odleciał śmigłowcem. Nakazano powrót do Murmańska, przekazując równocześnie Nierojewskiemu dowodzenie całym konwojem. Udało się doprowadzić statki do Murmańska, pokonując po drodze wiele przeszkód. Polskie załogi powróciły samolotami do Warszawy. Statki zostały przekazane Związkowi Radzieckiemu jako dar polskiego rządu. Jerzy Nierojewski, po dłuższym odpoczynku, pływał na statkach PLO. Odwiedzał porty na całym świecie.

Kapitan odszedł na emeryturę w roku 1975. Zmarł w roku 1985, został pochowany na sopockim cmentarzu. Jeszcze przez kilka lat korespondowałem z jego żoną, Ire-
ną. Umarła pod koniec lat osiemdziesiątych.

* * *

Kapitan Żeglugi Wielkiej Jerzy Nierojewski został od-
znaczony „Medalem Morskim z Podwójnym Okuciem”,
„Gwiazdą Bitwy o Atlantyk z Wieńcem”, „Gwiazdą za
Udział w Wojnie 1939-1945”. Były to odznaczenia Impe-
rium Brytyjskiego.

Wiele artykułów o życiu Jerzego Nierojewskiego uka-
zało się w miesięczniku „Morze” oraz w prasie Trójmiasta.

U mnie zachowały się dwa wycinki.

– „Dziennik Bałtycki” z 19.09. 1986 r. w artykule „Pierw-
si po Bogu” tak wytypował najsłynniejszych:

1. Witold Poinc, jako ten, który wydobywał wraki ponie-
mieckie z naszych portów.

2. Jerzy Nierojewski

3. Kazimierz Jurkiewicz, dowódca „Daru Pomorza”

4. Karol Olgierd Borchardt, wychowanek PSM, literat,
autor m.in. „Znaczy Kapitan”.

– Zachowałem także dodatek do „Gazety Wyborczej” z
19.07.1996 z artykułem opisującym podróż Jerzego Niero-
jewskiego „Drogą Północno-Arktyczną”.

WITOLD PAKULSKI

Na początku lat dwudziestych minionego wieku Pruszków, w którym się urodziłem i mieszkałem, był sennym i smutnym miasteczkiem z dwudziestoma tysiącami mieszkańców. Pierwsza wojna światowa pozostawiła tu trwałe ślady. Z istniejących niegdyś fabryk pozostały ruiny lub puste hale, pozbawione maszyn i urządzeń, bez dachów, z powybijanymi szybami. Stało także kilka wypalonych domów, których nie rozbierano, gdyż zdaniem fachowców, nadawały się do odbudowania. Dwie wojny, toczone przez sześć lat na ziemiach polskich, obniżyły w sposób tragiczny poziom życia mieszkańców Pruszkowa.

Wiele rodzin znalazło się bez środków do życia. W najgorszym położeniu znalazły się te wywiezione pod przymusem w głąb Rosji i powracające bez żadnego dobytku. Niekiedy powracały tylko matki z małymi dziećmi, gdyż ojcowie zmarli na wygnaniu. Wielu kolejarzy, powracających do kraju z objętej rewolucją bolszewicką Rosji, rozpoczynało pracę na kolei (teraz już w Polskich Kolejach Państwowych, a nie Drodze Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej) lub uruchamianych powoli warsztatach kolejowych. Powracali także pracownicy Fabryki Ołówków, jednak

maszyny i urządzenia fabryczne pozostały gdzieś nad Wołgą. Pruszkowska Fabryka Ołówków „St. Majewski i S-ka” z trudem odbudowywała się ze zniszczeń wojennych.

Pod koniec 1922 roku miasto obiegła wiadomość, że na terenie całkowicie zniszczonej przez działania wojenne fabryki wyrobów metalowych Troetzera nasi rodacy z Ameryki zamierzają zbudować fabrykę obrabiarek. Uwierzyliśmy w te pogłoski dopiero wtedy gdy w gazetach warszawskich podano informację o tym, że kilkuset Polaków mieszkających w Ameryce chce powrócić do kraju, aby pracować w zbudowanej przez siebie fabryce. Miała to być fabryka produkująca najnowocześniejsze obrabiarki do metali, a rodacy mieli przywieźć z USA maszyny i urządzenia potrzebne do ich produkcji. Zawiązano już Stowarzyszenie Mechaników Polskich z Ameryki. Prace przygotowawcze rozpoczęły się od sprzątnięcia całego terenu dawnej fabryki Troetzera, zatrudniono pierwszych kilkunastu pracowników. Gdy wywieziono śmiecie oraz gruz i gdy uprzątnięto cały teren, przystąpiono do prac remontowych. Kiedy wiosną 1915 roku nastąpiła ewakuacja pruszkowskich fabryk na wschód, w głąb Rosji, wywożono nie tylko maszyny i urządzenia pomocnicze, ale także surowce, a nawet instalacje pomocnicze. Pozostawiono gołe ściany i sterty śmieci. Teraz należało odbudować zniszczony budynek biurowy, wyremontować uszkodzone mury, odnowić ściany. Nad halami został położony dachy, oszklono okna. Remont i odbudowa przebiegała sprawnie i nadzwyczaj szybko. Rozwieszano przewody elektryczne, położono rury wodociągowe i kanalizacyjne. Gdy ukończono remont kotłowni, nad kominem fabrycznym pojawiły się smugi dymu.

Zmianami zachodzącymi w dawnej Fabryce Troetzera interesowali się nie tylko dorośli mieszkańcy Pruszkowa, to wszystko interesowało także nas – dzieciarnię z sąsiednich

domów. Na rozciągającej się wzdłuż murów fabrycznych ulicy, nazwanej teraz ulicą Kazimierza Pułaskiego, prawie każdego dnia zjawiała się gromada wyrostków. Obok biegania za kółkiem, popychanym odpowiednio zakrzywionym drutem, godzinami gapili się przez duże okna, zabezpieczone drobną siatką, na pracę robotników uwijających się po wielkiej hali fabrycznej. Na naszych podwórkach głośno opowiadaliśmy o ustawianych tam wielkich maszynach, przywiezionych zza oceanu, z dalekiej Ameryki.

Dwukonne platformy przywoziły z rampy kolejowej wielkie skrzynie. Były w nich maszyny, ustawiane potem wewnątrz hali fabrycznej. Właśnie w tym czasie zaczęli przyjeżdżać do Pruszkowa pierwsi nasi rodacy, po wieloletnim pobycie za oceanem. Ciężko pracując, zarabiali tam upragnione dolary, za które kupowali akcje powstającej u nas fabryki. To za ich pieniądze odbudowano dawną fabrykę Troetzera. Dzięki nim kupowano w USA maszyny, ustawiane w naszych halach fabrycznych. To właśnie oni, ci przybysze z Ameryki, będą teraz na tych maszynach produkować tak potrzebne w Polsce obrabiarki. Kupowali tu domy, wynajmowali mieszkania, poznawali swoich nowych sąsiadów i powoli włączali się w życie naszego miasta. Na końcu ulicy Pułaskiego zakupili duży dwupiętrowy dom, w którym zamieszkało kilkanaście rodzin „Amerykanów”. Przy tej samej ulicy, na wprost ruin dawnej fabryki terakoty, zbudowali kilka domów. W jednym powstała Szkoła Rzemieślnicza, dla szkolenia przyszłych pracowników fabryki. W świetlicy, na piętrze tego domu, w soboty i w niedziele wyświetlano wieczorami przywiezione z Ameryki filmy. Na te pokazy schodziła się młodzież i dzieciarnia z całej okolicy. To tu właśnie poznawałem uroki kina. Tu zobaczyłem drapacze chmur, zatłoczone ulice Nowego Jorku, Indian i kowbojów. Na piętrze innego domu,

w dwóch pokoikach mieściła się wypożyczalnia książek, prowadzona przez starego pana Lisa. Tam poznawałem książki Londona i Karola Maya.

Właśnie w tym kinie i w tej bibliotece spotykałem Witka Pakulskiego. Urodzony w roku 1912, starszy ode mnie o dwa lata, ze względu na słabą znajomość języka polskiego, naukę w szkole powszechnej rozpoczynał razem ze mną, lecz w innej szkole. Ja w „kolejówce”, przy żbikowskim przejeździe, a on w szkole ewangelickiej nazwanej teraz szkołą im. St. Żółkiewskiego. Witek był ewangelikiem. Od początku, z grona zaprzyjaźnionych ze sobą kolegów wyróżniał się nosem złamanym u nasady, angielskim akcentem, którego przez długie lata nie mógł się pozbyć, a także uczesaniem z przedziałkiem na środku głowy, na wzór bożyszczka filmowego tamtych czasów, Rudolfa Valentino. Po „amerykańsku” był także ubrany. Mała cyklistówka, marynarka z czterema kieszonkami oraz paskiem z tyłu, spodnie pumpy zapinane pod kolanami, jasne podkolanówki i czarne pantofle, zakończone w szpic. Dość dobrze mówił po polsku, choć niekiedy przerywał, szukając odpowiednich słów, a specyficzny angielski czy może amerykański akcent, zachował przez wiele lat. To właśnie on tłumaczył nam angielskie napisy, przerywające akcję niemych filmów. On opowiadał nam o drapaczach chmur w Nowym Jorku, o podziemnej kolejce, ulicznych hydrantach, z których pił wodę, gdy zmęczył się podczas gry w piłkę, o wielkiej ilości samochodów, krążących po ulicach miast i o światłach ulicznych oraz o gładkich równych szosach i szerokich ulicach, zatłoczonych spieszącymi się ludźmi i o wspaniałych witrynach sklepowych. Słuchaliśmy tych opowiadań z pewnym niedowierzaniem. Podziemna kolejka? Pokryte asfaltem ulice? Jak to możliwe? U nas tylko nieliczne ulice były

wybrukowane sporymi kamieniami, tzw. „kocimi łbami”. Witek był pierwszym poznanym przeze mnie „amerykańskim” chłopcem. Mieszkał wraz z rodzicami w niedawno kupionym domu przy ulicy Olówkowej. Zajmowali niewielkie mieszkanko na parterze. Szukali jednak większego domu lub mieszkania. Witek od początku bardzo nam imponował. Gdy nawiązałem z nim pierwsze nici przyjaźni, próbowałem naśladować jego uczesanie. Moczyłem włosy, aby ułożyć przedziałek biegnący przez środek głowy. Lecz był to tylko chwilowy sukces. Gdy włosy wyschły, przedziałek ginał. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że włosy trzeba był posmarować brylantyną – gęstym, oleistym smarowidłem, używanym przez fryzjerów. Nigdy nie pytałem Witka o tajemnicę przedziałka. Wy tłumaczył mi to dopiero zaprzyjaźniony fryzjer.

Gdy poznaliśmy się bliżej z Witkiem, pokazał mi dwa przedmioty, które u nas okazały się bezużyteczne. Były to wrotki i piłka do rugby.

Jazda na wrotkach wymagała równego chodnika lub gładkiej jezdni. W ówczesnym Pruszkowie niczego takiego nie było. Jazdę na wrotkach demonstrował mi Witek w swoim mieszkaniu, na dywaniku rozpostartym na podłodze z desek. Dopiero po wielu latach ułożono w naszym mieście nieduży kawałek asfaltowej jezdni, a obok gimnazjum Zana ułożono także równe chodniki z betonowych płyt. Ale wtedy Witek miał już inne zainteresowania. Ładna, owalna piłka też do niczego nam się nie przydawała, Witek próbował nas nauczyć gry w rugby, ale my nie mogliśmy zrozumieć jej zasad. Gdy próbowaliśmy nogą grać jajowatą piłką, ta zawsze leciała nie tam, gdzie chcieliśmy aby poleciała. W tamtych czasach, dorastająca dzieciarnia z naszej dzielnicy najchętniej grała w „szmaciankę”, niewielką piłkę zrobioną z gałganów i szmat.

Witek szybko aklimatyzował się w naszym środowisku. Byliśmy dużą grupą chłopców z ulicy Stalowej i Ołówkowej, razem spędzających wolny czas na jakimś podwórku. Po wielu latach, gdy byliśmy już emerytami, Witek wspominał nasze wspólne zabawy, w których tak chętnie brał udział. Gra szmacianą piłką na dwie bramki. Gonił ją kółkiem po okolicznych drogach, drózkach i ścieżkach. Kąpiele w helenowskich gliniankach połączone z opalaniem się i z grą w karty. W „durnia” w „świnie” i w „tysiąca”. Wyprawy na grzyby do lasu helenowskiego lub nawet na Dębak. We wszystkich grach, zabawach i wyprawach brała udział ciągle ta sama grupa chłopców. Dwaj „amerykanie” – Witek i Ali Morawski oraz Janek Drzewiecki, czyli trójka z ulicy Ołówkowej, Tadek Targowski z domu Lorenca, a ze Stalowej Mietek Żmudzi, zwany „Murzynem”, Andrzej Will, Władek Raczyński, Staszek Kowalczyk i ja. Znacznie później dołączył do nas Jurek Goldsztajn, zwany „Hrabią”. Biegając za kółkiem kierowaliśmy się najczęściej w stronę pałacu hrabiego Potockiego w Helenowie i dalej drogą do Parzniewa, obok mogiły powstańców z 1863 roku.

W „szmaciankę” najczęściej graliśmy na łące w pobliżu ruin dawnej fabryki terakoty. Grywaliśmy boso. Zapamiętałem, że Witek zawsze zostawiał u nas podkolanówki i buty. Na wszystkie wyprawy, tak jak i my wszyscy, wyruszał boso. Po powrocie długo mył nogi przy studni na naszym podwórku. Do studni wpuszczało się kubeł na łańcuchu i kręcąc korbą nawijało się łańcuch na drewniany wałek. Mieszkaliśmy wtedy w domu nr 18 przy ul. Stalowej. Dom należał do ponurego grubasa Bielawskiego. Na podwórku stał gołębnik, przedmiot naszych zainteresowań w pochmurne i zimne dni.

Idąc na glinianki lub wczesnym rankiem na grzyby, zwoływaliśmy się gwizdaniem pod oknami kolegów. Naj-

głośniej gwizdał Witek. Sztuki gwizdania nauczył się od Irlandczyków, na przedmieściu Passaic pod Nowym Jorkiem. Piaszczysta droga prowadziła z ulicy Stalowej aż do pałacu helenowskiego. Dwieście metrów przed pałacem skręcaliśmy wąską ścieżką w prawo, do glinianek. Mieliśmy tam swój dołek, w którym rozkładaliśmy koc i ubrania. Po kąpieli siadaliśmy, aby opalać się, grać w karty lub czytać książki.

O godzinie 15.00 słyszeliśmy syrenę Fabryki Mechaników. Powracaliśmy do domu, gdzie czekał obiad. Podczas wakacji, raz w tygodniu, wybieraliśmy się na grzyby do lasu helenowskiego lub na Dębak. Zawsze wyruszaliśmy nocą, na godzinę lub dwie przed świtem. Niebo było pełne gwiazd. Na te wyprawy budził nas gwizdaniem Witek. Gwizdy i nawoływania budziły śpiących przy otwartych oknach sąsiadów. Mijaliśmy pałac helenowski i przez Nową Wieś lub łąkami, nad rzeczką, szliśmy na skraj lasu. Tu odpoczywaliśmy, posilając się przygotowanymi przez nasze matki kanapkami oraz skradzionymi po drodze jabłkami. Na długo zapamiętałem zachwyty Witka nad ukazującą się powoli ponad dachami uśpionej Nowej Wsi czerwoną tarczą wschodzącego słońca.

Robiło się szaro. Nad łąkami rozciągającymi się od naszego lasu aż do Helenówka unosiła się mgła. A my oczekiwaliśmy chwili, w której nad jakimś kominem wiejskiej chałupy uniesie się delikatna smuga dymu. Dla nas był to znak, że powinniśmy już wyruszać do lasu, na zbieranie grzybów. Powracaliśmy do domów z koszyczkami pełnymi grzybów około godziny trzeciej po południu. W dni powszednie mieliśmy obiad około szesnastej, gdy ojcowie powracali z pracy. Po obiedzie odpoczywaliśmy, a później, tak jak to było każdego dnia, spotykaliśmy się w parku „Sokoła”, gdzie graliśmy w siatkówkę albo w koszykówkę.

Stopniowo, wraz z naszym dojrzewaniem, zmieniały się przyzwyczajenia i obyczaje. Na początku lat dwudziestych, gdy rozpoczynaliśmy naukę w szkołach powszechnych, nazywanych obecnie podstawowymi, nie mieliśmy zeszytów, a wielu z nas do szkoły przychodziło boso. Każdy z nas do tornistra miał przyczepioną tabliczkę. Była to cienka płytką ceramiczną koloru czarnego, oprawiona w drewniane ramki. Na tabliczkach pisało się białym sztyfcikiem, a niepotrzebny zapis można było zetrzeć gałgankiem. Prace domowe z rachunków lub z polskiego również pisało się na tabliczce. Bardzo często jakiś złośliwy kolega starał się ukradkiem zetrzeć naszą odrobioną lekcję, przyczepioną do tornistra. Tak było prawie każdego dnia. Dzieci „amerykanów” w pruszkowskich szkołach tylko przez pierwsze dni były zdziwione naszymi przyborami szkolnymi. Szybko do tego przywykły. One miały zeszyty i książki, pisały piórami ze stalówkami, a w swoich teczkach nosiły kałamarze z atramentem. Do dzisiaj pamiętam, że Witek miał nawet wieczne pióro. Nie nosił kałamarza. Zapamiętałem z jakim podziwem oglądaliśmy to pióro. W następnych klasach stopniowo zanikały tabliczki. W „bazarku”, na wprost stacji kolejowej, kupowaliśmy zeszyty, pióra z różnymi stalówkami, a także kałamarze i atramenty. Mieliśmy też ołówki i kolorowe kredki.

Przybycie „amerykanów” do naszego miasta miało coraz większy wpływ na życie mieszkańców. Wzorując się na „amerykankach”, coraz więcej kobiet skracало swoje suknie, pojawiły się wózki dla niemowląt, zanikał zwyczaj noszenia dzieci na piersiach czy zawijania się wraz z niemowlęciem w dużą, kraciastą chustę. Zamiast długich prawie do kolan butów, zawiązywanych na sznurowadła, kobiety zaczęły chodzić w pantoflach. Małe kapelusiki zastępowały ogromne kapelusze ozdobiane różnymi ozdobami, a na

sztyldach zakładów fryzjerskich coraz częściej pojawiał się napis: „Salon damski; wieczna ondulacja”.

Z naszej dzielnicy, z ulic Stalowej i Ołówkowej, około pół setki dziewcząt i chłopców uczyło się w szkołach nazywanych powszechnymi. Pod koniec lat dwudziestych ta młodzieżowa społeczność uległa podziałowi. Większość rodziców zdecydowała się na dalsze kształcenie swoich dzieci w szkołach średnich różnego typu. Niektórzy rodzice, najczęściej ze względów materialnych, musieli zrezygnować z dalszego nauczania dzieci, szukając dla nich jakiegoś zatrudnienia. Z grupy najbliższych moich kolegów trzech uczyło się w Pruszkowie: Staszek Kowalczyk w gimnazjum Zana, a Mietek Żmudzki oraz Janek Drzewiecki w szkole Mechaników. Pozostała szóstka uczyła się w Warszawie. Radek Targowski i Władek Raczyński w Szkole Przemysłu Graficznego przy ul. Konwiktorskiej, Wittek Pakulski w gimnazjum Reja przy Placu Małachowskiego, Ali Morawski na Woli w gimnazjum im. Sowińskiego przy ul. Marynarskiej, Andrzej Will w gimnazjum Lorency przy ul. Brackiej, a ja w gimnazjum Zgromadzenia Kupców przy ul. Prostej. Do naszej grupy dołączył też Jurek Goldsztajn ze Szkoły Handlowej „City”, mieszczącej się przy ul. Królewskiej. Młodzież ze szkół warszawskich spotykała się każdego dnia na dworcu kolejowym, skąd odjeżdżał pociąg „miejscowy” o godz. 7.05. Pociąg składał się z dziesięciu wagonów pamiętających lata przedwojenne, a ciągnął go parowóz „tendrzak”, dymiący i sapiący. Wzdłuż wagonów były stopnie przy wejściu do każdego przedziału. W środku pociągu dwa wagony były przeznaczone dla uczniów i dla uczennic. Nasz pociąg przyjeżdżał do Dworca Warszawa Główna punktualnie o godz. 7.50. We wszystkich szkołach lekcje rozpoczynały się o godz. 8.00. Mieliśmy już wte-

dy szkolne mundurki, ze spodniami, które pod kolanami zapinały się na guzik. Różniły nas szkolne czapki. Witek miał specjalnego kształtu cyklistówkę koloru granatowego, z niebieskimi wypustkami oraz z inicjałami patrona szkoły. Zeszyty i książki nosiliśmy w teczkach. Pióro, ołówki i kredki mieliśmy w piórnikach. Na ławkach szkolnych, w specjalnych wgłębieniach, stały kałamarze pełne atramentu.



Witold Pakulski

Witek Pakulski od kilku lat mieszkał w domu rodziców przy ulicy Parkowej, po nieparzystej stronie, w drugim domu od ulicy Kościuszki. Witek od razu włączył się w życie szkolne. Przez kilka pierwszych lat nauki grywał na dużym bębnie w szkolnej orkiestrze. Wydaje mi się, że bardzo go to bawiło, gdyż zapraszał nas na publiczne występy swojej orkiestry. W narodowe święta, w dniu 3 Maja i 11 Listopada, gimnazjum Reja brało udział w uroczystym pochodzie ulicami Warszawy. Na czele długiej kolumny

uczniów gimnazjum maszerowała orkiestra, a w niej w ostatniej czwórce siedł Witek, wybijając rytm, zgodnie z którym maszerowała cała szkoła. Przez kilka lat, gdy on grał w orkiestrze, szliśmy w pobliżu, idąc chodnikiem.

Już po kilku tygodniach nauki w warszawskich szkołach musieliśmy więcej czasu poświęcać odrabianiu lekcji oraz czytaniu książek, stanowiących tzw. „lekturę obowiązkową”. Wobec tego mniej czasu mieliśmy dla kolegów. Narodziła się wtedy, trwająca przez wiele lat, tradycja niedzielnych wyjazdów do warszawskich kin. Najczęściej bywaliśmy w Kinematografie Miejskiej przy ul. Hipotecznej. Grano tam głównie filmy z „Dzikiego Zachodu” lub filmy kryminalne. Do domu wracaliśmy przed godziną 21.00.

Pod koniec 1927 roku wypisaliśmy się z biblioteki prowadzonej przez pana Lisa, aby zapisać się do Biblioteki Miejskiej przy ulicy Kościuszki. Było tu dużo więcej interesujących książek. Zaczynaliśmy interesować się polityką. W dniu 4 marca 1928 roku odbywały się wybory do Sejmu. Lokal wyborczy dla naszej dzielnicy znajdował się w domu nr 5, przy ulicy Stalowej, w dawnym kinie „Ergos”. Tuż przed wejściem wbrew zakazowi, rozdawałem kartki wyborcze z numerem 2. Była to lista Polskiej Partii Socjalistycznej. Do tej czynności zwebował mnie nasz sąsiad z domu nr 19, pan Konstanty Wiktorzak, czołowy działacz PPS, ojciec mojej ówczesnej wielkiej sympatii – Janki. A w pewnej odległości od lokalu wyborczego, na ulicy Sienkiewicza, pan Ludwik Pakulski rozdawał kartki z „Jedynką”. Była to lista Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem marszałka Piłsudskiego. W sobotę po wyborach dowiedziałem się od Witka, że jego ojciec zaprasza mnie na wieczorną ważną rozmowę. W pokoju na kanapie tłumaczył mi pan Ludwik, jaka jest różnica pomiędzy socjalizmem członków partii noszącej w wyborach numer 2

a socjalizmem głoszonym przez Józefa Piłsudskiego. Ten ostatni głosił, że najważniejsza jest niepodległość, że tylko w wolnym kraju będzie można realizować hasła głoszone przez socjalistów. Wysłuchałem wtedy przy okazji opowieści pana Ludwika o jego życiu.

Urodził się w miasteczku Łask, niedaleko Łodzi. Nie było tam żadnej szkoły. Czytać i pisać uczył się od starszych kolegów. Bardzo wcześnie rozpoczął pracę w jednej z miejscowych fabryk włókienniczych. Tam zetknął się z członkami PPS. Jeden z nich przynosił do mieszkania wydawane konspiracyjnie egzemplarze „Robotnika”. Czytał je, a następnie zaczął brać udział w tajnych zebraniach grupy członków PPS. Na jednym z takich zebrań przemawiał „towarzysz Ziuk” – Józef Piłsudski – wydawca „Robotnika”.

Gdy pan Ludwik miał 17 lat został kolporterem „Robotnika”. W umówionym miejscu odbierał paczkę egzemplarzy, które roznosił do zaufanych ludzi. Po zlikwidowaniu przez carską żandarmerię tajnej drukarni, w której drukowano nie tylko „Robotnika”, ale także wiele ulotek o hasłach patriotycznych, nastąpiło aresztowanie J. Piłsudskiego. Wówczas sąd partyjny wydał wyrok śmierci na Polaka, który przeszedł na służbę Rosjan i współpracując z carską żandarmerią, wskazał lokal gdzie była umieszczona drukarnia a także zdradził zakonspirowane miejsce pobytu Piłsudskiego. Wyrok wykonał pan Ludwik. Po kilku dniach inny konfident wydał go rosyjskiej policji. Ponieważ było to podczas stanu wojennego, rozprawy sądowe odbywały się w trybie przyspieszonym. Skazano Pakulskiego na karę śmierci, zamienioną, ze względu na młody wiek, na dożywocie w syberyjskiej kopalni. Przydzielony do innych skazańców, powędrował w aresztanckim wagonie na wschodnią Syberię, gdzieś za Irkuck. Następnego dnia po przybyciu

do obozu, gdy jeszcze nie przydzielono mu więziennego ubrania, uciekł z kopalni, wskazując do budki hamulcowej załadowanego węglem wagonu. Podczas tej ucieczki nie opuszczało go wielkie szczęście. Gdy nocą przyjechali do Irkucka, przesiadł się do osobowego pociągu, jadącego do Moskwy. W jednym z przedziałów zajął miejsce przy drzwiach i najspokojniej zdjął jesionkę, po czym usiadł, obserwując wsiadających pasażerów. Był ubrany nie gorzej od współpasażerów, młody, o wystających kościach policzkowych, co mogło sugerować azjatyckich przodków. Po wielu latach wspominał tę zadziwiającą pewność siebie. Wyszedł na korytarz, gdy zobaczył nadchodzącego konduktora i od razu przyznał się, że nie ma biletu. Opowiedział wymyśloną bajeczkę o śmierci matki i o ojcu, który jest podoficerem w pułku stacjonującym pod Petersburgiem. Kłamał tak bezczelnie, że konduktor uwierzył w jego opowieść. Zabrał go do swojego przedziału i nakarmił. Gdy po kilku godzinach następowała zmiana obsługi pociągu, przekazał go swemu następcy. Tak dojechał do Moskwy, gdzie udało mu się nawiązać kontakt z Polakami, którzy ułatwili dostanie się do Petersburga. Tam odnowił kontakt z towarzyszami partyjnymi. Członkowie PPS, po stwierdzeniu prawdziwości jego opowieści, ułatwili wędrówkę przez Karelię i Finlandię do Szwecji. Tu następni towarzysze ułatwili mu dostanie się do Danii. Zamieszkał w Kopenhadze, dokąd udało mu się, znowu przy pomocy rodaków związanych z PPS, sprowadzić swoją przyszłą żonę – Julię. W Danii w 1912 roku przyszedł na świat jedyny syn – Witold. Pod koniec roku za zarobione pieniądze kupili bilety na statek płynący do Nowego Jorku. W USA zamieszkali na przedmieściu Nowego Jorku, w Passaic. Tu pan Ludwik rozpoczął pracę w jakiejś włókienniczej fabryce. Pani Julia, po odchowaniu Witka, także podjęła pracę w tej samej fabryce. Była tkaczką.

Po przystąpieniu USA do wojny wzrosły zarobki. Dzięki temu zdołali zaoszczędzić kilka tysięcy dolarów. Podczas pobytu za oceanem nie opuszczała ich myśl o powrocie do Kraju.

Moja rozmowa z panem Ludwikiem, a właściwie słuchanie jego wspomnień, wpłynęła na zmianę mego światopoglądu. Zacząłem doceniać niepodległość. Ani wyniki wyborów, ani polityka, pozornie nie wywierały wielkiego wpływu na nasze życie. Po powrocie ze szkoły odrabialiśmy lekcje, oczekując na obiad, po którym następował odpoczynek połączony z czytaniem książki. Jeśli lektura bardzo nas zaciekała, siedzieliśmy nad książką, zapominając nawet o kolegach. W innym przypadku wybieraliśmy się szybko na spotkanie z kolegami w parku „Sokoła” lub na ulicy Kościuszki. Tak było aż do kolacji.

W niedziele nasze życie wyglądało zupełnie inaczej. Znacznie później wstawaliśmy z łóżek. Gdy wychodziliśmy z pruszkowskiego kościoła, po mszy św. szkolnej o godzinie 10.00, prawie zawsze oczekiwał na nas Witek. Stał na chodniku po drugiej stronie rozciągającego się przed kościołem placu. Obserwował wychodzący z kościoła tłum ludzi. Z daleka kłaniał się znajomym. My skupialiśmy się wokół niego. Gdy już wszyscy wierni opuścili świątynię i kościelny zamknął wielkie drzwi wejściowe, wyruszyliśmy w kierunku przystanku EKD, aby rozgadana, przekrzykującą się gromadą dotrzeć do Komorowa. Opowiadaliśmy o swoich szkolnych przeżyciach, o nauczycielach i nowych kolegach. Ktoś opowiadał o nowym filmie wyświetlanym w jakimś warszawskim kinie, ktoś inny zachwycał się jakąś sztuką, ogladaną w Teatrze Polskim, na „szkolnym” przedstawieniu. Drogą na skraju lasu komorowskiego szliśmy aż do figury Matki Boskiej, w pobliżu majątku Komorów.

Do Pruszkowa powracaliśmy zawsze boczną koleją, tzw. „żeberkami”, rozciągającymi się od przystanku EKD w Komorowie aż do pruszkowskiej stacji PKP.

Niedzielne obiady jadano pomiędzy 13.00, a 14.00. Po obiedzie był czas odpoczynku. Czytaliśmy niedzielną gazetę lub jakąś ciekawą książkę. Około godz. 17.00 prawie wszyscy spotykaliśmy się na dworcu PKP. Prawie każdej niedzieli odbywała się składka na bilet wstępu do kina dla jakiegoś kolegi, któremu, najczęściej „za karę”, rodzina odmawiała pieniędzy. Składaliśmy się po 5 lub 10 groszy. Nigdy nie było wypadku, aby któryś z kolegów nie poszedł do kina z powodu braku pieniędzy. Bilet do kina „Miejskiego” kosztował 50 gr. Jeśli w warszawskich kinach nie było żadnego interesującego nas filmu, wyruszaliśmy na spacer po Nowym Świecie. W każdy niedzielny wieczór na tej reprezentacyjnej warszawskiej ulicy można było spotkać spacerujących kolegów szkolnych. Kiedy ukończyliśmy szkoły średnie zakończyły się te nasze niedzielne spotkania. Kilku z naszych kolegów miało już swoje dziewczyny, inni mieli nowych przyjaciół. Tylko jedno z młodzieńczych oczarowań przetrwało próbę czasu. Władek Raczyński po odbyciu służby wojskowej poślubił swoją dziewczynę, Irkę Krupińską. Witek przeżył szkolną miłość gdy był w maturalnej klasie. Alina była uczennicą gimnazjum Statkowskiej.

Uczucia zrodziły się dużo wcześniej. Pamiętam, że już na wiosnę 1935 roku spotykali się w Alejach Jerozolimskich i spacerowali w pobliżu dworca PKP. Powracali do Pruszkowa pociągiem i Witek odprowadzał ją przed dom, w którym mieszkała. Jeśli wracali wcześniej, siadali na ławce w parku „Sokoła”. W zimie Witek w niedzielne popołudnia jeździł do Warszawy z Alą. Kłanialiśmy się im z daleka. Raz widzieliśmy ich w kinie „Roma”. Siedzieliśmy na balkonie, a oni na parterze.

Ten młodzieżowy romans przerwała matka Witka – pani Julia – swoim, jak mi się wydaje, zbyt głośnym i obraźliwym dla Ali wystąpieniem w parku „Sokoła”. Było to na kilka tygodni przed egzaminem maturalnym Witka. Po lekcjach razem wracali do Pruszkowa. Witek odprowadzał Alę do domu. Taki zwyczaj panował wtedy wśród młodzieży. Zatrzymali się na chwilę w parku „Sokoła” i oglądali ilustracje w jakiejś książce. Siedzieli blisko siebie na ławce. Niespodziewanie zaskoczyła ich pani Julia, obrzucając Alę głośnymi wyzwiskami. W parku było kilkanaście matek z dziećmi. Wszyscy znali się z widzenia. Zapłakana Ala opuściła park, a oburzony Witek zaczął wymyślać matce, nazywając ją „głupią babą”, przynoszącą wstyd całej rodzinie. Główna awantura rozegrała się w domu i była połączona z tłuczeniem talerzy przez Witka. Pan Ludwik, po powrocie z fabryki po godz. 15.00, widząc leżące na podłodze talerze z obiadem i wysłuchawszy relacji obojga, stanął po stronie syna, potępił postępowanie żony. Zapłakana Ala po powrocie do domu otrzymała od rodziców surowy zakaz widywania się z Witkiem.

Po kilku dniach rozpoczęły się egzaminy. Witek rozstał się z pewnym żalem z gimnazjum im. M. Reja. Miał wspaniałych nauczycieli i równie wspaniałych kolegów. Wzorowa atmosfera panowała w tym gimnazjum. Pięć lat spędzone „u Reja” wspominał Witek bardzo dobrze. Z kilkoma kolegami z klasy nawiązał nić przyjaźni tak mocną, że przetrwała aż do śmierci. Wielokrotnie wspominał dawnych kolegów, a ja zapamiętałem przytoczone przez niego dwa wydarzenia. Powtórzył mi kiedyś opowieść Kazimierza Brandysa, kolegi ze swojej klasy. Brandys pochodził ze spolszczonej żydowskiej rodziny.

Naszą sąsiadkę, Marysię Zenowiczównę, poznał przed wojną, w redakcji młodzieżowego pisma „Kuźnia Mło-

dych". Marysia z rodzicami, tuż przed wojną, przeprowadziła się do Warszawy. Podobno zamieszkali w okolicach ulicy Grójeckiej. Gdy tworzone w Warszawie getto, zamieszkał z nimi Kazimierz Brandys. Nie wiem, czy już wtedy był, czy dopiero miał zostać mężem Marysi. Ze względu na pochodzenie miał fałszywe dokumenty. „Żył na papierach” – jak wtedy mówiono. Dla bezpieczeństwa, aby nie rozpoznał go jakiś znajomy, nie wychodził w dzień na ulicę. Wyrobiono mu posadę rozklejacza ogłoszeń. W tamtych latach tylko w nocy rozklejano afisze na słupach ogłoszeniowych. Wychodził na miasto przed północą, już podczas „godziny policyjnej”, niosąc na plecach torbę z rulonami, trzymając w jednej ręce kubek z klejem a w drugiej wielki pędzel. Pewnej nocy, gdzieś w okolicy Placu Zawiszy, gdy był zajęty smarowaniem słupa ogłoszeniowego klejem, zauważył zbliżający się patrol niemieckiej żandarmerii. Gdy zaczął rozklejać jakieś urzędowe ogłoszenie, zatrzymało się przy nim trzech żandarmów, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Byli w hełmach. Dwaj stanęli tuż przy nim, a trzeci ustawił się z tyłu pomiędzy nimi. Lufy pistoletów były wycelowane w niego. Zapytali o dokumenty. Podał im kennkartę i nachtausweis. Jeden sprawdzał ważność dokumentów, drugi nachylił się nad stojącym na ziemi plecakiem, pełnym pozwijanych w rulony ogłoszeń, przeglądając ich niemieckie tytuły. W pewnym momencie stojący z tyłu żandarm oświecił na krótką chwilę swoją twarz. Był to kolega z ich klasy. Gimnazjum im. Reja należało do zboru ewangelickiego. Wśród uczniów byli i tacy, którzy pochodzili z rodzin niemieckich ewangelików. Niektórzy z nich spolszczyli się, inni pozostali Niemcami. Do tej grupy uczniów należał i ten trzeci żandarm. Okazało się, że przyjaźń nawiązana w gimnazjum była silniejsza od więzów pochodzeniowych, rodzinnych. Żandarm oddał dokumenty i wszyscy trzej pomaszzerowali

Alejami Jerozolimskimi w kierunku ulicy Żelaznej. Nigdy więcej nie spotkał tego kolegi.

Inną opowieść usłyszałem od matki Witka, już pod koniec jego życia. Na początku lat osiemdziesiątych mój nieżyjący już syn, Leszek, przechodził poważną chorobę nerek. Witek dobrze o tym wiedział i dlatego, gdy pewnego dnia odwiedził go kolega gimnazjalny dr Mazurek, profesor łódzkiej Akademii Medycznej, specjalista od chorób nerek – zawiadomił mnie o tym natychmiast. Poprosiłem o pomoc. Profesor zaproponował mi, aby Leszek odwiedził jego klinikę w Tuszyńku pod Łodzią, a on, po przeprowadzeniu kilku badań, będzie mógł określić przebieg dalszej kuracji. Leszek dowiedział się w Tuszyńku, że musi poddać się dializom oraz oczekiwać na przeszczep nerki. W kilka miesięcy po naszym spotkaniu, profesor poważnie zachorował na chorobę nowotworową. W tym czasie odwiedził Witka inny szkolny kolega, znany wynalazca leku przeciwko chorobie Heinego-Medina, który przyleciał do Polski, aby nam ofiarować ten lek, mający ustrzec naszą młodzież przed straszną chorobą. Profesor Hilary Koprowski był kolegą z jednej klasy, zarówno Witka, jak i prof. Mazurka. Po wizycie w Tuszyńku stwierdził, że tylko w Paryżu jest klinika specjalizująca się w zwalczaniu tej odmiany nowotworu. Równocześnie obiecał, że w drodze do USA zatrzyma się w Paryżu, odwiedzi znajomego dyrektora tej kliniki i załatwi przyjęcie na badania kontrolne dr Mazurka. Po kilku tygodniach doktor pojechał do tej paryskiej lecznicy. Tam dowiedział się prawdy o swej chorobie. Francuscy lekarze podjęli próbę ratowania jego życia. Kuracja wymagała ponad trzymiesięcznego pobytu w tym szpitalu, należało kilkakrotnie przetaczać nową krew. Gdy poinformował dyrektora szpitala, że nie stać go na tak kosztowną kurację, dowiedział się, że jego szkolny przyjaciel, profesor Ko-

prowski, zostawił czek in blanco na pokrycie leczenia oraz kosztów biletu lotniczego do Polski. Ten przeszło trzymiesięczny pobyt w paryskim szpitalu przedłużył jego życie o rok czy dwa. Witek mówił mi kiedyś o tym, jak wiele zawdzięcza wychowaniu, jakie otrzymał w gimnazjum Reja i o tym, jak jednakowo byli traktowani uczniowie zarówno bogatych, jak i biednych rodziców, jak nieważne było wyznanie czy pochodzenie rodziców. W klasie, w której był Witek, pośród uczniów byli ewangelicy, katolicy, był i prawosławny kolega, byli też Żydzi. Wszyscy byli jednakowo traktowani. Witek do końca życia pamiętał nazwiska swoich nauczycieli, pamiętał prawie wszystkich kolegów. Z wieloma utrzymywał ścisły kontakt.

W kilka tygodni po uzyskaniu matury zdawał egzamin wstępny na wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Gdy został przyjęty na studia, aby na pewien czas oddalić się od przykłej domowej atmosfery, jaka zapanowała po wystąpieniu pani Julii w parku „Sokoła”, zdecydował się na wcześniejsze odbycie służby wojskowej. Po roku miał rozpocząć studia medyczne. Zapamiętałem dobrze datę 19 września 1934 roku. W rok później tego samego dnia i ja wyruszałem do odbycia rocznej służby na Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy. On odjeżdżał do 77 pp w Lidzie, a ja do 13 pp w Pułtusk.

Tamtego dnia po południu przyszedłem z nim na Dworzec Wileński skąd odjeżdżał pociąg do Wilna. Tam miał Witek przesiadać się do pociągu do Lidy. Razem z nim odjeżdżało kilkudziesięciu młodych ludzi – poborowych. W tym dniu kończył się dla Witka pewien ważny okres w życiu. Rozpoczął roczną służbę wojskową w Dywizyjnym Kursie Podchorążych.

Zachowałem list, jaki przysłał mi Witek z Lidy w dniu 29 maja 1935 r. W liście prosi mnie o przesłanie adresu naszego wspólnego przyjaciela – Mietka Kruszewskiego. Pyta o pruszkowskie wydarzenia i wylicza, ile dni pozostało do końca jego służby wojskowej. Jest to taki typowy list, jaki w tamtych latach wysyłał ktoś odbywający służbę wojskową do przyjaciela w rodzinnym mieście. Z tygodniowego urlopu, jaki spędził Witek w Pruszkowie w końcu czerwca 1935 roku, zapamiętałem wspólną wyprawę do Pęcic. Koniec czerwca i początek lipca był wyjątkowo upalny. Stałe miejsce naszych kąpiei, komorowskie glinianki, były wyjątkowo zatłoczone. Tłum dzieciaków bawiących się przy brzegu na płytkiej wodzie, spowodował jej zmętnienie w całym stawie. Na wysokim brzegu, na rozległej łące, nie było wolnego miejsca. Rozkładano koc przy kocu. Pełno było dzieciaków, hałaśliwych i rozbieganych. W poszukiwaniu miejsca do opalania i do kąpiei powędrowaliśmy w kierunku Utraty, gdzie w pobliżu torów kolejki EKD leżało kilka stawów rybnych, należących do majątku Pęcice. Pierwszy, największy staw, nazywany był Capri. Kapaliśmy się w nim poprzednio, podczas tłoku na gliniankach. W tym roku staw wyjątkowo był pilnowany przez dwóch rośliwych, silnych robotników folwarcznych, zabraniających kąpiei. Widocznie nadmiar amatorów chłodnej wody w pełnym karpi i szczupaków stawie zmusił właścicieli Pęcic do wydania takiego zakazu. Tabliczki z napisami zabraniającymi kąpiei stały tu od dawna. Teraz usłyszeliśmy: „Pan Marylski nas tu postawił, abyśmy nikomu nie dali się kąpać!” Trochę z przekory, trochę z ciekawości, postanowiliśmy udać się do dworu w Pęcicach, poprosić pana Marylskiego, aby na czas takich upałów cofnął zakaz kąpiei. Wiedzieliśmy, że właściciel Pęcic, pan Antoni Marylski był przyzwoitym człowiekiem. Chwalili go zatrudnieni w majątku ludzie.

Poszliśmy we trzech Witek, przebywający na urlopie po ukończeniu kursu, Mietek Kruszewski, który na taką okazję założył zieloną czapkę z SGH oraz ja, szykujący się do odbycia rocznej służby wojskowej w podchorążówce. Do dworu w Pęcicach poszliśmy dróżką nad Utratą. Przed zabudowaniami gospodarczymi kręcili się robotnicy, ale przed pałacem nie było nikogo. Gdy głośno rozmawiając weszliśmy na schody, w drzwiach ukazał się starszy człowiek w liberii. Zapytał, w jakiej sprawie przychodzimy. Mietek, najwyższy z nas, zapytał czy moglibyśmy widzieć się z panem Marylskim. Z panem Antonim Marylskim. Usłyszeliśmy odpowiedź: „Pana Antoniego nie ma – jest tylko pan Wojciech!”. Na te słowa ukazał się w drzwiach młody opalony mężczyzna, w zielonkawej koszuli z krótkimi rękawami, w spodniach do konnej jazdy i wysokich butach. Wcześniej, idąc nad Utratą, opowiadałem kolegom o artykułach i reportażach z polowań w Afryce, jakie zamieszczał w tygodniku „Świat” Wojciech Marylski. Teraz oto, niespodziewanie, autora i zarazem bohatera tych opowiadań mieliśmy przed sobą. Przy każdym reportażu umieszczonym w tygodniku „Świat” było jego zdjęcie. Był tak samo ubrany, tylko na zdjęciu trzymał w ręku karabin, a na piersiach miał lornetkę. Czytując te reportaże nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę mógł stanąć oko w oko z bohaterem tych bardzo ciekawych opowieści, bohaterem afrykańskich przygód. Zapytał, czemu ma zawdzięczać naszą wizytę. Poznawszy przyczyny naszej obecności w Pęcicach spytał, kim jesteśmy, jakie są nasze zawody, Mietek powiedział, że jest studentem SGH, Witek mówił o swoich studiach medycznych i o podchorążówce, a ja przedstawiłem się jako chemik, oczekujący na powołanie do służby wojskowej w Szkole Podchorążych. Wysłuchawszy opowieści Mietka o naszych trudnościach z kąpieliskami, spytał Witka o jego

obcy akcent. Wybierał się do Pruszkowa, aby na pocztę odebrać korespondencję. Gdy przyprowadzono osiodłanego konia, wziął lejce i wyruszyliśmy drogą nad Utratą. Przodem szedł pan Wojciech, prowadząc konia i rozmawiając z Witkiem o różnicach w wymowie angielskiej i amerykańskiej oraz o dialekcie Irlandczyków. Musiało być w tym coś zabawnego, gdyż obydwaj zaśmiewali się. Rozmawiali po angielsku. Gdy doszliśmy do stawu „Capri”, pan Wojciech, pokazując na nas, powiedział strażnikom: „Ci panowie mogą się kąpać!”.

Wsiadając na konia, przyjaznym tonem zaprosił nas do Pęcic na niedzielne popołudnie, gdy będzie dla zaprzyjaźnionych osób służyła opowieść o afrykańskich przygodach. Nie wiem, dlaczego nie skorzystaliśmy wtedy z tego zaproszenia. Widocznie Witkowi kończył się krótki urlop, a ja wybierałem się z kolegami na kilkutygodniowy biwak do lasu na Dębak.

Niewiele później, już we wrześniu 1935 roku, nasza sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Ja od 20 września rozpoczynałem roczną służbę wojskową w 4 Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy w Pułtusku, natomiast Witek wyjechał z Lidy i rozpoczął studia na wydziale lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie nadchodzących dwunastu miesięcy spotykałem się z Witkiem tylko podczas świątecznych urlopów. We wrześniu 1936 roku, gdy ja kończyłem służbę wojskową i kochałem się w Heli Hartwig, pewnej niedzieli Witek przedstawił mi swoją miłość – Bobcię B., maturzystkę w jednym z warszawskich gimnazjum. Ładna, dużo niższa od Witka blondynka, mieszkała z rodzicami i ze starszą siostrą w pobliżu pruszkowskiego kościoła.

Zapamiętałem, że przyjemnie się z nią rozmawiało. Na początku 1937, gdy rozpocząłem pracę w warszawskiej fabryce „F. Karpiński”, widywałem się z Witkiem w niedzielę. Dowiedziałem się, że zaczął bywać w domu Bobci, poznał jej rodziców, ojca – nauczyciela gimnazjalnego i siostrę – studentkę, narzeczoną znanego sportowca, Staszka Zrałka – kończącego wydział budownictwa na Politechnice Warszawskiej. Nie spodziewaliśmy się, że rok 1937 będzie rokiem kończącym nasze zabiegi i starania miłosne. Bobcia zaprosiła Witka na swój bal maturalny. Pomagałem mu w kupnie odpowiedniej koszuli oraz modnego krawata. W przeddzień balu dziewczyna zawiadomiła go, że źle się czuje i zamiast iść na bal musi leżeć w łóżku. Dla Witka był to duży zawód. Jednak już w poniedziałek dowiedział się, że Bobcia była na balu z jakimś podchorążym, kończącym Szkołę Podchorążych Saperów. Ta zaskakująca wiadomość oburzyła Witka do tego stopnia, że gdy trzeciego dnia po balu, we wtorek rano, na peronie dworcowym panna podeszła z uśmiechem do niego, stracił panowanie nad sobą i nie zważając na wyciągniętą do przywitania rękę, wymierzył jej policzek. Po czym bez słowa odszedł w drugą stronę, w kierunku nadjeżdżającego pociągu. Zaskoczona i przerażona Bobcia, zalewając się łzami, wybiegła do poczekalni, kierując się na placyk przed dworcem. Witek, mimo różnych starań i usilnych zabiegów nie spotkał się już z nią, nie chciał wysłuchać jej usprawiedliwień i tłumaczeń. Po wielu latach, było to już po śmierci Witka, Andrzej Will spotkał na wrocławskim rynku postarzałą i zmienioną przez minione lata Bobcię. Nie poznał jej. Widocznie mało się zmienił, gdyż on od razu został rozpoznany. Wyglądał jak przed wojną, wysoki i szczupły. W kawiarni, przy czarnej kawie, Bobcia mówiła o swojej wielkiej miłości do Witka, nazywając go jedynym prawdziwym mężczyzną jakiego

spotkała w życiu. Bardzo żałowała swego postępku, jednak nie umiała lub może nie chciała wytłumaczyć, dlaczego nie poszła z Witkiem na ten maturalny bal, choć dobrze wiedziała o jego przygotowaniach na tę uroczystość, gdzie miał wystąpić jako jej narzeczony. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego na bal poszła z podchorążym, którego nazwiska już nie pamięta, a mówi, że bardzo kochała Witka i nawet teraz, po wielu latach, bardzo go kocha.

Rok 1937 był dla nas obu, dla Witka i dla mnie, rokiem nieszczęśliwych miłości. Ja rozstałem się z moją miłością – już narzeczoną – Helą. Tłem, zamiast balu maturalnego, była oficerska promocja w Szkole Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Sprawca naszego rozstania, mój przyjaciel Józef Kuliński, zginął podczas Bitwy o Anglię, ale już wcześniej, wiosną 1939 roku, rozstał się z Helą.

Ale to już jest zupełnie inna historia.

Jesienią 1938 roku Witek poznał Jadzię z ulicy Cichej. O tym, że Witka miłość jest krawcową i o tym gdzie mieszka, dowiedzieliśmy się od naszego wspólnego przyjaciela, Władka Raczyńskiego. Ten z kolei, po ukończeniu Szkoły Poligraficznej i po odbyciu służby wojskowej, a także po zdobyciu pracy w jakiejś wojskowej drukarni, nawiązał swój życiowy romans z mieszkającą również przy ulicy Cichej Irką Krupińską.

Pewnej niedzieli, wiosną 1939 roku, spotkałem na ulicy Kościuszki przed parkiem „Sokoła” Witka spacerującego z Jadwigą. Zaprosili mnie na wspólny spacer do Komorowa. Było słoneczne, ciepłe popołudnie. Gdy szliśmy skrajem lasu, w kierunku majątku Komorów, Witek opowiadał o naszej młodości i o tym, jak razem z Andrzejem Willem jego „długawicą” łapali węgorze na Utracie, pod lasem helenowskim. Złowione ryby smażyliśmy potem na patelni

przyniesionej przez „Hrabiego” – Jurka Goldsztajna. Doszliśmy tylko do figury Matki Boskiej. Do Pruszkowa wracaliśmy „żeberkami” – bocznica kolejową, łączącą stację PKP z przystankiem w Komorowie. Zrobiłem im wtedy pamiątkowe zdjęcie. Witek mówił, że otrzymał propozycję wakacyjnej pracy w Bezmiechowej, w Ośrodku Szkolenia Lotów Szybowcowych. Jadzia martwiła się odległością od naszego miasta i trudnościami dojazdowymi. Obiecywała, że odwiedzi go na dłużej. Nie wiem czy do tego doszło, czy była w tej szkole szybowcowej. W ostatnich dniach sierpnia Witek wrócił do Pruszkowa. Nie było już czasu na wakacyjne opowieści.



Rok 1938 – Witek Pakulski na jesiennym spacerze z Jadzią.

W dniu 5 września ogłoszono mobilizację rezerwistów, których karty mobilizacyjne były przekreślone czerwonym pasem. Witek wraz z kilkoma kolegami, nowo mianowanymi podporucznikami, odjechał do Skierniewic, a ja wyruszyłem do Białej Podlaskiej. Witek po przybyciu do 18 pp został skierowany w rejon Rawy Mazowieckiej, do jednego z pułków wchodzących w skład tworzonej w pośpiechu Armii „Prusy”. Nie udało się powstrzymać uderzenia

Niemców na Warszawę, ani skupionej nad granicą Armii „Łódź”, ani Armii „Prusy” zbyt późno zmobilizowanej. Batalion i kompania, w skład której wchodził pluton dowodzony przez Witka, uległy rozproszeniu zanim zdążyły zająć wyznaczone pozycje. Witek powrócił do Pruszkowa, w ubraniu cywilnym, pożyczonym od kolegi z rozbitego oddziału. Niemcy już ósmego dnia wojny osiągnęli granicę polskiej stolicy. W Pruszkowie kwaterowały oddziały niemieckie. Pod koniec października, gdy powróciłem z wojennej tułaczki, prawie każdego dnia odwiedzał mnie Witek i inni koledzy.



Witek i ja – wiosna 1939 r.

Kłęska wrześniowa dotknęła nas wszystkich. Załamały się wszystkie nasze plany i zamierzenia. Trzeba było od nowa układać swoje życie. Pod koniec listopada 1939 roku, pewnej soboty przed wieczorem przyszedł do mnie Witek z zaskakującą wiadomością. Tego dnia o godz. 18.00

w żbikowskim kościele odbędzie się ślub Jadwigi, ostatniej jego miłości. Od czasu mego powrotu z tułaczki nie rozmawiałem z Witkiem o niej. A wtedy, ku memu zaskoczeniu, Witek przyszedł z prośbą, abym towarzyszył mu podczas tej kościelnej uroczystości. Nie mogłem odmówić, choć nie wiedziałem jak zachowa się w kościele. Był lekki mróz. Na ulicach było dość ślisko. Obydwaj mieliśmy wojskowe buty, podkute wieloma gwoździami. Do kościoła weszliśmy punktualnie o godz. 18.00. We wnętrzu panował półmrok, tylko ołtarz był oświetlony, widać było księdza i klęczącą przed nim parę nowożeńców. W mroku kościoła kilkanaście osób obserwujących uroczystość. Weszliśmy bocznym wejściem. Stukot naszych butów zakłócił uroczystość. Głowy młodej pary, a także zebranych w pobliżu ołtarza członków rodziny lub znajomych, odwróciły się w naszą stronę. Zatrzymaliśmy się przy pierwszych ławkach, stojących we wnętrzu głównej nawy. Po chwili wszystkie głowy zwróciły się w kierunku ołtarza, ksiądz zaczął mówić coś do nowożeńców. Wyszliśmy z kościoła przed końcem ślubowania. Nie zamieniliśmy ani jednego słowa na temat Jadwigi. Odprowadziłem Witka aż do furtki jego domu. Pokonując dość długą drogę, trzymałem go pod rękę. Może dla bezpieczeństwa, a może aby dodać mu otuchy... Mówiliśmy o ostatnich wiadomościach usłyszanych w radio angielskim i francuskim. Snuliśmy plany na temat dalszych wydarzeń wojennych. Dopiero przy furcie, przy pożegnaniu, usłyszałem od Witka: „Oto widziałeś jak kończą się wielkie uczucia. Życie jest silniejsze od naszych planów i marzeń!”.

O jego uczuciach do Jadzi nigdy z nim nie rozmawiałem, choć dziwiłem się w skrytości, że wybrał dla nich taki obiekt. Jadzia była miłą dziewczyną z dużym poczuciem humoru, ale rozmowy z nią nigdy nie wybiegały poza poziom czytawanego przez nią „Ekspresu Wieczornego”,

obyczajów polskich aktorek i aktorów, treści filmów oraz sensacji towarzyskich.

Dziwiłem się wtedy Witkowi, że dokonał takiego wyboru; sądziłem, że zrobił to na złość swojej matce, pani Julii, której nie mógł wybaczyć awantury z Alą. Przez następne lata nie wspominaliśmy tych wydarzeń, a nawet nigdy nie rozmawialiśmy o Jadzi.

Niespodziewanie, po kilkudziesięciu latach, znowu zobaczyłem Jadzię. Witek już nie żył od kilku lat. Byłem wtedy z Ziną w Teatrze Narodowym. Nie pamiętam już na jakiej sztuce. Mieliśmy miejsca na pierwszym balkonie. Podczas przerwy rozmawiała z jakąś swoją znajomą, a ja spacerowałem po szerokim foyer tego piętra. Wtedy podeszła do mnie nieduża, pulchna bileterka, w służbowym brązowym uniformie. Niespodziewanie usłyszałem znajomy głos: „Kogo ja widzę? Pan Henryk nas odwiedził!” Głos wydawał się znajomy, uśmiech na twarzy kogoś mi przypominał, ale w pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Usłyszałem wtedy: „Jak to, Jadwigi pan nie poznaje?” Milczałem, a ona zaczęła opowiadać, jak to po śmierci męża wyciągnęła, gdzieś ukrytą, fotografię z Witkiem na „żeberkach”. Zrobiła duże powiększenie. Wisi nad jej łóżkiem, oprawiona w piękne ramki. Dwoje dorosłych dzieci „poszło w świat”, została sama. Jest emerytką. Tylko z nudów podjęła się tej pracy. Po przywitaniu zaprosiła mnie do wolnej tego dnia głównej łoży. Rozsiedliśmy się w wygodnych fotelach, niedaleko szeroko otwartych drzwi wejściowych. Przyglądałem się dokładnie jej zadbanej twarzy i tegiej postaci. To była ta sama Jadzia, tylko postarzała i pogrubiała. Siwe włosy były już zupełnie inaczej uczesane. Tylko uśmiech pozostał ten sam. Jednak jasnobrązowy mundur bileterki zmienił jej wygląd. O śmierci Witka dowiedziała

się z gazetowego nekrologu, który zachowała na pamiątkę. Wiedziała o rozwodzie z Wandą, pytała o Ewę i Małgosię. Wspominała swego zmarłego męża i dzieci. Zaczęła pracować w teatrze, gdyż wieczorami nie może wytrzymać samotności. Potem mówiła mi, że kochała Witka, jednak zdawała sobie sprawę, że nie będzie dla niego odpowiednią żoną, że nigdy nie uda się przekroczyć przepaści jaka dzieli jej środowisko od środowiska, w którym żył Witek. Kiedy usłyszeliśmy drugi dzwonek, powiedziała mi szeptem, że nigdy nie przestała kochać Witka. Podała rękę na pożegnanie i zapraszała na spotkanie, jeśli będę ponownie w Teatrze Narodowym. Nigdy więcej nie spotkałem Jadzi, nie byłem nigdy, po tej rozmowie, w Teatrze Narodowym.

Na początku 1940 roku Andrzej Will z powrócił lubelskiego Komarowa, gdzie ozdabiał freskami parafialny kościół. Tak się złożyło, że jednego dnia przyszli do mnie: Witek, Andrzej oraz Janek Drzewiecki. Gdy zakończyło się narzekanie na trudne warunki życia, zapragnęli mieć wspólną fotografię. Na głowy założyli małe poduszki, leżące na moim tapczanie i udawali napoleońskich gwardzistów.

Janek rozpoczął pracę w Fabryce Mechaników, która teraz miała się nazywać: „Waverma” – *Warschauer Vereinigte Fabrik Maschinen*, gdyż nowa niemiecka dyrekcja obejmowała fabrykę. Natomiast Andrzej i Witek postanowili rozpocząć pracę w Warsztatach Kolejowych, nazywających się teraz OAW – *Ostbahnausbesserungswerke* – „Warsztaty Naprawcze Niemieckich Kolei Wschodnich”. Andrzej rozpoczął malowanie napisów na wyremontowanych wagonach, a Witek został brygadzystą w polskiej firmie budowlanej prowadzącej różne roboty na terenie warsztatów. Mieli pracę lekką, ale i zarobek był niewielki. Liczył się, zapewniający bezpieczeństwo podczas ulicznych łapanek

– *ausweiss* oraz skromny miesięczny deputat żywnościowy z setką papierosów „Junak” i butelką wódki.

Po kilku miesiącach obaj zmienili miejsca pracy. Witek rozpoczął pracę w szpitalu na Wrzesinie, natomiast Andrzej został kreślarzem w biurze konstrukcyjnym Fabryki „Waverma”. Wynagrodzenia, jak poprzednio, były bardzo niskie, natomiast poprawiły się warunki pracy. Witek pełnił obowiązki pomocnika lekarza, natomiast Andrzej siedział za stołem kreślarskim i udawał, że pracuje. Pewnego dnia, ku mojemu zaskoczeniu, dowiedziałem się od Witka, że ma zamiar poślubić Wandę Rudnicką, pracującą razem z nim w szpitalu, niedyplomowaną pielęgniarkę. W okresie międzywojennym do szkoły pielęgniarek dostawały się dziewczęta z maturą licealną. Wanda ukończyła jakiś kurs położnych, była więc „pielęgniarką niedyplomowaną”, co w tragicznych warunkach wojny i okupacji przyjęto jako rzecz normalną. Witek poprosił mnie, abym był świadkiem na jego ślubie. Jeśli miałem jakieś zastrzeżenia co do tego ślubu, to były one spowodowane panującym wtedy naprawdę ciężkimi warunkami materialnymi, a nie dotyczyły one panny młodej, której w ogóle nie znałem. Podobne zastrzeżenia miałem do ślubu Andrzeja z Krysią Trapszo-Kwinto, a także do projektu małżeństwa Staszka Kowalczyka z Anią Głowacką. Trzem moim przyjaciółom mówiłem to samo: „Zastanówcie się, z czego będziecie żyli?”

Moje zastrzeżenia nie odnosiły skutku. Ślub Witka z Wandą Rudnicką odbył się w dniu 30 kwietnia 1941 roku, w kościele ewangelicko-augsburskim przy Placu Małachowskiego w Warszawie, o godz. 17.00. Nie pamiętam już dlaczego nie byłem na tej uroczystości. W przeddzień, w parafii tego Kościoła podpisywałem akt ślubu. Nie pamiętam także kto był drugim świadkiem. Kolega Witka z gimnazjum Reja – Stasiak, czy Tadek Kiliś.

Na skromnym przyjęciu weselnym, w domu panny młodej, przy ul. Komorowskiej nr 47, też nie byłem. Byłem natomiast na podobnym przyjęciu weselnym u rodziców Witka. W mieszkaniu Pakulskich była wtedy pani Julia i pan Ludwik, para młodych, Ludwika Kilisiowa i jej mąż – Tadeusz. On był urzędnikiem skarbowym, a ona przed wojną sekretarką profesora na wydziale lekarskim UW. Jej brat, lotnik, walczył w tym czasie w polskich dywizjonach w Anglii. Po przyjęciu, gdy wszyscy wyszli na podwórkę, zrobiłem kilka zdjęć. Tadeusza zapamiętałem jako dowcipnego rozmówcę, który zawsze rozveselał całe towarzystwo. Znał wielką ilość dowcipów i chętnie je opowiadał. W czasach PRL ten jego talent opowiadania dowcipów doprowadził go do więzienia. Był wtedy zastępcą naczelnika Urzędu Skarbowego w Warszawie przy ul. Żurawiej. Na imieninach u naczelnika jak zwykle bawił zebranych aktualnymi dowcipami. Goście bawili się wspaniale. Niestety! Następnego dnia został aresztowany. Ktoś z obecnych na tym przyjęciu doniósł do UB o tych, publicznie głoszonych, antyrządowych dowcipach. Aresztowano go w Urzędzie Skarbowym, podczas pracy. Po krótkiej rozprawie, z odczytaniem zeznań jednego z obecnych na uroczystościach imieninowych, bez ujawnienia osoby oskarżającej, skazano Tadeusza na rok więzienia. Po aresztowaniu osadzono w siedzicie UB przy Koszykowej. W pokoju przy jednym stole siedział sędzia, przy drugim prokurator. Oskarżony stał. Prokurator odczytał zeznanie świadka, którym na pewno był jeden z uczestników uroczystości imieninowej. Sędzia zapytał, czy przyznaje się do winy. Tadeusz stwierdził, że przyznaje się do opowiadania tych dowcipów, lecz do żadnej winy nie przyznaje się. Sędzia coś pisał na arkuszu papieru i odczytał napisany przed chwilą wyrok. Rok więzienia za publiczne ośmieszanie najwyższych czynników

państwa. Został odwieziony do więzienia na Mokotowie. Po dziewięciu miesiącach, na skutek starań żony, został przedterminowo zwolniony. Utracił pracę. Na szczęście żona od kilku lat prowadziła kolekturę Loterii Państwowej w lokalu sklepowym przy ul. Targowej. Tadeusz zajął się pomaganiem pani Ludwice w prowadzeniu kolektury. Był obecny przy każdym losowaniu. Klientom rozwoził wygraną sumę.



Goście weselni po ślubie z Wandą.

Na zachowanym przeze mnie zdjęciu dowcipny Tadeusz dyryguje rodzinnym chórem. Laska, którą trzyma, przypomina o jego chorobie – gruźlicy kości. Widoczni na zdjęciu rodzice Witka podzielali moje zastrzeżenia na temat niekorzystnych warunków materialnych, w których przyjdzie żyć młodej parze. Do swojej dyspozycji Witek dostał jeden pokój, przejściowy. Pan Ludwik miał także zastrzeżenia do wyznania Wandy, marzył o synowej ewangeliczce. Jednak gdy urodziła się Ewa, rodzice Witka otoczyli ją czułą opieką, zapominając o wyznaniu.

W roku 1942 Witek zmienił pracę. Został przyjęty do Ośrodka Zdrowia w Piastowie, gdzie miał pomagać kierownikowi Ośrodka, doktorowi Makowskiemu. Przypadek sprawił, że w pociagu spotkałem dawną znajomą – Anielę Zabłocką, koleżankę z Lublina i z Warszawskiej Szkoły Pielęgniarek mojej dawnej przyjaciółki, Heli Hartwig. Obie zdawały w roku 1935 na Wydział Lekarski UW i gdy nie zostały przyjęte na studia, zdecydowały się na naukę w szkole pielęgniarek. Po ukończeniu szkoły Aniela rozpoczęła pracę w piastowskim Ośrodku Zdrowia. To dzięki niej Witek otrzymał nową, lepiej płatną pracę, a niedługo później został referentem do spraw sanitarnych w Urzędzie Gminnym w Piastowie. Pod koniec 1942 roku w małżeństwie Andrzeja Willa zaczęło się coś psuć i Andrzej wyprowadził się z mieszkania matki jego żony – Krysi, zostawiając ją z młodziutkim synkiem – Andrzejem. W jego dawnym mieszkaniu, przy ul. Stalowej nr 2, jego pokój zajęła siostra Hania z nowo poślubionym mężem – Jackiem Kisielnickim. Andrzej stał się sąsiadem Witka. W domu Plisa, na wprost domu Pakulskich, wynajął mały pokój na strychu. Ustawił przenośny piecyk, tzw. „kozę”, pomalował sufit oraz ściany i prymitywne pomieszczenie stało się przytulną „kawalerką”. Umeblowanie stanowiło składane łóżko polowe, niewielki stolik, kilka starych krzeseł i wieszak przybity do wejściowych drzwi. Na podłodze, w pobliżu ściany, wymalował Andrzej banknot stużłotowy. To był prawdziwy „majstersztyk”, tak dokładnie wypracowany, że prawie każdy gość schylał się, aby podnieść banknot z podłogi. Witek był najbliższym sąsiadem Andrzeja. Wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy Parkowej. Gościł tam często. Przychodzili tu przyjaciele, koledzy i znajomi, zachęceni atmosferą panującą na strychu. Ja spędzałem tu niedzielne wieczory. Natomiast w soboty bywałem – niekiedy z Andrzejem lub

ze Staszkiem – w Warszawie, u Marianny Pruszkowskiej. U Andrzeja powstał tomik poezji Staszka „Osty kwitnące”. Zespołowo dobieraliśmy wiersze, a także rysunki Andrzeja. Po ukazaniu się tego tomiku tam również narodził się pomysł wydania „Kieszonkowego Kalendarza Kieszonkowca” na rok 1944. Witek był autorem kilku zamieszczonych w nim powiedzonek. Zapamiętałem jedno: „Nie bierz wszystkiego, zostaw dla drugiego”. O udziale Witka w tworzeniu „Kalendarza” może świadczyć też umieszczona na końcu reklama: „Przy zaparciach, to rzecz brzydka, bierz 5 złotych i pędź do Witka!”. Ktoregoś wieczoru, pod koniec 1943 roku, Witek sprowadził do Andrzeja starszą kobietę, sprzątaczkę z piastowskiego Ośrodka Zdrowia. Przed wojną mieszkała na Kresach Wschodnich, w pobliżu Bugu, pochodziła z zamożnej ziemiańskiej rodziny. Pewnego dnia rankiem pojechała furmanką do pobliskiego Kowla. Gdy wróciła, dwór był splądrowany, a mąż z dwoma synami i z córką zostali wywiezieni na Sybir czy do Kazachstanu. Nocą przepłynęła się przez Bug i dotarła aż do Piastowa, gdzie została sprzątaczką w Ośrodku Zdrowia. Miała tu swój pokój. Witka zadziwiła jej zdolność przewidywania śmierci niektórych pacjentów ośrodka. „Tego nie warto leczyć! On i tak niedługo umrze!” – wieszczyła. W ośrodku dorabiała wróżąc z kart. Witek twierdził, że to kobieta jasnowidząca. Na górze u Andrzeja stawiała nam karty. Te wróżby nie były pomyślne. Nikt z nas nie miał przed sobą jasnej przyszłości. Andrzeja czekała „daleka droga”, krzywiła się na nasze małżeństwa. Staszce nie chciała postawić kart. „To niejasna przyszłość” – mówiła. Następnego dnia, już w ośrodku zdrowia, powiedziała Witkowi, że Staszek niedługo zginie. Witek powiedział nam o tym, zastrzegając aby Staszek się nie dowiedział.

Na razie zastanawialiśmy się nad wydaniem drugiego tomiku wierszy Staszka. Wybuch Powstania zmienił nasze życie. Przepowiednie „jasnowidzącej kobiety” zaczęły się sprawdzać. Jak grom z jasnego nieba spadła na nas wiadomość o tragicznej śmierci Staszka. Witek, jako pracownik od spraw sanitarnych gminy w Piastowie, pojechał z matką Staszka po jego ciało, do Kań pod Otrębusami. Trumnę przewieźli do pruszkowskiego kościoła. Została na noc zamknięta przy zachodnim wejściu. Następnego dnia odbyło się nabożeństwo, a później pogrzeb na pruszkowskim cmentarzu. Spoczął obok Ani, swojej żony, oraz obok córki Ewuni. W Pruszkowie tego dnia trwała łapanka. Niemcy otoczyli całe miasto i przeszukiwali dom po domu. Pogrzeb odbywał się późnym popołudniem. W kościele nie byłem. Na cmentarzu był Witek i Andrzej. We trzech staliśmy bez słowa nad grobem. To była tragiczna chwila. Nie mogliśmy się pogodzić ze śmiercią Staszka. W kilkanaście dni później wyciągnięto wczesnym rankiem Andrzeja z jego strychu. Musiał jechać do Wrocławia, razem z ewakuowaną fabryką „Waverma”. Do Pruszkowa już nie powrócił. Zamieszkał we Wrocławiu.

Karty rozkładane przez „jasnowidzącą” kobietę przed Witkiem, nie wróżyły niczego dobrego. Widziała jakieś kłopoty w jego małżeństwie. I tak też się stało. Już pod koniec 1944 roku zaczęło się coś psuć w jego związku. W połowie 1945 roku Wanda wyprowadziła się z domu Pakulskich do swoich rodziców, mieszkających przy ul. Komorowskiej. W tym czasie odbywałem służbę wojskową w LWP. Moja żona na początku czerwca 1945 roku urodziła synów, bliźnięta czuły się dobrze, ale żona zaczęła chorować.

Dopiero po wielu latach dowiedziałem się od pana Ludwika, ojca Witka, o prawdziwych przyczynach rozpadu tego małżeństwa. Ktoś „uczynny”, jakaś pracownica szpi-

tala na Wrzesinie, zawiadomiła pana Ludwika, że jego synowa Wanda zdradza męża z doktorem Gawlikowskim, ordynatorem szpitala. Mieli spotykać się każdego dnia podczas przerwy obiadowej. Wychodzili osobno, szli drogą w kierunku Pęcic i skręcali do kępy krzaków rosnących pośród łąnów zboża. Pan Ludwik, początkowo nie dowierzając tym informacjom, ukrył się w zbożu w pobliżu gęstych krzewów. Zaskoczył parę kochanków podczas „stosunku erotycznego”, jak mówił później podczas rozprawy rozwodowej, na której byłem jako świadek. Po południu, gdy Witek nie przyjechał jeszcze z Piastowa, Wanda bez słowa zabrała sukienki, bieliznę i drobne przedmioty oraz pozostały swój dobytek i bez pożegnania opuściła mieszkanie Pakulskich z walizką w ręku.

W roku 1946 udało mi się zwolnić z wojska. Zdemobilizowano także mego przyjaciela Alego Morawskiego. Pod koniec tego roku, obserwując odbudowę Warszawy, postanowiliśmy pomóc naszym żonom w realizacji ich marzeń o sklepie z wyrobami dla małych dzieci. Podczas jednej z wędrówek po zburzonej Warszawie wynalazły szybko odbudowujący się dom, w którym były wypalone sklepy. Okazały budynek na rogu ulic Jasnej i Sienkiewicza miał już wielu lokatorów. Wybrany przez nasze żony sklep znajdował się na wprost bocznego wejścia do odbudowującej się Filharmonii. Wydzierżawiliśmy lokal na ul. Jasnej nr 10 od właściciela domu, w Wydziale Budownictwa Dzielnicowej Rady Narodowej uzyskaliśmy zgodę na odbudowę, a w Wydziale Handlu uzyskaliśmy zezwolenie na otwarcie wymarzonego przedsiębiorstwa handlowego. Gdy lokal był już gotowy do otwarcia w nim sklepu, żona się rozchorowała. Musieliśmy zmienić plany. Ali chciał tu otworzyć intrologatorię, a ja miałem zamiar produkować skale radiowe.

Nasza wiara w zapewnienia Hilarego Minca o trzech sektorach pracujących dla Polski Ludowej okazała się naiwnością, gdyż po kilku latach przystąpiono do likwidacji tzw. „sektora prywatnego”. Zagrożeni wielkimi domiarami szybko staliśmy się Spółdzielnią Pracy „Sławia”. Niedługo później zabrano nam lokal sklepowy. W tym czasie do kłopotów domowych Witka dołączył zatarg z wójtem gminy Piastów. Witek, jako referent sanitarny, zajmował się m.in. wypożyczaniem trumny na uroczystość pogrzebową. Była to trumna specjalnej konstrukcji, w której odsuwano jedną część tak, aby można było wysunąć do wykopanego grobu ciało nieboszczyka a trumnę zabrać do magazynu, gdzie oczekiwała następnego pogrzebu niezamożnego mieszkańca Piastowa. Podczas jednego z pogrzebów rodzina zmarłego pogrzebała nieboszczyka razem z trumną stanowiącą własność gminy. Obecny na tym pogrzebie Witek nie miał możliwości przeciwdziałać temu, jednak wójt gminy obciążył go kosztami wyprodukowania drugiej takiej trumny. W tamtym okresie koszt tego był wyższy od trzymiesięcznego wynagrodzenia Witka. W tym czasie zorganizowana przez nas Spółdzielnia planowała zatrudnić zaopatrzeniowca, pracownika, który będzie się zajmował zakupem w centralach handlowych lub w sklepach prywatnych surowców potrzebnych do produkcji. Jako kierownik techniczny uzgodniłem tę sprawę z kierownikiem handlowym Spółdzielni, Alim Morawskim i zaproponowaliśmy Witkowi pracę zaopatrzeniowca.

Zgodził się, podpisał deklarację i wyruszył w poszukiwaniu tektury, kartonów, papieru oraz innych artykułów. Zarabiał znacznie więcej niż w gminie Piastów, a ponadto ten rodzaj pracy umożliwiał mu kontynuowanie studiów medycznych, gdyż szukał potrzebnych nam materiałów w godzinach, kiedy nie miał wykładów lub zajęć labora-

toryjnych. Po kilkunastu miesiącach, gdy był na ostatnim roku studiów, dostał pracę w ambasadzie amerykańskiej. Na pewno pomogła mu dobra znajomość języka angielskiego, a w tamtym okresie trudno było znaleźć lekarza znającego dobrze ten język. Jedyńm minusem było to, że praca w ambasadzie pociągnęła za sobą nadmierne zainteresowanie ze strony Urzędu Bezpieczeństwa.

Praca Witka polegała na badaniu stanu zdrowia ludzi ubiegających się o wyjazd do USA. Ludzie chorzy wizy nie otrzymywali. Witek pełnił obowiązki lekarza – konsultanta przy wydziale konsularnym ambasady USA w Warszawie. Pracy miał dużo, jednak udało się tak wszystko ułożyć, że mógł uczęszczać na wykłady i brać udział w ćwiczeniach. Wynagrodzenie otrzymywał dobre, a ponadto mógł korzystać z kantyny, w której sprzedawano amerykańskie towary po bardzo niskich cenach. Można tam było kupować przeróżne artykuły, często niedostępne na krajowym rynku. Dzięki Witkowi chodziłem w nieprzemakalnym płaszczu koloru zielonkawego, a także kapeluszu „Stetson”, takim, jakie widzieliśmy w amerykańskich filmach. Na pewno wyglądałem dość egzotycznie na tle skromnie ubranych ludzi spotykanych na ulicach odbudowywanej Warszawy.

Do pracy w Warszawie jeździłem wtedy kolejką EKD nazwaną później WKD. Na przystanku w Tworkach wsiadałem do przedniego pomostu w drugim wagonie. Jechał tam Witek w towarzystwie ładnej dziewczyny. Miała na imię Mira i pracowała w jakimś banku na ul. Nowogrodzkiej. Nigdy nie pytałem o jej nazwisko. W naszych „kolejkowych” rozmowach wystarczyło mi jej imię. Rozstawaliśmy się na przystanku przy ul. Nowogrodzkiej. Rozchodziliśmy się w różne strony. Podczas jazdy kolejką Witek opowiadał nam ciekawostki z ambasady lub z uczelni. Mira mówiła o

bankowych klientach. Była inteligentną, miłą towarzyszką podróży o miłym uśmiechu, podczas którego pokazywała komplet naprawdę ładnych zębów. Te nasze wspólne podróże trwały przez wiele miesięcy, aż do czasu przeniesienia Spółdzielni „Sławia” do Pruszkowa. Nie pamiętam już daty procesu rozwodowego Witka z Wandą. Drugim świadkiem była dr Izabela Wolframówna. Wanda miała jakiegoś obrońcę. Witek był z rodzicami. Stałem z panią doktor pod drzwiami pokoju, w którym odbywała się sprawa rozwodowa. Zza drzwi dochodziły do nas ostre słowa Wandy i pana Ludwika oraz płacz pani Julii. Wywołano mnie jako ostatniego świadka. Nie wiem, co zeznała pani Iza. Sędzina zapytała mnie o to, co łączy Witka z panią Michałowską. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy powiedziałem, że nie znam pani Michałowskiej i nie wiem co ją z Witkiem łączy. Po rozprawie Witek powiedział mi, że dobrze kłamałem, bo przecież jeździliśmy razem do Warszawy. A ja nie wiedziałem, że Mira nazywa się Michałowska. Podczas tego procesu poznałem wiele fragmentów życiorysu Wandy. Wiedziałem o tym, że miała jakąś sprawę, że trafiła do więzienia, ale dopiero pod drzwiami sali rozpraw i przysłuchując się końcowej fazie procesu, poznałem inne, nie znane mi dotychczas, oblicze Wandy. Usłyszałem opowieść pana Ludwika o podglądaniu zakochanej pary, dowiedziałem się o powodach aresztowania Wandy, o młodej dziewczynie, która zmarła po nieudanym zabiegu przerwania ciąży przez Wandę i o wyroku trzech lat więzienia. Wanda opuściła więzienie po odbyciu połowy kary. Przez wszystkie te lata Ewa przebywała w rodzinie Pakulskich, w bardzo dobrych, jak na tamte czasy, warunkach.

Ta rozprawa, to publiczne odsłanianie wielu intymnych spraw, zrobiło na mnie przykre wrażenie. Współczułem Witkowi. Na pewno on najmocniej przeżywał ten cały kon-

flikt. Gdy już stwierdziłem, że nie znam pani Michałowskiej, sędzina zapytała mnie, jakie najlepsze rozwiązanie widzę w tej skomplikowanej sprawie. Odpowiedziałem, zgodnie z moim przekonaniem, że najlepiej dla Ewy byłoby, gdyby rodzice pogodzili się i w zgodzie wychowywali córkę. Powiedziałem, że takie wyjście byłoby najlepsze dla Ewy. Wywołało to głośnie oburzenie pana Ludwika. Dodałem jeszcze: „Obserwując fragment procesu, zdaję sobie sprawę z tego, że takie rozwiązanie nie nastąpi.” Ogłoszony po kilku dniach wyrok był tylko w połowie korzystny dla Witka i dla rodziny Pakulskich. Rozwód uzyskał. Jednak Ewę przyznano Wandzie, a Witkowi i jego rodzinie zabroniono widywania się z córką i wnuczką. Pani Julia i pan Ludwik popłakali się, gdy ogłoszono wyrok, a po kilku dniach ponownie płakali, gdy przyszła Wanda ze swoim adwokatem odbierać Ewę. Zapłakana Ewa poszła z Wandą, nie rozumiejąc tego, co się stało. Ponieważ Wanda nie chciała niczego zabierać z domu Pakulskich, przekazano adwokatowi ubrania, bieliznę i zabawki Ewy.

W kilka miesięcy później dziekan wydziału lekarskiego nakazał Witkowi złożenie ostatniego, mniej ważnego egzaminu. Witek, oczekując na zmianę obowiązującej ustawy, opóźniał ukończenie studiów, aby nie odbywać dodatkowej służby wojskowej. Natychmiast po ukończeniu studiów został powołany do Ludowego Wojska. Został lekarzem więziennym w dużym zakładzie karnym w Strzelcach Opolskich. O swej dwuletniej służbie w więziennictwie nigdy nie chciał z nami rozmawiać. Nie był to przyjemny okres w jego życiu. Jediną jasną stroną pobytu w Strzelcach Opolskich było poznanie Małgosi. Szczęśliwie związał z nią swoje całe przyszłe życie. Małgosia pracowała na poczcie. Witek poznał ją w okienku pocztowym. Pan Ludwik

znowu nie był zadowolony z tego małżeństwa. Małgosia była katoliczką, a pan Ludwik marzył o synowej ewangelicze. Małgosia była autochtonką, pochodziła z polskiej rodziny, mieszkającej od bardzo dawna na Śląsku Opolskim. W okresie dwudziestolecia Opolszczyzna była największym skupiskiem Polaków w ówczesnej Rzeszy Niemieckiej. Małżeństwo okazało się wyjątkowo dobrane. Małgosia była dobrą żoną, wzorową gospodynią. Została przy nim do ostatnich chwil jego życia. Po zwolnieniu z wojska, Witek przekonał się, że na razie nie będzie mógł pracować w swoim zawodzie, ani w Warszawie, ani w województwie warszawskim. Wybrał wtedy Konin, gdzie przez kilka lat był jedynym chirurgiem - ginekologiem. Lata pracy w ambasadzie USA nadal rzutowały na jego życie. Były to lata wszechwładzy Urzędu Bezpieczeństwa, lata stalinowskiego terroru.

Dopiero po wielu latach mógł mi Witek opowiedzieć o różnych szykanach stosowanych przez UB. Wielokrotne przesłuchania, rewizje w mieszkaniu, legitymowanie niektórych osób odwiedzających Witka, a najgorsze były rewizje osobiste, dokonywane na klatce schodowej, przed wejściem do mieszkania. Te wszystkie dokuczliwe złośliwości ustały z chwilą zakończenia pracy w Ambasadzie. Witek zdawał sobie sprawę z tego, że zarówno nakaz pracy w więziennictwie jak i uniemożliwienie pracy lekarskiej w Warszawie, to wynik działalności Urzędu Bezpieczeństwa, jednak nie tracił nadziei, że wszechwładza UB niedługo się skończy i dlatego, choć w Koninie miał coraz lepsze warunki pracy, nie zaprzestał myśleć o powrocie do Pruszkowa. Rozpoczął budowę willi na placu przy ul. Sobieskiego, w pobliżu domu rodziców.

Niebawem nastąpiły wydarzenia, które ukształtowały dalsze życie Witka. Pani Julia twierdziła, że wszystko wyreżyserowała Wanda, starając się dokuczyć Witkowi. Jednak mnie się wydaje, że był to zwykły zbieg okoliczności. Pewnego dnia, późnym popołudniem, Wanda wraz z Ewą znalazły się w narożnym sklepie przy zbiegu ulic Kościuszki i Daszyńskiego (Klonowej). Stojąca przy oknie Ewa zobaczyła dziadka idącego z pracy w fabryce Mechaników. Dziecko wybiegło ze sklepu i pobiegło do idącego po drugiej stronie ulicy dziadka. Po serdecznym przywitaniu Ewa zapragnęła zobaczyć babcię. Dziadek nie zauważył Wandy, stojącej w kolejce wewnątrz sklepu i ulegając prośbie Ewy, poszedł z nią w kierunku domu, zamierzając powrócić po krótkiej rozmowie z babcią. Po chwili, gdy dziadek z Ewą weszli już na podwórko, niespodziewanie wśród przyjezdnych z Warszawy, idących z dworca ulicą Kościuszki, ukazał się Witek. Skręcił w ulicę Parkową, idąc do domu rodziców. Na pewno obserwowała to Wanda, patrząc na ulicę z dużego wystawowego okna sklepowego. Witek przywitał się z Ewą. Nie zdejmując płaszcza, chciał ją odprowadzić na skrzyżowanie ulic, w pobliżu narożnego sklepu. Otworzył drzwi wejściowe, w które ktoś głośno pukał. Za drzwiami stała Wanda z sierżantem milicji. Spisano protokół. Nic nie pomogły tłumaczenia. Witek był na jakiejś odprawie czy zebraniu lekarzy chirurgów. Być może Wanda dowiedziała się o tym i była przekonana, że odwiedzi rodziców. Być może był to tylko zbieg okoliczności. Niedługo później odbyła się rozprawa karna w warszawskim Sądzie. Nie pomagały żadne tłumaczenia oraz zaświadczenia. Witek otrzymał surowy wyrok: rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata, gdyż był nie karany. Na pewno był to dzień tryumfu Wandy.

W kilka miesięcy po tej rozprawie Witek z Małgosią zamieszkali w swojej willi przy ul. Sobieskiego, w pobliżu domu rodziców. Witek nareszcie otrzymał zezwolenie na pracę w pobliżu Warszawy. Został chirurgiem w przychodni Warsztatów Kolejowych w Pruszkowie. Małgosia została zatrudniona w Międzynarodowej Centrali Telefonicznej przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. Życie Wandy, mimo dwóch sądowych „sukcesów”, nie należało do łatwych. Za wyłączenie prawa wychowywania córki zapłaciła zrzeczeniem się alimentów, a wyrok skazujący byłego męża na więzienie dawał jej tylko jakieś zadowolenie, że obydwójce mają za sobą wyroki. Nie wiem, gdzie po wyjściu z więzienia Wanda pracowała, jedno jest pewne, zarabiała niewiele. Chcąc zapewnić jakieś godziwe życie córce, musiała starać się o dodatkowe źródło dochodu. Na pewno nie miała innych możliwości niż przerywanie niechcianych ciąży u kobiet, które nie miały dość pieniędzy, aby udać się do prywatnego ginekologa. Na takie pokątne zabiegi nie pozwalało prawo, a ponadto Wanda, choć widziała, jak taki zabieg przeprowadza ginekolog, nie знаła reguł, podstawowych zasad, jakie należy stosować przeprowadzając tego rodzaju zabieg. Kilka razy mogło się udać, lecz w końcu zawiodło szczęście lub nadmierna pewność siebie. Wanda zdecydowała się na przerwanie ciąży u mieszkanki Nadarzyna, matki czworga dzieci. Zabieg się nie udał, kobieta trafiła do szpitala, gdzie zmarła. Przed tym podała nazwisko Wandy. Sprawa nabrała rozgłosu. Wandę aresztowano. To już była recydywa. Wyrok Sądu był surowy, 15 lat więzienia. Witek, od chwili aresztowania Wandy, starał się o zawieszenie wykonalności wyroku, zabraniającego widywania się z Ewą. Po kilkumiesięcznych staraniach. sąd wyraził zgodę na przejęcie opieki nad Ewą przez Witka. Ewa nareszcie przestała się błąkać po znajomych i przyja-

ciółkach Wandy. Powróciła do domu dziadków Pakulskich, a następnie zamieszkała w willi należącej do Witka. Do dziadków miała bardzo blisko.

Dziecko nareszcie powróciło do swego dawnego, normalnego życia. Małgosia była dla niej bardzo dobra. Ewa dobrze ubrana i należycie odkarmiona, ukończyła szkołę podstawową i rozpoczęła naukę w liceum im. T. Zana. Z nauką nie miała żadnych problemów. Ewie nie mówiono, że matka jest w więzieniu. Na początku Witek wytłumaczył jej, że Wanda musiała wyjechać i jak powróci do Pruszkowa to na pewno się z nią zobaczy. Odwiedzając Witka, kilka razy rozmawiałem z Ewą. Pytałem o szkołę i o nauczycieli. Była rozmowna, uśmiechnięta, wyglądała na szczęśliwą i zadowoloną z życia dziewczynkę. Wydawało się i mnie, i Witkowi, że przeżywała najszczęśliwszy okres w swoim dotychczasowym życiu.

Natomiast Witek, po drobnym incydencie z sekretarką z Warsztatów Kolejowych, stracił pracę. Weszła ona do pokoju, w którym przyjmował pacjentów, usadowiła się na wolnym krześle, oczekując na zakończenie badania jakiegoś robotnika. Gdy zostali sami w pokoju, wyznała szeptem, że od pewnego czasu cierpi na hemoroidy. Witek powiedział: „Dam pani skierowanie do specjalisty w warszawskiej przychodni, a na razie proszę zastosować te czopki. Oto recepta!”. Następnego dnia z samego rana, nie zważając na długą kolejkę oczekujących na wizytę u lekarza, sekretarka wpadła do gabinetu wzburzona z krzykiem: „Panie doktorze! Wychodząc do pracy łyknęłam jeden czopek i nie wiem co się ze mną dzieje!”. Zdenerwowany Witek wykrzyknął: „Jak to łyknęła pani czopek? To pani nie wiedziała, że czopek wsadza się do dupy?”. W gabinecie zaległa cisza, a na korytarzu, w długiej kolejce oczekujących na lekarską wizytę, rozmowy pacjentów przerwał śmiech.

Sekretarka zaniemówiła. Spojrzała z wściekłością na Witka i wybiegła z pokoju, z trzaskiem zamykając drzwi. Pobiegła do biura. Przez cały dzień mówiono o tym wydarzeniu na terenie warsztatów, a później na pewno i w domach pracowników. Nazajutrz Witek został zaproszony do gabinetu naczelnego dyrektora. Po krótkiej rozmowie uzgodniono, że Witek zostaje zwolniony „na własną prośbę”. W dwa dni później rozpoczął pracę w warszawskim Pogotowiu Ratunkowym. W bardzo dobrej opinii, wydanej przez warsztaty dla Pogotowia, nie napisano ani słowa o tym incydencie.

Wydaje się, że lata pracy w Pogotowiu można nazwać najszczeńliwszym okresem w życiu Witka. Małgosia okazała się bardzo dobrą żoną i wzorową opiekunką dla Ewy. Z Ewą nie było żadnych kłopotów. Uczyła się dobrze. Po zajęciach szkolnych obiady jadła u dziadków, którzy uwielbiali wnuczkę. Witek zapomniał już o wyroku sądowym, grożącym mu więzieniem za widzenie się z córką. Sąd Apelacyjny zawiesił poprzedni wyrok na czas pobytu Wandy w więzieniu. Witek zaczął interesować się numizmatyką. Raz w miesiącu, w niedzielne przedpołudnie, jeździł do budynku dawnego Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata na giełdę numizmatyczną, na której zbierali się amatorzy numizmatyki z całej Polski. Po kilku latach stał się swojego rodzaju rzeczoznawcą starożytnych monet. Kilka trafnych opinii oraz wycen spowodowało, że nawet były premier Piotr Jaroszewicz korzystał z jego rad, podczas zakupu kilku monet z czasów Imperium Rzymskiego. Pewnego niedzielnego popołudnia Witek opowiadał mi o tym, jak można odróżnić autentyczne złote monety dwudziestodolarowe od monet fabrykowanych w warszawskim getcie lub w Szwajcarii.

Dzięki wieloletniej, ofiarnej pracy w Pogotowiu, Witek stał się popularną osobistością, nie tylko w samym Pogotowiu, ale i w warszawskich szpitalach. Stwierdziłem to podczas choroby mojej żony. Pewnego dnia zachorowała na zapalenie ucha środkowego. Była to bardzo bolesna dolegliwość. Nie wiedząc, jak mam jej pomóc, zadzwoniłem do Witka. Był już wtedy na emeryturze. Po chwili zawiadomił mnie, że za chwilę przyjedzie do nas sanitariusz i zabierze mnie do Szpitala Czerniakowskiego, gdzie trwa ostry dyżur laryngologiczny. Po kilkudziesięciu minutach byliśmy już w karetce. Sanitariusz i kierowca dopytywali się o stan zdrowia Witka. Weszliśmy, omijając długą kolejkę przed gabinetem, a sanitariusz zapowiedział dwóm lekarkom pełniącym dyżur: „To przyjaciele „Szeryfa”. Lekarki także dopytywały się o zdrowie Witka. Obejrzały ucho Ziny, wpuściły jakieś krople i dały receptę na antybiotyk. Gdy dziękowałem, prosiły abym pozdrowił „Szeryfa” – od Zosi i Blanki. „– On już będzie wiedział”. Sanitariusz poszedł do apteki z receptą, kupił dla nas potrzebny antybiotyk. Gdy karetka zatrzymała się przed naszym domem, żegnając się z nami, prosił abyśmy serdecznie pozdrowili „Szeryfa” od Antka. „– On będzie wiedział o kogo chodzi!” Zdziwiła nas ta popularność Witka i szacunek, jakim obdarzali go pracownicy Pogotowia. Nazywali go „Szeryfem”.

Na początku lat sześćdziesiątych Ewa zdała egzamin maturalny w liceum im. T. Zana w Pruszkowie. Przez minione lata szkolne Małgosia lub Witek chodzili na wywiadowki. Ewa uczyła się dobrze. Gdy zdała egzamin maturalny radość w rodzinie Pakulskich była ogromna. Postanowiła studiować medycynę. Witek poruszył różne „sprężyny”, aby została przyjęta. W nagrodę za egzamin maturalny Witek kupił włoski skuter.

Od początku Ewa uczyła się dodatkowo biologii i chemii. To były najważniejsze przedmioty podczas egzaminu wstępnego na Akademię Medyczną w Warszawie. Egzaminu z tych przedmiotów bała się Ewa najbardziej. Witek uspokajał Ewę twierdząc, że dzieci lekarzy mają pierwszeństwo – warunkiem jest pomyślne złożenie egzaminu. Nie spodziewanie nastąpiły wydarzenia przekreślające wszystkie plany oraz marzenia, nie tylko Ewy, ale i Witka oraz dziadków i Małgosi, która już zdążyła się przyzwyczać i polubić pasierbicę.

Pewnego dnia, na kilka dni przed egzaminami wstępnymi na Akademię Medyczną, Ewa pojechała na skuterze do koleżanki i już nie powróciła do domu. Przed wieczorem, gdy Witek zaniepokojony o los córki, miał zawiadomić milicję, otrzymał telefon. Mówił mi później, że był to dla niego „grom z jasnego nieba”. Usłyszał głos Wandy, która ostrym, nieprzyjemnym tonem zawiadamała, że Ewa zostanie z matką. Runęły wszystkie plany. Rano ktoś przed furtką zostawił skuter. Ewa już nigdy nie pojawiła się ani w domu Witka, ani w domu dziadków. Odeszła bez słowa pożegnania. Dla Witka był to silny wstrząs. Nie potrafił wytłumaczyć sobie postępowania Ewy. Przecież wszyscy byli dla niej bardzo dobrzy. Nie zaznała od nikogo żadnej przykrości. To było naprawdę zadziwiające. Po pewnym czasie, po kilku tygodniach, dowiedział się, że Ewa pracuje jako rejestratorka w pruszkowskim Pogotowiu Ratunkowym. Witek nieprędko odzyskał równowagę ducha. Cios był bardzo mocny. Wanda zemściła się na Wtku i na całej jego rodzinie, ale dlaczego zemściła się na Ewie? Tego nie mógł zrozumieć. Nie mogliśmy zrozumieć postępowania Wandy. Przecież sama niszczyła swoją przyszłość, która inaczej by wyglądała, gdyby córka była lekarką, a nie skromną urzędniczką.

Prawo przemawiało na korzyść Wandy, jednak zdrowy rozsądek mówił, że to właśnie Ewa najdotkliwiej odczuje decyzje matki. Sama żyła myślą, że za kilka miesięcy będzie studentką medycyny, że czeka ją wspaniała przyszłość, że będzie dobrym lekarzem. Tymczasem jednego dnia, gdy zjawiała się w Pruszkowie jej matka, zmieniło się całe jej życie. Wszystkie jej plany, jej marzenia, obróciły się w nicość. Wydaje mi się, że już wtedy Wanda powiedziała Ewie, kto jest jej prawdziwym ojcem.

Ewa dowiedziała się, że pani Julia nie jest jej babcią, a pan Ludwik nie jest jej dziadkiem, że musi zakończyć swoje dotychczasowe życie, że musi oddać skuter, zapomnieć o swoim dotychczasowym mieszkaniu, że zamiast siedzieć nad książkami, musi sama rozpocząć starania o środki na utrzymanie siebie i swojej matki. Ewa zerwała kontakty z dawnym życiem i rodziną. Odmówiła przyjęcia pieniędzy i kosztowności, jakie ofiarowała jej Małgosia. A były to sumy duże, umożliwiające jej odbycie studiów oraz utrzymanie matki. Pozostała skromną urzędniczką. Natomiast dziwi mnie fakt, że ani Wanda, ani Ewa nie powiedziały prawdy przyszłemu mężowi Ewy – znanemu w Pruszkowie piłkarzowi z klubu „Znicz”, Lewandowskiemu, o czym świadczą jego słowa wygłoszone na pogrzebie Witka.

Obserwowałem, jak mocno odczuli odejście Ewy Witek i Małgosia. Najgorsze były pierwsze miesiące, kiedy zrozumieli, że Ewa nie powróci, sprzedali skuter i rozdali jej ubrania, gdyż Ewa nie chciała niczego przyjąć. Rodzice Witka równie głęboko odczuli odejście Ewy. Nie mogli żyć bez wnuczki. Gdy okazało się, że ich oczekiwania nie mają sensu, sprzedali dom i wyprowadzili się do miejscowości, z której obydwójce pochodzili. Był to Łask pod Łodzią. Teraz, po sześćdziesięciu latach, powracali do miasta swego urodzenia. Tam spoczywają w grobie rodzinnym.

A tymczasem Witek musiał od nowa układać sobie życie. Nadal pracował w warszawskim Pogotowiu Ratunkowym, miał także prywatną praktykę. Powiedział mi kiedyś: „Dawniej przychodziły do mnie kobiety, które za wszelką cenę chciały pozbyć się niechcianej ciąży, a teraz wędrują do mnie, gdyż koniecznie chcą mieć dziecko. Bardzo często są to te same kobiety. Czy to nie jest dziwne?”

Witkowi bardzo pomagała znajomość języka angielskiego. Dzięki temu poznawał najnowsze osiągnięcia w dziedzinie przywracania kobietom płodności. Małgosia, znając dobrze niemiecki i angielski, pracowała w Międzynarodowej Centrali Telefonicznej. Pierwsze trudności z dalszym jej zatrudnieniem zjawily się gdy nie uznano jej niemieckiego zaświadczenia z ukończenia średniej szkoły, Mittelschule. Urzędnik personalny w jej urzędzie zażądał ukończenia polskiej średniej szkoły. Nie honorował dawnego zaświadczenia. Małgosia załatwiła ten problem dzięki mojej znajomości z dyrektorem Departamentu Gospodarczego w Ministerstwie Łączności, panem Antonim Chmurą. Po obejrzeniu przyniesionego przeze mnie niemieckiego świadectwa, połączył się z naczelnikiem Urzędu przy ul. Nowogrodzkiej, powołał się na trzymane w rękę świadectwo i od razu załatwiono ten – wydawało się nie do załatwienia – problem. Małgosia mogła spokojnie pracować i oczekiwać na emeryturę. Witek którejś niedzieli odwiedził dyrektora Chmurę, przynosząc upolowanego przez siebie zająca.

Małgosia pracowała w Urzędzie na dwie zmiany. Co drugi tydzień powracała do Pruszkowa, pociągiem odjeżdżającym z Dworca Śródmieście kilkanaście minut po godz. 22.00. W piątki ja także wracałem tym pociągiem z koncertu w Filharmonii. Podróż do Pruszkowa urozmaicała mi opowieść Małgosi o wydarzeniach w Urzędzie

i o podsłuchiwanych rozmowach „zagranicznych” różnych znanych osobistości. Najciekawsze były rozmowy o zdradach małżeńskich znanych artystów, przebywających na zagranicznych występach. Przed dworcem w Pruszkowie zawsze oczekiwał na Małgosię Witek. Przychodził niekiedy z wilczurem, który na widok Małgosi dosłownie szalał z radości.

Wydaje mi się, że te lata były najszczęśliwszymi latami w życiu Witka. Pewnego dnia spadło na tak szczęśliwe małżeństwo nieszczęście. Witek wracał karetką Pogotowia z jakiegoś wezwania. Siedział obok kierowcy. Gdy karetka zatrzymała się przed światłami na skrzyżowaniu Marszałkowskiej ze Świętokrzyską, niespodziewanie zostali z tyłu uderzeni przez samochód jakiegoś nieuważnego kierowcy. Fotel, na którym siedział Witek nie miał oparcia dla głowy. Uderzenie było tak silne, że głowa Witka została odrzucona do tyłu, doznał naruszenia kręgów szyjnych i znalazł się w szpitalu z szyją w gipsie. Kuracja trwała kilka miesięcy a Witek na długo utracił zdolność swobodnego poruszania głową. Sprawcą tego tragicznego wydarzenia był brat znanego sprawozdawcy sportowego – Bohdana Tomaszewskiego. Odszkodowanie, które musiał zapłacić, nie zrekompensowało cierpień, jakie przeżywał Witek. Gdy po wielu miesiącach powrócił do pracy, był już innym człowiekiem. Utracił dawny animusz, dawne poczucie humoru. Nie był już tak sprawny fizycznie, jak to było przed wypadkiem. Po kilku latach rozpoczęły się kłopoty z sercem. Czekał go następny pobyt w szpitalu oraz przejście na emeryturę.

Podczas rekonwalescencji związanej z chorobą serca, Witek i Małgosia prosili mnie, abym towarzyszył mu podczas spacerów. Gdy spacerowaliśmy po ulicach Pruszkowa, serce mu nie dokuczało. Dopiero gdy Witek poczuł się lepiej i zaproponował mi wspólną wędrowkę do dru-

giego lasu komorowskiego, okazało się, że przecenił swoje siły. Położył się w lesie przy drodze, aby chwilę odpocząć. Przeżyłem tragiczne chwile, gdy obserwowałem zmiany na jego twarzy, która stała się dziwnie blada. Witek ciężko oddychał. Nie wiedziałem, co mam robić. Nie mogłem go opuścić, szukając ratunku – w pobliżu nie było żadnej osoby, którą mógłbym poprosić o wezwanie Pogotowia z jakiegoś telefonu w pobliskim Komorowie. Na szczęście, po dłuższej chwili, twarz Witka zaczęła nabierać normalnego wyglądu. Po kilkudziesięciu minutach wyruszyliśmy w powrotną drogę do Pruszkowa. Kiedy Małgosia dowiedziała się o zasłabnięciu Witka w lesie, zdecydowała, że wszystkie nasze wspólne spacery będą się odbywały tylko po ulicach miasta.

Odtąd częściej przyjeżdżałem do Pruszkowa, szczególnie w ciepłe niedzielne popołudnia, podczas jego rekonwalescencji, aby odbywać wspólny spacer ulicami naszego miasta. Małgosia stwierdzała, że po takim spacerze Witek ożywia się i poprawia się jego samopoczucie. Pewnej niedzieli, po dłuższym spacerze wzdłuż ulicy B. Prusa, odpoczywaliśmy na ławce w dawnym parku Potulickich. Zapytałem wtedy Witka, jakie wydarzenie podczas jego kilkudziesięcioletniej pracy w warszawskim Pogotowiu Ratunkowym, najmocniej utkwiło mu w pamięci. Witek nie namyślając się długo, odpowiedział, że o dwóch tragediach nie może zapomnieć.

Pierwsza wydarzyła się zaraz na początku jego pracy w Pogotowiu. Milicja wezwała lekarza – ginekologa do jednego z bloków mieszkalnych na Muranowie. Na klatce schodowej stało trzech milicjantów w otoczeniu rozgadanych starszych kobiet, mieszkających na tym samym piętrze. Jedno z mieszkań zajmowała młoda kobieta. Była w

cięży. W nocy rozpaczliwe krzyki, dochodzące z jej pokoju, obudziły sąsiadów. Usłyszano płacz małego dziecka. Po kilku minutach wszystko ucichło. Kobieta nie odpowiadała na dobijanie się sąsiadek do drzwi. Zawiadomiono milicję. Gdy nikt nie odpowiadał na wezwania dozorczy i milicjantów, drzwi wyważono. W pokoju na tapczanie, pokrytym zakrwawioną pościelą, leżała nieprzytomna kobieta. Obok, na małym stoliku, pełno było pustych opakowań po środkach nasennych. W łazience, na podłodze przy wannie, leżało zawinięte w ręcznik martwe niemowlę. Zabrano je, razem z nieprzytomną matką, do szpitala. W rok później Witek był świadkiem na rozprawie sądowej. Kobieta, łamiącym się głosem, prosiła o wyrok dożywotniego więzienia. Nie wie, co ze sobą robi. Rodzice ją wyklęli.

Witek nie czekał na ogłoszenie wyroku. Ojciec dziecka, prezes Spółdzielni, w której pracowała oskarżona, okazał się podłym człowiekiem. Po wysłuchaniu jego zeznań prokurator stwierdził, że ten świadek powinien być współoskarżonym.

Witek zapamiętał na całe życie to tragiczne wydarzenie i ten proces. Drugie pamiętne wezwanie karetki pogotowia ratunkowego dotyczyło dwóch lekarzy: ginekologa oraz chirurga. Popołniono zbrodnię w Komorowie.

W zaroślach, przy dróżce łączącej dwie równoległe uliczki, leżało ciało czternastoletniej dziewczynki, wielokrotnie zgwałconej i uduszonej. Zapłakana matka klęczała obok zwłok córki, a ojciec, stojący obok żony, łkał, poruszając wargami w cichej modlitwie. Dziewczynka ukończyła szkołę podstawową w Komorowie. Przed wieczorem poszła do szkoły na pożegnalny wieczorek taneczny, z którego nie wróciła. Rodzice przez całą noc szukali córki, pukali do mieszkań jej kolegów i koleżanek. Nikt nie wiedział, z kim wyszła z tej zabawy. Wieczorek zakończył się przed

godziną 22.00. Na dworze było już ciemno. Rano jeden z sąsiadów idąc do pracy zobaczył zwłoki dziewczynki. Zawiadomiono milicję w Pruszkowie. Od razu, po zostawionych śladach, udało się stwierdzić, że gwałcicieli było kilku. Milicja zażądała, aby z warszawskiego pogotowia przyjechali lekarze: ginekolog i chirurg. Dziewczynka po zgwałceniu została uduszona. Dyżur pełnił Witek. Przyjechał do Komorowa wraz z kolegą – chirurgiem. Witek stwierdził wielokrotne zgwałcenie, a chirurg opisał pozostawione na ciele dziewczynki ślady uderzeń. Śmierć nastąpiła poprzez uduszenie przy użyciu sukienki. Ciało dziewczynki przewieziono do jednego z warszawskich szpitali, gdzie przeprowadzono sekcję zwłok. Wielomiesięczne śledztwo nie przyniosło żadnego rezultatu. Sprawcy zbrodni pozostali nieznani.

Osiedle letniskowe Komorów powstało przed pierwszą wojną światową. Przyjeżdżała tutaj na wypoczynek warszawska inteligencja oraz bogatsi mieszkańcy. Do Komorowa dojeżdżano wtedy ze stacji kolejowej w Pruszkowie konnym tramwajem. W okresie międzywojennym Komorów stał się letniskiem bogatych mieszkańców Warszawy, przyjeżdżających kolejką EKD. Spokojne życie Komorowa zakłóciły wydarzenia drugiej wojny światowej, nie lepiej jednak było w kilka lat po wojnie. W latach 1946-47 władze komunistyczne zarządziły dokwaterowanie do obszernych pomieszczeń zajmowanych przez właścicieli willi, ludzi z tzw. „marginesu społecznego”, różnych pijacków i złodziejasków, żyjących nie wiadomo z czego, a utrudniających życie nowym mieszkańcom Warszawy. Po wprowadzeniu nowej normy mieszkaniowej – 8 m² na osobę, do każdego domu można było dokwaterować dość liczną rodzinę. Dla właścicieli domów i mieszkań objętych dokwaterowaniem rozpoczął się tragiczny okres. Wspólna kuchnia, wspólna

łazienka i ubikacja powodowały utarczki słowne, kłótnie, które często kończyły się zrezygnowaniem właściciela z używania własnej kuchni oraz łazienki i ubikacji. Część tych pomieszczeń szybko ulegała dewastacji. Niektórzy sublokatorzy wyprowadzili się po kilku latach, ale inni przez kilkanaście lat dokuczali „burżujom”, właścicielom willi. Tragiczna zbrodnia w Komorowie, o której po wielu latach opowiadał Witek, była wynikiem „akcji dokwaterowywania”. Po pięciu latach, nadmierne gadulstwo podpitego żołnierza doprowadziło do ujęcia sprawców tej zbrodni. W pewnym zachodniopomorskim garnizonie, w niedzielne popołudnie, kilku żołnierzy w największej konspiracji wypilo pół litra wódki. Paru „biesiadników” zostało w koszarach, a trzech wyruszyli na miasto, marząc o poznaniu dziewcząt, które zechcą spacerować z nimi po ulicach. Gdy jeden z nich narzekał, że dziewczęta nie chcą z żołnierzami spacerować, inny wspomniał: „Przed laty znaleźliśmy taką jedną, co nie chciała z nami spacerować, to zgwałciliśmy ją we czterech!” Na pytanie kolegi: „No, i co?”, odpowiedział: „No i nic! Jak widzisz chodzę z tobą po ulicach!” „A ona?” – pytał dalej kolega. „Zarzuciliśmy jej na głowę sukienkę, żeby nie krzyczała, a ona się udusiła!” Kolega znowu pytał: „A wam nic nie było?” „Jak nie było świadków, a ty nie przyznasz się, to nic nie będzie.” Śledztwo umorzono.

Koledzy opowiedzieli tę ciekawą historię drużynowemu, ten doniósł dowódcy kompanii, a ów odnalazł w zeszycie ewidencyjnym miejsce pochodzenia opowiadacza niesamowitych historii i zatelefonował do Komendy Milicji w Pruszkowie. Po dwóch dniach żandarmeria wojskowa przewiozła żołnierza do Warszawy. Śledztwo przejęła Komenda Wojewódzka. Szybko ustalono nazwiska trzech pozostałych sprawców zbrodni w Komorowie. Wszyscy pochodzili z rodzin przesiedlonych ze stolicy do Komorowa. W kilka

miesiący później odbył się proces tych czterech morderców. Witek zeznał jako świadek. Zapamiętał twarze zrozpaczonych rodziców zamordowanej dziewczynki oraz butne, wyzywające i beztroskie zachowanie czwórki oskarżonych. Siedzieli na ławie oskarżonych, przedzielani milicjantami, więc za plecami porozumiewali się wzrokiem, towarzyszącym lekkiemu uśmiechowi. Widocznie nie zdawali sobie sprawy z tego, co będzie ich czekać. Jeden z oskarżonych wyglądający na przywódcę tej przestępczej grupy, nazwał zamordowaną „burżujką, która nie chciała się z nimi bawić!”. Dodał także słowa Lenina, który wzywał do zabijania burżujów. Pozostali oskarżeni powtarzali: „Nie chciała się z nami bawić, ani z nami spacerować! To była burżujka!”

Wyroki sądów wszystkich instancji były takie same: „Śmierć!”. Wszyscy zostali powieszeni. Po wielu latach Witek nie mógł spokojnie mówić o tym procesie. Na pewno część winy spadała na system rządzący wtedy Polską.

Stan zdrowia Witka stopniowo się poprawiał. Spacerowały były coraz dłuższe, aż pewnej soboty wybraliśmy się do jednego z warszawskich kin. Korzystając z zaproszeń dr Heleny Piotrowskiej zaczęliśmy bywać na wernisażach w Muzeum Narodowym. Przy okazji zwiedzaliśmy niektóre sale stałych wystaw. Spotykaliśmy elitę kulturalną stolicy. Witek spotykał swoich dawnych znajomych, kolegów z gimnazjum Reja i z Akademii Medycznej. W dniu 1 września odwiedzaliśmy Cmentarz Powązkowski składając kwiaty i zapalając znicze na pomniku marszałka Rydza-Śmigłego. A w dniu 1 sierpnia na Cmentarzu Wojskowym szukaliśmy grobów naszych znajomych. Zawsze zapalaliśmy znicze.

Po moim ślubie z Ziną, gdy zamieszkałem na ul. Mochackiego, Witek z Małgosią często nas odwiedzali. Podobał im się nastrój, jaki u nas panował. Obserwowaliśmy z zadowoleniem, że nie chciało się im opuszczać naszego mieszkania. Nie mogliśmy nigdy skończyć wspomnień, naszych opowiadań o wspólnej młodości. Na początku lat osiemdziesiątych stan zdrowia Witka raptownie pogorszył się. Podczas jednej z wizyt Papieża przyjechał do mnie z Bielefeld w Niemczech pastor Herman Wilm z uroczą małżonką Kathe. Poznałem go podczas mojej podróży statkami do Ameryki Południowej. Nawiązaliśmy wtedy bardzo przyjacielskie stosunki, które przetrwały aż do jego śmierci. Namówiłem Małgosię, aby odwiedziła nas i poprosiła pastora o przysłanie dla Witka lekarstw, trudno dostępnych w kraju. Witek czuł się bardzo źle. Małgosia zjadła u nas obiad, a później spacerowaliśmy z małżeństwem niemieckim po Warszawie i witaliśmy Papieża na alei Żwirki i Wigury. Byliśmy też w Katedrze i w siedzibie Prymasa. Odwiedziliśmy parafię ewangelicką przy Placu Małachowskiego. Pastor złożył ofiarę proboszczowi tej parafii, który pochodził z Pruszkowa i znał dobrze Witka. Wiedział o jego chorobie i być może wpłynęło to na częstotliwość przesyłek z lekarstwami dla Witka. Pastor przysyłał lekarstwa potrzebne Witkowi, aż do jego śmierci. Ale nie tylko, bo przez wiele lat posyłał i dla nas paczki żywnościowe, pozwalające nam godnie przeżyć trudny okres stanu wojennego.

Gdy po raz ostatni odwiedziłem Witka, siedział w fotelu otulony szlafrokiem, w pokoju na górze i patrzył przez okno na ulicę Sobieskiego. W rogu stała stalowa butla, mająca około metra wysokości. Gdy dostrzegł, że patrzę na nią, wyjaśnił: „To z tlenem. Jak brakuje mi tchu, to oddycham tlenem.” Serce mi się ścisnęło na widok twarzy Witka i tej

butli. Wychudzony i nieogolony. Ucałowałem go. Usiadłem w fotelu na wprost niego. Gdy zapytałem go jak się czuje, odpowiedział, że najgorzej jest w nocy, gdy nadmierne dokucza mu atak kaszlu. Kiedy to mówił, patrzyłem w jego zmęczone cierpieniem oczy. A później zaczął mówić: „Chciałem się zobaczyć z moją córką, z Ewą, a ona nie chce przyjść. Powiedz mi dlaczego? Przecież wie, że ją kocham! Wie, że nigdy nie zrobiłem jej nic złego! Starałem się być jak najlepszym ojcem. Widziałeś, jak cieszyłem się, gdy zdała maturę. Myślałem, że będzie studiowała. Załatwiłem jej przyjęcie na studia. Myślałem, że zostanie lekarzem, że będę jej pomagał podczas studiów. Poprosiła o skuter – kupiłem jej najlepszy, jaki był do kupienia. Cieszyłem się jej radością. To naprawdę było nieszczęściem i dla Ewy, i dla mnie, że Wanda powróciła z więzienia na kilka dni przed egzaminem. Gdy zabrała Ewę, skończyło się moje szczęśliwe życie. Szczęście moje i moich rodziców. Mnie pozostała Małgosia, ale oni nie mieli już tutaj nic do roboty. Powrócili do miasteczka, z którego pochodzili. Umierali w Łaskunierozumiejąc, dlaczego stracili ukochaną wnuczkę. A Ewa odeszła od nas bez słowa pożegnania. Co powiedziała jej Wanda, że tak jednego dnia pozostawiła to wszystko co miała? I nas, i swój pokój, swoje meble, ubrania, książki, a następnego dnia rano zostawiła przy furtce skuter, a na nim klucze do furtki i do mieszkania. Nie mogę tego zrozumieć... Jak mogło to się stać? Ktoś powiedział mojemu ojcu, że Ewa nie jest moją córką. Czy to prawda? Jeśli nawet tak jest, to przecież powinna nam podziękować za to wszystko, co dla niej zrobiliśmy! Dlaczego tak się zachowuje? Dlaczego nie chce się ze mną zobaczyć? Choć wie, czym dla mnie była! Jakich Wanda używała argumentów, co powiedziała Ewie?”

Przez chwilę myślałem o tym, jak mocno odradzałem Witkowi to małżeństwo! Jednak nikt nie mógł przewidzieć, że tak się to zakończy. Powiedziałem do Witka tonem niezbyt przekonywującym, że Ewa była podobna do pani Julii, a później, żeby zmienić temat naszej rozmowy, powiedziałem: „Małgosiu, Witek to chyba ciebie nie kocha?” Zdziwiona, odwróciła do mnie swoje zapłakane oczy i zapytała: „dlaczego tak sądzisz?” Małgosia ustawiała przed nami filiżanki z czarną kawą i talerzyki z jakimiś ciasteczkami. Była w obcisłej spódnicy, uwypuklającej jej pośladki. „Kręcisz się koło nas, a Witek ani razu nie poklepał ciebie, choć tak apetycznie wyglądasz!” Uśmiechnął się Witek, uśmiechnęła się też Małgosia, nadstawiając Witkowi swoje pośladki. Witek powiedział: „Ja nigdy nie klepię Małgosi. Ja ją głaszczę!”, i pogłodził. A Małgosia, odwracając się tyłem do mnie powiedziała: „Jak chcesz, to możesz mnie poklepać!” Spojrzałem na Witka, który przyzwalająco skinął głową, poklepałem jej apetycznie wyglądające pośladki. Wszyscy się uśmiechnęli. Od razu zmienił się nastrój.

Opowiedziałem Witkowi o spotkaniu z Andrzejem Willem i o jego oburzeniu na „Wolną Europę”, która ogłosiła nieprawdziwą informację, jakoby Andrzej odbierał pracowni malarskie artystom internowanym po ogłoszeniu stanu wojennego. „To kłamstwo wyssane z bardzo brudnego palca!” – twierdził Andrzej. Witek, który wieczorami słuchał audycji „Wolnej Europy” i „Głosu Ameryki” był naprawdę wstrząśnięty, usłyszawszy taką informację. Teraz uwierzył w to, co mówił Andrzej. Gdy po kilku godzinach pożegnałem Witka, widziałem, że był znacznie spokojniejszy, ożywił się, gdy wspominałem nasze wspólnie przeżywane lata. Kiedy Małgosia odprowadzała mnie do furki, lzy ciekły jej z oczu. Powiedziałem: „Musisz się trzymać, Małgosiu!”

W kilka dni później, Małgosia zadzwoniła do mnie. „Witek umarł wczoraj wieczorem. Zadzwoniłam do warszawskiego Pogotowia, gdyż dostał bardzo silnego kaszlu. Dusił się. Karetka miała go przewieźć do szpitaliku przy pogotowiu. Umarł w drodze do Warszawy”.

Po dwóch dniach zawiadomiła nas o dacie i godzinie pogrzebu. Zatelefonowałem do Wrocławia. Andrzej wiedział już o śmierci Witka. Czytał „Życie Warszawy”. Był tam nekrolog. Na pogrzeb przyjechał z Ireną.

Na Dworcu Centralnym oczekiwałem wraz z Ziną na ich przyjazd. Do pogrzebu mieliśmy dużo czasu. Nie spiesząc się, szliśmy Alejami do ul. Towarowej. Wsiadliśmy do „20-cki”, która dowiozła nad nas pod bramę cmentarną. Opo- wiadałem o moim ostatnim spotkaniu z Witkiem, a później Andrzej mówił o tym, jak przed wielu laty budował wraz z Witkiem kajak, którym mieli płynąć Utratą do Bzury i dalej Wisłą aż do Gdańska. Nie ukończyli tej budowy. Niedokończony kajak pozostał gdzieś w piwnicy u Witka.

W cmentarnej kaplicy modlono się o spokój duszy zmar- łego. Małgosia witając się z nami powiedziała, że przed zamknięciem trumny włożyła do kieszonki Witkowej ka- mizelki złotą monetę z podobizną Papieża. W kondukcje pogrzebowym szło kilkadziesiąt osób. Duża grupa współ- pracowników z Pogotowia oraz znajomi z Pruszkowa. Był Ali Morawski, Janek Drzewiecki oraz Mietek Duda. Gdy po wyjściu z kaplicy szliśmy za trumną zauważyłem, że Andrzej nie przywitał się z Mietkiem, choć obaj dobrze się znali. Obaj byli w pruszkowskim „Sokole”. W skoku wzwyż konkurowali ze sobą, raz jeden zwyciężał, raz dru- gi. Razem także występowali w różnych sztukach, wysta- wianych przez kółko dramatyczne. Niezapomniany sukces odnieśli w „Królowej Przedmieścia”, śpiewając w duecie. Nie widzieli się przez blisko pół wieku. Podeszedłem do

Andrzeja, mówiąc: „Pozwól, że ciebie przedstawię. Tu jeden pan pragnie cię poznać”. Podprowadzam go do Mietka i mówię: „Panowie się nie znają? To pan Will, a to pan Duda.” Obaj zdumieni, padają sobie w ramiona. Oto co robią z nami lata! Na cmentarzu zjawił się Stanisław Gonta. Z jego bratem, Tadeuszem, Witek studiował medycynę. Tadeusz został znakomitym chirurgiem – kardiologiem. Po tragicznych wydarzeniach w Warszawie wyjechał z dwojgiem dzieci do Szwecji, gdzie przez kilkadziesiąt lat operował Szwedom serca. Zmarł kilka tygodni przed Witkiem. Stasiek mówił mi wtedy, że po śmierci brata rozmawiał telefonicznie z Witkiem przez całą noc. Wspominali Tadeusza i dawne lata. Tadeusz i Stanisław Gontowie byli kolegami Witka z gimnazjum Reja.

Na pogrzebie była Wanda i mąż Ewy – Lewandowski, dawny piłkarz „Znicza”. Przy grobie przemawiał w imieniu „żony i córki zmarłego”. Słowo „córka” na pewno ucieszyłoby Witka, jednak nie było to prawdą. Widocznie Wanda nie przekazała prawdy zięciowi. Najserdeczniej żegnał Witka jakiś lekarz z pogotowia. Wydał mu wspaniałą opinię. Przemawiał także pacjent Witka, uratowany po jakimś samochodowym wypadku. Płakaliśmy podczas tej uroczystości. Ktoś z pogotowia powiedział: „Odszedł nasz ukochany Szeryf”.

To być może była najwspanialsza mowa pożegnalna.

ANDRZEJ WILL

Poznaliśmy się z Andrzejem dopiero jesienią 1925 roku, chociaż od kilku już lat mieszkaliśmy przy ulicy Stalowej. Było to na zbiorce 1. Pruszkowskiej Drużyny Harcerskiej. Byliśmy w plutonie dowodzonym przez Czesława Łukowskiego. Andrzej jako wyższy wzrostem w innym zastępie, a ja jako „średniak” w innym. Zbiórka odbywała się w naszej świetlicy, „harcówce” przy ulicy Kraszewskiego, na placyku przy wejściu do folwarku hrabiego Potulickiego. Naszym drużynowym był wtedy niezapomniany „Kamyk” – Aleksander Kamiński.

Zasadniczo, nasze wspólne harcerskie lata zakończyły się już we wrześniu 1928 roku, gdy wstępowaliśmy do warszawskich gimnazjów, gdyż nie liczę pięcioletniego pobytu na obozie harcerskim w Kudryńcach nad Zbruczem (były to wakacje roku 1930). W kilka miesięcy później rozpoczęły się nasze „sokolskie lata”, ponieważ wstąpiliśmy do pruszkowskiego Gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Wtedy właśnie zaczynała się rodzić nasza wielka przyjaźń. Kiedy nadeszły tragiczne lata hitlerowskiej okupacji, gdy odczuwaliśmy własną słabość i bezsilność, szukaliśmy oparcia w większym gronie przyjaciół. Podob-

ne zainteresowania, jednakowa reakcja na rozgrywające się wokół nas wydarzenia, to wszystko spowodowało powstanie małej, zwartej grupy przyjaciół. Widywaliśmy się przynajmniej raz w tygodniu, aby podzielić się wiadomościami, omówić bieżące wydarzenia. Od 1943 roku staliśmy się niemal nierozłączni. Staszek Kowal, Tadek Targowski, Witek Pakulski, Ali Morawski, Andrzej i ja. Spotykaliśmy się w pracowni Andrzeja, na strychu domu przy ulicy Parkowej, tuż obok budynku, w którym urzędowała *Sicherheitspolizei*. Tu Andrzej zamieszkał po rozstaniu z Krystyną. Pewnego jesienno wieczoru, gdy wybieraliśmy zasłyszane lub wymyślone fraszki i złodziejskie przysłowia, przeznaczone dla Kalendarza Kieszonkowca na rok 1944, ktoś z nas zwrócił uwagę na ciekawą okoliczność. Oto zebraliśmy się tutaj, w robotniczej dzielnicy Pruszkowa, a każdy z nas przybył z innego miejsca kuli ziemskiej. Staszek urodził się w Tule, w mieście słynnym z samowarów, Tadek gdzieś pod Moskwą, Witek w Kopenhadze, a mieszkał w Passaic pod Nowym Jorkiem, Ali urodził się w Detroit, Andrzej w Warszawie, a ja jedyny w Pruszkowie.

Pewnego wieczoru Andrzej opowiadał nam o swojej rodzinie. Jego dziadek ze strony ojca był Szwajcarem, przyjechał do Polski w połowie XIX wieku. Ożenił się z Polką i miał z nią dwóch synów. Ojciec matki Andrzeja był właścicielem majątku Żółwin koło Podkowy Leśnej. Rodzice Andrzeja poznali się w roku 1914, na pierwszym karnawałowym balu w Resursie Obywatelskiej w Warszawie. Matka po ukończeniu pensji była panną na wydaniu, a ojciec – wysoki, przystojny kawaler – był urzędnikiem-asesorem Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Podobno była to miłość od pierwszego wejrzenia. Ze ślubem nie czekała zbyt długo, gdyż Andrzej urodził się w listopadzie tego roku. Po ślubie rodzice zamieszkali w Żółwinie. Miodo-

we miesiące przerwał wybuch pierwszej wojny światowej. W październiku rodzice, w obawie przed nacierającą armią niemiecką, przenieśli się do Warszawy i zamieszkali przy ulicy Tarczyńskiej, gdzie 22 listopada urodził się Andrzej. Chrzest odbył się w kościele św. Jakuba, przy ulicy Grójeckiej. Gdy front ustabilizował się na rzece Rawce, rodzina mogła powrócić do Żółwina. Mieszkali tam aż do roku 1920. Na jesieni tego roku majątek zlicytowano za długi zaciągane w latach wojny u lichwiarzy, którzy pożyczając ruble lub marki, przeliczali je od razu na szwajcarskie franki. Wobec tego, że zrujnowanej rodziny nie było stać na kupno mieszkania w Warszawie, wybrano znacznie tańszy Pruszków. Na utrzymaniu ojca znalazła się liczna rodzina: żona, teściowa oraz troje dzieci – Andrzej, młodszy syn Janek oraz córka Hania. Andrzej naukę w szkole im. Tadeusza Kościuszki. W roku 1925 rozpoczęły się dla Andrzeja lata harcerskie – wstąpił do 1. Pruszkowskiej Drużyny. To wtedy zacząłem go odwiedzać. Siadaliśmy na ławeczce pod oknami jego mieszkania. Oglądaliśmy duży album ze znaczkami. Ojciec Andrzeja był zapalonym filatelistą, pasję zbieracką odziedziczył po nim Andrzej.

Jakiś czas później zaczął Andrzej interesować się radiem. W niewielkiej, cienkiej deseczce robił otwory, w które wstawiał małe gniazdko, a następnie pod spodem deseczki łączył je cienkim, izolowanym drucikiem. Na deseczce ustawiał w gniazdkach jakąś cewkę, kondensator, oporniki, oraz „kryształek” z platynowym drucikiem, podłączał uziemienie i prymitywną antenę, zakładał słuchawki, szukał drucikiem odpowiedniego miejsca na „kryształku” i ku naszemu zdziwieniu w słuchawce słyszeliśmy albo muzykę, albo jakieś pogadanki. Andrzej wtedy promieniował szczęściem. Naprawdę podziwialiśmy jego talent, a sąsiedzi zamawiali u niego małe, prymitywne odbiorniki radiowe.

W latach siedemdziesiątych Andrzej zaczął publikować w pismach wrocławskich felietony o swoich znajomych i przyjaciółach. Do krótkiego tekstu dołączał karykaturę. Zainteresowało to wielu czytelników, a redakcja poprosiła Andrzeja o wydrukowanie swoich wspomnień z dwudziestolecia międzywojennego. Kiedyś zadzwonił do mnie, prosząc, abym napisał mu, jakie wspomnienia z naszych wspólnych harcerskich lat zostały w mojej pamięci.

Pamiętałem trzy zdarzenia. Jesienią 1926 roku „Kamyk” zorganizował „wojnę na szyszki” w Lesie Helenowskim. Brały w niej udział dwie lub trzy drużyny pruszkowskie. Trafiłem wtedy zieloną szyszką w policzek „Kamyka”. Po tej bitwie rozpalono na skraju lasu ognisko. Śpiewaliśmy wojskowe i harcerskie piosenki, a „Kamyk” opowiadał nam o swojej wędrówce przez ogarniętą rewolucją Rosję do Humania i dalej do Polski.

Dobrze zapamiętałem też dzień składania harcerskiego przyrzeczenia. Na łąkach koło elektrowni kilkunastu harcerzy stało w szeregu. Andrzej był najwyższy. Kolejno powtarzaliśmy za Oskarem Żawrockim słowa przyrzeczenia i całowaliśmy rąbek naszego sztandaru. Stojący za nami „Kamyk” kładł nam na ramieniu swoją dłoń, gdy powtarzaliśmy słowa przysięgi. Był jak gdyby naszym harcerskim ojcem chrzestnym. Po tej uroczystości udaliśmy się na dworzec kolejowy, aby oczekiwać na jadący do Krakowa pociąg z prochami Juliusza Słowackiego. Na ostatnim wagonie-platformie stała trumna w otoczeniu warty honorowej. Rzucaliśmy kwiaty na ten wagon. Było to w czerwcu 1927 roku. Na jesieni tego roku byliśmy uczestnikami kursu dla zastępowych. Kurs zakończył się wiosną. Andrzej objął zastęp „Lisków”, a ja „Jeleni”. On wspaniale dowodził swoim zastępem, ja natomiast nie zdałem egzaminu jako zastępowy. Nie mogłem opanować sztuki dowodzenia.

Dobrze zapamiętałem również nasz obóz w Kudryńcach nad Zbruczem. Wieczorne ogniska, kąpiele w granicznej rzece, zwiedzanie ruin zamku, w których spędziliśmy jedną noc, obserwując wraz z dwoma żołnierzami KOP srebrną smugę rzeki. Jedną z większych atrakcji była też wycieczka do Rumunii. Odwiedziliśmy wtedy Chocim i zwiedziliśmy ruiny naszej dawnej twierdzy nad Dniestrem.

Mimo pięknych wspomnień, jakie wynosiliśmy z pobytu na tym obozie, rozstawaliśmy się z harcerstwem już na zawsze. Zmieniła nas Warszawa, a także nowe gimnazjalne otoczenie.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych w naszej dzielnicy dorastała grupa młodzieży o podobnych zainteresowaniach i zamiłowaniach, ucząca się w warszawskich szkołach. Tylko jeden z nas, Stach Kowalczyk, chodził do pruszkowskiego Zana.

Powoli, z miesiąca na miesiąc, tak się układało, że czas wolny od nauki i od spełniania domowych obowiązków spędzaliśmy razem. Gdy było ciepło spotykaliśmy się w parku „Sokoła”, graliśmy w koszykówkę lub siatkówkę, a wieczorem wychodziliśmy na spacer po ulicach miasta. Gdy przyszły wakacje, dużą grupą wyruszaliśmy na hełenowskie glinianki, gdzie w zacisznym dołku rozkładaliśmy koce, opalaliśmy się, czytaliśmy książki, graliśmy w prefersa lub słuchaliśmy opowieści Witka o życiu w dalekiej Ameryce. A gdy czasem o świcie wyruszaliśmy do lasu hełenowskiego na grzyby lub jagody, to ulica Stalowa napęłniała się naszymi okrzykami i nawoływaniem pod oknami śpiących jeszcze kolegów.

W zimowe niedzielne wieczory wybieraliśmy się do warszawskiego Kinematografu Miejskiego przy ulicy Hipotecznej na wspaniałe westerny. Andrzej w tamtym okresie rósł najszybciej. Miał już około dwóch metrów, a my nie

nadażaliśmy za nim. Zapamiętałem jeden wieczór spędzany w „Miejskim”. Andrzej będąc w kinie, ze względu na swój wzrost, siadając wsuwał nogi pod krzesło siedzącego przed nim widza. Tego wieczoru zapomniał o tym i gdy zgasło światło i rozpoczęto wyświetlanie kroniki, padły z tyłu słowa: „Siadać!”. Gdy okrzyki nie przynosiły żadnego rezultatu, a Andrzej nadal nie pamiętał o swoim wzroście, jakiś widz uderzył go laską w ramię i krzyknął: „Siadać!”. Andrzej, oburzony tym, że ktoś go bije, wstał, aby zobaczyć, kto używa laski, W tym momencie usłyszeliśmy okrzyki: „O! Cholera! Włazł na krzesło!”. Zaczęliśmy się śmiać. Uspokojony Andrzej usiadł, wsuwając nogi głęboko pod krzesło przed sobą. Gdy wychodziliśmy z kina, jakiś starszy pan przeprosił Andrzeja, tłumacząc, że nie wiedział o jego wzroście.

W tym czasie sprowadziła się na ulicę Stalową rodzina Goldsztajnów. W domu nr 23 dobudowano piętro. Mieszkania miały ubikację i wannę. To była rodzina urzędnicza, ojciec był buchalterem – księgowym w jakiejś dużej firmie. Mieli dwóch synów. Starszy Jurek był szczupłym blondynem, inteligentnym, nadzwyczaj grzecznym chłopcem. Szybko trafił do nas i został przez wszystkich zaakceptowany. Z powodu nie spotykanych często na ulicy Stalowej dobrych manier, nazwano go „Hrabią”. „Hrabia” jeździł razem z nami do Warszawy, pociągiem o 7.05 Ten pociąg, składający się z kilkunastu wagonów, bardzo starych, podstawiano na pół godziny przed odjazdem. W jego składzie były wagony dla młodzieży szkolnej, dla uczennic i dla uczniów. Pociąg stał na trzecim torze. Niezmiennie, punktualnie o godz. 7.05, dyżurny ruchu wychodził ze służbowego pomieszczenia, podnosił czerwoną chorągiewkę i krzyczał w kierunku maszynisty: „Odjazd!”. Sapiący, stary parowóz otaczał się dymem i parą i powoli ruszał w kierunku War-

szawy, wioząc w wagonach dla nich przeznaczonych ponad stu młodych ludzi.

Powracaliśmy pomiędzy godziną 14.00 a 15.00, wygrani lub pokonani, ale zawsze zmęczeni i głodni.

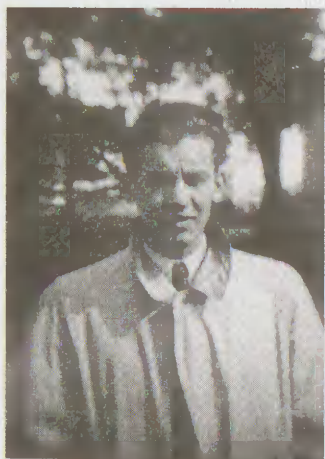
Po obiedzie odrabialiśmy lekcje i wyruszaliśmy na spotkanie z przyjaciółmi. Najczęściej kierowaliśmy się do parku „Sokoła”. Inne mieliśmy zajęcia w parku, a inne w pałacu. Gimnastyka, ping-pong, próby orkiestry.

Na początku lat trzydziestych wstąpiłem wraz z Andrzejem i kilku innymi kolegami do „Sokoła”. Dwa razy w tygodniu mieliśmy ćwiczenia gimnastyczne. Wisieliśmy na drabinkach umieszczonych przy ścianach, skakaliśmy przez konia lub przez skrzynię, próbowaliśmy ćwiczyć na kółkach, poręczach lub na drążku. Nikt z nikogo się nie śmiał, gdy nie udało się jakieś ćwiczenie. Niepowodzenia przyjmowaliśmy z humorem.

W pozostałe dni, gdy było ciepło i pogodnie, wolny czas spędzaliśmy na sokolskim boisku. Biegaliśmy, skakaliśmy, rzucaliśmy dyskiem, pchaliśmy kulę. Prawie każdego dnia rozgrywano jakieś mecze w koszykówkę lub w siatkówkę. W takie dni park „Sokoła” pełen był okrzyków, głośnych rozmów, nawoływań. Andrzej, ze względu na swoje długie nogi, najchętniej uprawiał skoki – trójskok i skok wzwyż. Skakał coraz wyżej i coraz dalej, aż został mistrzem – najpierw pruszkowskiego „Sokoła”, a następnie zdobył mistrzostwo Pruszkowa. Przez długie lata nikt nie mógł odebrać mu tych tytułów.

Na początku lat trzydziestych zmarł Andrzejowi ojciec. Dla rodziny rozpoczęły się ciężkie czasy. Babcia, matka i trójka dorastających dzieci musieli się utrzymać z niewysokiej renty po ojcu. Matka, wykorzystując dawne znajomości w sferach ziemiańskich, uzyskała posadę kasjerki na torze wyścigowym. Była to, niestety, posada sezonowa.

Późną jesienią i zimą, gdy park „Sokoła” straszył pustką, wyjeżdżaliśmy w niedzielne popołudnia do Warszawy, szliśmy do kina na jakiś dobry film lub spacerowaliśmy po znanych już ulicach, obserwując świetlne reklamy i jaskrawo oświetlone wystawy sklepowe. Na Nowym Świecie wyszukiwaliśmy pośród tłumu spacerującej młodzieży szkolnych kolegów. Zatrzymywaliśmy się przed sklepem z egzotycz-



Andrzej Will, zdjęcie z lat trzydziestych.

ną nazwą „Arabica”. Wewnątrz dużej, jaskrawo oświetlonej wystawy, ustawiono piec do ogrzewania ziarenek kawy. Przy piecu uwijał się mulat w jakimś egzotycznym tu stroju, mieszając ziarna na rozgrzanej blasze. Uśmiechał się do nas, gestem zapraszał do wnętrza sklepu. Obok był duży sklep „Braci Chojnackich”. Wytworne stroje męskie. Kapelusze różnych firm i fasonów, czapki i berety, krawaty i muszki, koszule w różnych kolorach i skarpetki.

Andrzej zatrzymywał się na dłużej przed wystawami sklepu „Rybkol” w Alejach Jerozolimskich. Na każdej wystawie stało wielkie akwarium, pełne ryb różnego gatunku.

Andrzej stał jak zaczarowany. Mówił nam: to szczupak, to pstrąg, a to sum. Nie mogliśmy odciągnąć go od tych wystaw. Od dawna był zapalonym wędkarzem. Po każdej takiej wyprawie nie chciało się nam wracać do ciemnych i nieco ponurych ulic Pruszkowa, do szarych smutnych kamienic.

Na początku lat trzydziestych powstał w pruszkowskim „Sokole” zespół teatralny, skupiający około dwudziestu osób. Jednym z pomysłodawców był Andrzej. Uwielbiał role komediowe. Natomiast Staszek Kowalczyk grał sentymentalnego amanta, a „Hrabia” amanta tragicznego. Wystawili kilkanaście sztuk. Grali m.in. Fredrę i Bałuckiego. Dużym powodzeniem cieszyła się też „Królowa Przedmieścia” Krumłowskiego, wystawiana kilka razy, a komedia amerykańska „Dzień bez kłamstwa”, zainteresowała nawet prasę warszawską. „Kurier Warszawski” chwalił Staszka Kowalczyka oraz Andrzeja Willa.

W roku 1937 Andrzej rozpoczął studia na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Studiował malarstwo w klasie profesora Felicjana Kowarskiego. Początkowo żałował, że nie mógł studiować pod kierunkiem prof. Tadeusza Pruszkowskiego, jednak stopniowo nabierał coraz większego szacunku do swego profesora. Sytuacja finansowa Andrzeja zaczęła się poprawiać. Profesor powierzał mu różne prace zlecone. Wakacje spędził w Kazimierzu nad Wisłą, odnawiając wraz z prof. Michalakiem stare freski w kościele farnym. W czasie następnych wakacji ozdabiał kościół w Komarowie, w województwie lubelskim. Zachowałem jeden z wierszy, które tam napisał. Zarobione pieniądze przeznaczał dla rodziny, a dla siebie kupował wyposażenie malarskie: sztalugi, blejtramy, płótna, farby.

Wojna zaskoczyła go w Komarowie. W pobliżu toczyły się walki. Późną jesienią powrócił do Pruszkowa. Dowie-

dział się, że „Hrabia” znalazł się w niemieckiej niewoli, skąd pisał rozpaczliwe listy. Na wiosnę znów wyjechał do Komarowa, skończyć rozpoczęte prace. Jesienią powrócił do Pruszkowa. Nasz dotychczasowy świat zawalił się w ciągu kilku miesięcy.

Otrzymałem wtedy od Andrzeja jego wierszyk – próbkę poetycką, którą zachowałem do dziś:

*Księżyc jak miednica lśni emalią białą,
Sklepienie malowane w gwiazdki, lecz niedbale,
Jakieś smugi, zacieki, źle jest założony kolor
i szablony gwiazdek
niedokładne*

*Z Opery Boskiej marsza grają żab orkiestry,
Gotykiem kolumn sterczy rząd chudych topoli,
I zapach dziwny, miły - maciejka i siano*

Przepraszam! bo mi właśnie kolację podano....

Andrzej przerwał na jesieni pracę w Komarowie i powrócił do Pruszkowa. Niespodziewanie podjął decyzję – ryzykowną jak na tamte czasy. Poślubił Krystynę Trapszo-Kwinto. Poznali się przed wojną, w „Sokole”. Krystyna była zgrabną, ładną dziewczyną, młodszą o kilka lat od Andrzeja. Pochodziła, tak jak i on, ze środowiska ziemiańskiego, zrujnowanego przez pierwszą wojnę światową. Andrzej pracował wtedy jako lakiernik w Warsztatach Kolejowych (*Ostbahnausbesserungswerke*). Ta praca dawała ausweiss zabezpieczający przed łapankami oraz skromne deputaty i niewielkie wynagrodzenie. Odradzałem im obojgu małżeństwo. Nie usłuchali. Skorzystałem z zaproszeń do świadkowania na ślubie i do udziału w skromnym przyjęciu.

Jako prezent ślubny dałem Andrzejowi butelkę francuskiego wina „Medoc”, kupioną od niemieckiego żołnierza, który przyjechał na odpoczynek do Generalnej Guberni po rozgromieniu Francji. W kilka miesięcy po ślubie udało się Andrzejowi zmienić pracę. Został kreślarzem w Biurze Konstrukcyjnym Fabryki Stowarzyszenia Mechaników („Waverma”). Zarabiał teraz 220 zł. Po ślubie Andrzej zamieszkał u żony, w parterowym domku, w pobliżu „żebeerek”, prawie na końcu ulicy Stalowej.

Niestety! Sprawdziły się moje przewidywania – małżeństwo nie trwało długo. Andrzej opuścił żonę, która spodziewała się dziecka. Zamieszkał w małym pokoiku na facjacie (a właściwie to na strychu) domu przy ul. Parkowej, tuż przy siedzibie *Sicherheitspolizei*. W jego dawnym pokoju przy ul. Stalowej zamieszkał Jacek Kisielnicki, mąż Hani, siostry Andrzeja. Jacek był młodszym bratem Janusza, majora „Toma”, dowódcy pruszkowskiego oddziału Polskiej Armii Ludowej. Andrzej wyremontował swoje nowe mieszkanie. Ustawił sztalugi, rozwiesił kilka swoich prac, a na podłodze wymalował banknot stużłotowy. Wykonał tę pracę tak dokładnie, że każda osoba odwiedzająca go po raz pierwszy schylała się, aby podnieść z podłogi pieniądze. Tu Andrzej rozpoczął nowe życie. Krystyna urodziła syna, któremu także nadano imię Andrzej. Po wojnie poślubiła inżyniera z Fabryki Mechaników. Zamieszkali w Krakowie. Syn, którego Andrzej odwiedzał, mieszka na warszawskim Targówku.

Pomieszczenie Andrzeja, jego pracownia malarska, „mansarda”, jak mówił, stało się miejscem naszych spotkań. Polubiliśmy ten zakątek.

W biurze pracy miał niewiele. Rysował jakieś karty świąteczne. Zaprojektował „Kartę Rybacką”, która – jak się okazało – wprowadziła w błąd nawet młodzież z Hitler-

jugend z zamieszkałego przez Niemców Koszajca. Wstąpił do Armii Krajowej.

Na Boże Narodzenie otrzymałem narysowaną przez niego kartę z widokiem jego pracowni i napisem: *A na Wilię, karpia Will je!* Jesienią 1942 roku, z inicjatywy naszego sąsiada Witolda Matuszewskiego, spotkaliśmy się – Andrzej, Staszek i ja – w małej kawiarence przy warszawskiej ulicy Tamka z Grzegorzem Załęskim. Tak rozpoczęła się współpraca z jego podziemnymi wydawnictwami. Staszek pisał fraszki i różne wierszyki, podpisując je „lapis” lub „Evan-na”, a Andrzej podpisywał swoje rysunki „WAS”. Ponadto Andrzej ilustrował wydawnictwa BIP – „N”, drukowane w języku niemieckim. Tych rysunków nie podpisywał.



A na Wilię karpia Will je...

W pracowni Andrzeja narodził się pomysł wydania wierszy Kowalczyka. Staszek wybrał dziesięć wierszy, Andrzej opracował rysunki, wydrukowaniem zajęła się pani Helena

Kobusowa, która wyświetlała rysunki techniczne w Biurze Konstrukcyjnym „Wawermy”. Wydrukowano, a właściwie to wyświetlono, 36 egzemplarzy numerowanych. Nr 1 otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz, a nr 2 jest w moim posiadaniu. Wydanie tomiku kosztowało mnie 1500 zł.

U Andrzeja powstawał także *Kalendarz Kieszonkowy na rok 1944*. Było nas sześciu, najbliższych przyjaciół. Każdy z nas dorzucał do kalendarzyka jakąś fraszkę lub powiedzenie. Część rysunków narysował Andrzej, pozostałe są dziełem Tadka Targowskiego – „Klapki”. On też jest autorem części przysłów i powiedzeń.



GOTT MIT UNS (1940)

Gott mit uns.

Kalendarze drukował „Klapka”, pracownik Biura Konstrukcyjnego w Warsztatach Kolejowych (OAW). Podobno rozprowadził ponad pięćset egzemplarzy.

Staszek przez długie miesiące nie mógł się pogodzić z utratą żony i córeczki. Przygotowania do wydania tomiku jego wierszy, pisanie fraszek dla „Demokraty”, krótkich opowiadań do zbioru jego prozy, który chcieliśmy wydać,

to wszystko wyciągało go z niedawnej rozpacz. Zabierałem też jego oraz Andrzeja na swoje spotkania z rodziną Pruszkowskich. Niestety! W kilka tygodni po naszej wspólnej wizycie u profesora Tadeusza Pruszkowskiego i jego przemiłej żony Zofii – Zuzi Katarzyńskiej-Pruszkowskiej, aresztowano a następnie rozstrzelano tego wspaniałego artystę. Podczas naszego ostatniego spotkania profesor (przedwojenny właściciel awionetki) opowiadał o swoich wyczynach lotniczych, natomiast Zuzia Pruszkowska snuła opowieści o Paryżu, co mogła robić godzinami. Mieszkali państwo Pruszkowscy na ostatnim piętrze swojego domu przy ulicy Noakowskiego. Nastrój, jaki panował podczas tych spotkań, opisał Staszek w jednym ze swoich wierszy.

W dniu 1 sierpnia 1944 r., po ogłoszeniu Godziny „W” w Pruszkowie, Andrzej wyrusza na miejsce zbiórki na Ostoi. W nocy maszeruje do lasu sękocińskiego. Do Pruszkowa powraca już 5 sierpnia. W kilka tygodni później bierzemy udział w pogrzebie Staszka Kowalczyka. W dniu pogrzebu w mieście trwała łapanka. Wyciągano z domów młodych ludzi oraz warszawiaków. Na cmentarzu było więc niewiele osób. Rodzina, Andrzej, Witek i ja. Wracając do domu, wspominaliśmy, że stało się to, co przepowiedziała Staszekowi stara kobieta, pracownica Ośrodka Zdrowia w Piastowie. Pracował tam też Witek, „niedokończony” lekarz. W Ośrodku pracowała jako sprzątaczką stara kobieta, dawna właścicielka majątku ziemskiego na Wołyniu, której udało się uciec do Generalnej Guberni z transportu do Kazachstanu. Ta kobieta miała dar przewidywania śmierci pacjentów Ośrodka. Mówiła do Witka: „Panie doktorze! Tego nie warto leczyć! On niedługo umrze!”, zawsze tak było. Ta kobieta wróżyła z kart. Witek zaprosił ją do siebie, aby postawiła karty rodzicom. Przy okazji przyprowadził ją

na mansardę Andrzeja, gdzie Staszek, Tadek i ja ogrywaliśmy gospodarza w karty. Stara kobieta miała swoją talię kart. Tadekowi przepowiedziała jakąś nieszczęśliwą miłość, mnie szybkie małżeństwo (co było prawdą), a gdy Staszek przełożył jej rozkładane karty, już po rozłożeniu kilku pierwszych, zgarnęła wszystkie, mówiąc, że nie będzie mu wróżyła. Andrzejowi powiedziała, że nie ma co liczyć na powrót żony. Następnego dnia, w piastowskim Ośrodku Zdrowia, Witek dowiedział się prawdy: „Karty mówią, że ten przyjaciel pana doktora niedługo zginie. To będzie nagła śmierć”. Witek uwierzył tej kobiecie, gdyż w wielu wypadkach sprawdzały się jej przepowiednie.

Niedługo później, w dniu 14 września 1944 roku, niespodziewanie zakończył się pruszkowski etap życia Andrzeja. Podczas wielkiej łapanki, obejmującej całe miasto, wyciągnięto go z jego mansardy. Żandarm, oglądający jego *ausweis*, ucieszył się: „Gut! Sie müssen nach Breslau fahren!”.

W tym czasie zakończyła się już ewakuacja Zakładów „Waverma” – Fabryki Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki – do Wrocławia. Wywieziono maszyny, urządzenia pomocnicze, narzędzia, wywieziono także kilkuset pracowników fabryki. Do kapitulacji Wrocławia w maju 1945 r. Andrzej obsługiwał tokarnię, która została przywieziona z Pruszkowa. Świadczyła o tym tabliczka z napisem: „Fabryka Stowarzyszenia Mechaników”. Obok, na podobnych maszynach, pracowali znajomi: Januarey Wachulski, Apolinary Malinowski i Władysław Dudek. To były trudne do przeżycia miesiące. Andrzej poznał wtedy, pochodzącą z Komorowa, Helenę Bandrowską, córkę pisarza Jerzego Bandrowskiego. Schwytna w komorowskiej łapance, pracowała w fabrycznym magazynie. Została później żoną Andrzeja. Poznałem Helenę pod koniec 1945

roku, gdy pierwszy raz przyjechałem do Wrocławia. Mieszkali w ładnej willi na Karłowicach. Razem z nimi mieszkała, ściągnięta z Pruszkowa, cała rodzina Andrzeja. Zarówno Andrzej, jak i Krystyna, wystąpili o rozwód. Wyrok miał zapaść na początku 1946 roku. Helena była ładną, miłą niewiastą. Wydawało mi się, że to małżeństwo będzie trwało długo. Jednak stało się inaczej. Rozeszli się po dwóch lub trzech latach. Ja przyjechałem wtedy do Wrocławia, aby odwiedzić mego brata Jurka, który w nowo uruchomionej Politechnice Wrocławskiej kończył studia rozpoczęte na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Podobnie było z Andrzejem. Kończył swoje studia w nowo



Andrzej Will

otwartej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Po ukończeniu studiów został na kilka lat pracownikiem naukowym tej uczelni. Najpierw asystentem, a później wykładowcą. Wyższe szkoły wrocławskie powstawały w oparciu o ka-

dry profesorskie lwowskich wyższych uczelni. Lwowiacy okazali się wspaniałymi organizatorami życia kulturalnego i naukowego Wrocławia.

Andrzej rozpoczął we Wrocławiu nową i najciekawszą część swego życia. Ciekawsi i mądrzejsi ludzie byli wokół niego. Skończyły się kłopoty związane ze staraniami o zdobycie środków do przeżycia. Andrzej miał kilka posad, zaczął sprzedawać swoje prace, stał się jednym z organizatorów życia kulturalnego Wrocławia. Zakończyły się już nasze bliskie kontakty. Spotykaliśmy się kilka razy w roku, gdy przyjeżdżał do Warszawy na posiedzenia Zarządu Związku Artystów Plastyków. Często nocował u mnie. Przed udaniem się na spoczynek przeglądaliśmy fotografie, snuliśmy wspomnienia, przypominaliśmy zmarłych przyjaciół.

Nieprzerwanie trwała nasza korespondencja. Andrzej przysyłał mi zaproszenia na swoje wystawy. Zawiadomił mnie także o rozstaniu z Heleną i o ślubie z Ireną Lenartowicz, swoją dawną uczennicą, a siostrą znanego reżysera filmowego.

Andrzej zorganizował Międzynarodowe Triennale Rysunku. Ta instytucja przetrwała pod jego kierownictwem przez trzydzieści lat. Otrzymywałem pięknie wydane katalogi z tych wystaw. Irenę poznałem w roku 1965.

Był to rok, w którym moi synowie zdawali egzamin wstępny na Politechnikę Warszawską. Janek nie zdał, Leszek nie został przyjęty z braku miejsc. Udało mi się przejrzeć teczek egzaminacyjnych moich synów. Leszek miał piątkę z plusem z matematyki (unikalne wydarzenie), a Janek nie zdał z francuskiego. Jego pracę pisemną ktoś usunął z teczek. Okazało się, że na wynik egzaminu wpłynęła opinia dyrektora liceum Gralewicza o mojej osobie.

W Ministerstwie dowiedziałem się, że na żadnej Politechnice nie ma dodatkowego egzaminu na Wydziale Chemicznym, natomiast na Uniwersytecie Wrocławskim będzie dodatkowy egzamin na Wydziale Chemii, gdyż są tam jeszcze trzy wolne miejsca. Zwróciłem się do Andrzeja z prośbą o pomoc. Dowiedziałem się, że rektor jest jego przyjacielem. Następnego dnia byłem u Andrzeja, w pracowni przy Rynku. O 17.00 zjawił się rektor. Obiecał przyjęcie Leszka na Wydział Chemiczny. Papiery miałem złożyć w przeddzień egzaminu. I tak się stało. Dzięki Andrzejowi Leszek rozpoczął studia. Wtedy spędziłem cały dzień z Ireną. Wędrowaliśmy po Wrocławiu. Byliśmy w kilku kościołach, a także w wielkiej wytwórni filmowej kierowanej przez brata Ireny. Janek w następnym roku, nie bez problemów, dostał się na Wydział Elektroniczny Politechniki Warszawskiej. W dniu, w którym Leszek zdawał egzamin na Wydział Chemiczny Uniwersytetu Wrocławskiego oraz następnego dnia, gdy oczekiwaliśmy na wywieszenie listy z nazwiskami przyjętych, spędziliśmy razem z Andrzejem wiele godzin na spacerach po Wrocławiu. Andrzej opowiadał mi o zabezpieczaniu wielkiego zbioru różnych dokumentów, przywiezionych z Berlina do Wrocławia w czasie wojny. Te zbiory ukrywano i zabezpieczono przed sowieckimi żołnierzami, którzy wywozili z Wrocławia do Związku Radzieckiego wszystko, co dało się wywieźć. To ukryte „Archiwum Berlińskie” przekazano następnie do Krakowa i zabezpieczono w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Andrzej opowiadał mi, z jak wielkim wzruszeniem dotykał rękopisów Beethovena. Archiwum przedstawiało ogromną wartość, nie tylko dla Niemców, ale i dla całej ludzkości.

Tamte tragiczne przeżycia najmocniej wryły się w pamięć Andrzeja.

Gdy pod koniec drugiej wojny światowej wojska sowieckie zbliżały się do Odry, okazało się, że zarówno Wehrmacht, jak i władze partyjne NSDAP nadal wierzyły w istnienie jakiejś cudownej broni – „Wunderwaffe” – która ma przynieść zwycięstwo. Dlatego zdecydowano się na obronę Wrocławia, zmieniając miasto w „Festung Breslau” – „Twierdzę Wrocław”. Nie było żadnych fortyfikacji, były tylko betonowe bunkry i okopy, wykonywane w pośpiechu, przez cudzoziemskich robotników. Wrocław bronił się do połowy maja 1945 r. Skapitulował w tydzień po zawieszeniu broni i po podpisaniu rozejmu 8-9 maja. Miasto było bardzo zniszczone przez długie ostrzeliwania artyleryjskie i naloty lotnicze. Pokonani żołnierze w zwartych kolumnach opuszczali Wrocław, aby po selekcji odjechać na wschód, za Ural. W częściowo zrujnowanym mieście pozostało kilkaset tysięcy mieszkańców oraz wielotysięczna masa jeńców wojennych i cudzoziemskich robotników, zwożonych tu z całej Europy, którzy przez kilka pierwszych dni wolności nie opuszczali swoich kwater, bojąc się spotkania z pijanymi rabusiami, żołnierzami sowieckimi. Po kilku dniach chaosu wkroczyła tu żandarmeria wojskowa, milicja i regularne oddziały Armii Czerwonej. Zakończyło się rabowanie i podpalanie domów. Ogłoszono godzinę policyjną. Sytuacja stabilizowała się. Robotnicy cudzoziemscy opuszczali Wrocław, rabując przy okazji wystraszonych niemieckich mieszkańców. Gdy władze sowieckie przystąpiły do wywożenia ponemieckiego mienia, w mieście pozostali tylko ci Polacy, którzy zamierzali zamieszkać tu na stałe. Przeważnie byli to ludzie z dawnych kresów wschodnich oraz warszawiacy. Choć rządził sowiecki komendant miasta wraz z żandarmerią, to już tworzyły się załączki polskiej władzy. Został mianowany prezydent miasta, na ulicach pojawili się cywilni milicjanci z karabinami i opaskami MO.

Władza sowiecka traktowała to wszystko, co można było wywieźć, jako zdobycz wojenną – „trofiejną”. Najpierw wywożono urządzenia fabryczne. Maszyny, narzędzia pomocnicze, surowce. W halach fabrycznych pozostawały gołe ściany, gdyż zabierano także instalację elektryczną. Odjeżdżały na wschód długie pociągi towarowe, z wagonami załadowanymi wojennym łupem. Wywożono wyposażenie szpitali, biur, uczelni, a później meble i fortepiany z prywatnych mieszkań.

W kilka tygodni po kapitulacji, gdy już urzędował mianowany przez polskie władze prezydent miasta, Andrzej otrzymał polecenie zabezpieczenia muzeum. Pośród osób zamierzających osiedlić się we Wrocławiu, znalazło się kilka zainteresowanych tym zadaniem. Ludzie ci dostali dwujęzyczne zaświadczenia, że są pracownikami muzeum. W tym czasie żołnierze sowieccy ładowali na samochody muzealne eksponaty, obrazy, dzieła sztuki, ozdobne przedmioty. Wiele obrazów było w piwnicach. Gdy żołnierze sowieccy wynosili do samochodów eksponaty, grupa Polaków penetrowała piwnice oraz schrony. Znajdowały się tam skrzynie, w których złożono wzorowo zabezpieczone, przewinięte bibułą, złożone w klaserach, w teczkach i w kartonowych pudełkach prawdziwe skarby niemieckiej kultury. Rękopisy najwybitniejszych dzieł literackich, nuty zapisane przez największych niemieckich kompozytorów.

Po latach Andrzej opowiadał z przejęciem o swoich odczuciach, gdy trzymał w ręku rękopis dzieła J.W. Goethego *Die Leiden des Jungen Werther* – Cierpienia młodego Wertera – napisany przez autora i z poprawkami przez niego naniesionymi, w innej skrzyni odnalazł pudło z napisem *Ludwig van Beethoven*, a w nim partytury pisane ręką kompozytora. W dużym pudle było kilka mniejszych pudełek. Na jednym był napis: *6 Symphonie (Pastorale) Opus 68*.

Inne pudła zawierały partytury pisane ręką J.S. Bacha, Josepha Haydna, Georga Friedricha Händla. A w kolejnych skrzyniach były rękopisy nie tylko Goethego, ale i Heinricha Heinego oraz Friedricha Schillera.

Skrzynie ukrywano starannie, zachowując w tajemnicy zawartość. Po wielu tygodniach przetransportowano je do budynku uniwersytetu, w którym już urzędowali Polacy, przygotowujący się do rozpoczęcia nauki w nowym roku akademickim. Skarby te przechowywano w bibliotece uniwersyteckiej. O zawartości skrzyń wiedzieli tylko nieliczni, wtajemniczeni pracownicy.

Przestrzegano tajemnicy, gdyż zawartość skrzyń mogła stać się łakomym kąskiem dla wielu. Gdyby przedstawiciele Armii Radzieckiej dowiedzieli się o istnieniu „Archiwum Berlińskiego”, to na pewno przystąpiono by natychmiast do naprawienia przeoczenia ekipy wywożącej do Moskwy zbiory wrocławskiego muzeum, a skrzynie ze zbiorami powędrowałyby, pod specjalnym nadzorem, do Moskwy lub Leningradu.

Równie groźna mogła się okazać działalność szabrowników ciągnących do Wrocławia z całej Polski, poszukujących łatwego zarobku.

Dodatkowo obawiano się przedstawicieli polskich władz przysłanych z Łodzi lub z Warszawy, gdyż wśród tych ludzi mogli się znaleźć chętni do zawiadomienia NKWD lub przedstawicieli innych władz radzieckich o nadzwyczajnej wartości dokumentów.

Dopiero po wielu miesiącach przewieziono skrzynie do Krakowa, do Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ich zawartość utrzymywano w tajemnicy. Zbiory poddawano właściwej konserwacji; w początku lat dziewięćdziesiątych, gdy już rozpisywano się o tych zbiorach, konserwatorzy niemieccy z uznaniem wyrażali się o pracach polskich

konserwatorów. Andrzej uważał swój udział w tej akcji za życiowy sukces.

Podczas naszych długich rozmów w roku 1963 stwierdziłem, że Andrzej zaniedbuje malarstwo dla pracy społecznej. Był organizatorem i kierownikiem „Międzynarodowego Triennale Rysunku.” Prace na ten konkurs napływały z całego świata. Co trzy lata odbywała się wystawa tych rysunków. Wręczano cenne nagrody i wyróżnienia. Te imprezy trwały przez trzydzieści lat. Odbyło się dziesięć takich wystaw. Andrzej przez te lata utrzymywał się z rysowania „główek”, które odbijał w dziesięciu egzemplarzach, litograficznie. Odbiorcami jego prac byli Skandynawowie. Zaprzyjaźniony marszand ze Sztokholmu sprzedawał „główki” nie tylko w Szwecji, ale także w Danii, Norwegii oraz w Finlandii.

W roku 1972 Andrzej zaprosił mnie do Dębek, na wakacyjny odpoczynek. Od kilku lat Andrzej spędzał w Dębkach urlopy. Ta nadmorska wioska leży pomiędzy Żarnowcem a wybrzeżem. W dwudziestoleciu granica państwa polskiego przebiegała wzdłuż rzeczki Piaśnica. Od stuleci pięć kilometrów wybrzeża na wschód od Piaśnicy należało do baronów czy hrabiów von Kroków, właścicieli pobliskiego Krokowa. Już za czasów pruskich całe wybrzeże Bałtyku należało do państwa, a tylko pięć kilometrów od wybrzeża, wraz z przylegającym lasem, było własnością prywatną. Gdy w latach trzydziestych rodzina von Kroków przenosiła się do Rzeszy, ten pięciokilometrowy odcinek wybrzeża kupiło dziesięciu profesorów uniwersytetu poznańskiego.

PRL nie kwestionowało tego prawa własności. Dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy jeden z obecnych właścicieli nadmorskiej działki, syn przedwojennego profesora Uniwersytetu, Romańskiego, wystąpił o wydanie zezwolenia na budowę willi, władza ludowa zaczęła się in-

interesować prywatną plażą nadmorską. Ustalono nazwiska obecnych właścicieli i zaproponowano im sprzedaż na bardzo dobrych warunkach. Okazało się, że te pięćsetmetrowe działki wraz z przyległym lasem chcą kupić dygnitarze partyjni z Warszawy oraz sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, Stanisław Kociołek. Właściciele odmówili. Wtedy zaproponowano im sprzedaż połowy każdej działki, obiecując, że na drugiej połowie będą mogli pobudować swoje wille właściciele. Właściciele działek nie zgodzili się również na taką propozycję. Byli przekonani, że promineneci wybudują swoje wille, a oni nie dostaną zezwolenia, bo przecież „partyjni bogowie” nie będą chcieli mieć za sąsiadów nie wiadomo kogo. Gdy po kilku latach pertraktacji nie udało się prominentom doprowadzić do nabycia prywatnych nadmorskich działek, towarzysz Kociołek zawiadomił jednego z właścicieli, że nie będzie miał pożytku z tej plaży i lasu, gdyż zapadła w Warszawie decyzja budowy w pobliskim Żarnowcu elektrowni atomowej.

Gdy zawiadomiłem Andrzeja, że spędzę z nim kilka tygodni w Dębkach, musiał załatwić notarialną zgodę właściciela działki na mój pobyt na tym terenie. Właścicielem był prof. Wrzosek z Uniwersytetu Wrocławskiego, zaprzyjaźniony z Andrzejem.

W drugiej połowie lipca 1972 roku, wybrałem się do Dębek. Najpierw spędziłem kilka dni w Sopocie u Jurka Nierojewskiego. Po kilku dniach mój syn Janek przyjechał z Warszawy, zabierając potrzebny ekwipunek oraz namiot. Do pociągu wsiadłem w Sopocie. Dojechalismy do Wejherowa. Dalej dowiozła nas taksówka.

Spędziliśmy w Dębkach niecałe trzy tygodnie. Naszymi sąsiadami byli Andrzej z Ireną, brat Ireny – znany reżyser filmowy Stanisław Lenartowicz z żoną i dorastającą córką oraz profesor Czesław Hernas, autor niedawno wyda-

nej książki *Barok*, który z żoną i dwiema kilkunastoletnimi córkami nocował w dużym namiocie. Któregoś wieczoru, przy ognisku, namówiłem profesora, aby jakiemuś swojemu zdolnemu studentowi dał jako temat pracy magisterskiej życie i śmierć Staszka Kowalczyka. Profesor pamiętał o danej mi obietnicy i po kilku latach zgłosił się do mnie kończący polonistykę student Stanisław Bereś, aby porozmawiać o Staszku.

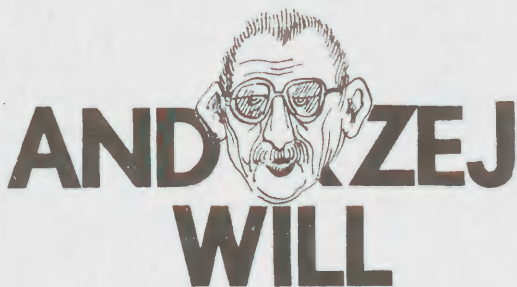


Andrzej Will z żoną Ireną Lenartowicz.

To były piękne wakacje. W bezdeszczowe wieczory paliliśmy nad morzem ognisko. Bardzo często wspominaliśmy wtedy nasze wspólne pruszkowskie lata. Prawie każdego dnia po południu Andrzej z Ireną łowili ryby na kanałach przecinających pobliski rezerwat łąk Polskiej Akademii Nauk. Gdy przed wieczorem wracali do swego namiotu, obdarowywali nas rybami. Najczęściej były to szczupaki,

które zjadaliśmy na kolację. Andrzej, wspaniały wędkarz, był przez wiele lat członkiem Zarządu Związku Wędkarskiego, a Irena pewnego roku została mistrzynią Polski w wędkarstwie. Te piękne dni spędzone w Dębkach na długo pozostały w mojej pamięci.

KLUB MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI
WE WROCŁAWIU
GALERIA KARYKATURY „GARB”



10–13 kwietnia 1986

Wrocław — pl. Kościuszki 21/23

Okładka folderu

W latach osiemdziesiątych, przynajmniej dwa razy każdego roku, Andrzej nocował u nas. Przyjeżdżał do Warszawy na posiedzenia Związku Polskich Artystów Plastyków. Za każdym razem zjadał się blinami smażonymi przez Eufrozinę. Śmialiśmy się, gdy powtarzał: „Już więcej nie mogę! Na pierwszym siedzę!”. Opowiadał nam wtedy swoje wrażenia z wystaw organizowanych przez niego w Galerii Karykatury „GARB”.

W dniu 17 lutego 1984 roku odbyła się we Wrocławiu, w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy, wystawa prac malarskich Ireny Lenartowicz-Will, żony Andrzeja. A dnia 25 kwietnia 1985 roku w warszawskiej Galerii TPSP „Pałacyk” przy ul. Chmielnej nr 5 odbyło się otwarcie wystawy prac Andrzeja Willa.

Gdy przesłałem mu moją książkę *Dzielnica milionerów*, telefonował do mnie już następnego dnia po otrzymaniu przesyłki: „Dzwonię tak rano, aby ci podziękować za książkę. Czytałem ją dwa razy, przez całą noc. Teraz czyta Irena...”.

Ostatni list otrzymałem w grudniu 1991 roku. Napisał, że pracuje nad zorganizowaniem 15. już Międzynarodowego Triennale Rysunku. Napisał też: „Dzielnica jest wspaniała! Nic w niej nie zmieniaj!”. Zmarł 14 stycznia 1992 roku. Odszedł przedostatni z moich przyjaciół. Pozostał jeszcze Mietek Kruszewski, w dalekiej Argentynie.

Przed kilku laty otrzymaliśmy ostatni już list od Ireny, żony Andrzeja. Podawała nam swój nowy adres. Sprzedała dawne mieszkanie i pracownię Andrzeja na poddaszu domu przy Rynku, z widokiem na kościół św. Elżbiety. Napisała, że ciężko jest żyć tylko wspomnieniami. Nie wiem, dlaczego nie odpisałem na ten list.

STANISŁAW WOŁŁOSIECKI

Stanisław Henryk Wołosiecki urodził się 19 października 1914 roku w czwartym miesiącu pierwszej Wojny Światowej na Ukrainie, w miejscowości Krystynówka koło Humania, 120 km na południe od Kijowa.

Pochodził z rodziny, której członkowie z polskim rodowodem przyjechali do Krystynówki z różnych stron Cesarstwa Rosyjskiego i Niemieckiego: dziadek z Kalisza, jego żona urodzona w Warszawie, ojciec w miejscowości Drazy koło Mohylewa na Białorusi, mama w Warszawie. Dziadek – magister farmacji, pracował w Krystynówce we własnej aptece, ojciec na kolei jako maszynista. Stanisław nie był jedyńikiem, miał starszą siostrę Irenę.

Rewolucja zburzyła cały spokój, działania wojenne między „białymi” a „czerwonymi”, ostrzał artyleryjski raz z jednej, raz z drugiej strony powodował, że dzieci były przenoszone dla ochrony przed pociskami albo pod jedną ścianę domu, albo na drugą stronę.

Gdy po zakończeniu wojny powstała możliwość powrotu do Polski, w 1919 roku rodzice zdecydowali wyjechać do Warszawy. Koleją, eszelonem, w wagonach towarowych, jeden wagon był na dwie rodziny. Podróż trwała bardzo

wiele dni, gdyż po drodze trzeba było rąbać w lasach drzewa dla parowozu. Wreszcie przed Bożym Narodzeniem rodzina znalazła się w Warszawie.

Zamieszkali przy ulicy Starościńskiej na Mokotowie. Ojciec pracował jakiś czas jako maszynista małej elektrowni niedaleko domu, na ulicy Sandomierskiej. Wskutek awarii zaworu bezpieczeństwa uległ wypadkowi, miał zniekształcony kciuk prawej ręki. Po wyzdrowieniu podjął pracę jako maszynista na kolei. Początkowo w Bydgoszczy, z powodu braku wolnych etatów w stolicy, a następnie w parowozowni na ulicy Chmielnej w Warszawie.

Stanisław rozpoczął naukę w prywatnej szkole Roszkowskiej i Popielewskiej przy placu Unii Lubelskiej, między ulicami Bagatela i Klonową. W klasie przedwstępnej młodszej był rodzyńkiem, ponieważ była to szkoła żeńska, w której uczyła się jego siostra.

W szkole podstawowej kolegami byli chłopcy nieraz ponad dwa razy starsi i wyrośnięci. Była to młodzież, której wojna nie pozwoliła na naukę.

W 1927 roku, ze względu na wysokie koszty utrzymania, rodzina przeniosła się do Pruszkowa na ulicę Ogrodową, na teren Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego, gdzie ojciec otrzymał służbowe mieszkanie. W niewielkim pomieszczeniu była ustawiona mała tokarenka do drewna, na której w wolnych chwilach ojciec wykonywał amatorsko różne ciekawe mebelki. Na przykład stoliczki z piętroowymi poziomami, których nóżki wytoczone były na wzór tyczek bambusowych. Stasiék pomagał ojcu stojąc obok i naciskając stopą na pedał z kołem zamachowym napędzającym obrabiany materiał. Popisem kunsztu były słupy wykonane w kształcie śruby, jako podstawy pod kwiaty oraz delikatniejsze w formie, jako lampy stojące.

W latach 1928-1934 uczył się w gimnazjum prywatnym im. T. Rontalera na ul. Polnej, a następnie w gimnazjum im. T. Czackiego na ul. Kapucyńskiej, w którym w 1935 roku otrzymał świadectwo dojrzałości.

Ponieważ gimnazjum Rontalera miało muzyczne instrumenty dęte i kilku uczniów uczyło się gry, zainteresował się muzyką. Otrzymał mały flecik Piccolo, na którym ćwiczył w domu. Przy końcu roku – ponieważ miał przejść do innego gimnazjum – oddał flecik. Zjawienie się z instrumentem w kancelarii szkoły wywołało wybuch radości dyrekcji, bo okazało się, że nigdzie nie zapisano faktu wydania instrumentu poza szkołę.

Nowe gimnazjum im. T. Czackiego miało szkolną orkiestrę złożoną z kilkunastu instrumentów. Nauczycielem muzyki był profesor Kacperski. Stanisław dołączył więc do orkiestry. Mieszkając w Pruszkowie, w każdy wtorek zostawał po lekcjach bez obiadu, zamiast którego zjadał spory kawałek chałwy greckiej popijany wodą. Grał na klawecie. Orkiestra brała udział w capstrzykach tj. przemarszach ulicami Warszawy wieczorem, w przeddzień świąt państwowych. Zespół dobrze wyszkolony z repertuarem takim, jak *Lekka Kawaleria*, *Marsz Florentyński*, *Fontanna Bakczyseraju*, w którym jest solówka na klarnet, tak jak w Lekkiej Kawalerii. Na jesieni któregoś roku zmarł profesor matematyki. Pogrzeb odbył się z udziałem szkoły. Klarnecista prowadził orkiestrę, która grała marsza żałobnego. W pewnym momencie skręcali w ulicę w prawo i wtedy dmuchnął wiatr. Połowa orkiestry zgubiła pół taktu – moment kakofonii. Niedouczone „dyrygent” nie zorientował się, ale pan Kacperski był blisko, podbiegł z chodnika i przerwał grę.

W połowie lat trzydziestych trzeba było opuścić służbowe mieszkanie, zamieszkali więc na ulicy Stalowej 7. Przed każdym występem orkiestry grał w domu trudniejsze partie

muzyczne i solówki. Czasem siadywał w kuchni w otwartym oknie i wtedy zdarzało się, że koledzy przychodzili na podwórko, aby posłuchać gry.

„U Czackiego” (jak mówiła młodzież) z okazji świąt narodowych były organizowane scenki teatralne, tak zwane żywe obrazy, w jednym z nich brał udział w mundurze wojskowym wypożyczonym z teatru.

Z jego nauką było różnie, ale jedno swoje wyjście do tablicy zapamiętał do dziś. Fizyki uczył prof. Karpowicz, asystent z politechniki. Przy tablicy, mówiąc na temat próżni Torricellego coś w odpowiedzi musiał pokręcić, bo profesor wskazując palcem na jego głowę powiedział: „...tu jest próżnia Torricellego”. Czasem i tak bywało.

Szkoła rozpoczynała rok szkolny mszą świętą w kościele. Wszystkie klasy z ulicy Kapucyńskiej maszerowały, z orkiestrą na czele, na Krakowskie Przedmieście do kościoła wizytek. Dziś szkoła im. Tadeusza Czackiego z ul. Polnej 5 nie ma orkiestry, ale rok szkolny rozpoczyna się spotkaniem młodzieży przy kamieniu pamiątkowym, ustawionym na tkwiącym w ziemi fundamencie spalonego w 1939 roku pięknego budynku, później zburzonego, gdyż stał na trasie Trasy W-Z. Każdego roku stara się być na tej uroczystości.

Dwukrotnie jeszcze prowadził orkiestrę: pierwszy raz, gdy kolumna Przysposobienia Wojskowego maszerowała na punkt zborny przed wyjazdem na obóz, drugi raz – gdy już na obozie PW pod Lidzbarkiem, pod nieobecność prof. Kacperskiego, dyrygował podczas uroczystego obiadu. Orkiestra wykonywała marsze i wiazańki pieśni wojskowych. Na obiedzie byli przedstawiciele władz wojskowych.

Zainteresowanie grą w orkiestrze i przygotowania do udziału w obozie letnim Przysposobienia Wojskowego, kosztowały go oblanie matury.



Przedstawienie szkolne
w Gimnazjum Czackiego,
rok 1932/33.



Powrót z obozu PW
w Lidzbarku, 1934 r.

Będąc na studiach grał również w orkiestrze Towarzystwa Gimnastycznego Sokół w Pruszkowie oraz podczas karnawału w tanecznym zespole, do którego wciągnął go Staszek Tozjo, kuzyn Leszka Chełmińskiego.

Po szkole podchorążych, już na studiach, został zaangażowany przez starostwo warszawskie do zespołu przysposobienia wojskowego, którego komendantem był kapitan Szempliński – mistrz Polski w szermierce szablą. Prowadzone tam były ćwiczenia i wykłady dla młodzieży szkoły przy Zakładach Mechanicznych w Pruszkowie, jak również odbywała się nauka strzelania w szkołach, w okolicy Warszawy.



W Pułtusk podczas przerwy w ćwiczeniach. Od lewej: Janek Świrczewski, Stefan Teper, Stanisław Jasiński, Henryk Krzyczkowski, Stanisław Wołosiecki.

Nie chcąc, żeby służba wojskowa przerywała mu studia wyższe, zgłosił się na ochotnika. We wrześniu został powołany do 13 pułku piechoty w Pułtusk na kurs podchorążych rezerwy, który ukończył z drugą lokatą w stopniu kaprała podchorążego. 13 pułk piechoty wchodził w skład

8 dywizji z siedzibą w Modlinie, dowódcą dywizji był generał Szylling.

Na IV kursie był w drugiej drużynie I plutonu razem z Heniem Krzyczkowskim i Jankiem Świrczewskim. W sali koszarowej spali w tym samym rzędzie na siennikach grubo wypchanych słomą, które rano musiały być zrobione „pod kant” i przykryte kocem płasko jak deska.

Już będąc podchorążym, dostał od rodziców pieniądze na własny mundur. Zamówił go w jednym z wielu zakładów szyjących mundury wojskowe. Czapkę kupił gotową, a orzełek noszony na czapce przetrwał zawieruchę wojenną i ma go do dziś. Własny mundur, do tego pożyczona pod koniec szkoły peleryna oficerska, pozwalały na zadawanie szyku na przepustce w Warszawie i Pruszkowie. Ten mundur 7 września 1939 roku został w walizeczce na wozie taborowym, po rozproszeniu oddziału przez piątą kolumnę dywersji niemieckiej.

Dnia 30 maja 1936 roku wszyscy podchorążowie otrzymali przydział do normalnych kompanii 13 pułku na dalsze praktyczne szkolenie i zdobywanie doświadczenia w pracy i służbie z żołnierzami. Służbę wojskową ukończył 13 września w stopniu sierżanta podchorążego.

W ostatniej fazie szkolenia, przed nominacją na stopień sierżanta podchorążego, przyjechał na kontrolę inspektor armii do spraw szkoleniowych – generał Norwid-Neugebauer w towarzystwie dowódcy dywizji generała Szyllinga. Stanisław otrzymał rozkaz dowodzenia drużyną i wykonania rozpoznania terenu z marszu. W ostatniej fazie drużyna doszła do skraju lasu. Generał zapytał: „Jak podchorąży rozpozna siłę ognia nieprzyjaciela?” Ponieważ przez chwilę nie uzyskał odpowiedzi, podpowiada: „pozorowanym atakiem i wycofaniem się”.

IV Kurs szkolenia podchorążych
w Pułtusk. Przykłęknął Stanisław
Wołosiecki, za nim stoją: Inspektor
Armii gen. dyw. Mieczysław Nor-
wid-Neugebauer i dowódca 8 Dy-
wizji Piechoty gen bryg. Antoni
Szylling, nieco dalej stoi dowódca
13 pułku piechoty pułk. Kobyłecki.



Egzamin przed gen. Mieczysławem
Norwid-Neugebauerem.



Jeszcze w trakcie służby wojskowej zdał egzamin na wydział przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego. W następnym roku, po ponownym zdaniu egzaminu, przeniósł się na wydział chemii.

Uniwersytet – nowe środowisko, nowe znajomości, nowe przyjaźnie, wykłady, laboratoria, praca w Kole Chemików UW. W 1938 roku Wydział Chemii otrzymał nowy gmach przy ulicy Pasteura. Uroczystości w nowym gmachu odbyły się z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego. Stanisław był na sali, w poczcie sztandarowym „Bratnia-ka”. Fotel prezydenta 10 kroków przed nimi. Prezydent zajął miejsce, a on ze zdumieniem w stojącym przy prezydencie adiutancie poznaje pułkownika Kobyłeckiego, dowódcę 13 pułku piechoty w Pułtusk w 1936 roku, gdy kończył IV Kurs Podchorążych Rezerwy. Już po wojnie, w 1960 roku, będąc służbowo w Londynie, dowiedział się od przyjaciela, że pułkownik Kobyłecki pracuje w jakiejś firmie, w centrali telefonicznej.

W roku 1937 lub 1938 pracował w Magistracie Miasta Pruszkowa przy sporządzaniu list wyborczych, poza nim były same kobiety. Zapamiętał jedną z nich tylko dlatego, że codziennie była inaczej ubrana – od bluzeczki i spódniczki, po elegancką długą suknię balową.

W styczniu 1938 roku otrzymał nominację oficerską na stopień podporucznika. 11 stycznia 1939 roku zmarł jego ojciec. Wobec zagrożenia wojennego i perspektywy zmobilizowania, Stanisław postanowił przenieść się do Żyrardowa, gdzie mieszkała jego zamężna siostra. W czerwcu 1939 roku został powołany do odbycia służby w Legii Akademickiej na obozie w miasteczku Międzyrzecz Wołyński. W dowództwie pułku w Hoszcy otrzymał instrukcje i pieniądze na zaopatrzenie i wyżywienie obozu. Uczestnikami obozu byli studenci z różnych uczelni, ćwiczenia prowadzi-



Na balu w „Sokole” z Basią Bogacką.

Po nominacji, na ulicy w Pruszkowie.



Bal w „Sokole”, w przerwie tańców.



Kwesta na Macierz Szkolną w Pruszkowie, Żbików ul. 3 Maja, 3.05.1937 r. W mundurze Stanisław Wołosiecki.

li zawodowi podoficerowie. Pod koniec obozu miał miejsce przykry incydent. Kilku studentów o orientacji antysemitycznej zdjęło szyldy z żydowskich sklepów. Przyjechał oficer wyższej rangi, zarządzono ostry reżim, żadnych przepustek. Wytworzyła się nieprzyjemna atmosfera, także polityczna, teren zamieszkały był głównie przez Ukraińców. Wido-
mą oznaką ich niechęci do uczestników obozu było to, że mijane przez nich grupy pracujących na polu, śpiewające pięknie na głosy, natychmiast milkły. 17 lipca wybrał się z kolegą do wsi Błudów, do jednego z gospodarzy – Polaka, osadnika, żołnierza z 1920 roku, który otrzymał tu ziemię. W domu żona i córka. Gospodarz był zainteresowany sytuacją polityczną, zadawał wiele pytań, długo rozmawiali. Obawiał się o swoją rodzinę.

Koniec obozu – 28 lipca. Nazajutrz rozliczył się w jednostce w Hoszcy, wieczorem odbyło się spotkanie taneczne w kasynie. Zaproponowano brydża, naturalnie propozycję przyjął. Ku zaskoczeniu, kartę dostawał wspaniałą – w pierwszym robrze szlemik, w drugim rozdaniu szlem. W którymś z następnych, drugi rober, podobna sytuacja. Przyjął te rezultaty z zadowoleniem, nic nie podejrzewając. Dopiero w Warszawie, po wielu, wielu miesiącach uświadomił sobie, że to był specjalnie przygotowany spektakl dla oficera rezerwisty. Udało im się to w stu procentach. Następnego dnia był w Warszawie.

W sierpniu podjął pracę w wytwórni noży do krajania buraków dla cukrowni. Któregoś dnia dywersanci niemieccy spowodowali wykolejenie się pociągu z Zakopanego. Semafor pod stacją wskazywał jazdę prosto, a zwrotnice torów ustawiono na podwójny zjazd bocznych torów. Skutki katastrofy były przerażające, np. z wagonu restauracyjnego pozostała tylko płyta.

1 września zmienił wszystko. 3 września, w dzień imienin mamy, idąc do siostry zobaczył na słupach budynku dworca plakaty mobilizacyjne. Wrócił do domu, włożył mundur, zapakował walizeczkę i wraz z mamą poszedł pożegnać siostrę i rodzinę. Na dworcu zameldował się oficerowi służbowemu transportu wojskowego, którym dojechał do Skierniewic; zameldował się w 18 pułku piechoty jako jednostce macierzystej. Wraz z nim zgłosili się koledzy z Pruszkowa: Stanisław Jasiński, Witold Pakulski, Jan Makowski, Julian Mazurkiewicz i Czesław Ciesielski. Zostali skierowani do okolicznych wsi, w których miały być mobilizowane kompanie. Miał być utworzony batalion w pełnym składzie. Codziennie dochodzili nowi poborowi. Wszyscy koledzy z Pruszkowa, z wyjątkiem Julka Mazurkiewicza, dostali przydział do wsi Rawiczów. Jedynie Julek, beznaściejnie smutny, z walizeczką na ramieniu żegnał się na skrzyżowaniu dróg, idąc do innej wsi.

Stanisław dostał zadanie zaopatrzenia oddziału w broń i amunicję, w związku z czym jeździł z Rawiczowa do koszar w Skierniewicach. Transport odbywał się podwodami. Niemcy bombardowali Skierniewice, wybuchały pożary. Wobec szybkiego posuwania się armii niemieckiej, dowództwo otrzymało rozkaz natychmiastowego wymarszu. Ogólny kierunek – wschód, rejon Dębina. Żaden z mobilizowanych oddziałów nie był gotowy. Uzbrojenie stanowiły karabiny kbk z niewielkim zapasem amunicji oraz 3 ręczne karabiny maszynowe i żadnej broni ciężkiej. Wymarsz nastąpił 7 września wieczorem. Maszerowali szosą na Mszczonów. Jego pluton był na końcu kolumny, którą zamykali cekaemiści bez broni. Kolumna schodziła z bitej drogi na trakt w kierunku lasu. Przy skrzyżowaniu, z lewej strony drogi bitej minęli nieduże zabudowanie. Gdy ostatni żołnierz z kolumny schodził w prawo, kolumna została sil-

nie ostrzelana z broni maszynowej. Przednie oddziały całej kolumny weszły już do lasu, natomiast ostrzelany koniec kolumny rzucił się biegiem w rozsypce do przodu i w lewo. Zaskoczenie ludzi, którzy przed chwilą byli na szosie obok zabudowań musiało wywołać bezładną panikę. Jednostka wojskowa nie była pełni zmobilizowana, był to czwarty dzień mobilizacji. Żołnierze nie zdążyli się nawzajem poznać, swego plutonu też nie znał, bo z rozkazu dowódcy zajmował się uzbrojeniem.

Ostrzelanie ogniem z broni maszynowej było działaniem dywersyjnym, zorganizowanym przez tzw. „piątą kolumnę”. Stanowisko ogniowe, z którego strzelano zostało zlikwidowane przez jadący za kompanią oddział taborowy, ale o tym dowiedział się znacznie później. Nie było wiadomo nic o oddziałach z przodu kolumny, a zaatakowany ostatni oddział całkowicie się rozproszył i przestał istnieć. Z plutonu w tym rozproszeniu pozostało przy nim jedynie dwóch kaprali. Jednym z nich był kapral Krawczykowski. Podjął więc decyzję przedostania się do Warszawy i zgłoszenia się do Komendy Miasta. Nie wiedząc zupełnie, gdzie są, przetrwali do świtu w lesie. Dochodziły do nich dalekie odgłosy wybuchów, widzieli klucze lecących samolotów niemieckich. Zaczęły do nich dochodzić dudnienia jadących gdzieś czołgów. Nie znając okolicy, po wyjściu z lasu unikali zabudowań w obawie przed Niemcami. Mijały godziny marszu, gdy w pewnym momencie, paręset metrów przed sobą zobaczyli szosę i tablicę drogową z napisem „Tarczyn”.

Pusta przestrzeń przed i za nimi. Na szczęście nie podjęli decyzji przekroczenia szosy, usłyszeli czołgi i nagle z dużą szybkością przejechała kolumna pancerna. Gdy czołgi zniknęły, rzucili się biegiem na drugą stronę i przez Głusków dotarli do Zalesia Górnego. Tam zastali na całym

terenie wojsko z rozproszonych jednostek różnych formacji. Taczanki karabinów maszynowych, dwa działa artylerii, jednostka 15 pułku piechoty i tabory, tabory, tabory...

Nad Zalesiem przelatywały i krążyły niemieckie samoloty. Nie zrzucały bomb i nie ostrzeliwały. Wydawało się to dość dziwne, bo na pewno znali polskie pozycje. Przyczyna spokoju wyjaśniła się wieczorem, gdy jednostki ustawione w kolumnie marszowej 9 września ruszyły z Zalesia przez Piaseczno w kierunku Warszawy. Będąc bez przydziału, razem z kapralem Krawczykowskim, Stanisław dołączył do piechoty. Ciemna noc, żadnego oświetlenia, okna domów ciemne, kolumna powoli posuwa się do przodu. Niespodziewanie, daleko z tyłu kolumny pada strzał karabinowy. Piorunujące wrażenie, bo nagle wzdłuż ulicy ze wszystkich stron ogień karabinowy. Przed nimi wybucha pożar, oświetlając teren. Powstaje zamieszanie. Wiedział, że jak zastrzelą konie, artyleria i kolumna stanie i oni zostaną. Biegiem, prawą stroną ulicy, nagle otwarta przestrzeń, jakiś plac, po lewej stronie budynek, jakiś mur, przebiegają na lewą stronę i obaj padają pod murem. W tym momencie zza muru pada strzał karabinowy. Kapral krzyczy: „trafił mnie”. Podrywają się obaj szalonym biegiem, koło nich biegną inni, słysząc rozpaczliwy krzyk ранego. Nagle otwiera się brama i tuż za jego plecami wyjeżdża na motocyklu dwóch cywilów z karabinem maszynowym. Motocykl przewraca się, wszystko dzieje się błyskawicznie. W tłumie biegnących widzi podoficera, który nogą rozbija świecący reflektor motocykla i strzela z pistoletu do przewracających się cywilów. Nadal padają strzały. Biegąc przy ścianach budynków przed sobą widział jakiś rząd słupków, więc skoczył między ścianę i słupki, wpadł na siatkę – było to ogrodzenie. Rezultat – poraniona końcami drutów twarz i wargi. W ustach sucho, język jak z drewna, jakaś studnia,

przy której tłok, wyciągnięty kubeł z wodą, choć się napić. Nie widzi kaprała – został sam. Pojedynczy żołnierze wychodzą z zabudowań. Nagle tuż za nim słysząc krzyki. Jakiś oficer chwytając coraz to innego żołnierza z krzykiem: „szpieg, szpieg!”. Widzi zachowanie i twarz jak w obłędzie, oficer chwytając go za ramię, coś krzyczy. Zbiegają się bliżej idący, oficer szarpie go za ramię. Twarze żołnierzy zmienione, grożące samosądem. W tym momencie pada strzał, oficer pada. Strzelał podoficer, który zastrzelił dywersantów wyjeżdżających z bramy na motocyklu. Podoficer był chyba żołnierzem pierwszej wojny światowej lub wojny 1920 roku, rozpoznał obłęd oficera, wiedział jakie mogą być następstwa paniki i samosądu. Taka mogła być reakcja ludzi, którzy przeżyli kilkadziesiąt minut temu wstrząs wywołany atakiem niemieckich dywersantów na żołnierzy zamkniętych między ścianami budynków ulicy w mieście.

Topnieją grupki idących do Warszawy. Zaczyna świtać.

Zaraz po powrocie ze szpitala „Modlin” w Jabłonie, zaczął zapisywać w małym kalendarzyku daty i zdarzenia między 3 września a 30 października. Odnotował wtedy pod datą 10 października: „6 rano w Warszawie w I DAK”. Kalendarzyk ten odnalazł po napisaniu prawie całości swoich wspomnień, dzięki temu mógł uściślić daty zdarzeń.

W koszarach ulokował się, żeby odpocząć i choć trochę przespać. Do koszar zgłaszali się żołnierze z różnych jednostek i formacji. 12 września zaczęto formowanie nowych jednostek piechoty, które miały wejść do akcji obronnej. W czasie oczekiwania na przydział, któryś z żołnierzy na kartce papieru rysuje jego portret. Portret ocalał razem z nim i jest teraz cenną pamiątką. 13 września udaje mu się wyjść do miasta, odwiedza na ul. Czackiego rodzinę siostry. Po drodze wstępuje do kawiarni w Alejach Ujazdowskich róg Placu Trzech Krzyży, pije herbatę, przemila starsza

pani z odległego stolika z serdecznymi słowami częstuje go papierosem. Może mundur oficera budzi jej wspomnienia, może myśli o kimś bliskim, kto jest na froncie.

Dostaje przydział do jednej z kompanii na dowódcę plutonu, jedna z drużyn jest zwartą jednostką, dowodził nią podchorąży Guzowski. Wieczorem kompanie zostają rozlokowane na Solcu, jako druga linia obrony przeprawy przez Wisłę. 16 września wieczorem wymarsz z Warszawy na uzupełnienie oddziałów broniących twierdzy Modlin. Artyleria niemiecka ostrzeliwuje Warszawę, pocisk trafia w narożnik domu „bez kantów” na rogu Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia. Do twierdzy Modlin docierają nie atakowani przez Niemców.

Zakwaterowanie w koszarach twierdzy. W kasynie udało mu się zjeść obiad, chyba befsztyk z koniny i jakby bez soli. Wracając z obiadu trzeba było kryć się przed odłamkami, gdyż bez przerwy trwał ostrzał nękający.

18 września oddziały wychodzą z twierdzy do wsi Gałachy pod Zakroczymiem, skąd będą zmieniać jednostki będące w pierwszej linii od początku. Najpierw jako drugi odwód, następnego dnia pierwszy odwód. Wymiana oddziałów pierwszej linii, przebiegającej przed Zakroczymiem, nastąpiła późnym wieczorem. Wychodzą ze wsi Gałachy. Niemcy nie ostrzeliwują. Oni mijają jakieś zabudowania i nagle zza budynków leci w górę rakietą oświetlająca, robi się jasno i dostają krótką nawałę ogniową. Kompania zajmuje linię obrony od Wisły do cmentarza żydowskiego, jego pluton zajmuje prawy odcinek. Linia okopów przebiega na skraju niewielkiego parowu, za którym pola i dalej Niemcy, z tyłu Zakroczym. Niemcy ostrzeliwują ogniem nękającym, czasem wybucha piekło przez kilkadziesiąt minut nawały ogniowej na twierdzę i stanowiska prawej linii obrony.

Opisując w notatniku okres od dnia 3 września, kiedy zobaczył na filarze dworca w Żyrardowie plakat mobilizacyjny, aż do dnia gdy z plutonem zajął stanowiska na pierwszej linii obrony twierdzy pisał, że ma w oczach zdarzenia z najdrobniejszymi szczegółami. Teraz chcąc opisać, co działo się na małym odcinku plutonu, nie mógł sobie przypomnieć organizacji zaopatrzenia żywnościowego, służb obserwacji nieprzyjaciela, łączności z obroną za kirkutem, zajęć żołnierskich.

Od dnia zajęcia stanowisk pierwszej linii obrony, Niemcy okładali rejon nękającym ogniem artylerii lub krótkimi nawałami. Atakowali głównie twierdzę i stanowiska jednostek prawej strony obrony, bombardowali też Zakroczym.

Któregoś dnia krótki ostrzał artylerii, kilka pocisków trafia w okopy, nie powodując na szczęście strat w grupie żołnierzy. Okop w kilku miejscach został zasypany. Chcąc sprawdzić, poszedł okopem. W miejscu zawalu musiał wyjść z niego tak, że tylko nogi były chronione i w tym momencie na jego wysokości wybuchł pocisk. W ułamku sekundy przysiadł, zasypała go ziemia. Wspominał po wojnie, że do końca życia zapamięta absurdalną myśl: „czy żyję?” Był ogłuszony, zasypany ziemią, nie słyszał co do niego mówią.

Jednego z ostatnich dni, już po zapadnięciu zmroku usłyszał na przedpolu po drugiej stronie parowu ruch, brzęk i stuk. Słabo widoczne postacie wskazywały, że to patrol niemiecki. Odgłosy pozwoliły ustalić miejsce, padło kilka strzałów. Reakcja Niemców natychmiastowa, silny ogień artyleryjski.

Następnego dnia – 27 września – od rana silny ogień artylerii i broni maszynowej. Ponieważ stwierdził brak części żołnierzy jednej z drużyn, zameldował się u dowódcy kompanii. Schron ziemny z wyjściem bocznym, kilku oficerów,

szef kompanii. Niemcy wzmagają ogień. Wybuchy pocisków. Wychylił się ze schronu, widzi, że rwą się w górze szrapnele, przykucnął w okopie i w tym momencie poczuł uderzenie w dłonie, w ręce złożone na lewym kolanie. Z prawej ręki trysnął strumień krwi, ułucie w prawym kolanie. Następny pocisk artyleryjski trafia w środek schronu, ranny zostaje kapitan Wojciechowski. Stanisław wycofał się do schronu obserwatorów artylerii fortecznej. Miał przebite obie dłonie, w prawej pocisk czy raczej odłamek, trafił w kość między nadgarstkiem a kciukiem. Ten sam odłamek przebił mięśnie lewej dłoni między kciukiem a palcem wskazującym. Sanitariusz założył jałowe opatrunki na ręce. Zobaczył dziury w obu nogawkach spodni, nie stwierdzając krwawienia. Po wojnie, już w 1945 roku, na komisji inwalidzkiej stwierdzono, że odłamek, który przebił ręce, tkwi w lewym udzie, a drugi w prawej rzepce kolanowej. Tkwią tam do dziś i pacjent musi tylko przed zabiegami rehabilitacyjnymi uprzedzić, by nie stosowano tam prądów.

Do schronu żołnierze przyciągnęli rannego dowódcę – miał strzaskane ramię. Ostrzał był tak silny, że trzymał wszystkich na miejscu. Mijały godziny, nadchodził wieczór, nie zmieniała się siła ognia. Po naradzie zdecydował wyczołgać się ze schronu, skierować do skraju linii obrony, przedostać nad Wisłę i zasłonięty od Niemców skarpą wiślaną iść do szpitala w twierdzy. Pociski broni maszynowej tuż nad ziemią pozwalały tylko na ostrożne czołganie się. Czołgał się więc, utrzymując ciężar ciała na łokciach i na czubkach stóp z powodu kolan. Mijają znów godziny. Czuję, że jeszcze dwa, trzy pełzania i nie wytrzyma, i zostanie. Wie, że przy szumie pocisków broni maszynowej już nie wstanie, ale podniesienie głowy to oczywista śmierć. Sytuacja wymusza na nim decyzję. Zdeterminowany usiłuje poderwać się. Nagle cisza trudna do określenia i równie nagle

uświadamia sobie, że Niemcy ostrzał maszynowy przenieśli na oddziały za kirkutem. Nie czuje bólu, ani zmęczenia, robi szalony zryw, by uciec z piekła, które za chwilę znów się zacznie. Dociera do skarpy, dwóch żołnierzy pomaga mu się podnieść, jednemu oddaje swój hełm, bo tamten wraca na linię.

Oparty na ramionach dwóch nowych żołnierzy dociera do twierdzy. Wie, że znalazł się w jakimś korytarzu, widzi otwarte drzwi, w środku ledwo półmrok, jakieś oświetlenie – chyba lampka, pewno naftowa. Wchodzi. Widzi coś płaskiego, na czym można się położyć i bezwładnie kładzie się.

Obudził się, kiedy dzień zaczął jaśnieć. Trafił do szpitala, do pokoju lekarza. Nie słyszy artylerii i broni maszynowej. Dziwny spokój, dowiaduje się, że wstrzymano działania wojenne, kapitulacja.

Następnego dnia zrobiono mu zastrzyk przeciw tężcowi, zmieniono opatrunki na rękach i na kolanie bez jakiegokolwiek działania w obrębie ran. Któregoś dnia każdy z rannych otrzymał pieniądze – część dostał w banknotach, część w bilonie po 10 złotych.

Mijały dni. Warunki sanitarne w twierdzy nie pozwalały na właściwą pomoc rannym, więc Niemcy przenieśli szpital do Jabłonny, do budynków jednostki wojskowej. Nikt się rannymi nie zajmował, nie wiedział, ile dni minęło od ostatniego opatrunku, a raczej zmiany zakrwawionych na czyste. Musiał mieć silne bóle, bo majaczył. Zapamiętał, że dostał jakiś zastrzyk. W myśli tkwiła nazwa – morfina. Leżał na noszach na brzegu sali, twarzą w głąb korytarza. Zobaczył zbliżającą się postać oficera i doznał uczucia ulgi – był to Kazik Szupryczyński, porucznik lekarz, towarzysz z pruszkowskiej paczki: Marysia Puczyńska, Witek, Basia Bogacka, Wiesia. Przypomniała się kolonia dla dzieci Ro-

dziny Kolejowej nad jeziorem Studzienicznym, gdzie ze Stasiem Kiferem byli instruktorami.

Zawołał Kazia. Tamten zatrzymał się, poznał go i umieścił w pokoju lekarskim. Odwinęto mu bandaż z rąk. Lekarz pincetą chwycił skórę i z wierzchu dłoni zdjął ją jak z ugotowanego kurczaka. Ręka czarna, gangrena, zdecydowano się na operację. Leżąc na stole operacyjnym, z lewą ręką przywiązaną, z maseczką na twarzy, miał po prawej



Dr Kazimierz Szupryczyński

stronie dwóch panów w białych okryciach i usłyszał słowa: „Spróbujemy ciąc poniżej łokcia, może uda się go uratować”. Energicznym ruchem zrzucił maseczkę i do dziś pamięta, jak powiedział: „Panie doktorze proszę nie robić eksperymentów”. Lekarz, który mówił o uratowaniu łokcia, to był profesor Jurasz z Poznania. Odpowiedział: „Zrobimy wszystko, co będzie możliwe”.

W nocy obudził się na sali, półmrok, rząd łóżek, po drugiej stronie też, poczuł, że jest lekko i bardzo ciepło z prawej strony w okolicy prawej ręki. Wsunął lewą rękę pod koc i poczuł pod palcami coś lepkiego. Wyciągnął rękę i stwierdził, że to krew. Długo wołał sanitariusza – bez efektu. Wołaniem obudził innych rannych. Zjawił się wreszcie sanitariusz, po chwili lekarz i natychmiast zabrali go z sali.

Gdy wrócił na salę i oprzytomniał po drugiej operacji, okazało się, że puściły podwiązane żyły i dostał krwotoku. Dowiedział się, że ma amputowaną prawą rękę ponad łokciem, gdyż gangrena objęła prawie całe ramię. Z krwotokiem zabrano go w ostatniej chwili, był ogromny upływ krwi. Był bardzo słaby. Jak mu powiedział później inny ranny lekarz z jego sali, który zdobywał dla niego środki nasercowe, był bliski śmierci.

Kapelanem w szpitalu był ksiądz Zieja, późniejszy kapelan w Laskach. Jeżdżąc z Jabłonny do Warszawy kupił i przywiózł kilka egzemplarzy Pisma Świętego. Jeden z nich, z dedykacją księdza, dostał Stanisław – jest mu dziś drogą pamiątką.

W szpitalu pojawiały się osoby cywilne, zwłaszcza kobiety. Niemcy pozwalali, ponieważ traktowali to jako pomoc dla rannych. Przez jedną z pań przesłał wiadomość do Pruszkowa, do Marysi Puczyńskiej, że jest z Kaziem Szuprzyńskim i prosił o zawiadomienie jego mamy. 9 października Marysia przyjechała z Basią Bogacką, jego sympatią. 12 października Kazik i Marysia zawarli w Szpitalu związek małżeński. Aby ślub mógł się odbyć, Stanisław podpisał po raz pierwszy lewą ręką oświadczenie, że Kazik jest kawalerem i zna go osobiście. Były to jego pierwsze litery pisane lewą ręką.

Mama Stanisława zawiadomiona, że został ranny i że leży w wojskowym szpitalu w Jabłonce, wzięła jego ciepłe

palto zimowe i z Żyrardowa na wozie z kartoflami dojechała do Grodziska. Dalej kolejką WKD do Szczęśliwic, stamtąd piechotą na Nowogrodzką do swojej siostry. Następnego dnia rano przeszła piechotą na Pragę i kolejką wąskotorową przyjechała do Jabłonny.

Ten ogromny wysiłek mogło wytrzymać tylko serce Matki.

Niejasne informacje co do losu rannych jeńców wojennych oraz pogłoski, że do jenieckich obozów mogą być przewiezieni również z amputacjami, rodziły poczucie zagrożenia. Lekarz, który zdobywał dla niego środki naserkowe, w jakiś sposób przyczynił się do tego, że *Stabsarzt* podpisał *Passierschein* – przepustkę stwierdzającą, że: *Stanisław Wollosiecki, jako pomoc lekarska do dnia dzisiejszego w szpitalu jeńców wojennych „Modlin” w Jabłonie tegoż dnia udaje się do swego miejsca zamieszkania w Żyrardowie*. 27 października mama, która mieszkała u jakiejś rodziny w mieście, przyjechała na teren szpitala dorożką i zabrała go. Po przenocowaniu, następnego dnia wybrali się w podróż do domu. Kolejką wąskotorową do Warszawy, następnie z Pragi jakimś środkiem transportu do WKD do Pruszkowa, gdzie zatrzymali się u Marysi Puczyńskiej. Rano zatłoczonym niemiłosiernie pociągami dotarli do Żyrardowa.

Takie było jego prawie 60 dni wojennych, w czasie których poznał różne stany umysłu i zachowań ludzkich. Niewyobrażalnych cierpień i tragedii, jak też doznał pomocy i życzliwości od osób nieznanych. Jednak te prawie 60 dni, to dni Opatrzności i Łaski Bożej. To dni, w których Bóg dawał mu poznać swą opiekuńczą rękę. W Piasecznie, kiedy padał pod murem razem z kapralem, murem, który był ogrodzeniem kościoła, kula przeszła mu ponad plecami raniąc padającego obok niego. Wybuch pocisku w oko-

pach prawie tuż pod nogami, wstrzymanie ostrzału broni maszynowej i przeniesienie go na inny odcinek w chwili, gdy determinacja kazała mu wstać z czołgania się. Kazio Szupryczyński, który w szpitalu przechodził właśnie tym korytarzem, przy którym leżał na brzegu sali. Krwotok po amputacji w nocy na sali, no i zwolnienie ранego oficera polskiego ze szpitala jeńców wojennych jako cywila, żeby pojechał do miejsca zamieszkania.

Dalsze dni, aż do dziś – to nieustanne dążenie do możliwie w pełni samodzielnej egzystencji, tak aby brak ręki był jak najmniej odczuwalny dla otoczenia i bliskich. A dla samego siebie przekonanie, że aby cokolwiek wykonać, trzeba przede wszystkim chcieć to zrobić, a sposobu na zrealizowanie tej czynności szukać głównie we własnej głowie. Po przyjeździe do Żyrardowa przez dłuższy czas był pod opieką lekarza, który zmieniał mu opatrunki na amputowanym ramieniu.

W szpitalu żyrardowskim miał wtedy miejsce nieszczęśliwy wypadek. Wykonano niefortunnie zastrzyk dożylny, który wywołał konieczność amputacji ręki. Dyrektor szpitala – doktor Jankowski – znając jego przeżycia prosił, aby z młodym poszkodowanym człowiekiem nawiązał kontakt i rozmowami starał się przygotować go do życia i pracy z jedną ręką.

Pierwszą rzeczą, jaką wykonał jedną ręką, była specjalna podstawka do kart przy grze w brydża. Był pasjonatem brydża. Gry nauczył jego i kilku kolegów jeszcze przed wojną ojciec Leszka Chełmińskiego. Podstawka służyła mu przez długi czas. Pomysł był świetny, wymagał tylko później małego ulepszenia.



Październik 1939, po zwolnieniu z Modlina, od lewej:
Jan Świrczewski, Henryk Krzyczkowski i Stanisław
Wołosiecki.



Pałac Sobańskich w Guzowie.

Od przyjazdu z Modlina nie pracował. Pieniądze, które wypłacono mu w Modlinie, szybko się wyczerpały. W kwietniu zaprosili go do siebie rodzice przyjaciela z ławy szkolnej, Jurka Chmielewskiego. W fabryczce jego ojca we Włochach pracował w sierpniu 1939 roku, po powrocie z obozu Legii Akademickiej. We Włochach z grupą młodzieży brał udział w przedstawieniach teatralnych dla dzieci.

Inżynier Chmielewski, mechanik konstruktor, projektował i nadzorował przebudowę aparatury stacji wyparki w cukrowni Guzów koło Żyrardowa. Któregoś dnia zabrał go ze sobą i przedstawił dyrektorowi cukrowni – Janowi Buczyńskiemu. W ten sposób został zaangażowany do pracy, którą rozpoczął w dniu 10 października. Był to pierwszy dzień jego 13-letniej pracy w cukrowni Guzów.

Guzów, miejscowość na trasie Żyrardów – Sochaczew. Osiem kilometrów od Żyrardowa znajdowało się miasteczko Wiskitki z rynkiem i kościołem w głębi, zamieszkałe w znacznej liczbie przez Żydów, a pięć kilometrów dalej osada fabryczna Guzów, zabudowana parterowymi domami wzdłuż szosy, która na tym odcinku stawiała się ulicą. Bardzo stara zabudowa, cukrownia powstała w 1863 roku i w okresie międzywojennym była najstarszą w Polsce. Jeden z budynków, w którym mieszkali emeryci, wybudowano z gliny mieszanej ze słomą. W bocznej ulicy, po prawej stronie stały budynki cukrowni, po lewej znajdował się wjazd do pałacu. Ładna architektura, wspaniałe spadziste dach pokryty blachą w rybią łuskę, w prawym skrzydle kaplica z wejściem z wnętrza. Dalej był budynek z mieszkaniem dyrektora cukrowni oraz drugi z mieszkaniami urzędników, a za wjazdem na folwark dwie wille. Stanisław mieszkał w dużym pokoju razem z trzema kolegami.

Cukrownia i majątek rolny były własnością rodziny Sobańskich. Stali pracownicy cukrowni dostawali pensję i deputat cukru. On także otrzymał działkę rolną w postaci jednej redliny ziemi, na której sadzono kartofle. Ogromna życzliwość i pomoc, jaką mu okazywano w Guzowie sprawiała, że mógł pomóc pięcioosobowej rodzinie siostry. Na przykład, dzięki administratorowi majątku, zebrane ziemniaki z pola furmanką z folwarku odsyłano do Żyrardowa.



Stanisław Wołosiecki we
Włochach, maj 1940.

Jakkolwiek czas przeżyty w Guzowie i praca na zmiany w fabryce były względnie spokojne i bezpieczne, to jednak stale nad każdym wisiło widmo działań gestapo. Często po nocnej zmianie spotykali się u któregoś z kolegów grając w pokera. Nie obywało się bez kieliszka alkoholu. Ponieważ poza samogonem coś innego trudno było dostać, do dzisiajszego dnia nie daje się namówić na koniak. Michał Sobań-

ski wprowadził go w krąg podziemia. Dla młodych z konspiracji prowadził wykłady na temat wykonywania planów i odręcznych mapek terenu działania. Dla bezpieczeństwa wyrobiono mu fałszywą *kennkartę*, którą jednak musiał zniszczyć, gdyż jako znak szczególny wpisano „nosi okulary”. Rzeczywiście nosił je, ale wpadłby natychmiast wobec podstawowego znaku szczególnego – „brak prawej ręki”. Szerszy udział i działanie w podziemiu ze względu na okoliczności i zmianę sytuacji w terenie nie był możliwy.

W Boryszewie, położonym niedaleko Guzowa, było schronisko dla inwalidów. Jeździł tam na spotkania i rozmowy. Mieszkał tam również znany aktor scen warszawskich, Aleksander Zelwerowicz. Stary aktor, aby wspomóc finansowo ośrodek, jeździł do różnych okolicznych majątków, prezentując fragmenty dawnego repertuaru.

W czasie okupacji niemieckiej na terenie cukrowni był tylko jeden przypadek śmiertelny. Pracownicy wynosili potajemnie cukier. Po terenie, między hałdami węgla na placu przechodził patrol. Wybiegającego młodego pracownika obsługi kotłowni, Niemiec prawie nie celując, zastrzelił.

W lecie 1942 roku kilkunastu młodych rzemieślników z cukrowni musiało w nocy patrolować tory kolejowe na trasie Żyrardów – Rawka. Niestety dla nich, podłożono bombę pod przejeżdżający transport wojskowy. Wszystkich, którzy brali udział w patrolach, gestapo następnego dnia wywiozło na Pawiak.

Dyrektor Buczyński kazał załadować na samochód ciężarowy parę ton cukru i w towarzystwie zatrudnionego w cukrowni tłumacza, Niemca – pana Fingera, pojechał do Warszawy. Załatwił z gestapo, że wszyscy fachowcy oraz kilka osób z Wiskitek, zostało zwolnionych. Głównym argumentem było to, że przez brak fachowców zostanie wstrzymana produkcja cukru w fabryce pracującej na za-

opatrzenie wojska. Nie było to jedyne działanie dyrektora Buczyńskiego chroniące pracowników. W czasie pracy cukrowni liczba pracowników tzw. kampanijnych była nieraz wielokrotnie wyższa niż potrzeba. Starał się wtedy, prowadząc zmianę, tak rozłokować ludzi, by Niemcom przyjeżdżającym czasem na kontrolę nie rzuciło się to w oczy.

W 1943 roku Niemcy zwolnili dyrektora Buczyńskiego i dali *treuhendera*.

Był nim Niemiec – cywil, z którym Stanisław dwa razy wybrał się powozem do Sochaczewa. Pewnego razu Niemiec jechał samochodem fabrycznym w celu ustalenia przerzutu maszyn cukrowniczych z cukrowni Michałów pod Warszawą do cukrowni Guzów. W drodze przeraziło go spotkanie z grupą żołnierzy z armii rosyjskiego generała Własowa, utworzonej z jeńców rosyjskich, którzy zgodzili się na współpracę z Niemcami. Zabranym przez nich na samochód ciężarowy, wyskoczył przerażony. Patrol niemiecki, który wtedy nadjechał, zabrał go do szpitala. Więcej do Guzowa nie wrócił. Po nim przysłano oficera armii niemieckiej – był to ranny w głowę na froncie wschodnim Austriak, Hanes. Stanisław mieszkał w pokoiku na poddaszu willi, w której on również mieszkał. Jego pokój był nad sypialnią Hanesa. Tego roku w czasie kampanii produkcyjnej była u niego mama. Ponieważ pracował również na zmianach nocnych, a spał w dzień, matenka kręciła się czasem w nocy po pokoju. Któregoś dnia gospodarz zarządzający administracyjnymi sprawami cukrowni powiedział mu, że Hanes słyszy stukania nocne nad głową. Kiedy dowiedział się, że to mama Stanisława – kazał kupić dywan na podłogę jego pokoju. W pałacu Sobańskich stacjonowała jednostka wojskowa. Hanes jednak umiał zadziałać na rzecz społeczności Guzowa w razie jakiegoś niebezpieczeństwa. Przykładem może być skierowany na niego zamach podziemia.

Gdy otworzył drzwi na stukanie partyzantów, oddano do niego strzał. Uratował się skokiem w otwarte drzwi piwnicy w momencie strzału. Natychmiast zjawił się patrol niemiecki z pałacu. Wtedy Hanes oświadczył, że to jego sprawa i on nie widzi potrzeby ingerencji. Sprawa dywanu i jego stanowisko po napadzie może dobrze o nim świadczyć.

17 stycznia 1945 r., o 6 rano, kiedy po skończeniu zmiany Stanisław szedł do domu, zauważył wzmożony ruch w okolicy. Po wejściu zorientował się, że Hanesa, jak też nikogo z jego personelu, nie ma w domu. Zrobiło się jasno, wszyscy mówili, że Niemcy uciekają. Zrozumiał, gdzie się podział Hanes. Wrócił do fabryki, żeby jeszcze czegoś się dowiedzieć. Wracając do domu, usłyszał lecący za nim samolot. Zaczął biec. Będąc już w pobliżu domu, usłyszał świst pocisków a pod nogami potoczyły mu się pociski z działka i z broni maszynowej. Niedługo potem czołgi sowieckie zaczęły jechać przez osadę, szosą w kierunku Sochaczewa. W fabryce nikt nie pracował, brama pozostała otwarta. Po południu pod magazyn z cukrem podjechały furmanki okolicznych gospodarzy. Zaczęło się wywożenie cukru. Nie było żadnej władzy. Cukier w magazynie w stukilowych workach z tkaniny był ułożony w stos w kilkustu rzędach. Wyrywano worki z niżej położonych rzędów, co w konsekwencji doprowadziło do zawalenia się ściany cukru i śmiertelnego przygniecenia jednego z ludzi.

Dopiero po kilku dniach zaprowadzono porządek administracyjny. W Guzowie władzę objął oficer polityczny, na wszystko trzeba było uzyskiwać jego pozwolenie na kartce papieru. Pod koniec stycznia Stanisław dostał przepustkę i pojechał do Warszawy zobaczyć, co dzieje się z mieszkaniem narzeczonej. Zastał mieszkanie wprawdzie nie spalone, ale kompletnie ogołocone z wszystkich mebli i rzeczy. Znacznie później już, gdy w małym pokoju mieszkał



W Poroninie z przyszłą żoną



Narzeczeni w Żyrardowie, 29.08.1944 r.

pianista Szpilman, ukrywający się od upadku Powstania w tym i sąsiednim domu, dowiedział się, że Niemcy wrzucili do mieszkania pocisk zapalający, który spowodował pożar. Zapalony tapczan spowodował roztopienie się elementów kryształowego żyrandola, który nad tapczanem wisiał, żyrandol spadł, ogień nie rozprzestrzenił się i mieszkanie ocalało.

W następnym miesiącu pracownicy podjęli decyzję – naturalnie zaakceptowaną przez władze polityczne – aby dyrektor Buczyński, który znajdował się w Milanówku, powrócił na swoje stanowisko. Dyrektora przywieziono z honorami i bardzo serdecznie przyjęto. Willę, w której Stanisław mieszkał na piętrze, zajął dyrektor Buczyński, a on dostał pokój w budynku urzędniczym. Niestety, choroba dyrektora, o której nie wiadano, spowodowała w końcu maja jego śmierć.

W 1942 roku Stanisław poznał swoją przyszłą żonę. Zakochała się w jego fotografii, którą zobaczyła u jego siostry, a jej serdecznej przyjaciółki, mieszkającej w tym samym domu przy Alei Niepodległości w Warszawie. Krysia była pielęgniarką, ukończyła warszawską szkołę pielęgniarek, pracowała społecznie. Oświadczył się, został przyjęty w połowie 1944 roku. Planowali ślub we wrześniu. Była członkiem Armii Krajowej. Wybuch Powstania przekreślił wszystkie plany. Ostatnie spotkanie odbyło się w ostatnią niedzielę lipca, gdyż tylko w wolny dzień mógł wyjechać z Guzowa.

Powstanie obserwował z Guzowa ze szczytu fabryki, widząc dymy pożarów w dzień i ogromne łuny w nocy. Krysia przeżyła Powstanie. Walczyła w kompanii kapitana Budziszka broniącej przejścia i barykady w Alejach Jerozolimskich. Wiezioną po Powstaniu jako żołnierz do jenieckiego obozu, wyrzuciła kartkę z adresem i prośbą

o przekazanie, że jedzie do oflagu. Przeszła obozy Lamsdorf (Łambinowice), Mühlberg, Altenburg. Jej obóz wyzwoliła brygada pancerna Generała Maczka. Siódmego maja 1946 roku, w przeddzień imienin Stanisława, stanęła w drzwiach mieszkania w Alei Niepodległości. Podświadomie wiedziała, że będzie tam na nią czekał. Po paru dniach zawiózł ją do Guzowa, żeby pokazać, gdzie pracuje.



Po ślubie przed wyjazdem do Guzowa.

Z cukrowni dostał do dyspozycji służbowy samochód. Ślub odbył się 10 czerwca i tegoż dnia wieczorem byli w Guzowie. Zdecydowali, że musi skończyć studia. Po nradzie z żoną postanowił zbadać, czy Uniwersytet rozpoczął już działalność. We wrześniu pojechał na Uniwersytet; okazało się, że wydział chemii już się organizuje. Przyjął

go profesor Lampe, który wtedy był kierownikiem katedry chemii. Powiedział profesorowi, że chce skończyć studia, a przede wszystkim brakuje mu pracowni preparatyki organicznej. Reakcja profesora zaskoczyła go – powiedział, że w swojej praktyce nie miał studenta, który mógłby przejść przez pracownię preparatyki organicznej z jedną ręką. Zrozumiał, że to oznacza odmowę. W następnym roku, kiedy był w Warszawie, koledzy prawie zrobili mu awanturę, że nic nie powiedział o tej rozmowie. I rzeczywiście, po drugim spotkaniu profesor wyraził zgodę. W pracowni opracowywał tematy dotyczące związków nitro. Te związki organiczne mają swój charakterystyczny, trochę drażniący zapach. Zajmowanie się nimi dłuższy czas tak go zmęczyło, że zaczął skarżyć się kolegom. Ponieważ nie palił wtedy papierosów, któryś z nich zaproponował, żeby zaczął palić, bo to zmieni atmosferę. Zaczął więc palić i pozwoliło mu to na spokojne dokończenie ćwiczeń laboratoryjnych. Za rozbity sprzęt szklany trzeba było płacić, czasem było to dość kosztowne, tymczasem okazało się, że miał najmniej stłuczek i najmniej za nie zapłacił. W czasie pracy w laboratorium profesor ani razu nie podszedł do jego stanowiska. W pracowni koledzy pomagali mu jedynie w przypadku, gdy po zmontowaniu aparatury do destylacji pod próżnią sprawdzali jej szczelność.

Ponieważ preparatyka trwała około trzech miesięcy i to w czwartym kwartale roku, nie mógłby w tym czasie pracować jako zmianowy w fabryce. Centrala Przemysłu Cukrowniczego w Warszawie wyraziła zgodę na urlop. Musiał zmienić zawód i z technika został urzędnikiem. Po kursie administracji przemysłowej, w 1948 roku objął Wydział Planowania. W następnym roku, również w ostatnim kwartale, rozpoczął pracę dyplomową, tym razem z chemii fizycznej w katedrze profesora Wojciecha Świątosławskiego.

Tematem były zjawiska krytyczne. Po zakończeniu i złożeniu pracy, zdaniu egzaminu z fizyki, w dniu 2 stycznia 1952 roku zdał przed komisją ostatni egzamin.

W trakcie jego urlopu związanego z dokończeniem studiów, na dyrektora cukrowni Guzów został mianowany z awansu majster, gotowacz z cukrowni Ciechanów o nazwisku Walczyk. Cukrownia ta okazała się kolebką awansowanych dyrektorów, ponieważ jej pracownikiem był przed wojną Marceli Nowotko.

Stanisław poinformował, w przedsiębiorstwie Cukrownie Mazowieckie w Płocku, o ukończeniu studiów. Został zaproszony na rozmowę do dyrektora Przedsiębiorstwa. Spodziewał się nominacji, otrzymał propozycję objęcia stanowiska naczelnego inżyniera w cukrowni Michałów koło Błonia. Nie mając studiów politechnicznych – a cukrownia to w znacznej mierze zagadnienia energetyczne i procesy inwestycyjne – nie przyjął tej propozycji.

Otrzymał stanowisko głównego chemika w cukrowni Ciechanów. Laboratorium było po przebudowie, trzeba było urządzić stanowiska pracy i zorganizować je w nowych warunkach. Poszczególne stacje też były po przebudowie. Pierwsza kampania wymagała dobrego przygotowania. Nowy główny chemik był w trudnej sytuacji, gdyż drugi chemik był przez szereg lat głównym chemikiem. Jako inżynier po politechnice miał przewagę w praktyce i doświadczeniu. Był wykładowcą chemii i fizyki w wyższych klasach szkół w Ciechanowie. Współpraca układała się dobrze.

Po dwóch miesiącach nastąpiła przeprowadzka, po trzynastu latach pracy w Guzowie, do Ciechanowa.

Dzięki przyjacielowi – dyrektorowi departamentu w Ministerstwie Przemysłu, a koledze z pracy w cukrowni Guzów w czasie okupacji niemieckiej, zaproponowano mu przeniesienie do Warszawy do Centralnego Zarządu Przemysłu Cukrowniczego. Początkowo na stanowisko kierownika działu kontroli technicznej, potem zastępcy kierowni-



Z żoną w domu w Warszawie.

ka działu produkcji i w końcu kierownika działu produkcji. W 1976 roku zrezygnował z szefostwa z powodu konfliktu z dyrektorem. Został głównym specjalistą do spraw produkcji. W czerwcu 1977 roku doszedł do wniosku, że stra-

cił wspólny język z kolegami oraz kierownictwem i złożył wniosek o przejście na emeryturę. Od 1 lipca był wolny.

Praca w przemyśle cukrowniczym dawała mu satysfakcję – 76 cukrowni, drożdżownie, produkcja kwasu cytrynowego, suszarnie – praca nie była monotonna. To przemysł kampanijny, różny w różnych okresach roku. Okresem produkcyjnym był głównie czwarty kwartał roku, gdyż produkcja cukru była ściśle związana z rolnictwem, surowcem był burak cukrowy. Oczyszczanie urządzeń z pozostałości produkcyjnych, remont maszyn i aparatury, roboty budowlane i inwestycyjne związane często z modernizacją. Proces produkcji cukru, rozpoczęty, nie mógł być zatrzymywany, gdyż każdy, nawet krótki przestój powodował duże straty w ilości gotowego produktu z surowca.

Drugą cechą tego przemysłu i jego wartością były załogi cukrownicze. Pracownicy wszystkich sześciu dwóch głównych pionów, tj. pionu technicznego i pionu surowcowego, spotykali się każdego roku na ogólnych naradach pokampanijnych, konferencjach naukowych i zjazdach. Zwornikiem, który ułatwiał wszelkie kontakty towarzyskie i zawodowe było Stowarzyszenie Techników Cukrowników, które powstało w roku 1893 i było jednym z założycieli Naczelnej Organizacji Technicznej.

Przemysł cukrowniczy z lat jego pracy już nie istnieje, pozostało zaledwie kilka cukrowni w polskich rękach, a i te będą zamykane wobec dalszych ograniczeń produkcji cukru przez Unię Europejską. Nadal jednak Stowarzyszenie działa i Stanisław jest członkiem Warszawskiego Koła.

Jest również członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej. W 1949 roku utworzona została Sekcja Pomocy o charakterze charytatywnym, działająca na rzecz osób starszych, niepełnosprawnych, nie tylko członków Klubu. Powierzono mu kierownictwo Sekcji. Tę pracę charytatywną kontynu-

je do dnia dzisiejszego. Społeczność klubowa przyznała mu tytuł honorowego członka klubu, a w 2006 roku na wniosek zarządu klubu otrzymał Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.

Stanisław doświadczył na sobie tej prawdy, że życie uczy każdego człowieka, nieraz nawet bardzo boleśnie i że trzeba z tej nauki korzystać i chcieć zrozumieć, jak ta prawda może pozwolić na uniknięcie wielu błędów we własnym postępowaniu. Trzeba uznać również i tę prawdę, że na każdym spoczywa OKO OPATRZNOŚCI.

INDEX

1	1890	1890
2	1891	1891
3	1892	1892
4	1893	1893
5	1894	1894
6	1895	1895
7	1896	1896
8	1897	1897
9	1898	1898
10	1899	1899
11	1900	1900
12	1901	1901
13	1902	1902
14	1903	1903
15	1904	1904
16	1905	1905
17	1906	1906
18	1907	1907
19	1908	1908
20	1909	1909
21	1910	1910
22	1911	1911
23	1912	1912
24	1913	1913
25	1914	1914
26	1915	1915
27	1916	1916
28	1917	1917
29	1918	1918
30	1919	1919
31	1920	1920
32	1921	1921
33	1922	1922
34	1923	1923
35	1924	1924
36	1925	1925
37	1926	1926
38	1927	1927
39	1928	1928
40	1929	1929
41	1930	1930
42	1931	1931
43	1932	1932
44	1933	1933
45	1934	1934
46	1935	1935
47	1936	1936
48	1937	1937
49	1938	1938
50	1939	1939
51	1940	1940
52	1941	1941
53	1942	1942
54	1943	1943
55	1944	1944
56	1945	1945
57	1946	1946
58	1947	1947
59	1948	1948
60	1949	1949
61	1950	1950
62	1951	1951
63	1952	1952
64	1953	1953
65	1954	1954
66	1955	1955
67	1956	1956
68	1957	1957
69	1958	1958
70	1959	1959
71	1960	1960
72	1961	1961
73	1962	1962
74	1963	1963
75	1964	1964
76	1965	1965
77	1966	1966
78	1967	1967
79	1968	1968
80	1969	1969
81	1970	1970
82	1971	1971
83	1972	1972
84	1973	1973
85	1974	1974
86	1975	1975
87	1976	1976
88	1977	1977
89	1978	1978
90	1979	1979
91	1980	1980
92	1981	1981
93	1982	1982
94	1983	1983
95	1984	1984
96	1985	1985
97	1986	1986
98	1987	1987
99	1988	1988
100	1989	1989
101	1990	1990
102	1991	1991
103	1992	1992
104	1993	1993
105	1994	1994
106	1995	1995
107	1996	1996
108	1997	1997
109	1998	1998
110	1999	1999
111	2000	2000
112	2001	2001
113	2002	2002
114	2003	2003
115	2004	2004
116	2005	2005
117	2006	2006
118	2007	2007
119	2008	2008
120	2009	2009
121	2010	2010
122	2011	2011
123	2012	2012
124	2013	2013
125	2014	2014
126	2015	2015
127	2016	2016
128	2017	2017
129	2018	2018
130	2019	2019
131	2020	2020
132	2021	2021
133	2022	2022
134	2023	2023
135	2024	2024
136	2025	2025
137	2026	2026
138	2027	2027
139	2028	2028
140	2029	2029
141	2030	2030
142	2031	2031
143	2032	2032
144	2033	2033
145	2034	2034
146	2035	2035
147	2036	2036
148	2037	2037
149	2038	2038
150	2039	2039
151	2040	2040
152	2041	2041
153	2042	2042
154	2043	2043
155	2044	2044
156	2045	2045
157	2046	2046
158	2047	2047
159	2048	2048
160	2049	2049
161	2050	2050
162	2051	2051
163	2052	2052
164	2053	2053
165	2054	2054
166	2055	2055
167	2056	2056
168	2057	2057
169	2058	2058
170	2059	2059
171	2060	2060
172	2061	2061
173	2062	2062
174	2063	2063
175	2064	2064
176	2065	2065
177	2066	2066
178	2067	2067
179	2068	2068
180	2069	2069
181	2070	2070
182	2071	2071
183	2072	2072
184	2073	2073
185	2074	2074
186	2075	2075
187	2076	2076
188	2077	2077
189	2078	2078
190	2079	2079
191	2080	2080
192	2081	2081
193	2082	2082
194	2083	2083
195	2084	2084
196	2085	2085
197	2086	2086
198	2087	2087
199	2088	2088
200	2089	2089
201	2090	2090
202	2091	2091
203	2092	2092
204	2093	2093
205	2094	2094
206	2095	2095
207	2096	2096
208	2097	2097
209	2098	2098
210	2099	2099
211	2100	2100
212	2101	2101
213	2102	2102
214	2103	2103
215	2104	2104
216	2105	2105
217	2106	2106
218	2107	2107
219	2108	2108
220	2109	2109
221	2110	2110
222	2111	2111
223	2112	2112
224	2113	2113
225	2114	2114
226	2115	2115
227	2116	2116
228	2117	2117
229	2118	2118
230	2119	2119
231	2120	2120
232	2121	2121
233	2122	2122
234	2123	2123
235	2124	2124
236	2125	2125
237	2126	2126
238	2127	2127
239	2128	2128
240	2129	2129
241	2130	2130
242	2131	2131
243	2132	2132
244	2133	2133
245	2134	2134
246	2135	2135
247	2136	2136
248	2137	2137
249	2138	2138
250	2139	2139
251	2140	2140
252	2141	2141
253	2142	2142
254	2143	2143
255	2144	2144
256	2145	2145
257	2146	2146
258	2147	2147
259	2148	2148
260	2149	2149
261	2150	2150
262	2151	2151
263	2152	2152
264	2153	2153
265	2154	2154
266	2155	2155
267	2156	2156
268	2157	2157
269	2158	2158
270	2159	2159
271	2160	2160
272	2161	2161
273	2162	2162
274	2163	2163
275	2164	2164
276	2165	2165
277	2166	2166
278	2167	2167
279	2168	2168
280	2169	2169
281	2170	2170
282	2171	2171
283	2172	2172
284	2173	2173
285	2174	2174
286	2175	2175
287	2176	2176
288	2177	2177
289	2178	2178
290	2179	2179
291	2180	2180
292	2181	2181
293	2182	2182
294	2183	2183
295	2184	2184
296	2185	2185
297	2186	2186
298	2187	2187
299	2188	2188
300	2189	2189
301	2190	2190
302	2191	2191
303	2192	2192
304	2193	2193
305	2194	2194
306	2195	2195
307	2196	2196
308	2197	2197
309	2198	2198
310	2199	2199
311	2200	2200
312	2201	2201
313	2202	2202
314	2203	2203
315	2204	2204
316	2205	2205
317	2206	2206
318	2207	2207
319	2208	2208
320	2209	2209
321	2210	2210
322	2211	2211
323	2212	2212
324	2213	2213
325	2214	2214
326	2215	2215
327	2216	2216
328	2217	2217
329	2218	2218
330	2219	2219
331	2220	2220
332	2221	2221
333	2222	2222
334	2223	2223
335	2224	2224
336	2225	2225
337	2226	2226
338	2227	2227
339	2228	2228
340	2229	2229
341	2230	2230
342	2231	2231
343	2232	2232
344	2233	2233
345	2234	2234
346	2235	2235
347	2236	2236
348	2237	2237
349	2238	2238
350	2239	2239
351	2240	2240
352	2241	2241
353	2242	2242
354	2243	2243
355	2244	2244
356	2245	2245
357	2246	2246
358	2247	2247
359	2248	2248
360	2249	2249
361	2250	2250
362	2251	2251
363	2252	2252
364	2253	2253
365	2254	2254
366	2255	2255
367	2256	2256
368	2257	2257
369	2258	2258
370	2259	2259
371	2260	2260
372	2261	2261
373	2262	2262
374	2263	2263
375	2264	2264
376	2265	2265
377	2266	2266
378	2267	2267
379	2268	2268
380	2269	2269
381	2270	2270
382	2271	2271
383	2272	2272
384	2273	2273
385	2274	2274
386	2275	2275
387	2276	2276
388	2277	2277

SPIS TREŚCI

Od wydawcy	5
BRONISŁAW CHAJĘCKI	9
LESZEK CHEŁMIŃSKI	36
MIECZYŚŁAW KRUSZEWSKI	95
STANISŁAW KOWALCZYK	132
JÓZEF KWASIBORSKI	176
JERZY NIEROJEWSKI	197
WITOLD PAKULSKI	242
ANDRZEJ WILL	302
STANISŁAW WOŁŁOSIECKI	328







Henryk Krzyczkowski

DZIEWIĘCIU z PRUSZKOWA



Fotografia z lat 30-tych

Henryk Krzyczkowski urodził się w roku 1914 w Pruszkowie, gdzie spędził sześćdziesiąt lat życia. Z wykształcenia jest chemikiem, a z zamiłowania kronikarzem dawnego Pruszkowa.

Posiada rzadki i cenny dar obserwacji i zapamiętywania szczegółów, na co swego czasu zwrócił uwagę drużynowy Aleksander Kamiński „Kamyk”.

Dotychczas ukazały się drukami cztery książki Henryka Krzyczkowskiego:

W cieniu Warszawy (PAX 1986) - opis życia w Pruszkowie w latach okupacji;

Dzielnica milionerów (Iskry 1989)

– wspomnienia z dzieciństwa;

Inna Ojczyzna, inne miasto, inni ludzie

– Pruszków w latach 1945-56

(Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, 2004)

– historia Pruszkowa w pierwszych latach po wojnie; Żołnierskie wspomnienia

(Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Pruszkowie, 2007) - kronika służby

wojskowej Autora.

Dziewięciu z Pruszkowa to zbiór opowieści o Przyjaciolach Autora. Niektórzy zginęli w czasie wojny, innych los rzucił w świat. Każdy z nich zostawił część swojego życia w Pruszkowie, choć większość była i jest bardziej znana poza rodzinnym miastem, nawet w najdalszych zakątkach globu. Książka pana Henryka nie tylko przybliży nam historię ich życia, ale także pomoże ocalić pamięć o wybitnych ludziach naszego miasta.



ISBN 978-83-926204-3-3



9 788392 620433